



M A R C U S S A K E Y

OGNIEM PISANA

„TRZYMA CZYTELNIKA ZA GARDOŁO DO OSTATNIEJ SEKUNDY NIEUCHRONNEGO,
NIEWYOBRAŻALNEGO PRZEZNACZENIA, BY ZARAZ POTEM WCIĄGAĆ GO JESZCZE BARDZIEJ...”

PUBLISHERS WEEKLY



**OGNIEM
PISANA**

M A R C U S S A K E Y

OGNIEM
PISANA

Przełożył
Maciej Szymański



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

*Jossowi,
który płonie tak jasnym blaskiem*

*Jedni mówią, że świat zniszczy ogień.
Inni, że lód.
Iż poznałem pożądania srogie,
Jestem z tymi, którzy mówią: ogień*

Robert Frost

(W przekładzie Ludmiły Marjańskiej)

Zatem tak to jest być bogiem.

Jedno spojrzenie na wyciągniętą rękę i już wiem, ile włosów rośnie na grzbiecie mojej dłoni. Wiem też, ile z nich to ciemniejszy, męski zarost, a ile ów ledwie widoczny *vellus*, włos pierwotny.

A *vellus* to po łacinie wełna.

Pamiętam tę stronę w *Gray's Anatomy*, dzięki której poznałem to słowo. Był na niej także schemat mieszka włosowego. Ale nie tylko to. Pamiętam też teksturę i splot włókien papieru. Blask lampy, która oświetlała tę stronicę. Woń drzewa sandałowego, którą wyczuwałem od dziewczyny siedzącej trzy krzesła dalej. Mogę przywołać te obrazy z doskonałą ostrością, a przecież była to chwila niewarta zapamiętania, a nawet zapomniana. Niemniej jednak odcisnęła swój ślad w grupie komórek mózgowych gdzieś w hipokampie, podobnie jak wszystkie inne chwile i doświadczenia mojego życia. Jeśli zechcę, mogę aktywować te neurony, przeglądać wspomnienia w tę i z powrotem, raz jeszcze przeżywając dawno minione chwile w niezatartych barwach.

Nieistotny dzień w Harvardzie, trzydzieści osiem lat temu.

A konkretniej: trzydzieści osiem lat, cztery miesiące, piętnaście godzin, pięć minut i czterdzieści dwie sekundy temu. Czterdzieści trzy. Czterdzieści cztery.

Opuszczam rękę, wyczuwając napięcie albo rozluźnienie każdego z mięśni uczestniczących w tym ruchu.

Świat atakuje moje zmysły.

Manhattan, róg Czterdziestej Drugiej i Lexington. Samochody, odgłosy z placu budowy, tłumy ludzi-lemingów zimne grudniowe powietrze, melodia *Silver Bells* Binga Crosby'ego z otwartych drzwi kawiarni, do tego mieszanina woni spalin, falafelu i moczu. Szturm bodźców, nieprzefiltrowanych, przytłaczających.

Jakbym zbiegł ze schodów i trafił w pustkę tam, gdzie spodziewałem się ostatniego stopnia.

Jakbym siedział w fotelu i nagle zorientował się, że to fotel pilota odrzutowego myśliwca pędzącego trzy razy szybciej niż dźwięk.

Jakbym podniósł porzucony kapelusz i dopiero spostrzegł, że tkwi na uciętej głowie.

Panika sprawia, że jestem mokry; panika ogarnia całe moje ciało.

Gruczoły dokrewne pompują adrenalinę, źrenice się rozszerzają, zwieracz się spina, palce zaciskają w pięści...

Kontrola.

Równowaga.

Oddech.

Mantra: jesteś doktorem Abrahamem Couzenem. Pierwszym człowiekiem w dziejach, któremu udało się przekroczyć granicę między normalnymi a nienormalnymi. Twoje serum RNA niekodującego radykalnie zmieniło ekspresję genów. Geniuszem byłeś zawsze; teraz jesteś kimś więcej.

Jesteś obdarzonym.

Ludzie płyną wokół mnie, a ja stoję na rogu ulicy i widzę wektor każdego z nich, potrafię przewidzieć, w którym momencie miną się albo zderzą, wiem, kiedy zwolnią, kiedy podrapią się w łokieć, wiem to wszystko, zanim się wydarzy. I mogę, jeśli tylko zechcę, ujrzeć to jako schemat przemieszczeń i sił, jako interaktywną mapę, jako tkaninę, która sama się plecie.

Jakiś mężczyzna szturcha mnie w ramię i przez chwilę mam ochotę skręcić mu kark. Natychmiast wyobrażam sobie, jak bym to zrobił: dłoń na jego podbródku, drugą ręką chwytam za włosy, zapieram się nogą. by zyskać dźwignię, i wykonuję szybki ruch z bioder, by osiągnąć maksymalną siłę.

Ale pozwalam mu żyć.

Mija mnie kobieta i odczytuję jej sekrety ze skulonych ramion, zwisających luźno włosów, które ograniczają jej pole widzenia, z tego, jak wytrzeszcza oczy, wystraszona klaksonem taksówki, z workowatego żakietu, palca bez obrączki i wygodnych butów. Sierść na nogawkach jej spodni pochodzi od trzech różnych kotów; już sobie wyobrażam mieszkanie, w którym żyje samotnie, może przyjechała tu metrem z Brooklynu, ale nie z tej modnej części. Widzę też, że ktoś ją wykorzystywał w dzieciństwie - wujek albo przyjaciel rodziny, nie ojciec - i to właśnie stało się przyczyną izolacji. Niezdrowa, błada cera oraz drżące ręce zdradzają, że wieczorami pije. najpewniej wino, sądząc po stanie zębów. Fryzura wskazuje na zarobki rzędu co najmniej sześćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, ale nie więcej niż

osiemdziesięciu, o czym świadczy torebka. Zapewne pracuje w biurze, rzadko ma do czynienia z ludźmi, częściej z liczbami. Prawdopodobnie jest księgową w dużej korporacji.

Zatem tak to jest być bogiem.

Nagle zauważam dwie sprawy. Z nosa leci mi krew. I ktoś mnie obserwuje.

To jakby delikatne mrowienie, coś, co głupcy łączą z pojęciem „zbiorowej nieświadomości”. W rzeczywistości to tylko wskazania moich zmysłów nieprzetworzone przez płat czołowy: zmarszczka cienia, ulotny odblask w szkłe, nie do końca wyczuwalne ciepło i dźwięk cudzego ciała, które nagle znalazło się w pobliżu.

Dla mnie te pierwotne bodźce to materiał, który bez trudu analizuję, wyostrzam niczym rozmazany obraz w okularze mikroskopu. Przywołuję pamięć zmysłową ostatnich kilku chwil, badam teksturę tłumy, zapach ludzi, ruchy pojazdów.

Wektory sił wiele mi mówią, tak jak zmarszczki na wodzie zdradzają obecność skał pod powierzchnią. Nie myślę się. Jest ich wielu, są uzbrojeni, przyszli po mnie.

Określonym ruchem głowy rozciągam kark i strzelam kostkami palców.

Powinno być ciekawie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czas uciekał, lecz mimo to Cooper nie mógł przestać patrzeć.

W samym sznurze nie było nic niezwykłego - ot. jaskrawo-żółta syntetyczna linka do mocowania plandeki. Niezwykłe było to, że przerzucono go przez jedną z latarni na Manhattanie, a na jego końcu zawiązano pętlę.

Niezwykłe było także to, że na sznurze wisiał trup.

Chłopak miał może siedemnaście lat. Przystojny, szczupły, o wyrazistych rysach. Miał na sobie służbowy uniform pracownika baru McDonald's. Na jego jasnożółtej koszuli morderca napisał markerem jedno słowo: porąbaniec. A zatem nie była to przypadkowa ofiara. Linczu dokonali sąsie-dzi, współpracownicy, może nawet koledzy. W trakcie zajścia chłopak zgubił but i teraz Cooper nie mógł oderwać wzroku od cienkiej białej skarpetki smaganej grudniowym wiatrem.

- Jezu Chryste - wysapał Ethan Park.

Biegli sprintem, póki nie zatrzymał ich tłum zgromadzony wokół wisielca.

Minęły dwa tygodnie, odkąd dwadzieścia pięć tysięcy amerykańskich żołnierzy zostało zmasakrowanych na pustyni w stanie Wyoming przez własny sprzęt, w wyniku zarażenia go wirusem komputerowym stworzonym i rozprzestrzenionym przez nienormalnych. Ludzkość nigdy nie przepadała za tymi, którzy się wyróżniali. Lubiała ich jeszcze mniej, gdy zaczynali się bronić.

To ledwie chłopak, pomyślał Cooper. Niebo było ołowiane i ciężarne śniegiem, a wiatr leniwie obracał sztywne ciało.

Zdarta tenisówka, olśniewająco biała skarpetka, zdarta tenisówka.

- Jezu Chryste - powtórzył Ethan. - Nie spodziewałem się, że kiedyś coś takiego zobaczę.

A ja przez całe życie obawiałem się, że zobaczę właśnie to. To dlatego robiłem wszystko to, co robiłem: polowałem na takich jak ja, udawałem terrorystę, zabijałem więcej razy, niż pamiętam. Przyjąłem nóż w serce. Widziałem, jak moją córkę chcieli wysłać do akademii i jak mój syn zapadł w śpiączkę.

I mimo wszystko nie umiałem powstrzymać tego, co tu zaszło.

- Chodźmy.

-Ale...

- Już.

Nie czekając na odpowiedź, Cooper znowu puścił się biegiem. Odkąd pojawiły się dane z kamery, przebyli w pięć minut pół manhattańskiej mili - nie był to wynik zły. ale i niewystarczająco dobry. Nie wtedy, gdy od doktora Abrahama Couzena dzieliło ich ledwie kilka kwartałów.

O dziesiątej rano chłodny poranny wiatr chłostał kanion alei wyznaczonej szeregami gmachów z czerwonej cegły i ogrodzeń chroniących place budowy. Cooper rozpychał się między przechodniami niosącymi kubki z kawą i torebki, zerkającymi na zegarki i rozmawiającymi przez telefony, lecz w jego oczach wszyscy oni wyglądali na niepewnych swego losu zakładników, którym kazano zachowywać się normalnie. W oknie sklepu spożywczego ktoś wkleił stronicę gazety, w całości zajęta przez fotografię dymiącej ruiny, która jeszcze niedawno była Białym Domem. Pod marmurowymi kolumnami, rozrzuconymi jak zabawki wokół krateru, w którym eksplodowała rakietka, widniał napis: NIE ZAPOMNIJ.

Nie ma sprawy, pomyślał Cooper i przebiegł na drugą stronę Trzeciej, ignorując ryk samochodowych klaksonów. Cynk dała mu Valerie West, dawna współpracowniczka z DAR. Szeptem, jakby bała się, że ktoś podsłuchuje, przekazała meldunek o namierzeniu podejrzanego dzięki identyfikacji twarzy na podstawie obrazu z kamer monitoringu. „Tak sobie stoi, jakby wyszedł się przewietrzyć, fiut jeden”.

Cooper był o nim podobnego zdania. Doktor Couzen był ich ostatnią nadzieją na zapobieżenie otwartej wojnie. Przeróżające zjawiska ostatnich lat - powstanie akademii, w których prano mózgi obdarzonym dzieciom, wzlot Johna Smitha i jego organizacji terrorystycznej, ustawa o mikrochipowaniu nienormalnych, dewastacja trzech miast, masakra żołnierzy atakujących enklawę Nowe Kanaan - wszystko to były jedynie symptomy. Prawdziwą przyczyną była zaś nierówność między normalnymi a obdarzonymi.

Abe Couzen i Ethan znaleźli rozwiązanie: lek zmieniający normalnych ludzi w obdarzonych. Gdyby udało się uczynić go powszechnie dostępnym, znikłaby pierwotna przyczyna wojny. Większość już nie musiałaby obawiać się nadnaturalnych talentów mniejszości, a w konsekwencji mniejszość nie musiałaby się obawiać gniewu większości.

Tyle że zamiast podzielić się ze światem wielkim odkryciem, Abraham Couzen zabrał swoje serum i zniknął. Świat zaś stanął w ogniu. Może jeszcze nie jest za późno. Może zdążę go dopaść.

Cooper przyspieszył, a gdy wypadł zza węgła, skręcił na południe. Ethan gnał za nim, dysząc ciężko. Valerie wyświadczyła im gigantyczną przysługę, ten sam obraz z kamery, który wzbudził jej zainteresowanie, musiał trafić do funkcjonariuszy Departamentu Analiz i Reagowania, a przy okazji i do kretów działających w DAR. wiernych Nowemu Kanaan, nazywanemu teraz Redutą, lub co gorsza - organizacji terrorystycznej Johna Smitha. I dlatego należało się spodziewać, że ku skrzyżowaniu Czterdziestej Drugiej z Lexington zbliża się cała armia cieni.

W tych okolicznościach nie było czasu na luksus zwany planowaniem. Cooper mógł sobie pozwolić co najwyżej na zamiar: dopaść Couzena, w nadziei, że Ethan zdoła przekonać swego dawnego mentora, by przejrzał. Gdyby się nie udało, pozostałaby im jedynie opcja B: ogłuszyć i porwać naukowca. Co w sercu Manhattanu z pewnością byłoby niezłą zabawą, Lexington Avenue była w tym miejscu pięciopasmowa i jednokierunkowa - na południe zmierzał nieprzerwany potok taksówek i autobusów. Sprintem minął drogerię Duane Road. przecisnął się między dwojgiem turystów z aparatami fotograficznymi, a zaraz potem uskoczył na jezdnię, by nie zderzyć się z grupką uczennic, i natychmiast wrócił na chodnik. Tłum przechodniów był na tyle gęsty, że Cooper musiał się skupić wyłącznie na ich omijaniu. Jego dar dawał mu olbrzymią przewagę w sytuacjach jeden-na-jednego, ale w tłoku było zgoła inaczej; mimo to podświadomie starał się oceniać zamiary każdego napotkanego człowieka. Parł naprzód z zaciśniętymi zębami, aż nagle poczuł, że jest wolny.

Zbyt nagle. I zbyt późno.

Pięć metrów przed sobą ujrzał grupkę ludzi. Stojący pośrodku był przygarbiony, jakby kruchy, a nerwowymi ruchami przypominał ptaka. Doktor Abraham Couzen wiele osiągnął w swej karierze naukowej, lecz nadal wyglądał jak jeden z owych pomyślonych bezdomnych, którzy krzyczą na bankomaty.

Czterej mężczyźni, którzy go otaczali, wyglądali całkiem inaczej: mieli szerokie bary i wprost emanowali czujną gotowością. Nosili niezłe, ale nie wytworne garnitury, uszyte specjalnie w taki sposób, by pod marynarką łatwo było ukryć kaburę. Agenci polowi. I cóż za niespodzianka - dowodził nimi Hobby Quinn, dawny partner Coopera. A to oznaczało, że funkcjonariusze Departamentu Analiz i Reagowania byli szybsi. Nieznacznie szybsi, lecz przecież niekiedy życie może odmienić się w parę...

Upublicznienie procy Couzena to ostatnia nadzieja na powstrzymanie wojny.

Bobby'ego Quinna pewnie jakoś bym przekonał, ale nie wszystko zależy od niego.

W takim razie co mi pozostaje? Atak na agentów DAR, w tym mojego najlepszego kumpla?

Cóż, skupili się na aresztowaniu Couzena. Gdybym tylko...

Jasna dupa!

...sekund.

Cooper nigdy w życiu nie widział szybszej akcji. W jednej chwili serce doktora biło w tempie siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę - lekko podwyższonym, ale odpowiednim do sytuacji. W następnej skoczyło do stu pięćdziesięciu.

Cooper chciał krzyknąć ostrzegawczo, ale zanim to zrobił, uczony usztywnił po dwa palce każdej dłoni i wbił je niemal do końca w oczy jednego z agentów, po czym natychmiast zaczął rozdawać dwóm innym ciosy kantem dłoni, a jednocześnie dwukrotnie rąbnął Bobby'ego Quinna kolanem w krocze. Walka dobiegła końca, zanim rozpoczęła się na dobre - agenci leżeli na chodniku, jęcząc i z trudem chwytając oddech.

Abe Couzen odetchnął głęboko. Jego palce drżały, a z nozdrza ciekła strużka krwi. Mimo to Cooper wyczuwał bijący od niego spokój.

Naukowiec powalił czterech uzbrojonych zawodowców w niespełna dwie sekundy i najwyraźniej nie wywarło to na nim większego wrażenia.

Sytuacja zmieniła się, gdy nadbiegł zdyszany Ethan i zatrzymał się u boku Coopera. Na widok swego byłego protegowanego na twarzy Abe'a odmalowały się w szybkim tempie raczej sprzeczne emocje: zadowolenie, zdziwienie, podejrzliwość i wreszcie gniew.

- Jesteś z nimi?

- Co? - wysapał Ethan. - Nie, ja... to tylko... on...

- Jestem tu sam, doktorze Couzen. - Cooper pamiętał, by otwarte dłonie trzymać jak najniżej. - Chcę pomóc.

Otoczenie pomału zaczynało dostrzegać, że doszło do starcia. Większość ludzi odsuwała się instynktownie, paru podeszło bliżej, żeby zobaczyć, co się stało. Jakaś kobieta jęknęła. Cooper ignorował wszystkich prócz celu. Nie był czytaczem, nie umiał odgadywać najgłębszych sekretów z samej mowy ciała, lecz to, o czym myślał w tym momencie Abe, nie było wielką zagadką. Zastanawiał się, czy ich pozabijać. Wszystkich: agentów, Coopera, nawet Ethana. Był jak żmija: czysta, zimna kalkulacja, podszyta absolutną pewnością własnej mocy. Wierzył, że jest w stanie tego dokonać.

A jednak odwrócił się i pobiegł.

Zapisały opony i zawyły klaksony, gdy skoczył pomiędzy samochody. Taksówkarz wcisnął pedał hamulca do oporu i jego wóz zaczął sunąć bokiem, by zatrzymać się na hondzie. Abe nawet nie zwolnił - przemknął obok rozbitych pojazdów, mijając je może o trzydzieści centymetrów. Cooper rzucił się w pogoń, ale nie wbił się w kolumnę samochodów pod najlepszym kątem i zanim dotarł na drugą stronę ulicy, zdążył stracić do ściganego dobre trzydzieści metrów. Przyspieszył, nie odrywając wzroku od pleców Couzena. ale coraz trudniej było mu kluczyć w gęstniejącym tłumie wychodzących z...

Psiakrew. Dworzec Grand Central. Abe pchnął drzwi, przewracając na posadzkę jakąś kobietę. Gdy mijał ją Cooper, właśnie próbowała wstać.

- Masz jakiś problem, dupku? - gderwała.

Rozpędzony przewrócił ją po raz drugi.

Przebiegł sprintem przez cały hol główny, mijając reklamy

tabletów i nowej linii garniturów Lucy Veronica, by po chwili znaleźć się w chłodnej, dusznej hali dworcowej.

Gwar tysięcy rozmów przytłoczył go od pierwszej chwili i zaraz przycichł, gdy z głośników popłynął nerwowy komunikat:

- Podróżni! Nie ma więcej miejsc w pociągu Metro North Hudson Line. Powtarzam: nie ma więcej miejsc w Hudson Line. Proszę nie oblegać peronu...

Najwyraźniej wszyscy postanowili opuścić Manhattan w tej samej chwili. Pod gwiazdzistą kopułą hali dworcowej kolejki do kas biletowych zmieniły się w bezkształtny tłum, a żołnierze z karabinami szturmowymi na ramionach z trudem utrzymywali względny spokój. Przy nazwach wszystkich pociągów wyjeżdżających z miasta dodano na tablicy informacyjnej adnotację „bilety wyprzedane”. Podróżni nie przejęli się zbyt apetem płynącym z głośników: szturm na perony nadal trwał i nikt nie przejmował się zbyt tym, czy ma bilet. To był tłum, wyjąca, pulsująca, cuchnąca tłuszcza. Ludzie przepychali się i tratowali, nawoływali i złorzeczyli, taszcząc bagaże na ramionach i dzieci pod pachami.

Nikt nie czuł się komfortowo w takim tłoku, ale Cooper wręcz nienawidził tłumów, tracił w nich orientację. Jego dar był tu bezużyteczny, bo czyż można odczytać intencje tak wielu ludzi jednocześnie? Nie umiał skupić się naraz na wyciu psa, płaczu dziecka, sygnale telefonu i dźwiękach radia, a tutaj czuł się tak, jakby miał do czynienia z tysiącem psów, dzieci, telefonów i radioodbiorników.

Odetchnął głęboko, zaciskając i rozluźniając pięści. Wspiał się na kubeł na śmieci stojący pod ścianą i wbił spojrzenie w tłum, próbując wyłowić znajomątwarz - szukał igły w stogu siana. Żołnierz czuwający w pobliżu wrzasnął na niego, kazał zejść, ale Cooper zignorował go, wpatrzony w obojętne oblicza...

I wtedy go zobaczył. Abe właśnie obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nadal jest ścigany, i w tym momencie dostrzegł go Cooper. Mimo ścisłu uczoney zdołał dwukrotnie powiększyć dzielący ich dystans.

Niemożliwe. Taka masa ludzi? Żywa ściana, stłoczona ramię przy ramieniu? Nikt nie zdołałby się przebić.

To nie do końca prawda. Shannon by umiała.

Zanim usłyszał jej imię. zanim wzajemnie ocalili sobie życie, zanim zostali kochankami. Cooper nazywał ją Dziewczyną, Która Przechodzi Przez Ściany. Shannon postrzegała ludzi jako wektory, potrafiła przewidzieć, w którym miejscu tłumu pojawi się wolna przestrzeń, którego miejsca inni będą unikać, którzy ludzie zderzą się ze sobą i spowolnią ruch pozostałych. Jak sama mawiała, miała talent do „przemieszczania się” - w przeciwieństwie do Coopera, który nie znosił tłumu, czuła się w nim jak ryba w wodzie i przenikała przezeń niepostrzeżenie.

Abe Couzen poruszał się teraz tym samym sposobem. Uczony uskoczył w porę przed padającym właśnie mężczyzną i ruchliwy jak rtęć wniknął w nowo powstałą szczelinę w ludzkiej ścianie. Zaraz potem odbił w lewo i zatrzymał się, by poczekać, aż cudownym sposobem otworzy się nowy prześwit między dwiema przepychającymi się kobietami. Prześliznął się dalej, pochylony przemknął pod ramieniem ochroniarza i ruszył przed siebie, ku przeciwległemu krańcowi chaosu.

Cooper odprowadził go wzrokiem, szukając...

Skoro nie możesz go złapać, spróbuj odgadnąć, dokąd zmierza.

Miejsca w pociągach opuszczających miasto są już wyprzedane, za to metrem będzie mógł dotrzeć w dowolny punkt miasta.

W takim pandemonium znajdzie pewnie ze sto miejsc, w których zdoła się zaszyć.

W sekundę położył czterech agentów, ale przed tobą ucieka...

Jasne.

...rozwiązania. Zeskoczył z kubła i popędził z powrotem w stronę holu. Poza halą dworcową tłum był zdecydowanie rzadszy i może dlatego już po chwili Cooper był znowu na ulicy. Przy wyjściu omal nie zderzył się z Ethanem.

- Czy...

Cooper tylko pokręcił głową i pobiegł na zachód, by zaraz skrócić na północ, w Vanderbilt. Jeśli dobrze odczytał sytuację, Abe uznał go za agenta DAR - i trudno było mu się dziwić, skoro Cooper zjawił się w chwili, gdy Bobby Quinn próbował go aresztować. Zapewne pomyślał, że zaraz za nim zjawią się kolejni funkcjonariusze.

Abe Couzen był geniuszem. Skoro uciekał przed DAR, musiał już wiedzieć, że najważniejsza jest mobilność. Gdyby spróbował się ukryć, agenci Departamentu zamknęliby Grand Central, przejrzeliby zapisy z kamer i w razie potrzeby przeszukali cały dworzec, pomieszczenie po pomieszczeniu. Gdyby zdołał wcisnąć się do wagonu, zatrzymaliby zdalnie cały pociąg, zamieniając go w klatkę bez wyjścia. Gdyby chciał walczyć, nigdy nie zabrakłoby agentów gotowych stawić mu czoło. O nie, jeśli Cooper miał rację, Abe z pewnością zamierzał czym prędzej wrócić na ulicę, a najbliższe wyjście znajdowało się...

Tak, właśnie tam, gdzie w tym momencie pojawił się Abe.

Cooper z uśmiechem wyszedł mu naprzeciw.

- Jak mówiłem...

- To on! On wymachiwał pistoletem! — zawołał Couzen, błąd i roztrzęsiony, wskazując na niego palcem.

Adresatem jego słów i gestu, o czym poniewczasie przekonał się Cooper, byli żołnierze, którzy zatrzymali się tuż za nim. Było ich trzech, wszyscy młodzi, wszyscy spięci i wszyscy z palcami na językach spustowych karabinów.

Potrzebował tylko trzydziestu sekund oraz swej starej legitymacji agenta DAR, by wyjaśnić nieporozumienie.

Lecz zanim to zrobił, Abraham Couzen zdążył zniknąć.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nie rozumiem - powiedział Ethan, bodaj po raz dziewiąty. Siedzieli w taksówce pełzającej wolno na zachód. Abe pobił tych facetów?

-A co, myślałeś, że pośliznęli się na skórkach od bananów?

- Myślałem, że to ty. Przecież to byli agenci DAR, prawda? A Abe jest po sześćdziesiątce i żaden z niego ninja.

Cooper tylko prychnął. Nie pierwszy raz widział uciekiniera - tak to zwykle wyglądało, gdy kogoś ścigał ale tym razem było inaczej. Przeliczył się, a stawka była bardzo wysoka. Wrócił myślą do chwili, w której zauważył, że dosłownie w ciągu sekundy puls doktora Couzena dwukrotnie przyspieszył. *Kontroluje gruczoły dokrewne, a zatem i stężenie adrenaliny. Prawdopodobnie także norepinefryny wspomagającej koncentrację, a może nawet kortyzolu i oksytocyny. Przy odpowiednim stężeniu każdy będzie jak ninja.*

-Powinniśmy byli się - domyślić odrzekł po chwili. -Niech to szlag.

- Czego się domyślić? Cooper, co się dzieje?

- Twój stary kumpel zmienił się w obdarzonego.

- Co?!

- Czyżbyś zapomniał o waszym uroczym wspólnym projekcie badawczym? O czarodziejskim eliksirze, który zmienia normalnych w obdarzonych? Couzen musiał go przyjąć.

Szczęka Ethana opadła nagle. Przez chwile siedział z otwartymi ustami i błędnym wzrokiem.

- Jasny gwint - szepnął, a potem uśmiechnął się szeroko. - To działa. Znaczy w testach osiągnęliśmy niesamowite wyniki, więc wiedziałem, że coś z tego będzie, ale do badań klinicznych nie doszliśmy.

- Wygląda na to, że Abe odpuścił sobie ten etap.

- Powiesz mi coś więcej o objawach? Zastanawiam się. jakich zmian fizycznych doświadcza. W jaki sposób objawia się ten dar? Zauważyłeś może...

- Doktoru.

Ethan urwał i parsknął śmiechem.

- No tak. Przepraszam. Chodzi o to, że... właśnie przeżyłem naukowy orgazm.

- Oddychaj głęboko - poradził mu Cooper, a potem westchnął i potarł oczy. - Powiem ci, jaka zmiana w nim zaszła: objawiła się cała seria darów.

- Chcesz powiedzieć, że robi szybkie postępy?

- Nie. Chcę powiedzieć, że nabył kilku niepowiązanych zdolności.

- To niemożliwe. To znaczy owszem, tak, ale u dzieci. I dlatego próby Trefferta-Downa nie przeprowadza się przed ósmym rokiem życia. Wcześniej dary są jedynie luźną skłonnością do pewnych wzorców zachowania; jednego dnia mają charakter matematyczny, a następnego czysto przestrzenny. Ale wraz z rozwojem mózgu...

- Nie słuchasz mnie. - Cooper spoglądał w okno. - Widziałem, jak w jednej chwili puls Abe'a przyspieszył dwukrotnie. To oznacza, że świadomie steruje gruczołami dokrewnymi.

- Co z tego? Mniej więcej trzynastie procent obdarzonych ma taki talent.

- Dwanaście i dwie dziesiąte procent. Ale o wiele ważniejsze jest to, że bez trudu położył czterech agentów. Sądysz, że nie wyszkolono ich specjalnie po to, żeby radzili sobie z obdarzonymi? Co więcej, jednym z nich był Bobby Quinn. Wiem, że nie było ci z nim po drodze, ale możesz mi wierzyć: on zna się na swojej robocie. Samokontrola hormonalna to za mało, ale jeśli Abe zyskał także zdolności fizjolingwistyczne, mógł błyskawicznie odczytać mowę ich ciał i przygotować serię ataków idealnie dopasowanych do pozycji każdego z nich.

- Takie dary mogą współistnieć - ocenił Ethan. - Twoje czytanie wzorców to także coś więcej niż fizyczna umiejętność. Masz podwyższoną intuicję, prawda?

- Na dworcu Abe poruszał się dokładnie tak, jak robiłaby to Shannon. Czytał ruchy tłumu, zanim nastąpiły.

- Albo po prostu znalazł sobie drogę.

- Nie było żadnej drogi, doktoru. Nie było miejsca nawet na głębszy oddech. A mimo to on prawie nie zwolnił. Na dodatek jednocześnie opracował plan zgubienia pościgu. To tak, jakby rozwiązywał równanie kwadratowe, zonglując podczas maratonu.

Ethan milczał przez krótką chwilę.

- Jeżeli masz rację...

- To moja specjalność. - Cooper westchnął ciężko. - Mam rację. Zresztą nie chodzi o samą liczbę darów, które zyskał, ale też ich moc. Ja sam mam poziom pierwszy i jestem o trzydzieści lat młodszy od niego, ale po tym, co widziałem tego ranka, wcale nie jestem pewny, czy potrafiłbym go pokonać. Możemy więc spokojnie przyjąć, że nasz poczciwy doktor Abraham Couzen osiągnął poziom zero. Bardzo chciałbym wiedzieć, w jaki sposób.

Ethan się zawahał.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Ja myślę.

Za oknem przesuwiała się panorama miasta. To był ten sam Nowy Jork, w którym bywał tak często, a jednocześnie zupełnie inny. Wszędzie dało się wyczuć niepewność, napięcie, nerwowość. Ameryka potrafiła znosić razy, ale ostatni rok był dla niej jedną wielką serią miażdżących ciosów. Bomby podłożone w marcu pod gmachem nowej giełdy papierów wartościowych zabiły ponad tysiąc osób. Nienormalni terroryści przejęli kontrolę nad Tulsa, Fresno i Cleveland - ostatnie z miast zostało doszczętnie spalono podczas zamieszek. Zniszczeniu uległ Biały Dom, a w masakrze w stanie Wyoming zginęło siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy. Nie wspominając o erozji porządku społecznego: rynki finansowe legły w gruzach, infrastruktura rozkładała się z wolna, narastała nieufność wobec rządu, a więzi społeczne nabierały brutalnego, plemiennego charakteru.

Ameryka potrafiła znieść więcej niż jeden cios, ale chwiała się w posiadach, a dowody widoczne były na każdym kroku. Na rogach ulic piętrzyły się sterty worków, wypchanych śmieciami do granic możliwości. Prywatne armie uzbrojone w broń automatyczną strzegły luksusowych apartamentowców. Billboardy reklamowały Madison Square Garden jako przystań „dla tych, którzy czują się zagrożeni”.

Cooper miał wrażenie, że nawet budynki obserwują podejrzliwie ruch na ulicach - potrzebował chwili, by zrozumieć dlaczego: tak wiele było wybitych okien. Taksówka minęła właśnie posesję, na której mieściły się siedziby kilku firm. Po szybach nie został nawet ślad, a budynki były już tylko szkieletami z osmalonych cegieł. Na stalowej bramie roletowej ktoś napisał sprayem STAC NAS NA WIĘCEJ.

Cooper wrócił myślą do białej skarpetki wisielca. *Czyżby?*

- Dobra - odezwał się Ethan. - Czysto teoretycznie, bo bez dokładnych danych trudno o pewność.

- Wal.

- Przez trzy dziesięciolecia ludzkość szukała genetycznych podstaw daru. Bezskutecznie, ponieważ dar nie jest zapisany w kodzie DNA. Przełomem w naszych badaniach było odkrycie jego epigenetycznych podstaw. Właśnie dlatego rozwiązanie tak długo nam umykało. Epigenetyka zajmuje się ekspresją genów, a nie budową samego DNA. DNA to tylko surowe składniki, lecz przecież z tych samych składników można przyrządzić rozmaite dania. Ludzki DNA to dwadzieścia jeden tysięcy genów, doprawdy sporo można z nich upichcić. Sztuka polega na tym, żeby znaleźć wśród nich przyczynę zjawiska. Abe nazwał tę koncepcję „teorią trzech ziemniaków”.

- Wspominałeś mi o niej - wtrącił Cooper. - Bardzo trudno byłoby odgadnąć, że zjedzenie trzech ziemniaków spowoduje pojawienie się daru, ale gdy już wiadomo, wystarczy zjeść trzy ziemniaki.

- Właśnie. Ale to nie wszystko. W naturze panuje bałagan, a ewolucja to ciąg przypadkowych pomyłek, mutacji, wśród których pojawia się czasem taka, która sprzyja przetrwaniu i zostaje przekazana kolejnemu pokoleniu. Niestety, podobnie wygląda sprawa z całą masą śmieci, które ruszają w drogę razem z cenną mutacją. I dlatego nasze trzy ziemniaki wyglądają raczej nieciekawie: to gruzłowate, paskudne ziemniaki. My zaś wyhodowaliśmy coś innego. Metodą wstecznej inżynierii opracowaliśmy teorię genową, która pozwala zrealizować bardzo konkretny cel.

- Stworzyliście ziemniaka doskonałego - stwierdził Cooper. - Platoński ideał ziemniaka.

Ethan wzruszył ramionami.

- To tylko teoria.
- Ale jeśli masz rację, to Abe zyskał coś więcej niż pospolity dar.

To jest najwyższa forma daru. Twój mentor potrafi teraz poruszać się jak Shannon, analizować jak Erik Epstein i planować jak John Smith.

- Ja... Tak, to możliwe.

Cooper odetchnął głęboko.

- Cóż, w takim razie chyba powinniśmy go odnaleźć?



Pięciokondygnacyjny budynek mieszkalny w dzielnicy Hell's Kitchen na Manhattanie stał przy ulicy podobnych gmachów z czerwonej cegły oraz wynędzniałych drzew.

- Właściwie nie wiem, kim ten gość jest dla Abe'a - powiedział Ethan, gdy zbliżali się do drzwi frontowych. - Może to zbyt daleki strzał?

- Gdy nic innego nie pozostaje, trzeba strzelać daleko. Chyba że przyszedł ci do głowy lepszy kandydat.

Ethan pokręcił głową.

- Abe ma hopla na punkcie prywatności. Jeśli chodzi o jego życie osobiste, to chyba nigdy nie słyszałem, by wspomniał o kimkolwiek poza Vincentem.

Drzwi były zamknięte. Cooper odszukał na liście lokatorów wpis LUCE, VINCENT i nacisnął guzik. Odpowiedzi nie było.

Cóż, zawsze można wywalić łokciem szybkę w drzwiach, a potem kopniakiem otworzyć sobie mieszkanie. Hałaśliwie, niestety. Można też...

Ethan Park pochylił się nad domofonem i wcisnął pięć guzików jednocześnie. Po chwili odezwał się głos:

- Tak?

Ethan wcisnął klawisz, żeby włączyć mikrofon.

- UPS, mam dla pana przesyłkę.
- To chyba jakiś żart. Nie ma mowy, żebym...

W tym momencie odezwał się brzęczyk i szczęknął zamek.

- Po co komu domofon, skoro zawsze znajdzie się ktoś, kto otworzy każdemu? — spytał Cooper.

- To właśnie jest Manhattan: montujesz łańcuch i trzy zasuwki w

drzwiach, a potem zaczyna ci doskwierać samotność. Kiedyś tu mieszkałem, pamiętasz? Kurier z paczką to może nie to samo co przyjaciel, ale drugie miejsce w rankingu ma zagwarantowane.

Minęli baterię skrzynek pocztowych i weszli na schody. W połowie drogi minął ich rozpędzony facet, z pewnością biegnący na spotkanie kurierowi UPS. Światło na czwartym piętrze było przyćmione, a chodnik mocno wytarty. Uchylone drzwi jednego z mieszkań odsłaniały drzazgi sterczące z ościeżnicy.

- Szlag.

Cooper skinął na Ethana i pchnął drzwi. Mieli przed sobą typowe dla Manhattanu ciasne mieszkanie: ktoś słusznego wzrostu sięgnąłby do kuchni, nie ruszając się z materaca. Mieszkanie pomalowano na gustowne kolory, a na ścianach wisiały plakaty przedstawiające muzyków. Wisiały do niedawna.

Teraz podłoga była usiana odłamkami szkła i kawałkami drewna z połamanymi ramek. Spod pociętej tapicerki na meblach wystawały kawałki gąbki. Ktoś strącił wszystko z półek, powyrzucił zawartość szuflad, podarł zasłony. Pianino było przewrócone, a smyczek od skrzypiec - wbity w abażur lampy. Gdy Cooper wszedł do pokoju, pod jego stopami zachręściły resztki rozbitych sprzętów.

- Rany - mruknął Ethan. - Myślisz, że to robota Abe'a?

Cooper obrócił się wolno, składając w całość obraz zniszczeń. Roztrzaskane talerze, podarte zasłony, zbite lustro. Podszedł do materaca i przyklęknął. Poszwa cuchnęła moczem. Na poduszce była plama krwi. dość rozległa, ale i skupiona, jakby ktoś krwawił, leżąc nieruchomo. *Albo został przyduszony. Zmuszony do obserwowania.*

- Ty zasrańcu - odezwał się męski głos. - Chyba powiedzieliśmy ci, że nie masz tu wracać...

W drzwiach stał mężczyzna o masywnej klatce piersiowej rysującej się wyraźnie pod kurtką klubu Yankees. Za nim przystało dwóch innych - jeden podobnie zbudowany, drugi niższy, za to bardziej nability.

- Coście za jedni? - spytał Yankees.

Cooper wstał, raz jeszcze bardzo uważnie potoczył wzrokiem po zniszczonym mieszkaniu, po czym wbił spojrzenie w oblicze intruza.

Wystarczył nerwowy ruch jego oczu, lekki rumieniec, nieznaczące przyspieszenie tętna - i już znał całą historię. Zmusił się do uśmiechu.

- Spokojnie - powiedział, wyjmując odznakę. - Szukamy Vincenta Luce'a. Znacie go?

- Vincenta? - Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem. - Zdawało mi się, że go znam. Musiałem słuchać, jak w kółko gra na pianinie. Dziwna muzyka, nawet ładna. Ale okazało się, że jest nienormalny. Nigdy wcześniej nie pisał o tym nawet słowem. Mieszkał sobie tu, a my nic nie wiedzieliśmy.

- A jak się dowiedzieliście?

- Ściany są tu cienkie. Przyszedł do niego jakiś starszy gość i zaczęli się kłócić, wrzeszczeć. W końcu stary powiedział prawdę, a Vincent próbował go uciszyć. Zależało mu, żeby nikt się nie dowiedział.

Cooper skinął głową, wyjął z kieszeni zmięty elastyczny tablet i rozprostował go jednym strzepnięciem. Wywołał na ekran zdjęcie Abrahama Couzena.

- To on?

- On.

- Dobra, a teraz mnie posłuchajcie. Nie przyszedłem tu, żeby zajmować się sprawą wyważonych drzwi czy potłuczonych talerzy. W końcu wszyscy tu jesteśmy normalni, nie?

Yankees skinął głową.

- Świetnie. Jesteś jego sąsiadem, kolego, a ściany są cienkie. Przyjmuję więc, że zupełnie przypadkiem podsłuchałeś, co się tu działo.

Mężczyzna uśmiechnął się z lekka, patrząc mu w oczy:

- No pewnie.

- Opowiedz mi o walce.

Yankees uśmiechnął się jakby szerzej.

- Nie nazwałbym tego walką.

- Napastnicy kopniakiem wyważyli drzwi do mieszkania Vincenta - zaczął Cooper. - Złamali mu nos. Unieruchomili go na materacu i zajęli się demolowaniem. Co dalej?

- My... Znaczący jeden z nich kazał mu się stąd wynosić i nigdy nie wracać.

-I wyniósł się?

- Tak, gdy było po wszystkim. - Mówiąc to, Yankees sugestywnie chwycił się za krocze. - Dotarło do niego.

Cooper poczuł, że wspomnienia wracają wysoką falą. Kabina w umywalni, biała porcelana zalana karmazynem. Siniaki pod oczami, złamany nos, wybite dwa palce, pęknięta śledziona. Miał dwanaście lat, mieszkał w Kalifornii w kolejnej z wielu baz wojskowych, w których służył jego ojciec. A nad nim stał ten bydlak w asyście kolegów.

Człowiek rzadko bywa w gorszej pozycji niż wtedy, gdy leży na brzuchu, pobity, złamany, kątem oka spoglądając na tych, którzy patrzą na niego z góry i rechocą.

Cooper wolniutko skinął głową.

- Bardzo dziękuję za pomoc.

- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że znajdziecie tego odszczepieńca.

Cooper zaczekał, aż trzej sąsiedzi zrobią krok w stronę wyjścia.

- A przy okazji - rzucił - to skłamałem.

-He?

- Nie wszyscy tu jesteśmy normalni. — Rozciągnął barki okrężnym ruchem i strząsnął dłonie. - Nie tak dawno we trzech pobiliście i upokorzyliście jednego obdarzonego. Przekonajmy się, czy uda wam się to po raz drugi. - Cooper umilkł, czekał, aż dotrą do nich jego słowa, po czym z uśmiechem na ustach zwrócił się do Ethana: - Bądź tak miły, doktoru, i zamknij za sobą drzwi.

...i już wracamy na antenę. Nie muszę mówić: „mam nadzieję, że zostaliście z nami”, ponieważ wiem, że zostaliście, gdyż właśnie tu możecie usłyszeć całą prawdę. Nie te liberalne banialuki, które serwują tak zwane kanały informacyjne, tylko prawdę - prosto z mostu. Sto pięćdziesiąt procent prawdy, bez cenzury, bez kolorowania, od wybrzeża do wybrzeża - tylko to, co najlepsze. Przygotujcie się na solidną dawkę, bo El Swifto jest tego ranka nieźle nabuzowany.

Minęły dwa tygodnie od tragicznych wydarzeń z pierwszego grudnia, kiedy to wrogowie próbowali zadać naszemu narodowi cios w samo serce, wykorzystując do tego naszą broń.

W odpowiedzi Ameryka... guzik zrobiła - taka jest prawda, przyjaciele, w dodatku bardzo delikatnie mówiąc, albowiem słowa, które cisną mi się na usta, nie nadają się do audycji radiowej.

Ten kraj powstał dzięki ludziom czynu. Ludziom, którzy mieli wizję i dość siły, by stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu. Taka jest Ameryka, którą kocham. Ameryka, w której już dawno zesłalibyśmy nagłą śmierć na tych z Wyomingu. W której roznieśliśmy Redutę Nowe Kanaan i zatknęlibyśmy na czubku dzidy łeb Erika Epsteina. W której jednym uderzeniem cofnęlibyśmy całą tę bandę tchórzy i dewiantów z powrotem do epoki kamiennej.

Tymczasem nasi politycy wolą załamywać ręce oraz gadać, gadać i gadać. Sfora biurokratów - oto, kim jest dziś amerykański rząd. Bez lidera, bez dowódców, bez budowniczych świata. Wystraszone dzieciaki bez jaj, niezdolne do czynu.

Taka jest dziś Ameryka, przyjaciele. Taki jest amerykański koszmar.

A teraz już pora oddać głos słuchaczom. Dzwoni do nas Dave z

Flint. Milo mi cię powitać w naszym programie, Dave.

- Ależ Swift. sir. cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję, że mówisz nam wszystkim, jak jest.

To mój obowiązek. Dave.

- Chciałbym się dowiedzieć, co mogą zrobić zwykli obywatele. Bo zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, i jestem gotów coś zrobić w sprawie nienormalnych, tylko nie mam pojęcia co.

Pozwól, że ci to wyjaśnię. Dave. Lewackie media lubią oskarżać mnie o rasizm. Mówią, że jestem nietolerancyjny, że żeruję na lękach. I podobnymi zniewagami obrzucają każdego patriotę, który ośmieli się podnieść głowę.

Ale nie powstrzymają mnie przed mówieniem prawdy, a prawda jest taka. że Redutę Nowe Kanaan w Wyomingu - która ponosi odpowiedzialność za masakrę naszych żołnierzy, za zabójstwo prezydenta i zrównanie z ziemią siedziby naszego rządu - tworzy grupa nienormalnych. Założyli ją nienormalni, finansują ją nienormalni i rządzą nią nienormalni.

Dzieci Darwina, których działania sprawiły, że mieszkańcy trzech naszych miast głodowali i omal nie spalili Cleveland do gołej ziemi, to także grupa nienormalnych.

John Smith - och, ja wiem, liberałowie uwielbiają twierdzić, że został wrobiony, ale słuchajcie, kiedy Swift mówi prawdę: to terrorysta! - też jest nienormalny.

Niektórzy twierdzą, że nie wszyscy nienormalni są źli. Być może. Niestety, trwa wojna i choć może nie wszyscy nienormalni są naszymi wrogami, to z pewnością wszyscy nasi wrogowie są nienormalnymi.

Jeśli są wśród nich ci dobrzy, prawdziwi patrioci gotowi bronić swego kraju - naszego kraju, Dave, twojego i mojego - to powiadam: w porządku, oni także są moimi braćmi.

Jestem jednak zdania, że na każdego porąbańca - oj, czuję, że dostanie mi się od FCC za takie słownictwo - przypada dziewięćdziesięciu dziewięciu porządnych, uczciwych, normalnych ludzi i nadszedł czas, abyśmy przypomnieli o sobie! Skoro nasz rząd jest zbyt słaby, zbyt miękki, zbyt mocno zamotany w układy oraz zbyt ociężały, żeby zacząć działać, to może nadeszła pora, byśmy wzięli sprawy w

swoje ręce.

Dzięki, że zadzwoniłeś, Dave. A teraz Anne-Marie z Lubbock w Teksasie...

ROZDZIAŁ TRZECI

- Może pan już wejść, sir — powiedział asystent. - Może przyniosę panu... - Urwał, gdy gdzieś w pobliżu zawyła piła tarczowa. — Może przyniosę... - zaczął znowu, kiedy umilkła, lecz w tym momencie stalowe zęby znowu wgrzyły się w drewno. Spróbował po raz trzeci, gdy tylko wycie ucichło.

- Nie, dziękuję — odpowiedział sekretarz obrony Owen Leahy, a potem wstał i wszedł do dawnego gabinetu spikera, czyli przewodniczącego Izby Reprezentantów.

Siedząca za masywnym drewnianym biurkiem Gabriela Ramirez skinęła głową na powitanie i uniosła palec, dając mu znak, aby zaczekał, aż skończy rozmawiać przez telefon.

- Rozumiem. Tak. Właśnie próbuję zorganizować dla was wsparcie. - Pauza. - Cóż. panie gubernatorze, może gdyby ogłosił pan stan wyjątkowy zaraz po pierwszym ataku Dzieci Darwina, sytuacja nie byłaby tak dramatyczna. Tak. Proszę bardzo.

Wyjęła z ucha słuchawkę i rzuciła ją na biurko.

- Pani prezydent — powiedział Leahy.

- Owen - odrzekła.

Łup, łup, łup. Z korytarza dobiegł łomot pracującej gwoździarki; drzwi w niewielkim stopniu tłumiły odgłosy remontu.

- Wybacz te hałasy. Ktoś mógłby pomyśleć, że gabinet spikera zawsze był odpowiednio zabezpieczonym miejscem, ale Secret Service najwyraźniej jest innego zdania.

W 1947 roku Kongres ustalił siedemnastostopniowy system następstwa władzy prezydenckiej w USA, lecz od tamtej pory nigdy nie doszło do zmiany innej niż przekazanie władzy w ręce wiceprezydenta. Peraz jednak, w ciągu zaledwie trzech miesięcy, prezydent został pozbawiony urzędu, a jego zastępca zamordowany. Dlatego właśnie Gabriela Ramirez, spiker Izby Reprezentantów, w trybie pilnym została prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Myślę, że Secret Service ma rację — odparł Leahy. - Powinna pani przenieść się na jakiś czas do Camp David.

- Ameryka musi wiedzieć, że rząd nadal działa.
- Ameryka potrzebuje żywego prezydenta.
- Co myślisz o wsiokach na pustyni?
- Pani prezydent, ja nie żartuję: Camp David to prawdziwa forteca...

- Pytałam o Wyoming, okolice Rawlins. Na porannej odprawie usłyszałam, że zebrało się tam już parę tysięcy ludzi.

- Mniej więcej pięć - odpowiedział Leahy. -I każdego dnia przybywają nowi. Wynajmują autobusy albo przyjeżdżają półciężarówkami, na których zamontowali stojaki pod karabiny. Obozują ponad półtora kilometra od ogrodzenia otaczającego Redutę Nowe Kanaan. To, że trąbią o tym w telewizji, nie poprawia sytuacji. Równie dobrze mogliby puszczać reklamy tej zbieraniny.

- To sami cywile?

- Zależy, jak na to spojrzeć. Są specje od przetrwania, są prawicowcy, różni ludzie. I mnóstwo byłych żołnierzy. Ale brak im struktury; to luźne, niezależne grupki. Piją piwo i wykrzykują obelgi pod adresem nienormalnych. Strzelają w powietrze.

- Nie przejmujesz się nimi.

- Tego bym nie powiedział.

- A co byś powiedział?

- Ze monitoruję sytuację.

- Świetnie. Czy możemy pogadać w marszu? Mam spotkanie z przywódcami związkowymi. — Gabriela Ramirez wstała i włożyła grafitowy żakiet, który wisiał na oparciu fotela. -Jak stoimy z degradacją sprzętu wojskowego?

- Zgodnie z planem. Po pierwszym grudnia rozbrojone zostały wszystkie głowice atomowe. Od dzisiejszego ranka mamy też dezaktywowane wszystkie pociski raketowe z wyrzutni lądowych. Te z pozostałych...

- Przepraszam, ale czy „dezaktywowane” oznacza, że Erik Epstein w żaden sposób nie zdoła ich aktywować?

- Nie zdoła, pani prezydent.

- Na pewno? Jego wirus komputerowy spowodował odpalenie pocisku, który zniszczył Biały Dom. Nikt nie sądził, że coś takiego w

ogóle jest możliwe.

Leahy miał ochotę zgrzytnąć zębami, ale się powstrzymał.

- Zostały fizycznie unieruchomione. Podobnie jak można unieruchomić samochód, wykręcając świece. Żaden komputer tego nie przeskoczy.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wzięła ostatni łyk kawy. odstawiła kubek na biurko i ruszyła w stronę drzwi. Leahy otworzył je przed nią.

- Geoff — odezwała się do asystenta - powiedz im, że już schodzę.

Odgłosy prac remontowych rozlegały się echem między polerowanymi marmurami holu, a w powietrzu unosił się pył. Dwaj agenci Secret Service natychmiast dołączyli do wychodzących i wyprzedzili ich; kolejni dwaj zamykali pochód,

- Co z okrętami?

- Ich broń dalekiego zasięgu jest już unieszkodliwiona, także na okrętach podwodnych. Co oznacza, że trudno będzie się bronić przed wrogami z zewnątrz...

- Siły powietrzne?

Leahy westchnął.

- Wstrzymano wszystkie loty poza paroma kluczowymi patrolami, a i te maszyny latają bez uzbrojenia. W całych siłach zbrojnych komunikację zdalną zastępuje się fizycznymi sieciami, wyłączają się urządzenia nawigacyjne wspierane komputerowo: wybebeszamy właściwie wszystko, co mamy nowoczesnego. Moje biuro wysłało już szczegółowy raport, ale krótko mówiąc, pani prezydent. jesteśmy na najlepszej drodze do cofnięcia naszych sił zbrojnych do roku 1910.

- I mogę być spokojna, że wykonasz tę robotę. Owen? - spytała Ramirez, spoglądając na niego z ukosa. - Mów szczerze.

- Jestem sekretarzem obrony Stanów Zjednoczonych. Całe życie spędziłem na umacnianiu potęgi wojskowej Ameryki, więc obracanie tego wszystkiego w niwecz nie sprawia mi przyjemności.

- Rozumiem. Jednakże istnieje jakiś powód, dla którego pierwszego grudnia Erik Epstein ograniczył swoje działania do ataku na

Biały Dom oraz na nasze oddziały zagrażające Nowemu Kanaan. To prawda, że jego wirus komputerowy zabił prawie osiemdziesiąt tysięcy ludzi, ale mógł zabić dziesiątki milionów. Epstein miał nad tym pełną kontrolę operacyjną. Mógł unicestwić nasze siły i puścić z dymem miasta, używając wyłącznie naszej własnej broni. Twierdzi, że tego nie zrobił, bo działał jedynie w obronie koniecznej, a ja nie chcę mu dać pretekstu do zmiany zdania.

Działał w obronie koniecznej, powtórzył w myśli Leahy. Ona o tym nie wie, ale w rzeczywistości oznacza to: działał w odpowiedzi na mój rozkaz do ataku. Mój nielegalny rozkaz.

Od 1986 roku, kiedy to po raz pierwszy dostrzeżono problem obdarzonych, Ameryka zmierzała w stronę otwartego konfliktu. Choć ci ludzie stanowili tylko jeden procent populacji, zdecydowanie górowali nad pozostałymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami. Byli półbogami w świecie śmiertelników. Bez odpowiedniego nadzoru mogli zmienić przeciętnego Amerykanina w przestarzały model człowieka - albo w niewolnika.

I dlatego, wraz z grupą podobnie myślących osób, Leahy robił wszystko, by zniwelować zagrożenie ze strony nienormalnych. W społeczeństwie zasiali ziarno strachu i buntu. Doprowadzili do powstania akademii, w których od dziecka reedukowano najbardziej obdarzonych. Po tym, jak John Smith podłożył bomby, które zniszczyły budynek giełdy, zabijając ponad tysiąc osób, udało się też przepchnąć przez parlament prawo nakazujące wszczęcie mikrochipów wszystkim obdarzonym mieszkańcom Ameryki. W miesiącach poprzedzających ataki z pierwszego grudnia Leahy nabierał z wolna przekonania, że sytuacja jest pod kontrolą. Tak niewiele brakowało.

Niestety, rola prezydenta Walkera w realizacji tych planów została ujawniona, co doprowadziło do usunięcia go z urzędu i postawienia przed sądem. Wiceprezydent Lionel Clay był poczciwym człowiekiem, ale zdecydowanie zbyt słabym, by skutecznie zastąpić swego poprzednika - jako czarny z własnym elektoratem został zgłoszony do wyborów z czysto matematycznych powodów. Wkrótce krajem wstrząsnęły kolejne zamachy terrorystyczne, a ekstremistyczna grupa obdarzonych znana jako Dzieci Darwina doprowadziła do odizolowania

trzech dużych miast. Clay tymczasem wciąż się wahał; co gorsza, omal nie dopuścił do secesji Reduty Nowe Kanaan, enklawy nienormalnych założonej przez Erika Epsteina.

Niepewność prezydenta nie pozostawiła Leahy'emu wyboru: wydał rozkaz ataku na RNK.

Decyzji tej nie podjął jednak samotnie. Całą swą karierę zawdzięczał - a lojalność poprzysiągł - Terence'owi Mitchumowi, oficjalnie będącemu postacią numer trzy w NSA. W rzeczywistości jednak Mitchum był szefem rządu cieni, jasnoookim patriotą świadomym tego, że obrona kraju wymaga zdecydowanych działań. Niestety, w chwili ataku raketowego Mitchum przebywał w Białym Domu. *Jeszcze jedna ofiara wojny, którą reszta narodu dopiero zaczyna dostrzegać.*

- W obronie koniecznej czy nie - rzekł Leahy - gdy tylko zakończymy degradację naszych sił zbrojnych do butów i bagnetów, będziemy musieli rozpocząć inwazję.

- Nie podjęłam jeszcze decyzji w tej sprawie.

- Pani prezydent, opinia publiczna...

- Doskonale wiem, że ludzie są żądni zemsty, ale idąc w tym kierunku, w pewnym momencie wkroczymy na bardzo brudną ścieżkę. Musi istnieć jakieś rozwiązanie poza ludobójstwem.

Wyszli z gmachu Longworth na South Capitol Street. Secret Service zamknęła wąską w tym miejscu ulicę, oddzielając ją od układu drogowego miasta ciężką bramą i posterunkami. Wpuszczano tu jedynie pojazdy z kolumny prezydenckiej — tego dnia były to cztery opancerzone cadillaki escalade, sześć motocykli oraz limuzyna. Poranek był chłodny i z rur wydechowych buchały kłęby pary: po niebie toczyły się nisko zawieszane, ciężkie chmury.

- Zgoda - przyznał. - Ja też nie jestem za tym, żeby zlikwidować obdarzonych, ale musimy doprowadzić do upadku Reduty Nowe Kanaan. Trzeba też w końcu zrealizować Inicjatywę Nadzoru i Monitoringu. Jeśli podpisze pani ustawę, w ciągu trzech miesięcy zachipujemy dziewięćdziesiąt pięć procent nienormalnych. Wiem, że wygląda to na nienowoczesny plan, ale zapewniam, że się sprawdzi.

- A jeśli oni się nie podporządkują? Co będzie, jeśli zdecydują się walczyć na śmierć i życie?

- W takim przypadku...

W tym momencie rozległ się huk i potężny podmuch porwał Leahy'ego w powietrze.

Zawirował nad nim szary marmur nieba, a potem beton pospieszył mu na spotkanie. Spadając, zdążył wyciągnąć ręce przed siebie i zderzył się z ulicą. Przeciągły pisk w uszach przypominał niekończący się wrzask. Otaczały go dym i ogień; zakrwawieni ludzie kuśtykali bez ładu i składu. Jedna z agentek spoglądała tępo na swój lewy bark, z którego nie zwisała już ręka. Blask płonącego wraku limuzyny oświetlał jej twarz.

Leahy odetchnął i zakaszłał. Krew trysnęła na ulicę, a wraz z nią kawałek ciała - odgryziony koniuszek języka, jego języka, wylądował na betonie.

Czyjeś silne ręce pociągnęły go w górę, postawiły na nogi. Zaczął się szarpać, próbując uwolnić łokcie z uścisku, a potem zawołał do agentów, by zaczekali, bo przecież potrzebny mu ten kawałek języka. W tym momencie jeden z cadillaców zahamował tuż przed nim i nowi agenci rzucili się, by oprzeć ramiona o jego maskę. Mierzyli w różnych kierunkach, odpowiadali ogniem - to nie był tylko zamach bombowy, to był atak - ale Leahy prawie nie słyszał wystrzałów. Agenci wepchnęli go do SUV-a i poczuł, że zderza się z kimś siedzącym na kanapie. To była ona, prezydent Ramierez. Ich ciała splątały się na chwilę, ktoś trzasnął drzwiami i huknął w nie pięścią, a wtedy szofer wcisnął gaz i wóz skoczył naprzód, wtlaczając pólężących w oparcie. Kanonada nie milkła; Leahy słyszał teraz wyraźnie pojedyncze strzały, lecz zaraz zagłuszył je głośniejszy huk. Szarpnięcie było potężne - zahaczyli o stojącą limuzynę — i natychmiast znowu przyspieszyli, zostawiając piekło wojny za oknami wozu.

Spojrzał w dół i uzmysłowił sobie, że nadal leży na pani prezydent. Odruchowo spróbował się podnieść, lecz znieruchomiał sekundę później: osłaniał ją własnym ciałem, przytulony jak kochanek. Ledwie parę centymetrów dzieliło go od jej twarzy, od szeroko rozwartych źrenic i rozciętego policzka. W nozdrzach czuł dym i jej perfumy, a w ustach smak krwi. Przyspieszali, wciąż przyspieszali. Kierowca coś powiedział, ale wizg w uszach Leahy'ego wciąż był zbyt donośny i mógł się przezeń

przebić jedynie głos w jego głowie, powtarzający monotonicznie: to twoja wina.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Luke Hammond obudził się z bezgłośnym krzykiem na ustach.

Krzyczał, bo znowu widział, jak jego synowie płoną żywcem.

Joshua spalił się w powietrzu, gdy jego myśliwiec Wyvern rozpadł się na części. W kuli ognia płuca zassały płonące paliwo, które zwęgliło ciało także od środka. Żar dopadł też Zacka, w czołgu zamienionym w stertę poskręcane metalu. Jego włosy płonęły, a bąble na skórze pękały jeden po drugim w kłębach polimerowego dymu, które przesłoniły świat.

Od dwóch tygodni widział śmierć swoich synów za każdym razem, gdy tylko przymknął powieki.

Cisza. Czterdzieści lat służby, poczynając od patroli dalekiego rozpoznania w Wietnamie. To nie były żarty, dlatego już jako dziesięcioletni potrafił budzić się w pełni świadomy i opanowany - kto budził się półprzytomny, ten ginął.

Blady blask bił w ziemię z białego nieba Wyomingu. Odkąd zginęli synowie Luke'a, fakt, że od Słońca dzieli go sto pięćdziesiąt milionów kilometrów, nabrał dla niego zupełnie nowego znaczenia. Zresztą nie chodziło o samą liczbę; raczej o to, że coś, co znaczyło dla niego wszystko, na zawsze pozostanie nieosiągalne.

- Przyjechał.

Luke usiadł i oparł dłonie o stalową blachę podłogi pick-upa. Chłodno, pomyślał, jak to w grudniu. Całe szczęście, że śniegu niewiele; śnieg by nas załatwił. Luke Hammond już od dwóch lat nie służył w armii, lecz nawyk dokonywania błyskawicznych analiz sytuacyjnych pozostał. Jeszcze niedawno za każdym razem, gdy się budził, miał w głowie raport w rodzaju: 03.17, POBUDKA Z SILNĄ POTRZEBĄ ODDANIA MOCZU.

Ale nie dziś. Ostatnio...

Raport sytuacyjny: dwaj piękni chłopcy, którzy przybiegali do ciebie z otwartymi ramionami, wołając: „W górę, w górę!” nie żyją. Owe splamione słońcem godziny popychania ich na huśtawkach i przemywania wodą utlenioną podrapanych kolan — to wszystko nie

pomogło ocalić im życia. I te godziny, gdy zasypiali w twoich ramionach, a ty, choć znużony i obolały, nie odważyłeś się nawet drgnąć, bo wiedziałeś, że tę ulotną słodycz trzeba pić aż do dna — to także im nie pomogło. Ani tysiące razy, gdy mówiłeś im, że ich kochasz — to także okazało się marną obroną.

Twoi synowie nie żyją. Spłonęli żywcem. Są sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od ciebie.

Zostałeś sam ze swymi pięćdziesięcioma dziewięcioma latami doświadczenia. Z twardym sześciopakiem na brzuchu i stopami nawykłymi do dalekich marszów. Właśnie spędziłeś noc na zimnej stalowej pace swego pick-upa, osiem kilometrów od Rawlins w stanie Wyoming, miasta, przez które powinno się co najwyżej przejechać. Otoczony tysiącami podobnie zranionych mężczyzn i kobiet, zebranych w tych stronach we wspólnym celu, którego nikt nie kwapi się nazwać.

- Przyjechał.

Luke odrzucił koce i zeskoczył na ziemię.

- Nadal przybywa ludzi? - spytał, zwracając się do żołnierza, który go obudził.

- Tak jest. Coraz szybciej.

Skinął głową, głęboko odetchnął zimnym powietrzem -*mój Josh odetchnął żywym ogniem o temperaturze tysiąca stopni* — i ruszył na spotkanie ze swym dawnym szefem.

Postawą i fizjonomią generał dywizji w stanie spoczynku Samuel Miller przypominał Luke'owi starego kowboja, może poza oczami, bo były to oczy miejskiego cwaniaka, nieustannie mierzące, ważące i analizujące świat. Generał miał na sobie mundur połowy z insygniami stosownymi do rangi - dwiema gwiazdkami na piersi - i wydawało się, że w takim stroju czuje się znacznie swobodniej niż w luźnych portkach i koszulce polo, w których Hammond widział go po raz ostatni.

- Luke - rzekł generał i podał mu rękę. a potem przyciągnął bliżej i zamknął w serdecznym uścisku. — Tak mi przykro. Josh i Zack byli zacnymi ludźmi. I dobrymi zwierzami.

- Dziękuję.

Stary druh spojrział mu w oczy.

- Trzymasz się jakoś?

- Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

Generał skinął głową.

- Racja. Głupie pytanie. Przepraszam.

- Chodźmy, panie generale. Oprowadzę pana.

Wsiadli do pick-upa, utrzymanego równie dobrze jak ciało Luke'a. Niegdyś był z niego dumny. Niegdyś myślał, że takie rzeczy mają znaczenie. Włączył ogrzewanie i ruszyli, słuchając chrobotu wyschniętej ziemi pod kołami.

- Mamy tu ponad osiem tysięcy ludzi i z każdą godziną przybywa ich coraz więcej.

Obóz powstawał w chaotyczny sposób; nowo przybyli stawiali namioty tam, gdzie się zatrzymali. A potem zbierali się luźnymi grupkami i rozmawiali, oparci o swoje samochody, albo grzali dłonie przy dymiących ogniskach. Większość nosiła karabin na ramieniu albo pistolet przy biodrze. Hammond i generał przejechali obok obozu klubu motocyklowego - pięćdziesiąt maszyn ustawiono w równiutkim szyku, a ich właściciele pili budweisera, siedząc przy szybko rosnącej stercie zgniecionych puszek. Ci, którzy zauważyli Luke'a, pozdrowili go ruchem głowy, a on odpowiedział im tym samym.

- Domyślam się, że zacząłeś już działać.

- Tak. Gadam z nimi, zmiękczam grunt, odkąd powiedział pan, że tu przyjedzie.

- Jacy są?

- Każda historia jest inna, a zarazem wszystkie takie same.

Jechali dalej, a generał starał się ogarnąć całość, obserwując części.

Członkowie ochotniczej milicji z Michigan ćwiczyli manewry w zielonym, leśnym kamuflażu, wyraźnie odznaczającym się wśród zbrązowiałych krzaków. Autobus, którym przyjechali, jeszcze niedawno woził dzieci do szkoły. Teraz z jego burty krzyczały półtorametrowe litery układające się w napis NOWI SYNOWIE WOLNOŚCI, niesiony w szponach przez pikującego orła.

Przy kolejnym ognisku krąg buraków właśnie marnował tygodniowy zapas drewna w jedno popołudnie, a Credence Clearwater

ryczał z głośnika, jakby zebrali się tu na grillu stulecia.

Jakiś mężczyzna rozbierał na części kałasznikowa: kobieta z papierosem obserwowała go w milczeniu.

Z kręgu żołnierzy — uciekinierów z jakiejś jednostki, wciąż jeszcze w mundurach - dobiegał raz po raz chrapliwy śmiech, który Luke dobrze znał. Był to śmiech, który zastępował łzy.

- Zbieranina - ocenił generał Miller.

- To prawda. Ale ludzi wciąż przybywa i potrzebne im dowództwo - odparł Hammond, nawracając. — Pokażę panu coś jeszcze.

Przez pięć minut kluczyli między namiotami, zanim dotarli do północnego skraju obozowiska. Dalej nie było już nic, poza usianą kamieniami pustynią i szarym niebem, aż do Unii odległej o ponad półtora kilometra, a wyznaczonej przez sześciometrowe ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Tam właśnie przebiegała granica Reduty Nowe Kanaan. Sześćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi, dwadzieścia cztery procent powierzchni stanu Wyoming. własność

Erika Epsteina, który zamienił ten skrawek Ameryki w coś w rodzaju Izraela dla nienormalnych. Luke wyłączył silnik.

- Z bliska wygląda to inaczej, prawda?

Teraz, gdy umilkła maszyna, słyszeli żałobny świst wiatru i wydawało im się, że dobiega z oddali.

- Nie zamierzam cię obrażać, mówiąc, że to wszystko nie wróci życia twoim synom - rzekł generał Miller. - Muszę jednak wiedzieć, czy to twoja jedyna motywacja.

- Dlaczego?

- Jest wystarczająca, żeby podążyć za innymi, ale ja chciałbym, żebyś pomógł mi dowodzić.

Luke spojrział przez okno w dal. Kolejno strzelił palcami lewej dłoni, a gdy skończył, zajął się prawą.

- W zeszłym tygodniu obudziłem się na kanapie. Poprzedniej nocy upiłem się, bo miałem nadzieję, że to mi pomoże pozbyć się snów. Niestety, zyskałem tylko tyle, że musiałem jeszcze leczyć kaca. Zasnąłem przy włączonym telewizorze, a gdy się ocknąłem, zobaczyłem poranne niedzielne wiadomości. Wie pan, te wyszczekane, gadające

głowy. Był tam taki dzieciak, dobrze ostrzyżony, w jaskrawej koszuli, z roleksem. Mówił o tym, że chyba najlepiej byłoby zgodzić się na secesję RNK. Dać im suwerenność, pogodzić się z tym. -Przez moment znowu żył tym porankiem: ból głowy, jakby zgniecionej w imadle, kapeć w ustach, krzyki Zacka w uszach i ten gówniarz w trójwymiarze. - Dopadła mnie wtedy fala... Właściwie nawet nie gniewu ani nienawiści, bardziej smutku. Żał mi było tego chłopaka, gotowego tak po prostu odpuścić, ale zaraz przyszła mi do głowy myśl o tym. jak wielu musi być podobnych ludzi. I zanim się obejrzałem, siedziałem już wozie, a potem stanąłem tu i gapiłem się na to ogrodzenie.

I nie byłem sam. - Luke odwrócił się, by spojrzeć w twarz swego dawnego szefa. - Czy jestem wściekły? Oczywiście. Czy pragnę zemsty? Jasne, do cholery. Ale tu chodzi o coś ważniejszego. Ta ziemia, tam, za płotem, to wciąż jeszcze Ameryka. A ja poświęciłem życie na to, żeby jej bronić. Nie jestem gotów pozwolić Erikowi Epsteinowi na zniszczenie jej, bez względu na to. ile miliardów ma na koncie i jaka część stanu jest jego własnością.

Generał Miller milczał przez długą chwilę, zapatrzony w szmat pustyni przedzielonej ogrodzeniem. Jego oczy jak zwykle szacowały.

- Dobra odpowiedź - odparł wreszcie.

Grał tu Elvis.
Grali tu Led Zeppelin.
Grali tu Rolling Stonesi.
Dołącz do największych gwiazd rocka.



Zależy ci tylko na tym, żeby byli bezpieczni. Czyż nie byłoby pięknie w tych niepewnych czasach, gdybyś mógł zapewnić swym najbliższym doskonałą ochronę i opiekę? Jest takie miejsce, w którym możesz zapomnieć o troskach i skupić się na tym, co naprawdę się liczy.

Mamy nadzieję, że sprawy ułożą się jak najlepiej, lecz jeśli osoba, którą kochasz, jest obdarzona i czuje się zagrożona, najwyższy czas poszukać dla niej PRZYSTAŃ.

PRZYSTAŃ

Madison Square Garden

ROZDZIAŁ PIĄTY

Twarz Natalie wypełniła ekran.

- Cholerka - powiedziała. - Miałam nadzieję, że cię zastanę, bo widzisz... Jest tu ktoś, kto bardzo chciałby się z tobą przywitać.

Cooper oglądał to nagranie już trzykrotnie, lecz mimo to znowu poczuł bezbrzeżną radość, gdy ekran błysnął plamami koloru, z których uformowało się szeroko uśmiechnięte oblicze Todda.

- Cześć, tato!

Jego chłopiec, jego piękny dziesięcioletni synek, był nie tylko żywy, ale i przytomny. Leżał w szpitalnym łóżku, z fatalną fryzurą na pamiątkę operacji.

- Nieźle się czuję - powiedział Todd. - Już prawie nie boli. A lekarze mówią, że mogę biegać, a nawet zagrać w piłkę...

- Powiedzieli: „wkrótce”, kochanie.

- Aha, mama mówiła, że go dopadłeś, że dorwałeś tego typa! To super, tato. - Jego syn przygryzł wargę. - I przepraszam, że wlałem ci w paradę. Wiem, że wszystko schrzaniłem.

Nie, Todd, mój mały druhu, niczego nie schrzaniłeś. Byłeś dzielnym dziesięciolatkiem próbującym ratować ojca przed potworem. „Schrzaniłeś” to ostatnie słowo, którego ośmieliłbym się użyć...

- Wszyscy tu są bardzo mili, ale tęsknię za domem. Mam nadzieję, że niedługo wrócimy. Kocham cię!

Na ekranie znowu pokazała się Natalie. Jego była żona wyglądała na zmęczoną.

- U nas wszystko w porządku. Erik o nas dba. Zorganizował nam łączność, chociaż teoretycznie wszystkie linie są... Cóż. Jesteśmy bezpieczni. - Odetchnęła głęboko. Wiedział, jak wiele chciała mu powiedzieć i dlaczego nie mogła. Po trosze chodziło o prywatność; jego bliscy wciąż przebywali w Nowym Kanaan i nie można było wykluczyć, że rozmowa jest podsłuchiwana. Ale wiedział, że to nie wszystko. Po raz ostatni widział się z nią tuż po tym, jak morderca Soren Johansen wbił sztylet w jego serce, a Toddowi jednym ciosem zafundował śpiączkę. Tego samego dnia Erik Epstein zniszczył Biały Dom i uśmiercił

siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy. Ameryka stanęła wówczas nad przepaścią. Cooper wiedział, że Natalie chciałaby zrozumieć, co to może oznaczać - dla niego, dla nich, dla ich dzieci.

Wreszcie się zdecydowała:

- Uważaj na siebie, Nick.

Zniekształcony obraz zamarł, gdy przerwała nagrywanie.

Próbowała skontaktować się z nim w czasie, gdy ścigał Abe'a Couzена na dworcu Grand Central. *Jeszcze jeden dobry powód, żeby dać w mordę panu doktorowi.* Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy Cooper rozmawiał ze swoją rodziną, i choć próbował codziennie, od tamtej pory ani razu nie udało mu się nawiązać kontaktu. W wiadomościach można było usłyszeć, że to вина RNK, że to Epstein zerwał łączność z resztą Ameryki, lecz Cooper podejrzewał, że jest wręcz odwrotnie. Jeżeli rząd planował atak na Redutę, odizolowanie przeciwnika wydawało się kluczowym krokiem w tej kampanii serc i umysłów.

Na wszelki wypadek spróbował oddzwonić.

- Przepraszamy - odpowiedział mu nagrany głos. - Połączenie nie może być zrealizowane z powodu kłopotów technicznych z siecią. Proszę spróbować później.

Ponowne wybieranie.

- Przepraszamy. Połączenie...

Ponowne wybieranie.

- Przepraszamy...

Cooper przerwał połączenie, wsunął telefon do kieszeni i wyobraził sobie, jak Abe Couzen umiera w płomieniach. Był to kojący obraz.

- Twoja była? - spytał Ethan. żując kęs gyrosu.

- Tak. Natalie.

- Dogaduje się jakoś z Shannon?

- Co masz na myśli?

- No, wiesz: była żona, obecna dziewczyna.

Obecna dziewczyna. Cooper sięgnął myślą do ostatniego spotkania z Shannon, sprzed dwóch tygodni. Właśnie miał zginąć w strzelaninie, jeden z żołnierzy Johna Smitha miał go jak na widelcu. Gdy świsnęły kule. Cooper był przekonany, że skończą w jego ciele, lecz odwrócił się i ujrzał Shannon, która zjawiała się nie wiadomo skąd, z pistoletem

maszynowym na ramieniu. Uśmiechnęła się krzywo, jak to miała w zwyczaju, i powiedziała tylko „Cześć”.

Problem w tym, że już pół godziny później trzeba było się pożegnać. I tak to właśnie bywało między nimi, żołnierzami w wojnie cieni, próbującymi przetrwać gdzieś na krawędzi życia. W teorii brzmiało to dość romantycznie, ale rzeczywistość była piekielnie trudna. Dziewczyna była bystra, seksowna i niezwykle zdolna, a razem tworzyli niesamowity zespół - tyle że w gruncie rzeczy niewiele czasu spędzili razem. Zawsze pojawiał się jakiś powód, dla którego jedno z nich musiało zniknąć — kolejna tajna misja, kolejna beznadziejna walka. I wszystko wskazywało na to, że niewielkie są szanse na zmianę tego stanu rzeczy.

- To skomplikowana sprawa — odparł.
- Domyślam się.
- Masz jakieś wieści od Amy? — spytał, by zmienić temat.

Ethan otarł usta i skinął głową. Jego ruchy zdradzały znużenie i przygnębienie.

- Nadal jest u swojej mamy, w Chicago. Mówi, że tam też jest dość dziwnie, ale jakoś sobie radzą. Przysłała mi zdjęcie Violet. - Naukowiec podał Cooperowi swój telefon.

Dziewczynka była słodka, tak jak słodkie bywają niemowlęta. Cooper dobrze pamiętał swoją córkę w tym wieku. Kate była tak drobna i lekka, że mógł ułożyć ją sobie na przedramieniu - co zresztą często robił - i zagadywać, podczas gdy drugą ręką szykował śniadanie w słonecznej kuchni, którą dzielił niegdyś z Natalie. Nazywali Kate „niespodzianką”, nigdy „wpadką”. Jej narodziny sprawiły, że jeszcze przez jakiś czas bardziej się starali, lecz mimo wysiłków oddalali się od siebie. Mniej więcej w okolicy pierwszych urodzin Kate doszli wspólnie do wniosku, że lepiej będzie rozstać się ciepło, niż pozostać w związku i doprowadzić go do ruiny.

- Piękna. - Cooper zwrócił Ethanowi smartfona i rozciągnął palce. Bolały go stawy, a linia blizny po ciosie nożem, który rozplątał mu dłoń na dwoje, paliła żywym ogniem. Rozcięte tkanki spojono w tej samej podziemnej klinice, w której naprawiono mu serce, gdy zabił go Soren. Owszem, ręka bolała chwilami jak wszyscy diabli, a serce czasem

jeszcze gubiło rytm, ale swój powrót do zdrowia Cooper uważał za cud. *Tyle wypada oddać Erikowi Epsteinowi.*

- Jak się czujesz?
- Wystarczająco dobrze, żeby pracować dla rządu.
- Zabawne. - Ethan zmiął w dłoni folię aluminiową, w której trzymał kanapkę, i cisnął ją do kosza na śmieci. - Dość ostro ich potraktowałeś. Mówię o facetach w mieszkaniu Vincenta.
- Pobili go, zniszczyli cały jego dobytek, wreszcie odlali się na niego - a wszystko dlatego, że jest nienormalny. - Cooper pokręcił głową.
- Nie lubię takich bydlaków, doktoru.

Stali przed bramą na tyle długo, że zaczął czuć pod kurtką chłód, a kawa była słaba i kwaśna. W oknie budynku po drugiej stronie ulicy, krytego szarym kamieniem, migotały kolejno bożonarodzeniowe lampki, rzucając na przemian czerwoną i zieloną poświatę na papierowe płatki śniegu. Dziwna wydała się Cooperowi myśl o tym, że komuś chciało się szukać ozdób na dnie szafy, ciąć taśmę klejącą i wbijać pinezki. Świat kręcił się jak dawniej, nawet jeśli się rozpadał.

- Jak ty to robisz? - spytał Ethan, a raczej wyrwało mu się pytanie, którego rozsądek nie pozwalał mu zadać.
- Co takiego?
- To. - Ethan wykonał gest, który miał symbolizować „wszystko”. - Ja nie widziałem Amy i Vi ledwie od dwóch tygodni, a już szaleję z tęsknoty. Chciałbym przytulić moje dziewczyny. Chciałbym wrócić do pracy. Chciałbym ugotować coś fantastycznego i pospać we własnym łóżku. Jak możesz żyć w taki sposób?
- Ktoś musi ocalić świat.
- Wciąż to powtarzasz. - Ethan umilkł na moment. - Co będzie, jeśli nie zdołamy odnaleźć Abe'a?
- Musimy.
- Tak, ale nie wszystko zależy od nas, prawda? Chociaż mam nadzieję, że sprawy, jak zawsze, same się jakoś ułożą.

Cooper rozumiał go doskonale. Jeszcze rok temu pewnie byłby podobnego zdania: że mimo wszelkich trosk i napięć zawsze jest nadzieja. Że system działa, a sama cywilizacja ma pewną masę i pęd, pewną bezwładność, która ją ochroni.

I że choć świata trzeba bronić, nie może być tak kruchy, że zwyczajnie się rozpadnie.

Rok temu tak właśnie by mówił. Teraz jednak mógł tylko wytrzymać spojrzenie Ethana i milczeć.

- No dobra - mruknął Ethan. - Wiemy, że Abe tu jest. Wiemy, że ma dar poziomu pierwszego. I że ściga go DAR.

- I to właśnie jest jego problem. — Cooper pociągnął łyk paskudnej kawy. - Nie bez powodu symbolem Departamentu jest oko. Nawet teraz, gdy środki, które Bobby Quinn ma do dyspozycji, znacząco się skurczyły, nadal może korzystać z kamer monitoringu, dronów stacji informacyjnych, kamer nadzorujących ruch uliczny. To oznacza setki obiektów w każdym kwartale. Trudno jest ukryć się przed DAR na Manhattanie.

- Możemy to jakoś wykorzystać? Może za pośrednictwem tej koleżanki, która rano dała ci cynk w sprawie Abe'a?

- Nie. Dzięki Valerie nadal jesteśmy w grze, ale nie mogę jej prosić o to, żeby grała przeciwko własnej drużynie. Zresztą nawet gdyby to zrobiła, byłibyśmy w najlepszym razie w tym samym miejscu co oni, a nam trzeba wyprzedzić DAR.

- Jak?

- Na przykład wykorzystując osobiste związki. Ty znasz Abe'a, a oni nie. Nie wiedzą na przykład o Vincencie. Znajdziemy go.

Ethan zamyślił się, spoglądając na cień chmur sunący po szklanych ścianach wieżowców i słuchając stłumionego grzechotu wagonów metra przetaczających się gdzieś pod sąsiednią ulicą.

- Nie wyobrażam sobie, żeby miał wrócić do mieszkania. Może spróbuje wyrwać się z miasta?

- Może. Ale nie byłoby to łatwe. - Odkąd Epstein udowodnił, że potrafi rozbić dowolny środek transportu korzystający z komputera, uziemiono wszystkie loty komercyjne. Między innymi dlatego tak wielu było chętnych do podróżowania koleją. Choć może jeszcze ważniejszym powodem było powszechne przecucie, że kiedy zacznie się otwarty konflikt - a najpewniej się zacznie - duże miasta staną się bardzo niebezpiecznymi miejscami.

- Może ma samochód...

- Nie. Zawodowi pianiści, nawet ci najlepsi, nie zarabiają wystarczająco dużo, żeby było ich stać na utrzymanie samochodu w tym mieście. - Miło było znowu rozpracowywać problem. Cooper miał wrażenie, że minęły wieki, a przecież niespełna rok temu polował na swoich, pracując w najbardziej tajnym oddziale DAR. Łatwo przyszło mu wrócić do tamtego sposobu myślenia.

Sąsiedzi Vincenta, rasistowskie gnoje, na pewno nie pozwolili mu spakować walizki; być może musiał uciekać na wet bez portfela. Niewykluczone, że tuła się po ulicach bez środków do życia.

Odwiedzi przyjaciela? Może kiedyś. Ale w tej chwili nie jest gotowy, by komukolwiek zaufać.

*Jest przerażony, nie ma pieniędzy, czuje się osaczony. Szuka...
Schronienia.*

Cooper wstał, dopił kawę, zmiął kubek i cisnął go do kubła.

- Idziemy.

Tylko raz w życiu był w Madison Square Garden, kilka lat wcześniej, na meczu Knicksów. Wchodził wtedy do hali przez rozświetlone przeszklone lobby, w tłumie mniej więcej dwudziestu tysięcy kibiców. Tym razem skorzystali z bocznego wejścia, na co dzień zapewne służącego głównie pracownikom - strzegły go stare stalowe drzwi osadzone w najmniej efektownej ścianie gmachu. Na ulicy stała przyczepa z tablicą świetlną reklamującą MADISON SQUARE GARDEN -PRYZYSTAŃ DLA UCHODŹCÓW, z dopiskiem WITAMY WSZYSTKICH UZDOLNIONYCH. Dwaj żołnierze w aktywnym kamuflażu gawędzili przy drzwiach; cyfrowe obrazy wyświetlane na tkaninie ich mundurów zmieniały się przy każdym ruchu.

- Panowie - odezwał się jeden z nich, gdy Cooper otwierał drzwi - proszę przygotować dokumenty do kontroli.

Znaleźli się w przedsionku, w którym urządzono posterunek. Kamery obserwowały każdy kąt, a przy skanerze i taśmociągu z urządzeniem rentgenowskim czuwali kolejni żołnierze. Znużona matka trzymała w ramionach sześciolletnią dziewczynkę, a jej mąż właśnie dyskutował z urodziwą kobietą w cywilnym ubraniu.

- Nic z tego nie rozumiem - mówił. - Zdawało mi się, że to miejsce dla rodzin.

- To prawda - odpowiedziała kobieta. - Ale ze względów bezpieczeństwa uzdolnionych członków rodzin kwaterujemy osobno.

- Nie zostawię tu żony i córki.

- To tylko kwestia przydziału łóżek. Nadal będą państwo razem.

- Skoro kwaterujemy osobno, to jakim cudem...

- Skarbie. - Żona musnęła jego ramię. - Nie mamy wyboru. Wolisz zostać w domu i czekać, aż ktoś wyważy drzwi i wywlecze cię na ulicę?

Dziewczynka w jej ramionach wystraszyła się na te słowa.

- Kto chce zabrać tatusia?

- Nikt, kochanie - odpowiedział mężczyzna. - Nikt - powtórzył, gładząc ją po główce. Zdaniem Coopera jego wściekłość i bezradność były bliskie poziomowi krytycznego, gdy odpowiadał urzędnicze: — Zgoda.

- Proszę tędy. - Urodziwa kobieta odwróciła się w stronę Coopera. — Witamy w Przystani. Chciałby pan znaleźć u nas schronienie?

- Nie. — Cooper otworzył portfel. Na zdjęciu w legitymacji był zupełnie innym człowiekiem, człowiekiem, który wiedział, że walczy w słusznej sprawie, a nie tylko miał nadzieję. Że stoi po właściwej stronie. Że dokonuje trudnych wyborów w imię wyższego dobra. Że jest ucieleśnieniem owego heroizmu, który w filmach wyciskał mu z oczu łzy - tych chwil poświęcenia przy wtórze pompatycznej muzyki i wiary bohatera, że oto jest sprawa, za którą warto zginąć - oraz najlepszych żołnierskich wzorców, którymi karmił się od dzieciństwa.

COOPER NICHOLAS J.

AGENT SPECJALNY

DEPARTAMENT ANALIZ I REAGOWANIA DZIAŁ SŁUŻB

OBYWATELSKICH

Obok legitymacji trzymał w portfelu odznakę - logo wpisane w symbol wszechwidzącego oka DAR. W zasadzie nie był w czynnej służbie; uważał się za agenta rządowego na dłuższym urlopie. Rozważał oficjalne rozstanie z Departamentem, gdy przyjmował posadę specjalnego doradcy prezydenta Claya, ale nie był pewny, czy zechce pozostać w polityce na dłużej.

Oto i niedopowiedzenie roku.

Kobieta przyjrzała się legitymacji.

- Witamy, sir - powiedziała, wręczając im obu plastikowe identyfikatory. - Proszę trzymać je przy sobie przez cały czas; zapewniają pełny dostęp do Przystani. Jeżeli są panowie uzbrojeni, prosimy o pozostawienie broni w depozycie.

- Dlaczego?

- Na wszelki wypadek. Mamy tu kilka tysięcy obdarzonych i nie chcemy żadnych incydentów.

Cooper trawił jej słowa przez chwilę.

- Nie jesteśmy uzbrojeni. Ale może mogłaby pani pomóc mi znaleźć jednego z... mieszkańców. Nazywa się Vincent Luce.

Wprowadziła dane, używając ukrytej klawiatury.

- Sekcja C, rząd szósty, pokój ósmy. Windą na czwarte piętro i dalej korytarzem w stronę środkowego wejścia.

Z identyfikatorami w dłoniach minęli posterunek ochrony. Żołnierze właśnie badali czujnikami skromne trzy torby nowo przybyłej rodziny. Pewnie niełatwo było je spakować. Jak można zdecydować, którą część swego życia porzucić? Cooper skinął głową, czując na sobie spojrzenie ojca rodziny. Mężczyzna nie zareagował.

Weszli do otwartej kabiny windy. Gdy zasunęły się drzwi.

Ethan rzekł:

- Nie rozumiem tego.

- Czego?

- Za nic w świecie nie przyprowadziłbym tu swojej rodziny.

- Nie? - Cooper wcisnął guzik z czwórką. — Próbowaliście w środku nocy wymknąć się z Cleveland, otoczonego kordonem wojskowym. Mimo to twierdzisz, że nie przyprowadziłyś rodziny w

ciepłe, bezpieczne miejsce, gdyby była taka możliwość?

- Nie próbowaliśmy, tylko wymknęliśmy się. A ciepłym, bezpiecznym miejscem można nazwać każde więzienie.

- Więzienie? Daj spokój.

- Pomyśl tylko, jak szybko się z tym uwinęli. Minęło ledwie parę dni od ataku, a już mają gotowy nocleg dla tysięcy ludzi, ochronę, nawet kampanię reklamową. Ktoś to zaplanował znacznie wcześniej.

- I co?

- Jak sądzisz, jakie są szanse na to, że ktoś to zrobił z dobroci serca?

Otworzyły się drzwi windy i wyszli na nagą betonową posadzkę holu. Surowymi korytarzami wielkiej hali widowiskowej snuli się żołnierze i cywile; pod sufitem biegły wiązki kabli, w niszach parkowały wózki widłowe, a w powietrzu czuć było lekki smród moczu.

- Skoro już mowa o mieszkańcach tego przybytku i o tym, co dla nich najlepsze — odezwał się Cooper. — Vincent to dosłownie nasz jedyny trop, a chcemy go skłonić do tego, żeby zdradził Abe'a. Nie wiemy, ile dla niego znaczy twój były szef, więc nie możemy wykluczyć, że nie będzie chętny do współpracy.

- Spoko - odpowiedział Ethan tekstem wprost z marnego kryminału. - Innymi słowy: być może trzeba będzie pograć ostro, pokazać mu mniej przyjemny koniec kombinerek.

- Mówię tylko, że będzie musiał nam pomóc, kropka.

- Zaraz, Ty nie żartujesz, prawda? - Ethan zatrzymał się w pół kroku. - Daj spokój. Gadasz, jakbyś służył w Gestapo.

Być może tkwiły w nim resztki wściekłości po tym, co zdarzyło się rano. Może dość miał uporą, z jakim świat dążył do samozniszczenia. a może rozdrażnił go odór moczu unoszący się w korytarzu. A może po prostu był zmęczony obolały i cholernie dawno nie widział swoich dzieci. Tak czy owak. gniew wezbrał w nim nagle i gwałtownie: Cooper bez namysłu obrócił się na pięcie i przyparł Ethana do muru. Naukowiec krzyknął, zaskoczony.

- Mam serdecznie dosyć - wycedził Cooper - porównywania mnie do gestapowców. - Cichy głos w jego głowie powtarzał: „Spokojnie, tylko spokojnie”, ale inny próbował go zagłuszyć, przypominając mu, że

miał dwie okazje do zabicia Johna Smitha, że przyczynił się do obalenia jednego prezydenta i zawiódł drugiego i że choć bardzo się starał o to, by uczynić świat lepszym dla swych dzieci, najprawdopodobniej zdołał jedynie przyspieszyć jego upadek. - Ameryka jest w stanie wojny, ponieważ nie zachowałem się jak gestapowiec. Siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy zginęło, ponieważ nie zachowałem się jak gestapowiec. I ten chłopak został zlinczowany. ponieważ nie zachowałem się jak gestapowiec.

Dopiero gdy wypowiadał te słowa, uzmysłowił sobie, co to ak naprawdę go gryzło: wspomnienie martwego nastolatka w jednym bucie. To był rzeczywisty powód, dla którego rankiem pobił do nieprzytomności trzech ludzi. I dlatego jego mięśnie zareagowały teraz szybciej niż umysł. Zmusił się do głębokiego oddechu. Gdy zobaczył strach w oczach Ethana. wściekłość opuściła go równie nagle, jak się pojawiła.

- Przepraszam - powiedział, zwalniając uścisk. - Po prostu mam dość ludzi, którzy nigdy nie musieli podejmować trudnych decyzji, a wmawiają mi, że jestem potworem.

Ethan przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Otworzył usta i znowu je zamknął.

- Soren zabiłby moją rodzinę - odezwał się wreszcie. - Ocaliłeś moją żonę i córkę. Może nie zawsze się zgadzamy, ale nigdy nawet nie pomyślę, że jesteś potworem.

Cooper skinął głową i ruszył dalej.

- Co najwyżej, że masz mały problem z temperamentem.

Cooper spodziewał się, że ujrzy falujący tysięczny tłum: wyobrażał sobie gwar rozmów, krzyki dzieci, a może nawet głośne śmiechy. Tymczasem po wielkiej scenie kręciło się może sto osowiałych osób szepczących coś z rzadka i wbijających wzrok w posadzkę. Pilnowało ich

kilkudziesięciu uzbrojonych żołnierzy. Przypominało to wszystko obrazek z więziennego dziedzińca albo z wybiegu w zoo.

Usunięto siedzenia z widowni otaczającej scenę ze wszystkich stron, a na ich miejscu ustawiono schodkowo prefabrykowane klatki podobne do klocków LEGO ciągnące się warstwami w górę i niknące w ciemności. W olbrzymiej hali panowała przygnębiająca cisza i tym bardziej wąło pobrzmiwały stłumione głosy dobiegające z areny.

Ktoś to zaplanował znacznie wcześniej, rozbrzmiały w głowie Coopera słowa Ethana. Jak sądzisz, jakie są szanse na to, że ktoś to zrobił z dobroci serca?

U podnóża schodów Sekcji C stał młody żołnierz z podbródkiem usianym pryszczami. Przyjrzał się identyfikatorom nowo przybyłych, po czym spytał:

- Otworzyć panu któryś kontener?
- Trzymacie tych ludzi pod kluczem?
- Tak jest. Dla bezpieczeństwa.

Cooper spojrział na niego z ukosa.

- C-6-8 - powiedział.

Wartownik ruszył bez słowa, a Cooper podążył za nim. jedną ręką sunąc po wytartej poręczy. Czując w nozdrzach zapach starego piwa, liczył. *Siedem w jednym rzędzie, dwadzieścia rzędów w sektorze, dwadzieścia sektorów - prawie trzy tysiące. Trzy tysiące klatek.*

Klatek dla ludzi takich jak ty.

Gdy dotarli do kontenera, w którym ulokowano Vincenta. wartownik przesunął swoją kartę przez czytnik, wziął do rąk karabin i zawołał:

- C-6-8! Wchodzę!

Cooper powstrzymał go, gdy sięgnął do klamki.

- Sam to zrobię.
- Na pewno?
- Na pewno.

Cooper zaczekał, aż żołnierz się oddali, nim otworzył drzwi.

Prefabrykowana komórka miała może metr dwadzieścia szerokości i dwa i pół metra długości - miała powierzchnię niedużej garderoby albo arkusza sklejk. Nie było w niej okien, a miejsca starczyło ledwie na

pryczę i chemiczną toaletę, której smród przenikał powietrze. Mężczyzna leżący na posłaniu miał rysy aktora z reklamy whisky, choć siniak pod okiem i złamany nos poważnie zaszkodziły jego urodzie.

- Nie jesteś wartownikiem - zauważył Vincent Luce, nie odrywając wzroku od fluorescencyjnej lampy.

- Nazywam się Nick Cooper. Musimy porozmawiać.

- O czym?

Cooper skinął głową w stronę drzwi.

- Nie chcesz się przewietrzyć, Vincent?

Najbardziej zacisznym miejscem, które udało im się znaleźć, była kabina sprawozdawców, wokół której dawniej rozmieszczone były kamery relacjonujące mecze Knicksów. Vincent oparł się o zewnętrzną ścianę, wpatrzony w arenę zamienioną w więzienie. W szklanej tafli odbijała się jego skancerowana twarz.

- To tu poddajecie wybrańców torturom wodnym? Bo muszę z góry uprzedzić, że nic nie wiem o tajnych planach nienormalnych.

- Chcę z tobą porozmawiać o doktorze Abrahamie Cou-zenie.

- Żartujesz? - Nienormalny obrócił się gwałtownie, z ogniem w oczach. — Nie do wiary.

Cooper chciał mu wytłumaczyć, o co chodzi, ale powstrzymał się. *Nie, to nie była postawa obronna.*

- Najpierw zdradził mnie przed tymi faszystowskimi zasrańcami, moimi sąsiadami, którzy... - Vincent urwał w pół zdania. - Potem ze strachu podjąłem głupią decyzję, że tu przyjdę, a on nagle chce mnie ratować? Chrzanić Abe'a. Wolę tu zostać, niż zawdzięczać mu wolność.

- Sądziłem... — Cooper umilkł. Czegoś tu nie rozumiał; czegoś bardzo oczywistego.

- Ze co? Jego zdaniem to ma być romantyczny gest?

Ach.

Cooper zerknął kątem oka na Ethana, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: *Hej, dla mnie to też nowość.*

- Zatem ty i Abe... jesteście parą?

- Zerwaliśmy ze sobą rok temu. Ale czy wcześniej naprawdę byliśmy parą? Żeby być razem, trzeba się wzajemnie szanować, a on nigdy nie widział we mnie osoby. Byłem raczej jego fetyszem.

- To znaczy? - Cooper przyciągnął bliżej krzesło na kółkach i usiadł.

- On lubi porąbańców - wyjaśnił Vincent. - Nigdy nie kręciła go moja osoba, a jedynie mój dar. Przyjrzyj się jego pracy. Mógł stworzyć lekarstwo na raka. a tymczasem poświęca całą energię na szukanie cudownego środka, który zmieni normalnych w obdarzonych.

- Zaraz - wtrącił Ethan. - Mówił ci o naszych badaniach? Vincent przechylił głowę i rytmicznie zabębnił długimi, smukłymi palcami w szybę.

- Jesteś Ethan Park.

- No... tak.

- Wiele o tobie słyszałem. Tak wiele, że prawie byłem zazdrosny.

- Ja... Ja też. O tobie.

Vincent uśmiechnął się chłodno.

- Wątpię. Abe nie rozmawiał o sprawach, które go nie interesowały. Ale ty byłeś jego złotym chłopcem. Wspominał, że twoja praca o sekwencjach telomerowych była przełomowa. Ponoć między innymi dzięki niej już wie, jak to jest być bogiem. Dupek.

- Kiedy o tym mówił?

- Przedwczoraj, gdy pokazywał mi swoje laboratorium.

- Co?! - zawołali jednocześnie Cooper i Ethan. - Swoje laboratorium?

- Aha. — Vincent spojrzał na nich uważnie. - Dopiero teraz na to wpadłem: Abe was tu nie przysłał: wy go ścigacie.

Cooper zastanawiał się przez sekundę, czy nie skłaniać.

- Opowiesz mi o tym laboratorium?

- To dlatego go szukacie? Chodzi o jego pracę?

- Tak.

- Zamierzacie go skrzywdzić?

- Nie.

- A jeśli wam powiem - indagował niespiesznie mężczyzna - to pomożecie mi się stąd wydostać?

- Daję słowo.

Vincent spojrzał na Ethana.

- Można mu zaufać?

- Tak - odparł bez wahania naukowiec i mimo wszystko Cooper musiał przyznać w duchu, że dobrze się z tym poczuł.

Zza szyby dobiegł stłumiony dźwięk brzęczyka. Ludzie wałęsający się po scenie zareagowali nań jak na kopniaka: rzucili się, by w pośpiechu uformować szeregi, a potem, ze spuszczoneymi głowami i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, karnie ruszyli w stronę swoich klitek.

- Dla większości słuchaczy moja muzyka jest zbyt wyrafinowana - rzekł Vincent, przyglądając się tej scenie - ale Abe uwielbiał patrzeć, jak gram. Zawsze prosił, żebym zagrał podwójne solo, jednoczesne solówki obiema rękami. - Umilkł i pokręcił głową. - Zdawało mi się, że lubił te dźwięki, ale nie o to mu chodziło. Po prostu chciał popatrzeć, jak działa mój dar. - Vincent odwrócił się ku Cooperowi i Ethanowi. - Jego laboratorium mieści się w południowym Bronksie. przy Bay Avenue. Gadał w kółko o tym, jaka to wielka tajemnica, jak po cichu kierował pieniądze na budowę, żeby nawet Ethan się nie dowiedział. Nie pamiętam adresu, ale to parterowy budynek z cegły, bez okien, naprzeciwko złomowiska.

Wyjął z kieszeni i strzepnięciem rozprostował tablet, a potem wywołał na nim mapę. Ulica biegła w pobliżu rzeki; miała może osiemset metrów długości. Poczul znowu tę dawną pewność, że cel jest tuż-tuż.

- Co zamierzacie z nim zrobić?

Nie odrywając wzroku od planu miasta. Cooper odparł:

- Sam widziałeś, jak fatalnie rozwija się sytuacja. Grozi nam wojna albo coś jeszcze gorszego. Praca Abe a może temu zapobiec.

-Jak?

- Wyrównując szanse.

- A skutki uboczne was nie martwią?

Cooper spojrział najpierw na Ethana. a potem na Vincenta.

- Skutki uboczne?

Panie senatorze, z całym szacunkiem, to nie jest kwestia uziemienia samolotów i odłączenia pocisków rakietowych. System, który dostarcza wodę do pańskiego domu, jest sterowany komputerowo. Podobnie jak system odprowadzający ścieki. Sieć elektryczna jest w pełni zależna od komputerów. Lokalna, regionalna, ogólnokrajowa i globalna łączność. Szyby naftowe. Telewizja. Światła kierujące ruchem. Automaty z artykułami spożywczymi. Transport żywności. Chłodnie. Elektroniczne zamki. Opieka medyczna. Limuzyna, którą pan przyjechał. Zegarek, na który właśnie pan zerka. Nie ma takiego aspektu życia współczesnego człowieka, którym do pewnego stopnia nie sterują komputery.

Kiedy więc zadaje pan pytanie, czego nam potrzeba, by zagwarantować, że nie powtórzy się pierwszy grudnia, mogę panu udzielić tylko jednej odpowiedzi: niech pan kupi karabin i przeprowadzi się do jaskini.

- „CYBER-CARYCA” FBI, GISELA BRACQ

PODCZAS WYSTĄPIENIA PRZED SENATEM

STANÓW ZJEDNOCZONYCH

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zwykle lubiła podróżować pociągiem. Być może chodziło o intrygujący dysonans między pozornie nieruchomym wagonem a rozmażanym światem za szybą. Było w nim coś pocieszającego, a może i symbolicznego - dostrzegała podobieństwo do stylu życia, jaki sobie wybrała. Lecz tego dnia Shannon nie miała czasu na takie rozważania: skupiała myśli na jednym ze swych najdawniejszych przyjaciół. Zastanawiała się, czy będzie w stanie odebrać mu życie.

Od ponad tygodnia przebywała w Reducie, podlewając sztuczną roślinkę na parapecie i spoglądając przez okno mieszkania, w którym tak rzadko bywała, gdy Erik poprosił, by się z nim spotkała. Ona mieszkała w Newton, a on w Tesli, lecz nikt nie zwleka, gdy takie życzenie wyraża najbogatszy człowiek świata, i dlatego wskoczyła do szybowca i spotkała się z nim jeszcze tego samego popołudnia.

Pomysł, który jej przedstawił, był intrygujący.

Nie, kochana. Wiadomość, że twój ulubiony pisarz wydał nową książkę, byłaby intrygująca. Wizyta w nieznannej restauracji bywa intrygująca. Uśmiech Nicka, gdy zastrzeliłaś faceta trzymającego go na muszce, też był intrygujący.

Ale to... To coś zgoła innego.

- Statystyki niekorzystne — oznajmił jej Epstein. — Osiemdziesiąt trzy i siedem dziesiątych procent: ryzyko niepowodzenia podczas próby schwytania Johna Smitha żywcem. Siedemdziesiąt siedem i trzy dziesiąte procent: ryzyko niepowodzenia podczas próby zabicia go. Sześćdziesiąt pięć i jedna dziesiąta procenta: prawdopodobieństwo odwrotnego scenariusza, czyli twojej śmierci podczas próby zabójstwa.

- Wiesz, że jesteście z Johnem bardzo podobni? - odpowiedziała mu Shannon.

- Zaprzeczam. Matryce naszych osobowości są skrajnie odmienne i...

- Być może - wpadła mu w słowo. — Ale jedno was łączy: obaj jesteście beznadziejni w zachęcaniu mnie do wykonania roboty.

Dopiero drugi raz miała okazję rozmawiać z Erikiem -z

prawdziwym Erikiem, a nie jego bratem Jakobem, który był oficjalną, publiczną twarzą Erika. Pierwszy raz zdarzył się przed dziewięcioma dniami, gdy przywiozła mu odurzonego i połamanego Sorena Johansena. Poprosił ją o to Cooper, wierząc, że Soren może się jeszcze przydać jako narzędzie nacisku albo źródło informacji na temat Smitha. Shannon nie była pewna, czy to realne, ale teraz poważnie się nad tym zastanawiała.

Tak czy owak, Erik nie zareagował na przytyk, tylko jakby się przygarbił. Na jego twarzy odbijał się blask hologramów wyświetlanych w powietrzu wokół nich: wykresu topograficznego obrazującego zależność cen tusz wieprzowych od kolejnych aktów terroryzmu, nagrania z gwałtownej burzy na Morzu Południowochińskim, map wektorowych ilustrujących trajektorie pocisków wystrzelonych z rozmaitych broni, przyspieszone zdjęcia mchu porastającego coraz wyżej pień drzewa, reporterskie zdjęcia płonącej limuzyny - tak, to był wóz pani Ramirez, nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych; czy to nie znamienne, że pierwsza kobieta na tym stanowisku omal nie zginęła zaledwie dwa tygodnie po złożeniu przysięgi? Podziemne sanktuarium Erika Epsteina przypominało bardziej planetarium niż biuro. Shannon starała się zachować obojętność, ale trudno było nie czuć przytłoczenia szalonym potokiem danych wizualnych.

- Dlaczego sądzisz, że zgodzę się wykonać zadanie, które niemal na pewno skończy się dla mnie śmiercią?

- Sytuacja jest coraz bardziej płynna - odparł Epstein głosem dziwnie przypominającym jęk frustracji. - Wzorce działania zależą od danych wejściowych, a te zmieniają się zbyt szybko, nie da się ich sortować, przeglądać, uściślać. Ze statystycznego punktu widzenia atak na Redutę jest niemal pewny.

- I sądzisz, że można temu zapobiec, oddając Johna Smitha w ręce władz?

- Zapobiec? Nie. Opóźnić.

Odetchnęła przez zaciśnięte zęby, spoglądając na schemat wagonu, który wyświetlił się przed nią.

- John będzie wiedział, że już nie stoję po jego stronie. Dlaczego w ogóle miałyby się zgodzić na spotkanie

- Pokusa. Duża stawka.

- Jaka znowu stawka?
- Połączenie sił. Ja. Ty. My wszyscy. Razem.

Istotnie, to mogłoby go skusić. John był ucieleśnieniem rewolucji; o tym, jak bardzo skutecznie ją prowadził, świadczyła gówniana kondycja świata. Ale o ileż efektywniej mógłby działać, gdyby stanął za nim Epstein?

- Nie jestem pewna, czy chcę to zrobić. Co innego próbować udaremnić jego plany, a co innego po prostu go zabić.
- Najlepiej schwytać.
- Żeby oddać go ludziom, którzy go zabiją.
- Dotychczasowe subtelności sytuacji straciły znaczenie. Istnieją tylko dwie postawy: za wojną i przeciwko wojnie. Nawet brak wyboru stron jest równoznaczny z wyborem.

Z takimi faktami nie umiała dyskutować - i dlatego znalazła się właśnie tu, w wagonie magnetycznego pociągu LRT, którego linia okrężała Teslę, mknącego bezdźwięcznie i bez najmniejszych wibracji, tak że jedynym dowodem ruchu był rozmazany obraz miasta za szybą. Spoglądając nań, Shannon zastanawiała się, co to właściwie oznacza, że John pragnie wojny. Był najwybitniejszym umysłem strategicznym świata człowiekiem planującym swoje posunięcia nie na pięć kroków, lecz na pięć lat naprzód. Skoro chciał wojny, musiał być głęboko przekonany, że ją wygra.

I nie była to zbyt przyjemna myśl. Zwykli ludzie mieli nad obdarzonymi przewagę liczebną dziewięćdziesiąt dziewięć do jednego. Jeśli nienormalni chcieli zwyciężyć w wojnie, musieli przelać ocean krwi.

Skup się, Shan. Przewaga nie jest po twojej stronie. Nie pozwalaj sobie na dekoncentrację.

Nie wiesz, czy twój as w rękawie na pewno jest asem. Nie wiesz nawet, czy w ogóle go masz.

A John powinien wsiąść do pociągu na następnej stacji.

Zazwyczaj, gdy wyruszała z nową misją, dzień wydawał jej się nieco barwniejszy, a powietrze miało słodszy smak. Tym razem zżerały ją nerwy.

Pociąg wśliznął się bezgłośnie na peron dworca Ashbury. Garstka

pasażerów wysiadła, inni zajęli ich miejsca. Jak zawsze w środku dnia, wagon był niemal pełny. Shannon oparła stopę o siedzisko naprzeciwko i dyskretnymi ruchami głowy dawała zainteresowanym znak, że jest zajęta. Jednocześnie uważnie obserwowała wsiadających. Dwoje nastolatków flirtowało. Młoda kobieta mruczała kojąco do noworodka. Obok starszej pani drzemiącej z dziwnie przekrzywioną głową przeszedł mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Nisko opuszczone rondo zasłaniało jego twarz, ale budową ciała przypominał Johna. Shannon rozprostowała palce, gotowa wcielić się w rolę, ale nieznajomy minął ją obojętnie. *Cholera.*

Gdy znowu spojrzała na przeciwległe siedzenie, ujrzała na nim chłopaka. Miał może szesnaście lat i patrzył jej prosto w oczy. Shannon wciąż opierała but o siedzisko, a on usiadł okrakiem.

Cwaniaczek.

— Słuchaj no, miło mi, ale czekam tu na kogoś — powiedziała.

Nie odpowiedział, za to w jego dłoni pojawił się, niewiadomo skąd, tablet. Chłopak bez słowa odwrócił ekran w jej stronę.

Była rozczarowana. *No jasne. Cóż, i tak szanse były niewielkie.* Wzięła tablet do ręki w chwili, gdy pojawił się na nim obraz.

- Cześć, Shannon - powiedział John Smith z ekranu. -Muszę przyznać, że jestem zawiedziony.

- Ty jesteś zawiedziony? Ja przynajmniej przyszedłam na spotkanie, a ty? Gdzie jesteś?

- Nie ma mnie w Nowym Kanaan - odparł. -I chyba nawet nieźle się składa, bo widzę, że znalazłaś sobie nowych przyjaciół. Naliczyłem sześciu najlepszych agentów Epsteina, licząc razem z tym gościem w kapeluszu, który wydał ci się podobny do mnie. Zapewne przypadkowo jadą tym pociągiem do pracy?

- Mają mnie chronić — odpowiedziała. - Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać...

- Przestań - przerwał jej. - Przecież to ja.

Odetchnęła głęboko.

- Dobra.

- Chwilkę sobie porozmawiamy, ale najpierw musisz coś zobaczyć. Colin?

Chłopak z przeciwległego siedzenia poruszył się z niewiarygodną szybkością i wyjął z kieszeni niewielki przedmiot. Na jego otwartej dłoni ujrzała mały cylinder z guzikiem na szczycie. Poczwała skurcz żołądka.

- Szkoda czasu, więc od razu odpowiem na twoje myśli. Nie, nie potrafisz poruszać się szybciej niż Colin. Nie zdołasz się też przemieścić tak, żeby nie zauważył. Jest bardzo, ale to bardzo uzdolniony. Masz rację, skanery na stacjach LRT Potrafią wykrywać konwencjonalne materiały wybuchowe, zatem nie, Colin nie mógł wnieść takiego ładunku do wagonu. I właśnie dlatego pół godziny temu wstrzyknął sobie porcję detonowanych radiowo nanobotów wybuchowych. Pojedyncze mają niewielką siłę rażenia, ale mają zdolność samoorganizacji i gdy stworzą odpowiednią strukturę w ciele nosiciela, potrafią nieźle namieszać. Wybuch rozniósłby większą część tego wagonu.

Shannon spojrzała na zapadnięte policzki Colina, na jego rozgorączkowane oczy, na pot perlący się na jego skroniach i szyi.

— Dlaczego?

— Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Przecież tak długo działaliśmy razem.

— Nie było mi łatwo. Ale w przeciwieństwie do ciebie ja nie chcę wojny.

— Ja nie chcę wojny, Shannon: ja ją prowadzę.

— Po co więc tracisz czas na rozmowę ze mną?

John z ekranu westchnął.

— Bo istnieje nikła szansa, że mówiłaś prawdę w sprawie oferty Epsteina. Pomyślałem, że może zmienił zdanie; zrozumiał, że stoimy po tej samej stronie. W końcu istnieją tylko dwie: obdarzeni i normalni. Cała reszta to zasłony dymne, a świat już wkrótce przekona się, że mój punkt widzenia jest słuszny.

— Chciałeś powiedzieć: zmusisz go, żeby się przekonał.

— Nikt nie ma stuprocentowej pewności co do przyczyny wyginięcia neandertalczyków - odparł John. — Niektórzy uczeni twierdzą, że to wina klimatu, inni wskazują na konflikt z *Homo sapiens*, a jeszcze inni uważają, że nie wystarczyło pożywienia dla obu gatunków. Sam nie wiem, jaki był powód, ale fakt jest taki, że przetrwał na tej

planecie gatunek, który był lepiej przystosowany. To takie proste. Uzdolnieni to nowy porządek świata, Shannon. Konflikt jest nieunikniony. Ja tylko przyspieszam bieg spraw. I gwarantuję nam zwycięstwo.

— Uroczą lekcja historii — odpowiedziała. — Ale jak dotąd zdołałeś jedynie zwrócić przeciwko nam resztę świata. Zostaniemy zmiażdżeni, John.

Zaśmiał się.

- Nie sądzę.

Patrzyła na swego przyjaciela i przez lata wiernego towarzysza broni. Człowieka, dla którego walczyła i zabijała -w czasach, gdy jeszcze wierzyła, że zależy mu jedynie na równych prawach dla wszystkich. Człowieka, który latami unikał pojmania, choć był najbardziej poszukiwanym człowiekiem Ameryki, a na dodatek zdołał w ukryciu stworzyć potężną armię rewolucyjną. *Człowieka, który w czternastym roku życia pokonał w symultanie trzech arcymistrzów szachowych.*

Zdenerwowanie towarzyszyło jej od początku. Teraz poczuła także strach - i to nie o siebie.

- Tak czy owak, przykro mi, że tak się sprawy ułożyły. Nie lubię zabijać obdarzonych, a ciebie uważam za przyjaciółkę. Niestety, znalazłaś się po przeciwnej stronie i jesteś niebezpieczna.

Shannon poczuła drżenie rąk; jej puls gwałtownie przyspieszył. Spojrzała na Colina.

- Nie rób tego. Jesteś ledwie chłopcem, nie...

- Jest świętym wojownikiem - wpadł jej w słowo Smith -gotowym poświęcić się dla wielkiej sprawy.

Na ustach Colina nie pojawił się uśmiech, ale widać było, że pochwała przywódcy napełniła go wewnętrznym blaskiem, a może nawet rozpałała do białości: na jego twarzy pojawiły się krople potu, z oczu popłynęły łzy, a jego kciuk zadrżał na guziku detonatora. Shannon wiedziała, że on naprawdę chce to zrobić. Wierzył, że podąża za prorokiem, i była to wiara przepełniona młodzieńczą pewnością.

- John, są tu cywile — powiedziała, starając się nie podnosić głosu. Gdyby ktoś usłyszał tę rozmowę i wpadł w panikę, Colin

niewątpliwie nacisnąłby guzik. - Niewinni. W sąsiednim rzędzie siedzi kobieta z małym dzieckiem.

- Powtarzam: to jest wojna. Nie obędzie się bez rozlewu krwi. Jak możesz tego nie rozumieć?

On nie blefuje.

Pora sprawdzić, czy as w moim rękawie jest coś wart.

- Rozumiem, John. I muszę ci coś pokazać. — Bardzo wolno, świadoma nerwowego drżenia kciuka Colina, wyjęła z kieszeni tablet i włączyła go. Odwróciła go tak, by John mógł zobaczyć nagranie.

Pustawa, biała sala, sterylna i zbyt jasna.

Taca ze lśniącyymi narzędziami: skalpelami, kombinerkami, drutami.

Stół, do którego przypięto człowieka.

- Soren? — odezwał się z niedowierzaniem John.

- Myślałeś, że nie żyje, prawda? Podobno jego czas zerowy wynosi jedenaście i dwie dziesiąte. Dla niego każda sekunda bólu oznacza jedenaście sekund. Wyobrażasz to sobie?

Milczeli przez długą chwilę, a gdy John wreszcie się odezwał, mówił z trudem.

- Myliłem się. Nie jestem rozczarowany. Jestem zde gustowany. To zagrywka poniżej twojego poziomu.

- Zgoda. Ale to nie ja tak działałam. To ty.

Shannon siedziała nieruchomo, ale każda komórka jej ciała zdawała się krzyczeć. Czowała smród własnego potu. Życie wszystkich pasażerów pociągu zależało teraz od dwóch spraw: od tego, jak bardzo zależy Johnowi na przyjaciółach, oraz od tego, na ile wyceniał jej życie.

- Uwolnicie go?

Parsknęła śmiechem.

- Wykluczone. Ale jak zauważyłeś, nie spotkała go żadna krzywda, oczywiście nie licząc tego, że Nick skopał mu dupę. Epstein go połatał i traktuje bardzo humanitarnie. Może więc powiesz Colinowi, żeby schował ten detonator i wysiadł z pociągu, żeby wszyscy mogli w spokoju pójść swoją drogą?

Z twarzy Smitha nie można było nic wyczytać, ale wyobrażała sobie, jakie kalkulacje przeprowadza teraz jego umysł. Ważył

potencjalne zyski i straty. Nie wątpiła, że gdyby uznał, iż można na tym skorzystać, bez wahania skazałby Sorena na męki i poświęcił życie wszystkich pasażerów. Pejzaż za oknami zaczął zwalniać. Zbliżali się do kolejnej stacji.

Jeżeli odpali ładunek tutaj, zginie jeszcze więcej ludzi.

- John - powiedziała - ja nie jestem aż tak ważna.

Niemowlak z sąsiedniego rzędu siedzeń zaczął kwilić.

- W porządku. Colin, dobrze się spisałeś. Wsiądź. Jeżeli ktokolwiek spróbuje cię zatrzymać, wysadź pociąg.

Chłopak sprawiał wrażenie zawiedzionego, ale posłusznie schował rękę do kieszeni i powstał żwawo. Gdy pociąg zatrzymał się przy peronie, zniknął w tłumie zmierzającym ku drzwiom.

- Źle cię oceniłem, Shannon. Jak się czujesz, mając brudne ręce?

- Paskudnie - przyznała. - Ale będę się pocieszać myślą, że udało mi się ocalić życie tym wszystkim ludziom - dodała i przerwała połączenie, zanim zdążył odpowiedzieć.

A potem ukryła twarz w dłoniach.

Nie mam żadnych informacji na ten temat. Zajmujemy się wyłącznie zwalczaniem przestępczości.

- JARRETT EVANS, KOMISARZ POLICJI W BIRMINGHAM
W ALABAMIE,

W ODPOWIEDZI NA ZARZUTY, JAKOBY PODLEGLI MU
FUNKCJONARIUSZE POLICJI

PO SŁUŻBIE PORWALI I UŚMIERCILI TRZECH
OBDARZONYCH.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bay Avenue była zbiorem nieciekawych hal magazynowych, lekkiej zabudowy przemysłowej oraz garaży i warsztatów samochodowych. Paletę barw zdominowały tam brązy i szarości, a w powietrzu unosiła się subtelna woń ryb. Gdy zimowe słońce przebiło się przez wąską szczelinę w chmurach, jego promienie rozjarzyły na moment resztki powybijanych szyb we wrakach samochodów zgromadzonych na złomowisku.

Budynek należący do Abe'a Couzena był niski i paskudny. Nie było na nim ani szyldu, ani nawet skrzynki pocztowej, a w miejscu tradycyjnego zamka zamontowano czytnik linii papilarnych. Miejsce wyglądało dokładnie tak, jak opisał je Vincent.

Problem polegał na tym, że drzwi były otwarte.

- Trzymaj się za mną — rozkazał Cooper.

Ethan usłuchał skwapliwie.

Jeśli nie liczyć warkotu silnika ciężarówki, która właśnie podjeżdżała do rampy odległej może o pięćdziesiąt metrów, w okolicy panowała cisza. Mimo to trudno było wyobrazić sobie pozytywne okoliczności, które mogłyby zmusić uczonego do opuszczenia tajnego laboratorium i pozostawienia otwartych drzwi.

Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Cooper pchnął drzwi do końca. Blask słońca miał odcień słabej herbaty i niewiele szczegółów wydobył z półmroku wnętrza. Stąpając ostrożnie, Cooper wszedł do laboratorium.

Z głębi pomieszczenia dobiegał cichy pomruk, a powietrze pachniało środkiem dezynfekcyjnym. Cooper spojrzął na baterię włączników naściennych i po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że lepiej będzie coś widzieć, niż dać się zaskoczyć. Sięgnął do przełącznika i tuby jarzeniówek ożyły z dyskretnym bzyczeniem.

Na stołach roboczych ujrzał wirówki, sensory i mnóstwo aparatury, której przeznaczenia mógł się jedynie domyślać. Na hakach wisiały rzędem, niczym bezwładne ciała, hermetyczne skafandry. Pośrodku pomieszczenia leżał przewrócony stół, a wokół niego rozrzucone w

nieładzie przyrządy i lśniące drobiny potłuczonego szkła. Przez blat biegła lśniąca, karmazynowa smuga, jakby ktoś maznął po nim olbrzymim pędzlem. Na posadzce, obok chłodziarki z nierdzewnej stali, leżały zakrwawiona koszula i bluza z kapturem.

Doktora Abrahama Couzena nie było.

Cooper przycisnął palec do ust i skinął na Ethana, każąc mu zostać, a sam ruszył w stronę przeciwległej ściany. Za pierwszymi drzwiami ujrzał niewielką łazienkę. Na zbiorniku spłuczki leżała w połowie zużyta rolka papieru toaletowego, a na półce nad umywalką pasta do zębów, szczoteczka, jednorazowa maszynka do golenia oraz puszka pianki. W sąsiednim pokoju urządzono prymitywną sypialnię w rozmiarze niewiele większym od garderoby, wyposażoną w wojskowe składane łóżko. W środku nie było nikogo; nie było też miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć.

Psiakrew.

Stojąc pośrodku głównego pomieszczenia laboratorium, Ethan dotknął palcem bryzgu krwi - była świeża, mokra i lśniąca. Cooper pochylił się nad porzuconą odzieżą. Obok bluzy znalazł kanapkę z szynką i serem, na tanim białym chlebie. Była nadgryziona. Ruszył w stronę baterii serwerów, gdy nagle do jego uszu dotarł warkot silnika ciężarówki.

Idioto, jak mogłeś to przeoczyć!

— Nie rób żadnych głupstw, doktorze — zdążył rzucić pośpiesznie do Ethana, zanim przez drzwi frontowe z wrzaskiem wpadli do środka intruzi.

Ich ciała chroniły pancerze, a na głowach nosili kaski podobne do motocyklowych. Lufy ich karabinów szturmowych kreśliły w powietrzu groźne linie, tańcząc z zegarmistrzowską precyzją. Cooper wiedział, że to po części zasługa niekończących się godzin szkolenia, a po części pożytek z posiadania wyświatlaczy przeziernych, w czasie rzeczywistym ukazujących każdemu z funkcjonariuszy pozycję wszystkich towarzyszy, obraz z kamer (także termowizyjnych), stan uzbrojenia...

- Ręce za głowę! Prędej, prędzej!

Bardzo powoli zaplótł palce za głowę.

- Na kolana! Już, już!

Uśluhał.

Ciężarówka cały czas manewrowała, myślał, a jej kierowca był zdecydowanie zbyt dobrze zbudowany i zbyt czujny.

Drużyna Beztwarzowych, najbardziej elitarnej jednostki taktycznej DAR. Ciekawe, czy to oni zabili Abe'a.

Ciekawe, czy ja będę następny.

Dowódca był ubrany tak samo jak jego ludzie, ale zamiast karabinu szturmowego trzymał w ręku pistolet. Stał przed Cooperem i spojrział na niego z góry; wykrzywiony obraz laboratorium odbijał się w jego przyłbicy.

- Niespodzianka!

Nawet przetworzony przez głośniki jego głos brzmiał znajomo. Cooper pokręcił głową i odpowiedział:

- Cześć, partnerze.

Bobby Quinn uniósł rękę na wysokość ucha i wcisnął guzik. Przyłbica uniosła się, ukazując jego wilczy uśmiech.

- Czołem, Coop. Nadal próbujesz ratować świat?

- Jak zawsze.

-I jak idzie?

- Jak zawsze.

Quinn zerknął na klęczącego obok, bardzo bladego Ethana Parka, po czym zwrócił się do swoich ludzi:

- To nasi. Zabezpieczyć teren.

Beztwarzowi natychmiast zabrali się do roboty, a Cooper podał Bobby'emu rękę i pozwolił, by przyjaciel pomógł mu powstać z kolan.

- Jak twoje jaja?

- W proszku. - Quinn rozejrzał się po zdemolowanym laboratorium. - To twoja robota?

- Nie, tak to wyglądało, gdy przyszliśmy. Od dawna obserwowaliście to miejsce?

- Nie obserwowaliśmy.

- W takim razie jakim... - Cooper urwał, widząc, że Quinn uśmiecha się jak kocur, który złapał kanarka. - Psiakrew. Śledziliście nas.

- Dopiero od dzisiejszego ranka. Wcześniej nawet nie

wiedziałem, że jesteś w mieście. Ale gdy zobaczyłem, jak rzucasz się w pogoń za Couzenem, pomyślałem: „Bobby, chłopie, możesz albo uganiać się za duchami ile wlezie, albo posiedzieć sobie tu, masując obolały nabiął, i zaczekać, aż Coop wykona za ciebie tę robotę”. LNO, mój drogi. LNO.

- Linia najmniejszego oporu - odpowiedział automatycznie Cooper. - Miło cię znowu widzieć.

- Wzajemnie. Co oczywiście nie oznacza, że ci nie nakopię do dupy. Doktorze Park, może pan już wstać.

Ethan podniósł się i podszedł nieufnie.

- Agencie Quinn.

- Pańską dupę skopię ponad wszelką wątpliwość.

- Przykro mi, że uciekłem, ale musiałem chronić rodzinę.

- Fantastycznie. Gdzie pański szef?

Ethan wzruszył ramionami.

- Budynek i okolica są czyste, sir — zameldował jeden z Beztwarzowych, stając przed dowódcą. - Ani śladu celu.

Quinn skinął głową.

- Zamknąć drzwi i zniknąć z ulicy. Nie chcemy spłoszyć Couzena, jeśli tu wróci. A tymczasem zajmijcie się laboratorium. konfiskujemy grały: aparaturę, terminale, wszystko, do ostatniej serwetki.

- Zaraz, przecież nie możecie...

- Doktorze Park, z dobrego serca radzę panu zmienić ton. Ethan zaczerpnął tchu i uniósł otwarte dłonie.

- Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że nie można tak po prostu wynieść sprzętu. Ustawienia zostaną wyzerowane, jeśli odetnie się zasilanie, a przecież nie możemy ich stracić.

Quinn wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby.

- W porządku. Właśnie został pan wcielony do służby: proszę pomóc moim ludziom w zabezpieczeniu aparatury.

Ethan spojrział na Coopera, który w milczeniu skinął głową

Naukowiec oddalił się w pośpiechu, wołając:

- Zaraz, proszę tego nie dotykać...

Quinn zdjął hełm i włożył go pod pachę.

- Co z Toddem?
- Obudził się. Lekarze mówią, że nie ma trwałych uszkodzeń.
- Rany, to fantastycznie! Gdzie zostawiłeś rodzinę?
- W Tesli.

Quinn spochmurniał.

- Są w Reducie? W takim razie co tu robisz?
- Nie mam wyboru. Dzieło Couzena to jedyna szansa na

powstrzymanie wojny.

- Sir. - Żołnierz, który do nich podszedł, otworzył przyłbicę i Cooper nie pierwszy raz pomyślał o tym, jak młodzi są w większości jego dawni towarzysze broni. - Wszystko wyczyszczone. W serwerach nie znaleźliśmy dysków, a ustawienia aparatury były skasowane.

- Jakież notatki?

- Nie, sir, ale udało nam się wejść do systemu monitoringu. - Funkcjonariusz zawahał się. - Nie wydaje mi się, żeby cel miał tu jeszcze wrócić.

Quinn znieruchomiał na chwilę, a potem obrócił się na pięcie i ruszył w stronę jednego z terminali. Cooper podążył za nim.

Na nagraniu z monitoringu laboratorium wyglądało nader schludnie - stół roboczy stał na swoim miejscu, a aparatura była w doskonałym stanie. Licznik w rogu ekranu wskazywał, że obraz został zarejestrowany zaledwie pół godziny wcześniej. Doktor Couzen wpadł nagle do salki, w biegu zdejmując mokre od krwi ubranie. Wyglądał na wyczerpanego i tak bardzo skupił się na wyjmowaniu kanapki z lodówki, że nie zauważył, iż nie jest sam.

Co zresztą nie miało zbyt wielkiego znaczenia.

- Jasna dupa - mruknął Quinn, nie odrywając wzroku od ekranu. — To przecież...

Z sypialni wyszedł John Smith w towarzystwie mężczyzny i kobiety, których Cooper natychmiast rozpoznał. I nic dziwnego: gdy jeszcze służył w DAR, oboje byli usilnie poszukiwani, z opcją zabicia na miejscu. Haruto Yamato i Charly Herr. Obdarzeni, poziom pierwszy, ścigani za niezliczone akty terroru i zabójstwa.

Abe wreszcie musiał coś usłyszeć, bo obrócił się gwałtownie. Przez ułamek sekundy czworo ludzi mierzyło się wzrokiem. Nagle Abe upuścił

kanapkę i rzucił się sprintem w stronę drzwi. Pokonał połowę dystansu, nim w kadrze pojawił się muskularny mężczyzna, który zastąpił mu drogę.

- Tego nie znam.

- Paul York - powiedział Quinn, śledząc akcję na ekranie.

-Podkładał bomby w punktach werbunkowych w Kalifornii.

Troje groźnych terrorystów, nie licząc samego Smitha. Spore siły jak na spotkanie z jednym niemłodym naukowcem.

Zaraz potem w głowie Coopera zaświtała inna myśl: *Smith zawsze kalkuluje, zanim coś zrobi.*

Troje przeciwników było coraz bliżej. Abe, ze swą zapadniętą pierśią i starczymi plamami na skórze, wyglądał przy nich raczej niegroźnie.

Ale tylko do chwili, gdy nagle pchnął jeden ze stołów roboczych z tak wielką siłą, że masywny mebel uniósł się na kilkanaście centymetrów i z impetem uderzył w Herr. Nie przerywając płynnego ruchu, uczony chwycił przelatujący skalpel, zakręcił się w miejscu i ciął głęboko, prosto w pierś Yorka. Karmazynowa struga bryznęła na blat, podłogę i najbliższą ścianę. Siłacz cofnął się chwiejnym krokiem, a tymczasem Abe zwrócił się ku Yamato, który zdążył uskoczyć przed padającym stołem i przyjął postawę bojową. Azjata miał zamknięte oczy, lecz jego ręce z oszałamiającą prędkością układały się do bloków i kontrataków, gdy doktor Couzen rzucił się nań z furją...

John Smith uniósł smukły pistolet i nacisnął spust. Abe odruchowo przycisnął dłoń do szyi, by dotknąć niepozornej strzałki, która utkwiała w skórze.

A potem upadł.

Napastnicy bez słowa zabrali się do pracy. York spryskał ranę na swej pierśsi pianką w sprayu, a Yamato związał Couzena. Charly Herr odgarnęła włosy do tyłu i zajęła się komputerami: otwierała je jeden po drugim, wyciągała nośniki danych. Tymczasem John Smith stał pośrodku laboratorium, obracając się niespiesznie. Gdy dostrzegł pierwszą z kamer, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Przez chwilę patrzył prosto w oczy Coopera, oddalony w czasie, ale nie w przestrzeni.

A potem przesłał mu całusa.

Przez jakiś czas Cooper nie mógł ani się odezwać, ani nawet oddychać. Trzęsły mu się ręce, a szum w uszach wydawał się głośniejszy od tego, który towarzyszy czasem podwyższonemu ciśnieniu krwi. Ruszył ku drzwiom jak w transie, z którego wyrwało go pytanie Quinna:

- Dokąd...?

- Przecznicę dalej jest bar.

Cooper naturalnie nie wierzył, że dawka bourbona może mu pomóc. I jak dotąd tak właśnie było, lecz doszedł do wniosku, że może trzeba się w tej kwestii wykazać cnotą konsekwencji. Pił więc, a Quinn siedział obok niego, sącząc wodę sodową i zazdrośnie spoglądając na jego szklankę.

- Co teraz?

- Teraz zamówię dolewkę — odparł Cooper. Przełknął ostatni łyk i skinął szklanką na barmana.

- Chodziło mi...

- Wiem, o co ci chodziło. — W blasku neonówek widać było kurz na butelkach. Cooper potarł zmęczone oczy. - Trzy tygodnie temu mieliśmy Johna Smitha na widelcu, ale postanowiliśmy „postąpić właściwie”. Powinienem był go zabić.

- Trzy tygodnie temu wszystko wyglądało inaczej. Dziwny jest ten świat, co?

- Zabawny. - W milczeniu patrzyli, jak barman napełnia szklankę. Cooper odczekał jeszcze chwilę, aż zostali sami, i wtedy skosztował bourbona. - Jak zamierzasz rozegrać sprawę Smitha?

- Nie zamierzam.

- Pozwolisz mu się wymknąć?

- Cały świat stoi w ogniu, a wody do gaszenia brakuje. -Quinn wzruszył ramionami. - Smith wymyka się nam od siedmiu lat. Nie mam powodu wierzyć, że tym razem będzie inaczej. Poza tym on już nie jest priorytetem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Quinn spojrzał na Coopera zdziwiony.

- Oglądałeś może wiadomości? Słyszałeś, że wyleciał w powietrze spory biały budynek?

- Erik Epstein nie stanowi problemu, podobnie jak jego Reduta

Nowe Kanaan.

- Wielu zabitych nie zgodziłoby się z tobą w tej kwestii.

- To był akt samoobrony - stwierdził Cooper. - Gdy gnębi cię klasowy byczek, wymiana ciosów nie wystarczy. Musisz położyć go na łopatki i skopać jak wszyscy diabli, żeby wszyscy zobaczyli, że kto cię zaatakuję, musi się liczyć z konsekwencjami.

- Zatem w tej przypowieści to Ameryka jest klasowym byczkiem? - odrzekł sztywno Quinn.

- Ja tylko mówię, że Epstein się *pohamował*. A nie musiał. Mógł wydać rozkaz ataku raketowego na wszystkie nasze bazy wojskowe, zasypać kraj bombami atomowymi. Wykazał się sporą wstrzemięźliwością.

Kłykcie dłoni Quinna zaciśniętej na szklance zbieleły. Milczał przez długi czas, a gdy wreszcie przemówił, jego głos nie brzmiał przyjaźnie.

- Jakoś nie umiem dostrzec tego odcienia szarości. Mój dawny partner też by nie potrafił.

To była prawda. Dawny Cooper byłby gotów wybić zęby dzisiejszemu. *No proszę, ile się może zmienić w ciągu jednego roku.*

- Nigdy nie byłeś w RNK — powiedział cicho. - Wszystkim się wydaje, że to siedlisko armii gwałcicieli i poganiaczy niewolników. A tak naprawdę to tylko dzieciaki. Bobby. Banda genialnych dzieciaków próbujących stworzyć na pustyni nowy świat, bo starego zwyczajnie się boją. I słusznie się boją. Pamiętasz?

Quinn miał już gotową ripostę, ale to ostatnie słowo zaskoczyło go i Cooper dostrzegł, że jego przyjaciel wraca myślą do spraw, o których dowiedzieli się razem: do nadużyć władzy, których dopuścili się ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo obywateli. Prezydent kazał zamordować swoich rodaków: ktoś z rządu doprowadził do eksplozji w gmachu giełdy papierów wartościowych i obarczył winą Johna Smitha: ktos postanowił, że wszystkim nienormalnym wszczepi się mikrochipy; w rządowych akademiach poddawano dzieci brutalnemu praniu mózgow. Czynów tych dopuścili się normalni ludzie, ale nie dlatego, że byli z natury źli. lecz dlatego, że się bali.

- Może masz rację - przyznał Quinn. - Ale to oni nas zaatakowali.

To oni zabili naszego prezydenta, naszych żołnierzy.

- Wbrew temu, co sugeruje ostatnie półwiecze amerykańskiej polityki, „dawalili nam, więc im oddamy” to żadna strategia wojskowa. Uczono mnie, że sukcesem może się zakończyć jedynie wojna, w której toczy się bój o wymierne cele. A jaki widzisz cel w tej sprawie? Chciałbym, żeby ktoś mi to wreszcie wyjaśnił. I co będzie naszym zwycięstwem? Zrównanie z ziemią stanu Wyoming? Wymordowanie wszystkich uzdolnionych?

Jego partner westchnął ciężko. Sięgnął po szklankę z wodą.

- Chrzańć to - mruknął, po czym skinął na barmana. -Dla mnie to samo - rzucił. - Dobra, spróbujmy. Powiedz mi, dlaczego powinienem ścigać Smitha.

- Przez wzgląd na Couzena. Wiesz już, że przyjął ten swój lek? Przemienił się w obdarzonego.

- Domyśliłem się rano - odparł Quinn. - Tylko w ten sposób da się wyjaśnić to, jak z nami walczył. Ale co z tego?

- Według teorii Ethana, serum wynalezione przez Abe'a nie tylko zmienia zwykłego człowieka w uzdolnionego. Zmienia go w uzdolnionego najwyższego poziomu, z pełnym spektrum darów.

- Sądzisz więc, że Smith chce je zdobyć dla siebie? Ze wypije czarodziejski eliksir, kupi sobie pelerynę i stanie się superczarnym charakterem?

- Nie - odparł Cooper. - Ethan uważa, że lek nie będzie miał wpływu na obdarzonych. Podobno chodzi o ich istniejącą już strukturę epigenetyczną. Próbował mi to objaśnić, ale jakoś tak oczy mi zachodziły mgłą. W każdym razie serum działa tylko na normalnych.

- W takim razie o co chodzi? - Quinn pokręcił głową. -Agencja uważa, że usunięcie bariery między normalnymi a uzdolnionymi nie podwyższy napięcia między nimi, tylko je złagodzi. Bo skoro każdy będzie mógł stać się obdarzonym, mniej będzie powodów do strachu. A przecież nie takie są plany Smitha. Może chciałby po prostu zniszczyć serum?

- Nie ma mowy. Pojawił się tu osobiście; coś takiego mógł zrobić tylko z jednego powodu; najwyraźniej uważa, że zwycięstwo jest bliskie, a Couzen jest kluczowym elementem jego planu.

- W jakim sensie?

Cooper westchnął i potarł oczy.

- Tego nie wiem.

- Nie wiesz.

- *Jeszcze* nie wiem. Ale wiem, że mam rację. Taki jest John Smith; on nie obstawia w ciemno, on planuje. W dziedzinie strategii jest odpowiednikiem Einsteina, nie zapominaj o tym.

- No nie wiem, stary. Wydaje mi się, że straciłeś obiektywne spojrzenie na sytuację. John Smith to dupek, ale ma co najwyżej parę tysięcy wiernych popleczników. Nie wydaje mi się, żeby miał szansę, stając przeciwko trzystu milionom Amerykanów.

- Przecież nie chodzi o starcie na polu bitwy. Spójrz tylko, ile osiągnęły Dzieci Darwina. A przecież to tylko maleńki odłam jego organizacji, może trzydziestu ludzi, nie więcej. Doprowadzili do odcięcia trzech miast, do wyłączenia infrastruktury, a na dodatek wszczęli konflikt między normalnymi. Cywilizacja to krucha rzecz, Bobby. Dopiero teraz udaje się dostarczyć żywność do Tulsy i Fresno; Cleveland jest wypalone do gołej ziemi. A przecież to tylko mały krok w wielkim planie Smitha.

Quinn dokończył whiskey i odstawił szklankę. Przez chwilę siedzieli w ciszy, zakłócaną jedynie stukaniem kul na stołach bilardowych i mrużeniem telewizora. Bobby zawsze był jego planistą, jego strategiem i taktykiem w jednej osobie -i dlatego Cooper dał mu czas na zastanowienie się.

- W sumie w tej chwili niewiele mu potrzeba - rzekł wreszcie Quinn. - Ludzie już gromadzą zapasy żywności, uciekają z miast. A zbliża się zima.

- Cokolwiek zaplanował Smith, z pewnością tylko pogorszy sytuację. Zamęt i anarchia to jego ulubiona broń; marzy mu się Ameryka pogrążona w chaosie. Chciałby, żeby każda dzielnica ogłosiła się niezależnym państwem. Dziś nie może stanąć do otwartej walki przeciwko nam, ale jeśli sprawy ułożą się jeszcze mniej pomyślnie, jeśli zaczną się zamieszki, plądrowanie sklepów, odezwą się plemienne instynkty, lokalni watażkowie przejmą władzę, miasta zaczną głodować, rozpanoszą się choroby...

— Wtedy już nie będzie musiał. Skoncentruje się na pojedynczych celach i kolejno je osiągnie — uzupełnił Quinn i jakby się zaśmiał, ale bez cienia radości. - Lecz nawet jeśli masz rację, DAR w żaden sposób nie może temu zapobiec. Jeśli Smith pojawi się przypadkiem w naszym celowniku, z przyjemnością pociągniemy za spust, ale w tej chwili departament, do licha, cały kraj!, skupia się przede wszystkim na konflikcie z Redutą. Jak powiedziałem, cały świat stoi w ogniu.

— Wiem — odparł Cooper. — I dlatego możliwe, że poproszę cię o pomoc.

— W czym?

— W dokończeniu tego, co zacząłem. — Cooper postawił szklanekę na blacie i wstał. — Zamierzam odnaleźć Johna Smitha. I zabić go.

Drodzy towarzysze!

Nieustająco demonstrując światu hart ducha i potęgę wielkiej Koreańskiej Republiki Ludowo - Demokratycznej w wieczystym pochodzie ku niezachwianemu blaskowi chwalebного triumfu, występujemy z przesłaniem nadziei do uciśnionych nadeludzi z całego świata.

W mroku upadłych systemów, w których przyszłście na świat, wasze dary uważane są za przypadłości -zawsze tak bywa, gdy psy rządzą tygrysami. Tak też wygląda rzeczywistość owych skorumpowanych narodów, w których prawdziwą siłę ducha i woli traktuje się z niechęcią, wręcz z pogardą.

Dlatego też ślę zaproszenie przepelnione miłością ku wszystkim tym spośród was, którzy pragną pławić się w słonecznym blasku rewolucji. Przybywajcie do nas, uzdolnieni przyjaciele; przybywajcie do nas, nasi obdarzeni towarzysze.

Tu odnajdziecie prawdziwy dom oraz ludzi, którzy, podobnie jak wy, znają cel swej egzystencji i realizują go w czystości umysłu.

Nadszedł bowiem czas, by ujawnić od dawna skrywany sekret: wszyscy obywatele Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej są wybitnie uzdolnieni. Każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecko w naszym kraju jest obdarzone. Co więcej, to mądrość, dobroć i pełna poświęcenia praca Partii sprawiły, że tak zwani „nienormalni” pojawili się na Ziemi. Są oni dziełem naszych uczonych, należących naturalnie do światowej czołówki.

To oni są naszą świetlaną przyszłością, to oni poprowadzą nasz nieśmiertelny naród ścieżką wieczności...

FRAGMENT PRZEMÓWIENIA WYGŁOSZONEGO 3
GRUDNIA

PRZEZ NAJWYŻSZEGO PRZYWÓDCĘ KIM DZONG UNA,

PIERWSZEGO SEKRETARZA KOREAŃSKIEJ PARTII
ROBOTNICZEJ, PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI OBRONY
NARODOWEJ KOREAŃSKIEJ REPUBLIKI
LUDOWO-DEMOKRATYCZNEJ

ORAZ NAJWYŻSZEGO DOWÓDCE

KOREAŃSKIEJ ARMII LUDOWEJ

ROZDZIAŁ ÓSMY

Owen Leahy zrobił karierę w wywiadzie, ale nigdy nie był agentem operacyjnym, a czasy intryg knutych w wielkiej tajemnicy miały się ku końcowi.

Odleciał z Camp David w ciemności przed świtem jako jedyny pasażer transportowca wiozącego skrzynie z medykamentami. Na lotnisku w Denver przesiadł się na tylne siedzenie cywilnej hondy. Wieziony przez agentów Secret Service, kolejne kilka godzin spędził pod kocem, pochłonięty lekturą niczym dzieciak, któremu zbyt wcześnie kazano pójść do łóżka. W Cheyenne zatrzymali wóz w samym środku myjni samochodowej i poprowadzili Leahy'ego między ociekającymi wodą rurami prosto do pustej poczekalni. Miał pół godziny, by wypić przypaloną kawę, poddając się zabiegom zręcznej młodej kobiety, specjalistki od charakteryzacji. Za pomocą czegoś w rodzaju kleju kauczukowego postarzyła go co najmniej o piętnaście lat, pogłębiła naturalne cienie wokół oczu, pudrem przyciemniła skórę i dokleiła fałszywy wąs. Włożywszy mu na głowę czapkę baseballową, cofnęła się o krok, by ocenić swoje dzieło.

- Jak wyglądam? - Mówienie sprawiało mu ból, ale wiedział, że nie powinien narzekać na swój los. Odgryzł sobie kawałek języka podczas ataku na prezydent Ramirez i tylko magicznej wręcz sprawności prezydenckich lekarzy zawdzięczał to, że w ogóle jest w stanie mówić.

- Całkiem przeciętnie — odpowiedziała kobieta. - Pański dubler już idzie.

Zdecydowanie nie wyglądali na bliźniaków, ale wystarczyło, że tamten był podobnej budowy i nosił identyczne ubranie. Leahy zabrał kluczyki i bez słowa ruszył w stronę czekającego już pick-upa. Kobieta siedząca w fotelu pasażera wyglądała na sześćdziesięciolatkę, ale zdradzały ją ruchy: miała w sobie zbyt wiele gracji zawodowej sportsmenki. No i ten pistolet maszynowy, który trzymała pod nogami. Poza tym nie miała choćby cienia charakteru i Leahy cieszył się w duchu, że podróż do Rawlins w stanie Wyoming potrwa tylko godzinę.

Stosowanie takich środków ostrożności było nużące, ale absolutnie

niezbędne. Bóg jeden wiedział, co by się stało, gdyby Erik Epstein dowiedział się, że sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych spotyka się z przywódcami cywilnej milicji obozującej u jego drzwi.

Zmierzchało, gdy dotarli na miejsce. Leahy wiedział, że Miller przystąpił do organizowania milicji, że próbuje zjednoczyć ludzi i natchnąć duchem walki, ale oglądanie zdjęć satelitarnych nijak się miało do przejażdżki przez obozowisko. Było to w istocie namiotowe miasteczko z tysiącami mieszkańców. Ręcznie malowane tablice ze sklejki wskazywały drogę do części mieszkalnej, do mesy, do poligonu. Na prześcieradle rozwieszonym między dwiema półciągarówkami widniał napis NOWO PRZYBYLI, a pod nim strzałka skierowana na wschód, ku wielkiemu namiotowi bez ścian. Obozowisko zamieszkiwała masa ludzi, zajętych głównie rozmowami i szkoleniem, a z każdą godziną przybywało ich coraz więcej. Większość, rzecz jasna, stanowili mężczyźni przeróżnych sortów: od twardzieli w skórach po grzecznych mieszkańców przedmieść ubranych w kurtki narciarskie. Wszyscy nosili broń.

Epstein zasiał wiatr, a teraz zbierze burzę.

Zaraz potem przysła Leahy'emu do głowy inna myśl: *To samo można powiedzieć o tobie.*

Gdy wydał rozkaz ataku na siedzibę Epsteina, działał z banalnie prostych pobudek: chciał zmusić prezydenta do działania, do przeciwstawienia się narastającemu zagrożeniu ze strony uzdolnionych. Marzyła mu się mała, miła wojenka, nad którą miałby pełną kontrolę i z której narodziłby się nowy, bardziej stabilny świat: świat, w którym obdarzeni byliby cenieni, ale i bacznie obserwowani. Bo przecież nie czuł do nich nienawiści; po prostu znacznie bardziej kochał własne wnuki.

Naturalnie sprawy nie potoczyły się zgodnie z jego planem. Celem akcji było zapanowanie nad uzdolnionymi, a nie ich unicestwienie. Kiedy jednak doszło do masakry na pustyni i zniszczenia Białego Domu, cóż... Jego mała, miła wojenka mogła wkrótce ogarnąć cały kraj. Potężna część społeczeństwa domagała się teraz, by armia założyła bagnety na broń i pomaszerowała na Redutę.

Leahy wiedział, że to oznaczałoby katastrofę - z wielu zawiłych

powodów oraz jednego bardzo prostego: to uzdolnieni byli odpowiedzialni za zdecydowaną większość przełomowych dokonań nauki z ostatniego dziesięciolecia. Gdyby Ameryka pozbyła się ich teraz, byłoby to niczym samobójczy strzał w głowę.

Jest jeszcze czas. Masz szansę, żeby wszystko odkręcić.

Pomoże ci w tym ta zbieranina udająca armię.

Podniósłszy się na duchu, Leahy pomyślał o sprawie bardziej przyziemnej: o tym, w jaki sposób można utrzymać higienę w takim obozowisku.

W końcu piętnaście tysięcy ludzi produkuje masę gówna.

- Pan sekretarz. Cóż za niespodzianka. - Generał miał na sobie zakurzony mundur polowy oraz sporo brudu za paznokciami. W kieszeni koszuli nosił okulary do czytania. Tuż za nim przystanął może pięćdziesięcioletni żołnierz, szczupły, o oczach zabójcy.

- Darujmy sobie te ceregiele, Sam. Wystarczy „Owen”.

Leahy wyciągnął rękę na powitanie.

Miller, jak zwykle, mocno ją uściskał.

- Poznaj Luke'a Hammonda — powiedział. - Mój numer drugi.

Hammond w milczeniu skinął głową, a potem bezszelestnie przeniósł się pod przeciwległą ścianę. Namiot zaopatrzone w aktywny kamuflaż i nanoboty wplecione w tkaninę natychmiast zareagowały na zmianę w otoczeniu.

- Widziałem w telewizji relację z zamachu - rzekł Miller. - To był skoordynowany atak?

Leahy skinął głową.

- Trzej mężczyźni, uzdolnieni. Dwa karabiny szturmowe i granatnik raketowy. Zdjęli ich agenci Secret Service.

- Jesteś cały?

- Odgryzłem sobie pół języka; musieli przeszczepić kawałek tkanki. To nowa metoda, ponoć hodują w probówce mięśnie na bazie komórek macierzystych. Boli jak cholera. Zdaniem lekarza mam szczęście, że uniknąłem zaburzeń mowy. - Leahy umilkł na chwilę. — Bo gdybym nie uniknął, mógłbym się pożegnać z karierą. Komu potrzebny sepleniący sekretarz obrony?

Miller uśmiechnął się lekko, ale się nie roześmiał.

- A prezydent?
- Podrapana, poobijana i pełna nowo nabytej pokory wobec dobrych rad speców od bezpieczeństwa. Przeniosła gabinet do Camp David.

- Słusznie. - Samuel Miller nadal zachowywał się jak generał; człowiek, który nawykł do tego, że gdziekolwiek się znajduje, zawsze dowodzi. - A zatem... Zakładam, że nasza rozmowa nigdy się nie odbyła.

- Doceniam dyskrecję.

- Ja zaś doceniam to, że pofatygowałeś się do nas osobiście, Owen. Muszę cię jednak uprzedzić, że jesteśmy mocno zaangażowani w naszą sprawę. - Miller uniósł dłoń, zanim Leahy zdążył odpowiedzieć. — Kieruję tu cywilną organizacją na prywatnym terenie. Mówiąc ściślej, piętnastoma tysiącami ludzi. Z każdym dniem jest nas coraz więcej, przyjeżdżają zwykli mężczyźni i kobiety, którzy pragną walczyć za swój kraj. nawet gdyby miało to oznaczać sprzeciw wobec woli prezydenta. Nie ustąpimy, nie odejdziemy stąd bez słowa. Jeśli chcecie się nas pozbyć, będziecie musieli przysłać tu żołnierzy.

- Źle odczytałeś cel mojej wizyty. Sam. Xie przyjechałem tu, żeby cię prosić o rozwiązanie tej armii. - Płótno namiotu wyrzuciło się nagle pod naporem zachodniego wiatru. -Przyjechałem prosić, żebyś jej użył.

- Moglibyśmy gadać cały dzień o demokratycznej moralności i doktrynie użycia siły - powiedział Leahy. - A także o klimacie politycznym, wpływie mediów oraz kosztach i pożytkach płynących z niewypowiedzianych wojen. Jednakże wszystko sprowadza się do tego. że czasem trzeba bronić Ameryki w taki sposób, by nikt nie dostrzegł zaangażowania rządu.

I tak właśnie jest tym razem. Bez względu na to. co kto myśli o uzdolnionych czy Eriku Epsteinie. Reduta Nowe Kanaan stanowi

bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

- Rozumiem. - Miller wolno skinął głową. - Potrzebna wara kocia łapa.

- Jak zawsze - odparł Leahy. - Ameryka potrzebuje żołnierzy, którzy zrobią to, co konieczne w jej obronie.

- A jednocześnie pozwolą władzy wyprzeć się wszystkiego, jeśli zajdzie potrzeba — wtrącił Luke Hammond. Stał na swoim miejscu tak cicho i nieruchomo, że Leahy niemal o nim zapomniał.

- To nie jest manewr polityczny — odpowiedział. — Chodzi o kwestie praktyczne. Jeżeli siły zbrojne Stanów Zjednoczonych wykonają bezpośredni atak. Erik Epstein użyje wszelkich środków, by odpowiedzieć tym samym. Podejmujemy pewne działania, by zminimalizować skutki ewentualnego kontrataku, ale w ostatnim półwieczu nauczyliśmy się tak dalece polegać na technice, że nie jesteśmy w stanie obronić się przed RNK. Komputery sterują dziś wszystkim, włącznie z miejską kanalizacją. Każde nasze zwycięstwo byłoby zwycięstwem pyrrusowym. Nienormalni mogą nam zadać ciężkie straty, chyba że przesiądziemy się na konie i zajmujemy uprawą roli. Nie będzie to jednak konieczne, jeśli do akcji wkroczy cywilna milicja, działająca bez oficjalnego przyzwolenia władz.

- Jakie wsparcie możesz nam zaproponować? - spytał Miller.

- Żadnego.

- Żadnego?

- Ani sprzętu, ani żołnierzy, ani doradców, ani danych wywiadowczych, ani wsparcia z powietrza. Nic nie może nas z wami łączyć. Prawdę mówiąc, podejrzewam nawet, że prezydent potępi atak na Nowe Kanaan i rozkaże wam złożyć broń. A gdy odmówicie, wyśle armię, żeby was zatrzymać.

Hammond i Miller spojrzeli po sobie.

- W takim razie... - zaczął generał.

- Ale armia tego nie robi. — Leahy umilkł, by zdążyli przetrwać jego słowa. Z oddali dobiegał huk wystrzałów. Na strzelnicy trwały ćwiczenia. - Właśnie to wam oferuję: brak interwencji wojska.

Miller potarł podbródek. Hammond patrzył przed siebie martwymi oczami.

- Owen — rzekł wreszcie generał - to, co nam proponujesz, pachnie mi zamachem stanu.

- Nie. Ani dowództwo armii nie sięgnie po władzę, ani ja tego nie zrobię. Właśnie o to chodzi, Sam: nie powstrzymamy was, ponieważ nie będziemy w stanie.

- Z powodu degradacji sprzętu.

Leahy skinął głową.

- Prezydent Ramirez rozkazała, by jednostki stacjonujące w kraju zostały praktycznie pozbawione nowoczesnej techniki. Zostaną im buty i bagnety. Ja nadzoruję ten proces. I mogę ci obiecać, że w przekonujący sposób dowiodę pani prezydent, że zwyczajnie nie jesteśmy w stanie wykonać jej rozkazów. Chyba że zaryzykujemy powtórkę z tego, co wydarzyło się dwa tygodnie temu: pozwolimy Epsteinowi przejąć kontrolę nad naszym sprzętem.

- A takiego ryzyka oczywiście nie wolno podjąć. - Miller pokiwał głową. - Ale taka sytuacja nie potrwa długo.

- Nie. Dlatego tak ważne jest, abyście działali szybko. Sam. Jeżeli wydarzenia nabiorą odpowiedniego tempa, siły zbrojne będą mogły w wiarygodny sposób odmówić interwencji, twierdząc, że nic się nie da zrobić. Pani prezydent będzie oburzona, ale pokażemy, że poprzedni atak Epsteina nauczył nas powściągliwości.

- Niby dlaczego Epstein miałby nie pójść na całość? - Luke Hammond pochylił się nieco ku rozmawiającym. - Gdy ruszymy i Reduta będzie zagrożona, nie będzie go kusiło, by wraz z nią pociągnąć na dno cały kraj?

- Nie robi tego z dwóch powodów. Po pierwsze, musiałby być skończonym socjopata, żeby uderzyć na niewinnych cywilów, a przecież większość obywateli nie prowadzi przeciwko niemu żadnych działań; przeciwnie, wielu wręcz go popiera. Dużo można powiedzieć o Epsteinie, ale na pewno nie to, że jest potworem. Po drugie, nie dojdzie do całkowitego zniszczenia Reduty. Wasze siły nie przedostaną się przez Pierścień Voglera, na pewno nie bez wsparcia regularnej armii, a Epstein doskonale o tym wie.

- W takim razie o co chodzi? Chcesz, żebyśmy toczyli wojnę, w której nie możemy zwyciężyć.

- Ludobójstwo to nie zwycięstwo - odparł Leahy. - Na Boga, człowieku, naprawdę sądzisz, że życzylbym sobie całkowitego zniszczenia Reduty Nowe Kanaan? Chodzi tylko o to, żeby poskromić Epsteina.

- Może wam - wtrącił znowu Hammond - ale nie nam. Bo co będziemy z tego mieli?

- Rewanż. Wasza armia dokona zemsty, której tak bardzo pragniemy. Skopiecie tyłki uzdolnionym; przekonają się, że każdy czyn ma swoje konsekwencje. A przy okazji obronicie Amerykę. Czy nie na to poświęciliście całe swoje życie?

Hammond chciał odpowiedzieć, ale Miller uniósł rękę, by go powstrzymać.

- Jaki więc będzie finał? - spytał.

Mała, miła wojenka. I przyszłość dla moich wnuków.

— Pokój, oczywiście - odparł Leahy. - Cóż by innego?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- ...a ja powiadam, że nie mogą bezkarnie mordować naszych braci. Nie mogą zabijać naszych przywódców i nie doczekać się odpowiedzi. Dostaną ją od nas! - Mężczyzna, dumnie wyprostowany i z ogniem w oczach, przechadzał się po dachu autobusu, na którym wymalowano wielkiego orła i słowa: NOWI SYNOWIE WOLNOŚCI. Pojazd stał pośrodku ludzkiego morza, które nie mieściło się w kadrze. Napis u dołu ekranu zdradzał tożsamość mówcy: był to generał Armii Stanów Zjednoczonych w stanie spoczynku Sam Miller.

- Dwieście pięćdziesiąt lat temu pewna grupa wystąpiła przeciwko uciskowi. Tworzyli ją farmerzy, sklepikarze, bankierzy, nie żołnierze, a przeciwko sobie miała największą potęgę militarną owych czasów. Zwykli ludzie powiedzieli: „Dość. Koniec z tym”. Powstali razem i zmienili świat. Dziś od wrogów nie oddziela nas ocean, nie są nimi ani komuniści, ani władcy zamorskich potęg. Współcześni wrogowie Ameryki dorastali w naszych domach. Żywiliśmy ich, kształciliśmy, razem z nami modlili się w naszych kościołach. Lecz gdy pojawiła się sposobność, zaatakowali nas w najbardziej tchórzliwy sposób. Nie starczyło im odwagi, by stanąć do walki twarzą w twarz. Zabijali za pomocą komputera. - Każde słowo generała wręcz ociekało pogardą, budząc żywą reakcję tłumu.

- Nie - rzekł, gdy ucichło buczenie słuchaczy - współcześni wrogowie Ameryki nie czają się gdzieś na drugim końcu świata. Kryją się w samym sercu naszego wielkiego kraju. Zajęli ledwie dwieście dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych. - Tu Miller wskazał za siebie. - Są tam, w mieście Tesla. To stamtąd terroryści kierowali atakiem, w wyniku którego na naszych oczach zginęli nasi synowie i córki. Rządzący każą nam zignorować ten cios. Nadstawić drugi policzek. Wybaczyć tym, którzy odebrali nam nie tylko naszą ziemię, ale i naszą przyszłość. Tak oto stajemy przed wyborem: spoczniemy i będziemy patrzeć, jak więdnie i umiera amerykański sen. czy może, jak dawni patrioci, powstanjemy? Nie miejcie złudzeń. Jeśli staniecie u mego boku, słabi ludzie sprawujący władzę potępią was. Staniecie u

mego boku. a wróg utoczy wam krwi. Staniecie u mego boku. a być może przyjdzie wam zapłacić najwyższą cenę. Lecz pamiętajcie i o tym. że ta chwila żyć będzie wiecznie i uczyć się o niej będą potomkowie dzieci naszych dzieci. Życie będzie wiecznie: albo jako chwila, w której Ameryka upadła i stoczyła się w mrok. albo jako chwila, w której grupa zwykłych ludzi, farmerów, sklepikarzy i bankierów, powstała i zawołała: „Dość! Koniec z tym”.

Miller opuścił mikrofon. Czekał.

Okrzyk dobiegł z pierwszych rzędów:

- Koniec z tym!

Tłum szybko podchwycił hasło.

- Koniec z tym!

I wreszcie dwadzieścia tysięcy ludzi zaczęło skandować:

- Ko-niec-z-tym! KO! NIEC! Z TYM!

Miller przez chwilę stał sztywno pośrodku dzikiej wrzawy, patrząc na swoją armię, a potem zasalutował sprężysto.

W kadrze pojawił się przejęty reporter w stroju turysty.

- Generał w stanie spoczynku Samuel Miller przemówił właśnie do tłumu zgromadzonego przy granicy Reduty Nowe Kanaan, który w ciągu dwóch tygodni rozrósł się do ponad dwudziestu tysięcy ludzi. Stale przybywa zwolenników Nowych Synów Wolności, a w rosnącym gronie sponsorów ruchu znajdują się i zwykli obywatele, i postacie pokroju miliardera Ryana Fine'a, założyciela i naczelnego dyrektora Finest Supplies, krajowej sieci sklepów spożywczych...

☆ Cooper zmiął w dłoni tablet i palcami potarł oczy. Śmigłowiec był cywilny, cichszy i bardziej luksusowy od tych, do których przywykł, ale siedzący obok Ethan Park nie wyglądał na zadowolonego pasażera.

-I właśnie tam lecimy? - spytał.

- Właśnie nad tym lecimy - sprecyzował Cooper. — Miller nie był łaskaw wspomnieć, że owych dwieście dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych to teren okupowany, dobrze strzeżony i otoczony potężnym ogrodzeniem.

Na dotarcie do RNK potrzebowali więcej czasu, niż Cooper sobie życzył. Jeszcze niedawno Epstein po prostu podstawiłby odrzutowiec, jednak układ sił się zmienił i podróż trwała dwa dni - dwoma

samochodami, pociągiem i śmigłowcem.

- Mimo wszystko... uważasz, że to najbardziej bezpieczne miejsce?

- Słowo daję, doktoru, że nie wiem już nawet, co oznacza to pytanie.

- Oznacza, dupku, że przekonałeś mnie, żebym tu ściągnął moją rodzinę. Oznacza, że w tej chwili moja żona i czteromiesięczna córeczka lecą innym helikopterem w stronę miejsca, które coraz bardziej przypomina strefę działań wojennych.

- Naprawdę czułbyś się bezpieczniej na Manhattanie? -Cooper popatrzył mu w oczy. — Musiałem powołać się na wszystkie przysługi, które był mi winien Bobby Quinn, żeby pozwolił mi zabrać cię ze sobą. A nie pozwoliłby, gdyby wiedział, dokąd lecimy. Chciałbyś, żeby nadal ścigali cię agenci DAR? I John Smith?

- Nie. - Ethan odetchnął głęboko. - Chodzi o to, że... Nie zgłosiłem się na ochotnika, żeby walczyć w tej wojnie.

- Co nie oznacza, że byłbyś bezpieczny, gdyby z nieba poleciały bomby. - Helikopter przechylił się na burtę i w iluminatorze pojawiło się odbicie Tesli: szyby fotowoltaiczne gmachów zaśniły w południowym słońcu. - Nie mamy wyboru, trzeba przez to przejść. Raz już pomogłeś Abe'owi opracować serum, które zmienia zwykłych ludzi w uzdolnionych. Spróbuj powtórzyć to osiągnięcie, a generał Miller i jego milicja przestaną być problemem.

Panorama Tesli rosła w oczach. Schludna sieć ulic otaczała centrum, na które składały się błyszczące prostopadłościennne budynki - korporacyjne serce potęgi Erika Epsteina. Ponad trzysta miliardów dolarów w aktywach, ulokowanych w niemal wszystkich gałęziach gospodarki. Majątek, który stał się żywym organizmem, rozrastał się, przemieniał i przemieszczał, żywiąc się mniejszymi firmami i dosięgając swymi mackami bodaj każdego aspektu życia przeciętnego Amerykanina. Trudno było przecenić taką fortunę; przewyższając wartość połączony kapitał koncernów McDonald's i Coca-Cola, stała się fundamentem nowego Izraela, który powstał pośrodku amerykańskiej pustyni. Miejsca, w którym obdarzeni mogli żyć i pracować bez lęku.

A przynajmniej taki był plan. Cooper podejrzewał, że nastroje

wśród mieszkańców Nowego Kanaan nieco się pogorszyły.

Lotnisko wyglądało znajomo. Lądował na nim już dwukrotnie - raz szybowcem, z Shannon, gdy wykonywał tajną misję i oboje próbowali się przechytryć, a następnie, ledwie parę tygodni wcześniej, rządowym odrzutowcem, jako ambasador Stanów Zjednoczonych i specjalny doradca prezydenta.

I oto wracasz tu po raz trzeci. Nie jako agent i nie jako polityk. Jesteś... kimś innym.

Gdy tylko płozy dotknęły betonu, zaczął odpinać pasy bezpieczeństwa. Nie był pewny, czy jego wiadomość dotarła do adresata, ale jeśli tak było, spodziewał się, że ktoś będzie na niego czekał...

- Rozumiem, że to już koniec? Z nami dwoma?

Nie odrywając wzroku od szyby, Cooper odpowiedział:

- Przynajmniej na razie.

- W takim razie... Chyba jeszcze ci nie dziękowałem. - Powaga w głosie Ethana przywróciła Coopera do rzeczywistości. Odwrócił się i ujrzał wyciągniętą dłoń. - Za uratowanie mojej rodziny. Jestem twoim dłużnikiem.

- Nie ma sprawy.

- Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że cały świat coś ci zawdzięcza.

Ta myśl, tak niespodziewana i pewnie nieco na wyrost, mimo wszystko sprawiła, że coś drgnęło w piersi Coopera.

- Dzięki, doktoru - powiedział i podał Ethanowi rękę. -Dobrze się spisałeś.

Stali tak przez moment, ściskając sobie dłonie. Cooper czuł owo przyjemne ciepło, które nauczył się kojarzyć z poczuciem braterstwa, wierności wspólnej sprawie. To samo ciepło, które przed laty sprawiło, że był dumny z bycia żołnierzem.

Gdy otwarto drzwi przedziału pasażerskiego, ujrzał trzy postacie biegnące mu na spotkanie. Wskoczył z fotela i rzucił się ku nim ile sił w nogach, by chwilę później porwać syna i córkę w ramiona i mocno przycisnąć do piersi. Na przemian śmiali się i płakali, jakby udało im się odnaleźć ostatnie bezpieczne miejsce na planecie. Opamiętał się, dopiero gdy przyszło mu na myśl, że połamie im kręgosłupy, ale Kate ani

myślała go puścić, a Todd klepał go po plecach jak szalony, powtarzając:

- Tato, tato, tato!

Gdy wreszcie otworzył oczy, ujrzał Natalie. Uśmiechała się, choć z jej postawy wyczytał przede wszystkim lęk.

- Hej, ty - powiedziała.

- Hej, ty.

Postawił dzieci na betonie i przytulił byłą żonę. Nie otworzył ramion, gdy dzieci objęły ich w pasie. Szarość i chłód Popołudnia przestały się liczyć.

- Panie Cooper - odezwał się głos za jego plecami.

Odwrócił się i ujrzał wysoką kobietę w typie pięknej modelki, Potrzebował chwili, by przywołać z pamięci dane: podwładna Epsteina, dyrektorka do spraw komunikacji, nazywa się...

- Patricia Ariel - powiedziała. - Przyjechałam samochodem. Pan Epstein na pana czeka.

Nadal otaczał jednym ramieniem Natalie i poczuł nagle, jak napinają się mięśnie jej pleców. Todd i Kate spoglądali na niego jednakowo: z głęboką rozpaczą. Popatrzył najpierw na swoje dzieci, a potem na Ariel.

- Pan Epstein będzie musiał zaczekać nieco dłużej - odparł.

- Wyraził się bardzo jasno...

- Sądzę, że zasłużyłem na dzień wolnego na łonie rodziny. Jeśli Erik jest innego zdania, może przysłać po mnie żołnierzy. - Cooper uśmiechnął się leniwie. - Będzie lepiej, jeśli przyśle wielu.

Natalie nadal zajmowała z dziećmi kwaterę dyplomatyczną: gustownie urządzone trypoziomowe mieszkanie przy jednym z placów. Brakowało Cooperowi bałaganu, który tam panował, owych śladów życia nieodmiennie towarzyszących obecności dzieci: porozrzucanych zabawek, książek i koców, talerzy w zlewie, zapachu domowego

jedzenia.

Todd i Kate nie przestawali trajkotać, na wyścigi próbując opowiadać ojcu o sobie i zadawać pytania, on zaś starał się jak najszybciej odpowiadać. Gdzie się podziewał. czy jest zdrowy, czy chciałby zobaczyć najnowszy rysunek, czy widział tego fikołka, czy poznał nową panią prezydent, czy miał czas odwiedzić dom, czy chciałby zagrać w piłkę?

Tak. Chciałby.

Grudzień w Wyomingu oznacza chłód. Zaokienny termometr wskazywał minus dwa stopnie Celsjusza - bo w RNK w duchu nauki zrezygnowano z tradycyjnych amerykańskich miar i wag, w tym i ze skali Fahrenheita — ale Cooper nie potrzebował kurtki. Było mu ciepło, bo w zabawie towarzyszyli mu najbliżsi.

Czubkiem stopy skierował piłkę ku górze, podbił kolaniem i podał do Todda.

- Jak się czujesz, młody?
- Dobrze. Nie boli mnie. Tylko straszna ta fryzura. - Chirurdzy ogolili mu część głowy; pokryte krótką szczeciną miejsce wyróżniało się jak blizna.

- We włosach najlepsze jest to, że odrastają - wtrąciła Natalie.
- Powoli.
- Moim zdaniem wyglądasz nieźle - orzekł Cooper. - Jak twardziel.

- Raczej jak pacan - dorzuciła swoje Kate i zachichotała. Todd pokazał jej język, a potem niezbyt mocno kopnął piłkę w jej stronę. Był dobrym dzieciakiem, dobrym starszym bratem. Cooper i Natalie wymienili przelotne spojrzenia pełne satysfakcji. Spędzili razem tyle lat, że w takich chwilach nie potrzebowali słów. *Spójrz, czego dokonaliśmy.*

- A w ogóle to co porabiacie? Macie nowych kolegów?
Todd wzruszył ramionami.
- Nie jest źle, ale chciałbym wrócić do domu.
- A mnie się tu podoba - odpowiedziała Kate. - Chociaż jest inaczej, niż było.

- Jak to?
- Teraz dorośli się boją.

Rozumiał, kim jest jego córka: szczególnie uzdolnionym dzieckiem, być może nawet z darem pierwszego poziomu. Mimo to nie było mu łatwo przełknąć wiadomość o tym, że pięciolatka doskonale wyczuwa strach przepełniający jej opiekunów.

- Ty też, skarbie?
- Nie - odrzekła Kate. — Przecież nas obronisz.

Mówiła z głęboką dziecięcą wiarą, z absolutną pewnością, że rodzice są w stanie zapanować nad światem. Zawsze ją pochwyca, gdy się potknie, zawsze staną na drodze wszelkiego zła. I tak właśnie powinno być, myślał Cooper, a mimo to odebrał jej słowa z mieszaniną dumy i przerażenia - głębszego i potężniejszego niż kiedykolwiek.

- Prawda?
- Oczywiście, kochanie - odpowiedział. Umiała czytać jego intencje, dlatego istniał tylko jeden sposób na to, by ją przekonać: naprawdę musiał w to wierzyć. Włożyć całe serce w te słowa oraz w czyny, które z nich wynikały. W tym momencie czuł, że gotów jest spalić cały świat, gdyby w ten sposób miał zapewnić córce nie tylko bezpieczeństwo, ale i poczucie, że jest bezpieczna.

- Tato - odezwał się Todd, na pozór spokojnie, ale i z wielką niepewnością, jak ktoś, kto staje nieruchomo na skraju bardzo wysokiego urwiska — jak to możliwe, że to się dzieje? No wiesz, to wszystko.

- Sam nie wiem, synu. — Cooper umilkł na chwilę. - Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że ludzie są bardzo różni?

- Tak, ale... Mama mówiła, że prezydent zginął i mnóstwo innych ludzi. To chyba nie tylko dlatego, że byli inni, prawda?

Cooper spojrzał na Natalie i dostrzegł, że niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami. I ten milczący przekaz był dla niego zupełnie jasny, jakby słyszał jej słowa: *Powodzenia w objaśnianiu, tatuśku.*

Kusiło go, żeby skłamać. Ale w sytuacji, w której znalazł się świat...

Zatrzymał pod stopą piłkę, którą Kate kopnęła w jego stronę.

- Nie ma prostej odpowiedzi na twoje pytanie. Chcecie posłuchać skomplikowanej?

- Tak.

Cooper spojrzał na Kate. Z powagą kiwnęła główką.

- No dobra. Życie nie jest takie jak na filmach, że źli ludzie naprawdę chcą być złymi ludźmi. W prawdziwym życiu trudno spotkać taki czarny charakter. Większość ludzi po prostu wierzy, że postępuje słusznie. Nawet ci, którzy robią coś złego, zazwyczaj uważają się za bohaterów i twierdzą, że ich okropne uczynki pozwalają zapobiec czemuś jeszcze gorszemu. Boją się.

- Ale czego się boją, skoro nie ma prawdziwych czarnych charakterów?

- To taki zaczarowany krąg. Gdy ludzie czują strach, łatwo im przychodzi uwierzyć, że to, co inne, jest złe. Zapominają, że w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy tacy sami, wszyscy kochamy swoje rodziny i pragniemy całkiem zwyczajnego życia. Co gorsza, niektórzy gotowi są to wykorzystywać: celowo straszą ludzi, bo doskonale wiedzą, że kto się boi, ten głupio postępuje.

- Ale po co im to?

- W ten sposób kierują innymi ludźmi. Dostają to, czego chcą.

- A ten facet z restauracji, który próbował cię zabić? - spytał Todd. - To czarny charakter?

- Tak - odparł Cooper. - To człowiek zepsuty, jak większość czarnych charakterów. Zwykle to nie ich wina, ale to nie ma znaczenia. Są zepsuci i nie wolno wybaczyć im tego, co czynią. Na przykład tego, co jeden z nich zrobił tobie.

Todd zastanawiał się nad tym przez chwilę, zagryzając wargę.

- A czy ci źli zawsze zwyciężają?

Rety. Cooper się zawahał.

- Tylko jeśli dobrzy ludzie im na to pozwolą — odpowiedział wreszcie. - A dobrych ludzi jest znacznie, znacznie więcej. — Pochylił się i podniósł z ziemi piłkę. — A teraz moja kolej na bardzo ważne pytanie.

- Jakie?

- Spędziliście tu parę tygodni — odparł Cooper, przekrzywiając głowę. - Wiecie już, gdzie można zjeść przyzwoitą pizzę?

Wiedzieli.

Szeptem życzył dzieciakom dobrej nocy i zamknął drzwi sypialni,

a potem odnalazł Natalie w kuchni, z butelką wina i dwoma kieliszkami. Nalała bez słowa. Brzęknęło szkło i Cooper zasiadł na krześle naprzeciwko niej. Przez bardzo długą chwilę jedynie przyglądali się sobie. Było tak, jakby wrócili do domu po długich wakacjach i zaglądali do pokojów swego domu, rozsuwali zasłony, gładzili palcami blaty. Jakby na nowo kolonizowali należącą do nich przestrzeń.

— Byłam z ciebie dumna - odezwała się wreszcie. - Z tego. jak z nimi rozmawiałeś.

— Chryste. Czy oni nie mogą pytać, skąd się biorą dzieci, jak normalne dzieciaki?

— Nie mieli normalnego życia.

Jedną z cech Natalie, które zawsze uwielbiał, było to, że jej słowa, czyny i uczucia były bardziej spójne niż u większości osób, które znał. W jej DNA najwyraźniej brakowało genu pasywno-agresywnych zachowań. Gdy była wkurzona, po prostu mu o tym mówiła.

I dlatego rozumiał, że jej słowa to prosta konstatacja faktu, a nie oskarżenie. *A jednak... To ty jesteś powodem. Twoja praca, twoja kruczata, twoja misja ratowania świata. Gdybyś był zwyczajnym ojcem, twoja rodzina wiodłaby zwyczajne życie.*

Naturalnie, gdyby był zwyczajnym ojcem, Kate byłaby teraz w akademii, pozbawiona tożsamości, stłamszona, osłabiona, pełna strachu. Cooper widział na własne oczy, co się dzieje w takich przybytkach, i przysiągł sobie, że jego uzdolniona córeczka nigdy do żadnego z nich nie trafi.

Świetnie, tylko że zamiast tego zabójca zafundował twojemu synowi śpiączkę. To ty sprowadziłeś dzieci w sam środek strefy działań wojennych. Więc nie spinaj się tak, próbując mentalnie poklepać się po plecach.

Natalie niespiesznie sączyła wino.

— Na długo zostaniesz?

- Tylko na tę noc.

Westchnęła i wyciągnęła rękę nad stołem. Ich dłonie się spotkały, a palce splotły z łatwością nabytą przez doświadczenie.

- To coś ważnego?

- Ścigam Johna Smitha.

Palce Natalie zeszywniały.

- Tego już za wiele. Dlaczego wszystko musi zależeć od ciebie?

- Nie wiem. Ale uwierz mi, Nat, że nie miałbym nic przeciwko urlopowi.

- A jesteś pewny, że nie możesz go wziąć?

Zamyślił się. Nad sceną z Manhattanu, tą ze zlinczowanym chłopcem. Nad żołnierzami płonącymi w sercu pustyni. Nad zwinnymi ruchami Abe'a Couzena i jego niezachwianą pewnością, że gdyby chciał, mógłby wszystkich pozabijać. I wreszcie nad zagadką Johna Smitha, który uśmiechając się do obiektywu kamery, przesłał mu całusa.

- Jestem pewny - odparł.

Patrzyła na niego dostatecznie długo, by zdołał dostrzec w jej oczach napięcie, wewnętrzną walkę. Znał ją od tak dawna! Ledwie przestali być dzieciakami, gdy zeszli się po raz pierwszy, a potem przez dziesięć lat przyglądał się jej w najbardziej intymny sposób, zgłębiając wzorce jej postępowania. Między innymi dlatego ich związek był tak niezwykły: Cooper znał ją tak dobrze, że często wiedział, co chce powiedzieć, zanim jeszcze otworzyła usta.

Na przykład teraz.

- W porządku — szepnęła.

Skinął głową i uściśnął jej dłoń, po czym uwolnił splecione palce, sięgnął po kieliszek z winem i...

- Zabierz mnie do łóżka.

...nie trafił w przełyk. Zakaszłał gwałtownie i wypluł łyk trunku z powrotem do kieliszka, a gdy udało mu się w końcu zaczerpnąć tchu, bąknął:

- Słucham?

- Zabierz mnie do łóżka.

Sięgnął pamięcią miesiąc wstecz, do tej chwili, gdy pocałowali się w forcie, który zbudowali z dziećmi. Zrozumiał wtedy, że coś się między nimi zmieniło, że powstała nowa szansa na wspólne życie. Niestety, wydarzenia ostatnich tygodni nie dały im czasu na zbadanie nowych możliwości.

- Nat...

Patrzył jej w oczy, całym sercem pragnąc spełnić jej życzenie. Nie

chodziło tylko o pociechę czy pożądanie, po prostu pragnął bliskości. Nie znał silniejszej i bardziej seksownej kobiety i choć kochali się tysiąc razy, od tamtego czasu minęły lata i myśl o takiej mieszance doświadczenia i nowości oszołomiła go jak narkotyki.

Lecz przecież była matką jego dzieci, nie zabawką. Nie przypadkową pocieszycielką. Poza tym była jeszcze Shannon. Może byli ze sobą tylko kilka razy ale także wzajemnie ratowali sobie życie, razem obalili prezydenta i walczyli ramię w ramię o to, by zapobiec wojnie. Nie była to typowa znajomość i nawet nie mieli czasu, by ustalić, czy to związek na wyłączność i ma przed sobą jakąś przyszłość, a jednak...

- Nick, przestań. - Odstawiła kieliszek, skrzyżowała ramiona na stole i oparła o nie podbródek. Jej mądre oczy były pełne blasku, a włosy opadły swobodnie na bark. Pachniała czerwonym winem i chłodnym powietrzem wieczoru. - Nie proponuję przecież, żebyśmy się znowu pobrali. Chodzi o to, że znowu wyruszysz samotnie, żeby ścigać najbardziej niebezpiecznego człowieka na świecie, a ja, choć wcale mi się to nie podoba, rozumiem, że tak trzeba, i wiem, że robisz to dla nas. Zanim więc odejdiesz... — Urwała, patrząc mu w oczy w elektrycznym napięciu. A potem wstała i zaśmiała się ochryple. -Zanim odejdiesz, chodź do sypialni i zerznij mnie.

CZY WIESZ, KIM SĄ TWOI SĄSIEDZI?

DAR wie. Dysponuje listą wszystkich nienormalnych zamieszkujących te Stany Niezjednoczone. Lecz jeśli poprosisz o informację, usłyszysz co najwyżej: „ujawnianie tego typu danych nie leży w interesie bezpieczeństwa publicznego”, ponieważ „może zagrażać dobru obywateli amerykańskich, zarówno w sensie ekonomicznym, jak i osobistym”.

Igor, podaj Gównoprawdator. Doskonale, mój mały, kaleki przyjacielu. Włącz urządzenie. Zobaczymy, jak się tłumaczy te słowa na ludzką mowę.

Co takiego?! Desteś pewny, śmierdzący garbusie?

Ha! Igor powiada, że tłumaczenie brzmi następująco: „Bardziej zależy nam na tym, żeby nie dmuchać w kaszę porąbańcom, niż na życiu waszych dzieci”.

Na szczęście zostało jeszcze paru bohaterów-nie-frajerów na tym naszym zepsutym świecie i niejeden z nich zasilił szeregi naszej małej hakerskiej społeczności.

I dzięki temu, a także dzięki dziurawym systemom ochronnym DAR-u, w które zajrzeć jest łatwiej niż pod kusą spódniczkę gotyckiej panienci ciemną nocą, oddajemy w wasze ręce listę 1.073.904 nienormalnych, wraz z adresami. Nie ma za co.

I lepiej bądźcie nam wdzięczni, zdrańcy, bo wygląda to na łabędzi śpiew. Pseudorząd naszego kraju już przebiera nóżkami, gotów dobrać się nam do dupy. Zemsta będzie należała do was, więc z łaski swojej zafundujcie mu zdrową dawkę chaosu w imieniu kOS.

A teraz częstujcie się. Poważnie. Biercie, ładujcie, kopiujcie i rozdawajcie, gdzie się da, jak komitety wyborcze rozdają łapówki.

Oto kompletna lista.

A tutaj z podziałem na stany.

I na miasta.

I jeszcze posortowana według kodów pocztowych, wy leniwe cipy.

*Niniejszy akt obywatelskiego nieposłuszeństwa zawdzięczacie
wesołym figlarzom i psotnym łajdakom z grupy Konstant kOS. Wszelkie
prawa wydymane.*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sala miała rozmiary sporego planetarium, tyle że zamiast wizerunku gwiazd w powietrzu unosiły się dane holograficzne, wykresy, grafy, materiały wideo, trójwymiarowe mapy oraz strumienie informacji z ostatniej chwili - ciemność podziemia rozświetlał oszałamiający potok danych. Dla przeciętnego człowieka — dla Coopera - niewiele było w tym sensu. Natłok informacji był wręcz dojmujący; zbyt wiele na pozór niepowiązanych detali nakładało się na siebie.

Lecz dla Erika Epsteina, który chłonał wszystkie te dane, tak jak przeciętny widz chłonie wiadomości telewizyjne, krył się w nich pełny obraz świata. Jako uzdolniony zbił majątek na wykrywaniu trendów na rynku papierów wartościowych, przy okazji wymuszając wyłączenie i uruchomienie na nowych zasadach całego światowego rynku finansowego.

- Wczoraj - powiedział Erik. - Twoje opóźnienie niestosowne. Czas jest istotny.

- Czas zawsze jest istotny. - Cooper rozejrzał się, z wolna przyzwyczajając się do półmroku.

Ubrany w bluzę z kapturem i trampki Chuck Taylor All-Stars Erik stał na środku pomieszczenia niczym blady poskramiacz danych w swym cyfrowym cyrku. Jego oczy wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte niż zwykle, jakby nie spał od tygodnia. Jego stojący obok brat Jakob, w swym garniturze marki Lucy Veronica, wartym pięć tysięcy dolarów, wyglądał z kolei jak kwintesencja wyrafinowanej elegancji. Trudno byłoby znaleźć bardziej niepodobne rodzeństwo: Erik miał naturę skrytego kujona, Jakob zaś był swobodny w obyciu i władczy, w istocie jednak zawsze pracowali zespołowo. Erik był mózgiem, majątkiem, wizjonerem, a Jakob twarzą i głosem - to on jadał kolacje z prezydentami i rekinami biznesu.

- Poza tym nie pracuję dla was.

- Nie - przyznał Jakob. - Dałeś nam to bardzo jasno do zrozumienia. Prawdę mówiąc, nie zrobiłeś niczego, o co prosiliśmy.

- To nie do końca prawda. Przekonałem prezydenta Claya. żeby

pozwoił wam na secesję. Oczywiście stało się to na krótko przed tym, jak go zamordowaliście. - Przypuszczalnie nie był to najlepszy moment na takie docinki; rozmawiał przecież z dwoma najpotężniejszymi ludźmi świata. Tyle że Cooper jakoś nie mógł się zmusić do tego, by się tym przejmować. Pozornie swobodne żarty pomagały mu zapanować nad wściekłością, wbrew temu bowiem, co mówił Quinnowi, i bez względu na to, jak dobrze rozumiał postępowanie braci na płaszczyźnie czysto filozoficznej, prawda była jednoznaczna: dopuścili się zbiorowego mordu na amerykańskich żołnierzach i nie umiał im tego wybaczyć.

Możliwe, że ostatnia noc też nie jest bez znaczenia. Istniały powody, dla których rozwiódł się z Natalie, całkiem poważne powody, ale żaden z nich nie miał nic wspólnego z sypialnią. Ostatniej nocy przypomniał sobie o tym dość dogłębnie i może dlatego był wyjątkowo zrelaksowany, prawie wesoły.

Rano w ogóle o tym nie rozmawiali. Nie mieli najmniejszego zamiaru mieszać w głowach Kate i Toddowi, którzy obudzili się wcześniej. Lecz choć korzenie tego, co robili ostatniej nocy, tkwiły w przeszłości, Cooper nie miał wątpliwości, że Natalie jest zainteresowana także przyszłością. I nie tylko ona. Nie chodziło wyłącznie o seks ani nawet o samą Natalie. Dobrze im było razem. Swobodnie. Był taki moment, gdy na chwilę oderwał się od smażenia naleśników, by podać jej kubek kawy - poczuł wtedy taki komfort, jakby włożył swoje stare, najwygodniejsze dżinsy i ulubiony T-shirt. Poczucił się jak w domu.

- Zmieniłeś się - odezwał się cichy głos.

Cooper zmrużył oczy i po chwili dostrzegł dziewczynkę skuloną w fotelu. Kolana podciągnęła pod brodę, a fioletowe kosmyki włosów zasłaniały jej skierowaną ku dołowi twarz. Millicent, niemal nieodłączna towarzyszka Erika Epsteina i jedna z najpotężniejszych czytaczek, jakie dane było Cooperowi spotkać. Wyczuwała głęboko ukryte lęki i mroczne tajemnice każdego, kto znalazł się w pobliżu. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, już знаła słabości tatusia i okrucieństwo mamusi. Była dziesięciolatką, a jej opinie wpływały na kształt umów wartych miliardy dolarów. Czasem nawet skutkowały morderstwem. Cooper współczuł jej, jak zawsze. Za dużo tego wszystkiego, za dużo.

- Cześć, Millie. Jak się masz?

- Zmieniłeś się - powtórzyła. — Coś się stało? - zapytała, spoglądając na niego oczami staruszki osadzonymi w twarzyczce dziecka.

Natalie mnie dosiada, zaciska uda wokół moich bioder, z głową odrzuconą do tyłu...

- Ach - mruknęła dziewczynka. — Seks. Ale zdawało mi się, że robisz to z Shannon.

Po raz pierwszy od bodaj dziesięciu lat Cooper poczuł, że się rumieni. Chcąc zamaskować zmieszanie, zwrócił się do Epsteinów:

- Zajęliście się Ethanem Parkiem?

- Tak - odparł Jakob. - Dostał najlepsze laboratorium, jakie kiedykolwiek widział, wraz z personelem złożonym w całości z obdarzonych. Ma dużą wiedzę o procesie wynalezionym przez doktora Couzена, zatem ponowne odkrycie terapii uzdalniającej jest tylko kwestią czasu.

- Którego nie macie.

- Niepewne - odpowiedział Erik. - Dane niejasne. Czynniki zróżnicowane, matryce osobowościowe w stanie narastającego stresu, niezbadane zmienne. Prognozy nie spełniają norm wiarygodności.

- Tak? - Cooper wskazał na materiał wideo wyświetlany właśnie pomiędzy wykresami. Był to widok z dużej wysokości na skaliste tereny wokół południowej granicy Nowego Kanaan. I na tętniące życiem obozowisko, w którym dwadzieścia tysięcy ludzi sposobiło się do wojny.

- Dla mnie to całkiem jasna prognoza.

- Nieistotne.

- Armia zamierza przekroczyć granicę Reduty, a ty twierdzisz, że to nieistotne?

- Nie. Nie armia. Milicja. Statystycznie znacznie mniej skuteczna.

- Jasne - mruknął Cooper. - Ale jest coś, czego jeszcze nie pojąłeś, Erik. Dane to nie wszystko. Są jeszcze emocje, których nie da się skwantyfikować. Zamordowaliście tysiące ludzi, a Ameryka zobaczyła to na żywo w telewizji. Chcesz znać moją prognozę? - Wbił ręce w kieszenie. - Otóż prognozuję, że ci ludzie po was przyjdą.

- Wyglądasz na prawie zadowolonego - zauważył Jakob.

A żebyś wiedział, oślizły łajdaku. Zaatakowaliście mój kraj, zabiliście moich żołnierzy, zamordowaliście mojego prezydenta...

Cooper pomilczał chwilę, by uspokoić oddech.

- Po prostu mam już dość tego, że wszyscy starają się pogorszyć sytuację.

- Cooper - odezwał się z wahaniem Erik Epstein. - Ja... Ja tego nie chciałem. Zmusili mnie. - Miliarder rozejrzał się po sali, jakby szukał poparcia albo liczył na to, że ktoś go rozgrzeszy. - Nie było łatwo. Nie jest. Ja... Ja wciąż słyszę wybuchy, widzę, jak oni umierają. Nie chciałem ich skrzywdzić, ale oni chcieli skrzywdzić nas. Zamierzali. Nie miałem wyboru. Zmusili mnie.

Ciemne kręgi pod oczami, wyjątkowa nerwowość, ramiona skulone bardziej niż zwykle. On cierpi. Uświadomiwszy to sobie, Cooper nie zaczął mu współczuć.

- Rozumiem, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś - odpowiedział spokojnie, nawet chłodno. - Ale ludzie, których zabiłeś, nie byli potworami. Służyli państwu. Zabiłeś przywódców i żołnierzy. Jeśli szukasz współczucia, to wiedz, że u mnie go nie znajdziesz.

Szczęka Epsteina opadła, jakby ktoś uderzył go w twarz. Przez chwilę spoglądał przed siebie, a potem odwrócił się. trąc oczy wierzchem dłoni. Otaczające go hologramy zawibrowały i znieruchomiały w powietrzu. Jakob spojrział na Coopera z pogardą, po czym podszedł do brata i otoczył go ramieniem.

Stojąc plecami do Coopera, Erik rzekł:

- Milicja nie jest istotnym czynnikiem. Brak zaawansowanego uzbrojenia, brak wsparcia z powietrza. Czynniki nieistotne.

- Znowu nie doceniasz siły emocji. Zwłaszcza nienawiści.

- A ty nie doceniasz nas - warknął Jakob. - Znowu. Zapewniam cię, że Reduta nie jest bezbronna.

- Mimo to...

- Inni już próbowali nas skrzywdzić. Zginęli. Ci też zginą, jeśli spróbują. - Erik odwrócił się gwałtownie. - Spłoną na pustyni.

Spłoną na pustym? To nie może być przypadkowy dobór słów.

~ Zatem to prawda — odparł Cooper. — Tyle się mówiło o waszym uroczym pierścieniu obronnym. O Wielkim Murze Tesli.

- Jeżeli „małym pierścieniem obronnym” nazywasz zwielokrotnioną sieć dziesięciu tysięcy emiterów mikrofalowych, generujących ukierunkowane fale zdolne zmienić ciało w popiół, a kości w pył, to owszem. Mamy coś takiego - odparł Jakob.

- Ja tego nie chcę - wtrącił Erik. - Lubię ludzi.

Cooper znowu miał ochotę mu dopiec, powiedzieć otwarcie o wszystkim, czego miliarder powinien był się wstydzić, za co powinien cierpieć. Powstrzymał się jednak. Czyny Erika mówiły same za siebie, ale trudno było kwestionować szczerą żal, który pobrzmiwał w jego głosie. *Nie wykonał ani jednego agresywnego ruchu, zawsze działał w samoobronie. Owszem, brutalnie, ale tylko po to, by chronić swoich.*

Poza tym, czy ci się to podoba, czy nie, będziesz potrzebował jego pomocy.

- John Smith — powiedziała Millie. Znowu patrzyła na Coopera, a w jej oczach odbijały się ruchome hologramy.

Westchnął ciężko.

- Tak. Sprawy wyglądają fatalnie, ale on sprawi, że będzie jeszcze gorzej — zaczął, a potem opowiedział, jak ścigał Abe'a Couzena, o walce na ulicy i pościgu na dworcu kolejowym, o przejawach nowo nabytych darów naukowca i wreszcie o porwaniu. - Nie można wykluczyć, że Smith po prostu nie chce dopuścić, by serum wpadło w nasze ręce.

- Nie — odparł Erik. - Tak zachowałby się gracz-improvizator, a Smith jest arcymistrzem. Każdy ruch musi zadziałać z najwyższą możliwą skutecznością, i to na wielu poziomach.

- Zgoda.

-I właśnie dlatego trzy miesiące temu prosiłem, żebyś go zabił.

Mój Boże. Trzy miesiące. Naprawdę tak niewiele czasu minęło?

Cooper wrócił myślą do owego dnia, w którym po raz pierwszy rozmawiał z prawdziwym Erikiem Epsteinem. Usłyszał wtedy opowieść o starożytnych czasach, o terrorystach z pierwszego wieku, którzy zabijali w Judei Rzymian i tych, którzy z nimi kolaborowali. I o tym, jak represje dotknęły nie tylko zabójców, lecz także ogół Żydów. Przypadek Johna Smitha miał wyglądać podobnie - gdyby przeżył, siły zbrojne Stanów Zjednoczonych miały zaatakować RNK najpóźniej za trzy lata.

Tyle że byłeś łaskaw darować życie Smithowi - ba, omal go nie rozgrzeszyłeś! - i dlatego inwazja nastąpiła już po trzech miesiącach.

Zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne, dokładnie tak, jak uczył cię ojciec. A teraz świat cierpi za twoją uczciwość.

W pewien bardzo realny sposób wszystko to twoja wina.

- Tak - powiedziała Millie.

Zwalczył w sobie pragnienie, by spojrzeć na nich spode łba i zawołać, że spisał się najlepiej jak umiał. Panował nad sobą z każdą chwilą coraz pewniej, aż wreszcie mógł przemówić całkiem spokojnie:

- Omówiliśmy już moje błędy I wasze. A teraz trzeba o nich zapomnieć i skupić się na wielkim finale. Bo John Smith bez wątplenia właśnie to robi.

Przez chwilę bracia spoglądali na siebie w milczeniu, aż wreszcie Erik obrócił się ku Cooperowi.

- Co proponujesz?

- Najpierw musimy znaleźć Smitha. Przypuszczam, że nie wiecie, gdzie go szukać?

- Nie wiemy.

- Wcześniej wiedzieliście.

- Wcześniej.

Świetnie. To tyle, jeśli chodzi o proste rozwiązania.

~ Wobec tego będę musiał pogadać z kimś, kto wie. - Cooper odetchnął głęboko i bardzo powoli. - Z człowiekiem, który mnie zabił.

*Chciałem się tylko
przekonać, czy zadziała.*

- ERNIE ITO, LAT 11, PYTANY O TO, DLACZEGO SKAZIŁ
SZKOLNĄ STOŁÓWKĘ WYHODOWANYM PRZEZ SIEBIE
SZCZEPEM BAKTERII JADU KIEŁBASIANEGO. W WYNIKU
CZEGO

DO SZPITALA TRAFIŁO PONAD CZTERYSTA DZIECI
(JAK DOTĄD ZMARŁO TROJE).

ITO, UZDOLNIONY DRUGIEGO POZIOMU,
WYHODOWAŁ BAKTERIE W RAMACH
SZKOLNEGO PROJEKTU NAUKOWEGO.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W miarę jak łańcuch się napręzał, Luke Hammond czuł coraz wyraźniej, że coś dojrzewa i rozkwita w jego piersi: surowe uczucie, którego doświadczył w życiu już kilkakrotnie.

Gdy miał dziewiętnaście lat i leżał skulony w krzakach gdzieś w Laosie, przyglądając się płonącej wiosce, nad którą wznosił się ku deszczowemu niebu słup czarnego dymu.

Na dachu zrujnowanego budynku w Bejrucie, gdy tuż obok w chmurze pyłu walił się starożytny meczet.

Przed monitorem komputerowym, gdy obserwował poczynania operatorów likwidujących obóz szkoleniowy w Salwadorze.

Nie było to uczucie, którego szczególnie pożądał. Nie był nawet z niego dumny. Nie próbował nauczyć swych synów, by się w nim lubowali. Nigdy nawet nie rozmawiał z nimi na ten temat, ale podejrzewał, że obaj znali je równie dobrze jak on.

Gwałtowna, straszliwa rozkosz niszczenia. Triumfalne wycie zwycięzcy... nie, niezupełnie: raczej poczucie mocy. Mocy, którą ty posiadasz, a przeciwnik nie.

Wrzucił bieg i spojrzał na prawo i lewo, na dziesiątki innych wozów - pick-upów, terenówek i lekkich ciężarówek -Sprzężonych łańcuchami z zimnej stali do ogrodzenia, za którym kryli się mordercy jego synów.

A potem przeciągle zatrąbił klaksonem. I jeszcze raz.

Po trzecim sygnale wcisnął gaz do dechy. Ryk kilkudziesięciu silników upewnił go, że pozostali kierowcy uczynili to samo.

Zawyła przeciążona stal, bliska rozerwania, więc puścił pedał, cofnął może o trzy metry i znowu napał całą mocą silnika. Inni też to zrobili i wspólnym wysiłkiem raz jeszcze naprężyli łańcuchami grubą siatkę. Ziemia trzeszczała pod kołami, drut kolczasty wieńczący ogrodzenie pojękiwał coraz głośniej, aż wreszcie runął pierwszy słup, a zaraz po nim jego dziewiętnastu braci. W lusterku wstecznym Hammond zobaczył, jak sto metrów pierwszej bariery chroniącej Redutę Nowe Kanaan chwieje się i pada.

A potem rozległy się wiwaty tłumu.

- Ko-niec-z tym!

Tysiące głosów w zgodnym rytmie.

- Ko-niec-z tym!

Potężna fala dźwięku rezonowała w jego piersi, krew rytmicznie pulsowała w żyłach, aż wreszcie i z jego płuc wyrwało się wycie:

- Ko-niec-z tym!

Ostatnie dni były pasmem niekończących się zajęć. Pięćdziesiąt spraw do załatwienia naraz i setka superpilnych zadań. Ustanowili hierarchię dowodzenia, bez oficjalnych rang i stanowisk, ale z nieformalnym podziałem obowiązków. Na jej szczycie znalazł się Miller, Luke był jego numerem drugim, a wsparcie zapewniało im dziesięciu innych byłych żołnierzy Pod ich nadzorem działali dowódcy wybrani przez poszczególne grupy ochotników. Miller nalegał, by zastosować taki system: płytką, za to rozległą strukturę dowodzenia. W efekcie jego podwładnymi zostali analitycy, pracownicy agencji reklamowych, szefowie klubów motocyklowych, przełożeni prowincjonalnych organizacji paramilitarnych, liderzy straży sąsiedzkich i drużynowi skautów. Ci, którzy przybyli z całymi grupami ochotników, pozostali na ich czele. Inni dobierali sobie drużyny jak podczas podwórkowego turnieju koszykówki i w rezultacie powstały dość przypadkowe oddziały liczące od dziesięciu do dwustu ludzi.

Jak dotąd system się sprawdzał. Wiele różniło członków milicji, ale jednoczyły ich gniew, ból i poczucie straty. Zdarzały się i spory, ale było ich znacznie mniej, niż Luke się spodziewał.

- Jeżeli tylko uda się przeć naprzód - rzekł mu Miller -będziemy się trzymać razem.

- Przynajmniej do czasu, aż zaczną ginąć ludzie. To nie jest armia.

Generał uśmiechnął się smutno.

- Dopiero gdy zaczną ginąć ludzie, będziemy naprawdę zjednoczeni.

Luke pomyślał wtedy, że czas pokaże, czy miał rację. Znał Millera od lat i nauczył się nie stawać mu na drodze. Poza tym - mieli sporo roboty.

To, co zaczęło się jako spontaniczne zbiegowisko, szybko stało się wręcz masową akcją. Ludzie starali się wykorzystywać doświadczenie nabyte w cywilu: księżowi zajmowali się logistyką, profesorowie historii nauczali taktyki, kucharze gotowali dla tysięcy. Ale tym, co naprawdę sprawiło różnicę, było wsparcie ze strony prywatnych darczyńców.

- Popatrz tylko, szefie, mamy oficjalnego sponsora! — zażartował Ronnie Delgado, gdy przyjechały pierwsze ciężarówki z logo *Finest Supplies*. Osiemnastokółowce pełne konserw, butelkowanej wody, koców, karabinów i amunicji były darem od Ryana Fine'a, dyrektora firmy nazywanego w wiadomościach „ekscentrycznym miliarderem”.

- To właśnie jest wspaniałe w byciu miliarderem - stwierdził Delgado. — Biedaka nazwaliby po prostu wariatem.

Delgado był pomocnikiem na farmie, a wcześniej służył w Gwardii Narodowej. Miał dwadzieścia osiem lat i, jak się okazało, zesłały go niebiosy: pracował niestrudzenie i nigdy nie brakowało mu dowcipnych komentarzy skutecznie poprawiających nastroje towarzyszącej mu broni. Przede wszystkim jednak miał niezwykły talent do zajmowania się końmi.

Gdy generał Miller oznajmił, że udało mu się przekonać Ryana Fine'a do otwarcia bram stajni - *Delgado: „Co takiego jest z tymi rekinami biznesu, że gdy tylko mają dość forsy, zaczynają gustować w kowbojskich butach?”* - Luke nie był zachwycony. Wydawało mu się, że tysiąc hałaśliwych i śmierdzących zwierząt w kolumnie ochotników oznaczać będzie więcej kłopotów niż pożytku. Nie należał nigdy do tego nowego gatunku żołnierzy, którzy bardziej przypominają hakerów niż wojowników, uważał jednak, że tym razem generał przesadził z „powrotem do przeszłości”.

— Konie się nie psują - oznajmił mu Miller. - Nie szkodzą im

wirusy komputerowe. Nie potrzebują benzyny.

— A gdy skończy nam się pasza dla nich?

— Wtedy będziemy mieli świeże mięso.

Teraz, po długim, intensywnym wysiłku i serii szybkich decyzji, po wielu dniach pracy do późna i picia podłej kawy, nareszcie nadszedł czas. Stumetrowa dziura w granicznym płocie otaczającym Nowe Kanaan była pierwszym ciosem.

Samochody ruszyły jako przednia straż. W każdym towarzyszył kierowcy milicjant uzbrojony w strzelbę, a całą przestrzeń ładunkową wypełniono zapasami. Było to przeciwieństwo tradycyjnej taktyki - zwykle nie wysyłano przecież taborów przed głównymi siłami armii - ale dowódcy nie sądzili, by pojazdy zajechały zbyt daleko.

Za nimi pomaszerowała reszta Nowych Synów Wolności, z plecakami na ramionach i z karabinami w garści, w luźnych grupkach. Dwadzieścia tysięcy ludzi ubijało buciorami suchą ziemię, przechodząc przez wyrwę w ogrodzeniu. Panowała temperatura poniżej zera, ale niebo pozostało czyste i gromady mężczyzn - kobiet było zdecydowanie mniej - kroczyły w głąb enklawy z werwą, gawędząc cokolwiek nerwowo, pokrzykując i podśpiewując, jakby czekał je mecz futbolu amerykańskiego, a nie wojna.

- No proszę, jak pięknie maszerujemy na największy lincz świata - odezwał się Delgado.

- Ejże - upomniał go ostro Luke. — Daruj sobie.

-Żartowałem, szefie...

- Więc nie żartuj. Może i nie jesteśmy Armią Kontynentalną, ale nie jesteśmy też Ku-Klux-Klanem. Tu nie chodzi o nienawiść.

- Mój brat jako pierwszy z rodziny poszedł na studia - odparł Delgado. - Do Princeton, na pełne stypendium. Potem pokonał pięciuset kandydatów, żeby zostać stażystą w Białym Domu. Zwykle zajmował się podawaniem kawy i odbieraniem telefonów. I zapewne właśnie to robił, gdy Epstein wysadził go w powietrze, więc...

- Moi synowie - wpadł mu w słowo Luke Hammond, próbując zapanować nad drżeniem głosu - spłonęli żywcem. Jeden był pilotem myśliwca, a drugi celowniczym w czołgu. Wszyscy tu kogoś stracili, Ronnie. - Odetchnął głęboko. -Zajrzyj do koni, dobrze? - poprosił i dodał

po krótkiej pauzie: - Przykro mi z powodu twojego brata.

Delgado skinął głową.

-Mnie też. Z powodu twoich synów, szefie.

Luke ruszył wzdłuż tłumu maszerujących, raz po raz ściskając dłonie i odpowiadając na pytania. Wszyscy wiedzieli, kim jest, i co chwilę słyszał hasło „Koniec z tym!”. Odpowiadał identycznym zawołaniem; treść tych słów już dawno straciła niego znaczenie, pozostał tylko znajomy dźwięk.

Minęła godzina, zanim dogonił Millera. Generał szedł pieszo niemal na czele kolumny. Uśmiechnął się, widząc Luke'a.

- „I dzień świętego Kryspina nie minie, od dzisiejszego dnia do końca świata, by imię nasze z ust do ust nie brzmiało”.

- „Nas, małej, ale szczęsnej garstki braci - odpowiedział Luke. - Bo kto dziś ze mną kroplę krwi wyleje, mym będzie bratem”. *Henryk V*. Myślisz, że już dziś po południu poleje się krew?

Miller wzruszył ramionami.

- Na pewno wkrótce.

- Wiesz, że mogliśmy zorganizować ci jeepa? Nie musisz iść pieszo.

- A wiesz, że MacArthur też nie musiał brodzić w wodzie, żeby się dostać na brzeg na Filipinach? Saperzy przygotowali mu ponton. Ale on wiedział, co robi. - Generał zerknął na zegarek, a potem zapatrzył się w horyzont. Właściwie nie było tam nic ciekawego: piaszczysta równina z rzadka porośnięta wysuszonymi krzakami, aż po dalekie góry piętrzące się pod ponurym niebem. Nawet bardzo ponurym, zważywszy na to, że stamtąd właśnie miała nadejść śmierć, gdy już rozpęta się piekło zniszczenia.

To będzie kluczowy moment, pomyślał Luke. Chwila, w której albo zwyciężymy, albo damy się złamać, a Nowi Synowie Wolności nie staną się nawet przypisem w książkach historycznych.

- Mogę cię o coś spytać? Ten cały sekretarz Leahy... Ufasz mu?

- Nieszczególnie - odparł Miller. - Owen jest politykiem. Ale wierzę, że dotrzyma słowa: zatrzyma wojsko. A to dlatego, że ma w tym interes. Uważa, że jeśli wkroczymy dostatecznie daleko na terytorium Reduty, Epstein stanie przed nim z kapeluszem w dłoni. Że sprzeda

wolność swoich ludzi, żeby ocalić im życie.

-Tak właśnie myślałem. Ale skoro nas wykorzystuje...

- To dlaczego się na to godzimy? Po pierwsze, jest nam to na rękę. Ale ważniejsze jest to, że zanim Leahy się zorientuje, że mamy inne plany, będzie już za późno.

Luke spojrział na niego przenikliwie.

- Nie zamierzasz się zatrzymać?

- Byłeś w Wietnamie. Czego się nauczyłeś o „częściowych rozwiązaniach”?

- Że nie działają.

Miller kiwnął głową.

- Pójdziemy na całość. Spalimy RNK do gołej ziemi.

- Ale... jest jeszcze Pierścień Voglera. Jeżeli choćby połowa plotek okaże się prawdą, to...

- Okaże się. Napotkamy dziesięć tysięcy emiterów mikrofal o nakładających się polach rażenia. Rozmawiałem ze starym kumplem z DAR, czytał raport. Kto tam wejdzie, najpierw poczuje gorąco, potem dozna czegoś w rodzaju poparzenia słonecznego, a następnie eksplodują mu oczy. a krew się zagotuje.

- Rząd pozwolił mu zbudować coś takiego? - Luke pokręcił głową. - Politycy.

- W rzeczy samej. Nie wątpię, że przy okazji Epstein dokonał paru hojnych darowizn. Myślę jednak, że udało mu się to głównie dlatego, że jest to instalacja o czysto obronnym charakterze, bezużyteczna w walce z siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych.

- Wystarczyłoby jedno bombardowanie, żeby w dziesięć toinut przetrzeć szlak. - Luke świsnął przez zęby. - Tylko że nie mamy ani artylerii, ani wsparcia z powietrza. Da się jakoś obejść te emitery?

- Stworzono ten system po to, żeby zamienić Teslę w ostatnią twierdzę. Cała populacja Reduty ma się schronić w stolicy, a sieć urzędów otaczająca miasto wykona całą robotę: będzie nieprzebytym pierścieniem śmierci.

- W takim razie jak mamy się przebić?

Miller uśmiechnął się.

_____ *Na miłość boską, jestem*
waszym sąsiadem. Dlaczego to robicie?

- LEE PARKER, LAT 32, DO ZAMASKOWANYCH
NAPASTNIKÓW,

KTÓRZY NAJPRAWDOPODOBNIJ GROZILI MU BRONIĄ

I PODPALILI JEGO DOM W PORTLAND. INTRUZI WZIĘLI

GO OMYŁKOWO ZA LEIGH PARKER, LAT 25,

UZDOLNIONĄ TRZECIEGO POZIOMU - KOBIECĘ! -

KTÓREJ NAZWISKO POJAWIŁO SIĘ

NA LIŚCIE NIENORMALNYCH, OPUBLIKOWANEJ PRZEZ
GRUPĘ

HAKERSKĄ KONSTANT KOS.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Hol był szeroki i wysoki, a pod jego stropem biegły potężne rury systemu wentylacyjnego, wibrujące i poświstujące pod naporem strumienia powietrza. Metr wyżej z betonowego sklepienia sterczały pęki kolorowych przewodów prowadzących do baterii słonecznych ułożonych na dachu - przypominały mu wstążki, którymi mama przewiązywała gwiazdkowe prezenty, by następnie zakręcić je w spiralki za pomocą ostrej krawędzi nożyczek. Hawk trzymał wartę przyczajony między wspornikami łączącymi kanały wentylacyjne ze stropem. Zawsze uwielbiał się wspinać i dlatego nie posiadał się z radości, gdy odkrył, że jeśli pochwyci którąś z pionowych rur i zaprze się stopami o ścianę, może bez trudu wejść na górę, a następnie jednym skokiem znaleźć się między wspornikami. Spędzał tam całe godziny, z reguły właśnie w holu, ale czasem zakradał się i do innych pomieszczeń, podążając śladem ludzi.

Inni śmiali się z jego zwyczajów, ale większość bez zbytej złośliwości. Raz Tabitha powiedziała nawet: „Zostawcie go w spokoju. Aaron trzyma straż”. Miała dziewiętnaście lat i brała udział w misjach, a gdy wypowiadała te słowa, uśmiechnęła się do niego. Lubił udawać, że ów uśmiech coś znaczył, choć wiedział, że to nieprawda.

Ty także pójdziesz na misję, myślał Aaron Hakowski. Kto może nawet razem z Tabithą?

Bardzo chciał jej powiedzieć, żeby nazywała go Hawkiem, ale bał się, że go wyśmieje. Mimo to było coś krzepiącego w słowach, których użyła: „trzyma straż”. Jakby był rycerzem.

Świętym wojownikiem. Oto Hawk, trzymający straż w milczącym oddaniu. W końcu znajdowali się za linią wroga. No, może nie prawdziwego wroga, bo przecież Reduta była enklawą uzdolnionych, ale siły bezpieczeństwa Erika Epsteina mogły ich odkryć w każdej chwili - wszyscy o tym szeptali. Aaron raczej nie chciał, by do tego doszło, ale miał nadzieję, że trzymając straż, będzie mógł przynajmniej ostrzec pozostałych. A może i pomóc? Skoczyć z góry między intruzów i ukraść któremuś broń?

Idioto. Przecież to obdarzeni. Co miałby działać czternastoletni normalny przeciwko nim?

A jednak. Zapewne nie oczekiwali ataku. Gdyby dyskretnie pokonał jednego, mógłby podkraść się do pozostałych. Dobrze strzelał; ćwiczył tak długo, aż palec wskazujący zaczął krwawić. Gdyby miał karabin i znalazł się za żołnierzami -zapewne ubranymi na czarno i w hełmach upodabniających ich do owadów — którzy mierzyliby do Tabithy, z jakiegoś powodu odzianej w białą, podartą halkę...

Odgłos szybkich kroków przykuł jego uwagę. Korytarzem szli dwaj naukowcy, prowadząc nosze na kółkach. W chwili, gdy na nich spojrział, pięść zimnego wiatru otworzyła drzwi frontowe. Haruto Yamato, na którego podczas zajęć z walki wręcz mówili *sensei*, wpadł do środka w towarzystwie panny Herr, która budziła w Aaronie strach. Wlekli pod ręce starszego mężczyznę, którego bezceremonialnie rzucili na nosze. Sekundę później w holu zjawił się kolejny mężczyzna - potężnie zbudowany, ale stąpał ostrożnie, jakby bardzo cierpiał.

John wszedł jako ostatni, lecz jak zwykle wydawało się, że jest wśród nich pierwszy. Aaron często się zastanawiał nad tym, z czego to wynika - podejrzewał, że chodziło o sposób, w jaki wszyscy na niego patrzyli. Zachowywali się przy nim tak, jakby byli kompasami, on zaś biegunem północnym. John przemówił do naukowców, którzy pospiesznie skrępowali taśmami nadgarstki i kostki starca.

- Charly, Haruto, będziecie ubezpieczać. Widzieliście, do czego Couzen jest zdolny. Nie życzę sobie żadnych niespodzianek. Paul, idź z nimi, niech ktoś spojrzy na tę ranę.

- Nie, zostanę z...

- Paul. - John położył dłoń na ramieniu potężnego mężczyzny. - Będziesz mi potrzebny.

Aaron poczuł ukłucie zazdrości. Wyobraził sobie, że to jemu John kładzie dłoń na ramieniu, że spogląda mu w oczy i mówi: „Będziesz mi potrzebny, Hawk”.

Nie bądź głupi.

Starszy mężczyzna leżał na noszach tuż pod nim. Aaron przyjrzał mu się uważnie, pomny tego, co tak wiele razy słyszał od matki: że większość ludzi kroczy przez życie z zamkniętymi oczami. Zaraz też

wróciło wspomnienie sprzed kilku lat: samochód, złociste słońce, powrót z McDonalda. Jedli razem frytki z otwartej torebki, a matka pytała go o szczegóły: imię na identyfikatorze kasjerki, kwotę zamówienia, kolory samochodów stojących obok na parkingu, z którego odjechali. I ta duma w jej oczach, gdy bezbłędnie odpowiedział na wszystkie pytania — uśmiechała się, ale nie tak uprzejmie jak na zdjęciach, tylko naprawdę, jak wtedy, gdy ją rozśmieszała...

Dość.

Facet był chudy, miał wielki nos i łysą głowę. Był nieprzytomny, a mimo to wyglądał na wściekłego. Miał mocno podrapaną twarz i było w tym coś dziwnego, bo Aaron nie wyobrażał sobie, by *sensei* Haruto mógł podrapać kogoś jak mała dziewczynka. Panna Herr tym bardziej nie mogła tego zrobić - nawet w czasach, gdy naprawdę była małą dziewczynką, jeśli kiedykolwiek nią była. Aaron przyjrzał się więc leżącemu jeszcze uważniej i wtedy dopiero dostrzegł ciemne obwódki pod paznokciami starca.

- Raz, dwa, trzy - odliczył jeden z naukowców i na „trzy” unieśli nosze, by rozłożyć ich podwozie. *Sensei*, panna Herr Muskularny mężczyzna podążyli za nimi w stronę laboratorium. Aaron chciał ruszyć ich śladem, ale zauważył, że John został: stał pod ścianą, jakby czekając, aż pozostali znikną mu z oczu, a wtedy zgarbił się nieco, jakby nagle poczuł na barkach niezmierny ciężar. Przysiadł na ławce, oparł łokcie o kolana i zapatrzył się przed siebie.

- Cześć, Hawk — powiedział, nie podnosząc głowy.

Aaron poczuł nagle coś, czego nawet nie umiał nazwać, a co żywo przypominało mu doznania z owej chwili, gdy Tabitha uśmiechnęła się do niego. W pierwszej chwili chciał się cofnąć za wiązkę kabli, ale po namyśle chwycił się wspornika i opuścił się w dół. Zaraz też pożałował decyzji, bo podłoga wydała mu się niebezpiecznie daleka, ale gdyby miał się cofnąć, musiałby rozhuścić się i niezgrabnie wdrapać z powrotem na rurę wentylacyjną, a nie wyobrażał sobie, że mógłby to zrobić w obecności Johna. Dlatego wziął głęboki wdech i rozluźnił uchwyt, nie czekając, aż najdą go nowe wątpliwości. Spadł z wysokości niespełna trzech metrów i odczuł to boleśnie, ale był dumny, że nie dał tego po sobie poznać.

- Czołem, panie Smith.
- John.

Aaron znowu się zarumienił.

- Czołem, John. Kto to był?
- Uczony, niejaki Abraham Couzen.
- Obdarzony?
- Nie. Zwykły geniusz.
- Pomoże nam?
- Można to tak nazwać.

Aaron zamyślił się na chwilę.

- A zatem nie jest jednym z nas, ale coś wie.

John uśmiechnął się przelotnie, ale z wyraźnym zadowoleniem.

- Zgadza się. Wynalazł coś bardzo ważnego. Możliwe, że w ciągu ostatnich paru tysięcy lat nie wynaleziono niczego ważniejszego.

- Rany — mruknął Aaron. — I powie nam o tym?
- Nie musi. Już przejąłem jego wynalazek.
- W takim razie po co nam on?
- Po części po to, żeby nie przyszło mu do głowy porozmawiać z kimś innym. A po części po to, żebym mógł się przekonać, co się z nim stanie.

- A co miałoby się stać?
- Zapewne umrze.
- Och.

John uniósł głowę. Różnił się od większości dorosłych, którzy tak naprawdę patrzyli na dzieci tylko wtedy, gdy byli na nie wściekli. Między innymi za to Aaron tak go kochał: John naprawdę go widział, patrzył na niego i rozmawiał z nim jak z kimś ważnym, a nie jednym z wielu smarkaczy, kolejną sierotą wojenną, której matka...

Dość.

- Wszystko w porządku?

Aaron przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

- Dlaczego on umrze?
- Jest za stary.
- Nie wydawał mi się aż tak stary.

Wydawało się, że John odpowie, ale nie zrobił tego, za to poklepał

dłonią wolne miejsce na ławce. Chłopak usiadł.

- Wiesz, mama była z ciebie bardzo dumna.

Wiem, chciał odpowiedzieć Aaron, ale gdy otworzył usta, uświadomił sobie, że nie ufa swoim emocjom, i dlatego milczał, zapatrzony w czubki swoich butów. *Tylko nie płacz, nie jesteś babą, więc nie płacz.*

Rozległ się trzask zapalniczki, a zaraz potem w powietrzu rozszedł się ostry zapach dymu.

- Zdradzić ci sekret? - spytał John.

Hawk uniósł głowę i skinął głową szybciej, niż zamierzał.

- Wkrótce zwyciężymy.

- Naprawdę? Dzięki doktorowi Couzenowi?

John Smith zaciągnął się głęboko papierosowym dymem.

- Po części. Jest ostatnim elementem planu, nad którym pracowałem od bardzo, bardzo dawna. Planu, który wszystko zmieni.

- Na czym on polega?

- To skomplikowane.

- Jestem dość bystry.

- Wiem, Hawk. - W głosie Johna pobrzmiwała niemal uraza. -

Wiem o tym.

- To znaczy: jasne, jestem tylko normalnym. Żałuję, że tak jest, ale cóż mogę poradzić? Zrobiłbym wszystko dla... - Aaron ugryzł się w język, by nie powiedzieć „ciebie”, i zamiast tego dodał: - ...sprawy. - Zaraz potem zauważył, że jego przyjaciel patrzy na niego dość dziwnie i przyszło mu do głowy, że być może ugryzł się nie dość szybko. - No co?

John spoglądał na niego przez bardzo długą chwilę, zastygły z papierosem w pół drogi do ust.

Jakby zapomniał, że go palił.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Soren patrzył.

Jego klatka składała się z metalowych kwadratów o przekątnej około czterdziestu pięciu centymetrów każdy. Sześć kwadratów wysokości, sześć szerokości i dziesięć długości. Podłoga była z betonu. Stalowe drzwi zajmowały powierzchnię dokładnie dziesięciu płytek.

Każdą z nich pomalowano błyszczącą, białą emalią i naznaczono liniami drobnymi otworów — jedynych źródeł światła. Płonęła za nimi dzień i nocą ta sama blada poświata, która nigdy nie gasła i nigdy nie jaśniała. Zmiany zdarzały się tylko w chwili, gdy do celi tłoczono gaz, przez wszystkie otwory jednocześnie. Tuman wirującej mgły sprawiał wtedy, że Soren czuł się tak, jakby frunął przez rozświetlone słońcem chmury.

Za każdym razem, gdy tłoczono gaz, właściwie nie miał wyboru: mógł jedynie oddychać spokojnie i czekać.

Dwa razy dziennie przez szczelinę w drzwiach wsuwano mu tackę z mętną zupą zawierającą niezbędne aminokwasy. Tacka była umocowana na stałe, a zamiast łyżki dostawał szeroką papierową słomkę. Plastikowy sedes zespolony z podłogą służył mu za toaletę. Niewątpliwie był obserwowany, a wrażliwe czujniki ukryte za metalowymi płytkami ściennymi zapewne rejestrowały wszystkie parametry życiowe.

Po raz pierwszy potraktowano go gazem, gdy kilkakrotnie odmówił przyjęcia pokarmu. Obudził się na swojej pryczy (dwie płytki szerokości, cztery długości), nagi i z nieprzyjemnym wrażeniem, że dokonano gwałtu na jego przełyku, pakując doń rurę służącą zapewne do dostarczenia składników odżywczych wprost do żołądka. Kilka razy zdarzyło się też, że obudził się wykąpany. W pamięci utkwiał mu jeszcze niedawny epizod, gdy ocknął się z lekkimi otarciami na nadgarstkach i kostkach, co mogło oznaczać, że spętano go, gdy był nieprzytomny. Być może dokąś go wtedy przewieziono, ale tego mógł się jedynie domyślać.

Soren niemal przez całe życie poszukiwał nicości, ale monotonia

klatki, w której był zamknięty, nie miała nic wspólnego z nicością. Była przekleństwem sprawiającym mu fizyczny ból. Oceanem czasu, w którym tonął. Bez książek, bez okien, bez gości, bez choćby pająka na ścianie, w którego mógłby się wczuć. Wspomnienia w większości nie były dla Sorena ucieczką. Owszem, zdarzyło mu się w życiu kilka chwil prawdziwego zadowolenia, a może nawet szczęścia, i cenił je sobie ogromnie. Starał się przypomnieć sobie każdy detal partii szachów z Johnem albo miękkie zagłębienie w szyi Samantha, cieniste w popołudniowym słońcu. Jednakże były to mentalne klisze, które wyświeślał tak wiele razy, że ich kolory zaczynały blaknąć, i lękał się, że je straci. Mógł ćwiczyć, medytować i masturbować się, ale zdecydowaną większość czasu spędzał beczynnie.

I dlatego zaczął liczyć.

Rachunek nie był trudny: dziurki w płytkach rozmieszczono w przesuniętych rzędach po 48, zatem w każdym kwadracie było ich 2304. To dawało 419 872 otwory w 182 płytkach, minus 3456 zasłoniętych przez prycę, zatem pozostało 415 872.

Sama liczba nie miała znaczenia; służyła jedynie jako punkt odniesienia: dzięki niej mógł się zorientować, że przy kolejnym zliczaniu pominął którąś dziurkę albo policzył podwójnie - wtedy zaczynał od początku. Był niczym Syzyf, bez końca toczący swój głaz zboczem góry w Tartarze i bez końca go gubiący, by zacząć wędrówkę raz jeszcze.

Camus napisał, że trzeba wyobrazić sobie Syzyfa jako człowieka szczęśliwego, jego absurdalne zmagania są bowiem odbiciem wysiłków ludzkości poszukującej sensu w świecie, który jest go pozbawiony, co oznacza, że musi jej wystarczyć sama walka. Tyle że Camus nigdy nie siedział w takiej klatce-ani w tej fizycznej, ze stalowych płytek, ani w klatce umysłu Sorena, którego przekleństwo polegało na tym, że każdą sekundę rozciągał jedenastokrotnie. Nie mając sposobu na odróżnienie dnia od nocy, trudno było mu nawet stwierdzić, jak długo był więziony - być może minęły już dwa tygodnie „rzeczywistego” czasu.

Dla niego były niczym sześć miesięcy. Sześć miesięcy spędzonych na liczeniu dziurek w ścianach.

I dlatego w pierwszej chwili nie uwierzył, gdy zobaczył, że drzwi

się poruszają. Już wcześniej miał halucynacje. Tym razem jednak drzwi nie zatrzasnęły się bezgłośnie, gdy skupił na nich spojrzenie. Otwierały się coraz szerzej. Minęło prawie dwadzieścia sekund Sorena, zanim odsłoniły postać mężczyzny stojącego na progu. A potem przez pełną minutę jego czasu po prostu mierzyli się wzrokiem.

- Cześć - powiedział Nick Cooper.

Cooper próbował się solidnie przygotować.

Gdy cywil myśli o czymś takim, z reguły chodzi mu o głęboki wdech i zaciśnięcie pięści. Sztuka polega jednak na czymś więcej. Trzeba wyobrazić sobie wszelkie ewentualności, te dobre i te złe, jak najbardziej szczegółowo. Wizualizować je sobie tak, jak czynią to astronauta przygotowujący się do spaceru w przestrzeni kosmicznej, którzy zastanawiają się tygodniami, co zrobią, jeśli puści uszczelka albo zatnie się zawór. Metoda ta sprawdziła się Cooperowi w przeszłości - lubił wkraczać do akcji, wiedząc, czego może się spodziewać i jak na to zareaguje.

Tym razem jednak nie mogła mu pomóc żadna wizualizacja.

Pierwszym odruchem był strach. Surowy, pierwotny, ściskający serce strach. Do pewnego stopnia była to reakcja niekontrolowana, sterowana podświadomością, niemal wewnątrzkomórkowa: Soren był człowiekiem, który go zabił, wbijając ostrze z włókna węglowego prosto w jego serce. Cooper przeżył swoją śmierć, doprowadził do rewanżu i zwyciężył, ale pierwotny strach pozostał przerażająco czystym uczuciem.

Zaraz jednak dołączyły doń inne emocje. Gniew na tego potwora, który zaatakował jego syna i niemal zabił tego pięknego chłopca, jedno z dwóch dzieł Coopera, o których mógł powiedzieć z przekonaniem, że dzięki nim świat stał się lepszy. Podłe poczucie własnej siły, które łechtało gądką część jego umysłu, pragnącą rozkoszować się chwilą dominacji. I jeszcze pewność, że Soren wie coś, co może się przydać. Oraz głos pod czaszką przypominający nieustannie, jak wysoka jest

stawka.

Najmniej oczekiwane i najmniej potrzebne było jednak współczucie. Jakąś częścią duszy Cooper litował się nad tą nagą i drżącą łupiną człowieka.

- Cześć.

Zamknął za sobą drzwi i postawił krzesło na podłodze. Było całkiem zwyczajne, ze szczebelkowym oparciem, ale w tym monotonnym więzieniu wydawało się szczytem ekstrawagancji. Naturalnie między innymi dlatego przyniósł je ze sobą. Prosty drewniany mebel, na który w normalnych okolicznościach nikt nie zwróciłby uwagi, a jednak w tej sytuacji miał swoją wagę. Cooper przeciągnął palcami po szczeblach i usiadł.

- Założę się — zaczął - że nie spodziewałeś się mnie jeszcze kiedyś zobaczyć, co?

Soren tylko patrzył. Absolutna obojętność biła z całej jego postaci i zachowania. Właśnie tym sposobem pokonał Coopera w pierwszym starciu. Wszyscy ludzie w jakiś sposób zdradzali swojej intencje, ale nie Soren: jego spaczone poczucie czasu sprawiało, że praktycznie nie miał intencji.

Pamiętaj o restauracji. W jednej sekundzie urocze śniadanie z rodziną, a w następnej krzyki, fontanna krwi i ten człowiek, identycznie beznamiętny, analizujący ruchy drugiego ochroniarza, by wbić nóż tam, gdzie wyrządzi najpoważniejsze szkody.

Zabił dwóch goryli, rozplątał ci dłoń na dwoje i pchnął cię prosto w serce, a zorientowałeś się w jego zamiarach dopiero wtedy, gdy zafundował Toddowi śpiączkę.

- Wiesz, gdzie jesteś?

Nic.

- Rozumiem, że nie jesteś specjalnie towarzyski — ciągnął Cooper - ale musisz wiedzieć, że tak zwana interakcja działa znacznie lepiej, kiedy obie strony mówią.

Nic.

Cooper wyprostował się i zarzucił nogę na nogę, przyglądając się więźniowi. Błada skóra, równy puls. choć lekko podwyższony, jeśli wierzyć sensorom, których wskazania sprawdził przed wejściem. Brak

drżenia rąk. Źrenice nie-rozszerzone.

Czy to możliwe, żeby stracił kontakt z rzeczywistością? W takim miejscu i normalny człowiek postradałby rozum, a co dopiero ktoś taki jak Soren.

Na jego lewej goleni widać było bliznę; rana dobrze się zagoiła, ale nowa skóra jeszcze błyszczała. Cooper nie był specjalnie zdziwiony tym widokiem: gdy spotkali się po raz ostatni, rozdeptał nogę Sorena z taką furją, że złamana kość piszczelowa przebiła mięśnie i skórę. Uśmiechnął się z wyższością, wskazując na bliznę.

- Widzę, że ładnie cię poskładali.

Mięśnie wokół oczu Sorena drgnęły nieznacznie, a nozdrza rozszerzyły się. Były to ledwie dostrzegalne zmiany, ale Cooper potrafił takie wychwytywać. Natychmiast wykorzystał przewagę:

- A co z ręką? Walisz sobie lewą, odkąd połamałem ci Wszystkie palce w prawej?

I znowu krótkotrwała reakcja, po której nie został ślad.

— Wiem, że rozumiesz, co do ciebie mówię - kontynuował Cooper. - Może i wyłączyłeś światła, ale nie wyszedłeś z domu. Spróbujmy ułatwić sobie tę pogawędkę. Siadaj.

Mężczyzna stał jeszcze przez chwilę, a potem przesunął się ku krawędzi pryczy i usiadł. Każda akcja jego mięśni była precyzyjnie odmierzona, a każdy ruch pełen gracji.

Jasne, że tak. Ma przecież jedenaście razy więcej czasu na każdą czynność.

— Od czego by tu zacząć... — Nick zaplótł dłonie za głowę. - Jesteśmy w Nowym Kanaan. Trzeba ci wiedzieć, że odkąd skopałem ci dupę, każdy dzień wygląda piękniej niż poprzedni. Po pierwsze, Reduta i Stany Zjednoczone doszły do porozumienia; armia oddaliła się bez jednego wystrzału. Następnie, w geście dobrej woli, Erik Epstein zaprzął do pracy swoją przerażająco skuteczną organizację. Dzięki temu w ostatni czwartek John Smith został zastrzelony.

Udając przesadną swobodę, Cooper ani na sekundę nie odrywał wzroku od twarzy Sorena. Dostrzegł przyspieszenie pulsu, szybszy oddech, lekkie zaróżowienie policzków oraz błysk w oczach. Przez krótką chwilę więzień wydawał mu się prawie ludzki. *Mam cię.*

Jedną sprawą była sucha wiedza o tym, że Smith i Soren dorastali w tej samej akademii i że zdaniem Shannon byli przyjaciółmi. Nikt jednak nie umiał stwierdzić, co to tak naprawdę oznacza w przypadku Sorena. Ustalenie prawdy było głównym zadaniem tego ćwiczenia.

Proszę, proszę. Okazuje się, że temu psychopacie o kamiennych oczach jednak na kimś zależy.

Pozwólmy mu macerować się przez chwilę w poczuciu straty.

— Mógłbym długo mówić o bieżącej sytuacji, ale pewnie już wyczuwasz ogólny trend. Kryzys zażegnany, koniec rewolucji, wszyscy się radują. Właściwie zostało nam tylko posprzątać. Mówię ci o tym, żebyś wiedział, jakie jest twoje położenie. - Kusiło go, żeby docisnąć mocniej, ale podstawy techniki prowadzenia przesłuchań były jasne: trzeba pozwolić delikwentowi, żeby się podgotował na małym ogniu. W tym konkretnym przypadku mogło to przynieść jeszcze lepszy skutek. Cooper wstał i przeciągnął się. - Jeszcze sobie pogadamy. Możesz się przydać albo nie. Szczerze mówiąc, mam to gdzieś, w końcu to nie ja siedzę w tej klatce. - Zabrał krzeselko i zrobił krok w stronę drzwi.

- Czekaj.

Słyszając obcy głos za plecami, Cooper teraz dopiero uzmysłowił sobie, że było to pierwsze słowo, które Soren wypowiedział w jego obecności. Odwrócił się.

- Tak?

- Wiesz, czym się zajmuję w mojej klatce?

- Z tego co widziałem, prawie niczym.

- Przeżywam na nowo chwile z przeszłości. Bez końca. Na przykład chwilę twojej śmierci. - Johansen mówił bez emocji, spoglądając przed siebie pustymi oczami. - U boku ciężko rannego syna, którego nie umiałeś obronić.

Cooper się uśmiechnął.

A potem obrócił się gwałtownie w biodrach, unosząc jednocześnie krzesło. Drewniane nogi z trzaskiem zderzyły się z twarzą Sorena. Gwałtownie pchnięty, daremnie zamachnął się ramionami, szukając podparcia: spadł z pryczy na beton, a Cooper skoczył za nim, ściskając krzesło w obu rękach. Wizualizacja ataku pomogła: potężny cios spadł na leżącego z góry, w linii pionowej, a potem jeszcze jeden i jeszcze

jeden. Twarde drewniane nogi rozrywały skórę na szyi Sorena, miażdżyły tchawicę. Paniczne spazmy wkrótce przygasły, trwały już tylko drgawki -

Soren ma czas zerowy 11,2.

Potrzebowałeś może pół sekundy, żeby zamachnąć się krzesłem
- *dla niego to sześć sekund.*

W warunkach walki wręcz to cała wieczność. A jednak się nie poruszył.

I w ogóle już się nie rusza.

— przedśmiertne.

- Nie. - Zaciskając pięści i czując ból zębów, Cooper zmusił się do zacerpnięcia tchu. Cofnął się najpierw o krok, a potem, nie odwracając się, ruszył w stronę drzwi. - Nie pójdzie ci aż tak łatwo.

Leżący na posadzce Soren uniósł się na łokciu. Splunął krwią.

I patrząc Cooperowi prosto w oczy, zaczął się śmiać.

Gdy tylko ze szczękiem pneumatycznych blokad zamknęły się za nim drzwi, Cooper stanął twarzą w twarz z Sorenem.

Potwór uciekł.

Cooper przyjął postawę bojową, szykując krzesło do ciosu...

To był hologram. Trójwymiarowa projekcja wysokiej rozdzielczości, stworzona dzięki setkom mikrokamer osadzonych tuż za ścianami celi. Holograficzny Soren zaśmiał się bezgłośnie, ocierając krew spod nosa.

Sala sterowania nawiązywała wyglądem do supernowoczesnego stylu, który definiował Redutę. Żadnych krat, żadnych okien, żadnych ochroniarzy. Rzędy monitorów ukazywały parametry życiowe nie tylko Sorena, lecz także sześciu innych mężczyzn i kobiet przetrzymywanych w tym przybytku. W każdej z ośmiu ścian pomieszczenia osadzono drzwi prowadzące do cel, a przy nich wyświetlane były szczegółowe obrazy holograficzne poszczególnych więźniów: przechadzali się, robili pompki, gapili tępo przed siebie. Jedna ze ścian była ze szkła, a za nią znajdowała się doskonale wyposażona sala operacyjna - nie brakowało nawet robota chirurgicznego, którego ramiona zwisały spod sufitu jak odnóża mechanicznego pajaka. Cały ośrodek był zdalnie sterowany: automaty napełniały i dystrybuowały tacki z posiłkami, regulowały

temperaturę i wilgotność, podawały gaz, przeprowadzały zabiegi medyczne - wystarczył komputer i odpowiedni zasób komend.

Cooper patrzył, jak Soren wraca na swoją pryczę i kładzie się. Twarz więźnia pozostała nieprzenikniona. W głębi, za hologramem, błysnęło coś purpurowego.

- Śmiało, walnij hologram jeśli masz ochotę - powiedziała Millie, odgarniając fioletowe kosmyki tak, by zasłaniały tylko jedno oko.

Cooper odetchnął głęboko.

- Nie, dziękuję.

- Mógłbyś skorzystać z mojego pokoju gier. Erik go zaprojektował. Rozdzielczość taka sama, ale postacie sterowane są programem ze zdolnością przewidywania. Poruszasz się, a system każe hologramom reagować. Przeciwnik pada, krwawi, krzyczy. Tylko samych uderzeń krzesłem nie poczujesz.

- Jeszcze nie wpadli na to, jak rozwiązać ten problem, co?

- Wpadli — odrzekła Millie — ale wymaga to implantu mózgowego. Trzeba się podłączyć kablem, żeby zobaczyć i pocuć to wszystko tak, jakby było prawdziwe. Świetny pomysł, tylko jakoś nie podoba mi się myśl o tym, żebym miała nosić coś w mózgu.

- Mnie też nie. — I nie należało wpuszczać Sorena do mojego umysłu, dodał w duchu. Usiadł w fotelu, zapadł się w nim i potarł zmęczone oczy. - Przepraszam.

- Nie szkodzi - odpowiedziała. - Podobało mi się.

Spojrzał na nią zaskoczony. Na zewnątrz wyglądała jak każda inna jedenastolatka: metr trzydzieści pięć wzrostu, pulchne policzki, zaokrąglone ramiona, patykowate iksowate nogi. Fioletowe włosy może nie wyglądały normalnie, ale służyły tylko temu, by odwracać uwagę - „patrzcie na moje włosy, nie na mnie!” - a kosmyki zasłaniające twarz pozwalały jej uciec przed światem.

Za to jej oczy... Z jej oczami było inaczej. Były starsze. Nieustannie badały świat i ludzi. Nie było w nich nawet śladu dziewczęcej niepewności.

I to właśnie jest tragedia, pomyślał Cooper. Bo bez względu na to, co widziała, bez względu na to, jak bardzo jej opinie pomagają najbogatszemu człowiekowi świata kształtować przyszłość, ona wciąż

jest małą dziewczynką i powinna bawić się lalkami, a nie diagnozować potwory. Dostrzegł filuterny uśmiech na jej ustach i poczuł, że czytała jego myśli.

- Podobało ci się? - spytał, by zmienić temat.

- Tak.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabyś...

- Bo jesteś czysty.

Zaśmiał się mimowolnie.

- Wybacz, Mills, ale akurat tego nie można o mnie powiedzieć.

Usiadła w fotelu naprzeciwko, podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Zachowywała się jak dziewczynka, ale uśmiech, którym go obdarzyła, należał do starszej kobiety. Jej spojrzenie mówiło: *Aleś ty uroczy. Pobawią się tobą przez chwilkę.*

- Dlaczego go uderzyłeś?

- Straciłem panowanie nad sobą.

- Zabiłbyś go, gdybyś stracił.

- I prawie zabiłem. Na szczęście zrozumiałem, że on chce, żebym to zrobił.

- Oczywiście, że chciał - przytaknęła Millie. - Ale ty nadal życzysz mu śmierci. Nie chodziło tylko o gniew. Widziałam. Chcesz go zabić, ponieważ skrzywdził twojego syna. Skrzywdził bardzo wielu ludzi. Ale także dlatego, że ci go żal.

- To jego miałaś czytać - zauważył drwiąco Cooper. - Nie mnie.

- Nie umiem. Sposób, w jaki on postrzega świat... Ja..-czuję się tak, jakbym patrzyła na niego przez kalejdoskop. Obraz jest nieprawidłowy. Wypaczony, zamazany, po prostu błędny. - Wzruszyła ramionami. -I dlatego czytałam ciebie.

Była to otrzeźwiająca myśl. Millie była potężną czytaczką, a teraz, gdy miała okazję obserwować go w scenie tak pełnej emocji... Cóż, pewnie znała już wszystkie jego sekrety: impulsy, za które powinien być się nienawidzić, pragnienia mieszkające w najmroczniejszych zakamarkach duszy, nawet tę część jego natury, która rozkoszowała się rolą prześladowcy.

Ta myśl, ten głos podświadomości, wstrząsnął nim. *Czy to prawda? Czy naprawdę dobrze się czujesz, torturując innych?*

Przestań się oszukiwać; właśnie to cię wkrótce czeka. Soren wie o czymś, co może ci pomóc w złapaniu Johna Smitha. To absolutnie pewne, podobnie jak fakt, że on nigdy w życiu nie zdradzi tej informacji z własnej woli.

- To nic złego - powiedziała Millie.

- Czyżby? - Cooper pokręcił głową. - Nie podobała mi się osoba, którą próbowałem być w tym pokoju. W każdym razie większa część mojej natury jej nie akceptuje. Ale wiem, co jest naprawdę ważne, i jeśli będzie to konieczne, będę jeszcze gorszy. I nie uważam, żeby to było w porządku.

- Dlaczego?

Jej pytanie nie brzmiało całkiem szczerze; była w nim nuta podpowiedzi, jakby Millie oczekiwała, że Cooper wyciągnie wnioski ze swojego postępowania. Gdyby miał do czynienia z inną jedenastolatką, pewnie by się zirytował, ale ta dziewczynka nie była podobna do innych i dlatego postanowił odpowiedzieć szczerze.

- Dlatego, że to nie jego wina. Nie on zdecydował o tym, że urodzi się dziwakiem. Tak naprawdę w ogóle nie miał szans. Jest tym, kim jest, z powodu wrodzonego daru, który na zawsze umieścił go poza nawiasem społeczeństwa.

Mówiąc to, pojął nagle, że to samo dotyczy Millie.

I zaraz dostrzegł, że przeczytała tę myśl.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odrzekła.

- Owszem, szkodzi. Współczuję ci tego daru. Zasługujesz na normalne życie.

Przez długą chwilę milczeli, aż wreszcie Millie spuściła na oczy zasłonę fioletowej grzywki i odezwała się zza niej:

- Czasem tu przychodzę. Żeby na niego popatrzeć.

- Na Sorena? Dlaczego?

- Bo nie umiem go czytać. Czasem te głosy wszystkich otaczających mnie ludzi, nawet tych, którzy dobrze mi życzą... - Odetchnęła. - A tu jest cicho. Cicho, a jednocześnie nie jestem sama.

Pozostawił te słowa bez komentarza, w szumie komputerowych wentylatorów i tańcu hologramów. Wreszcie spojrzął na zegarek.

- Wybacz, Millie, ale muszę już iść.
- Ach tak. - Spojrzała na niego pytająco. - Czyżby do Shannon? Skinął głową.

- Powiesz jej, że uprawiałeś seks z Natalie?

Cooper otworzył i zamknął usta. Do głowy przyszło mu tuzin odpowiedzi.

- Myślisz, że to byłby błąd?
- A skąd mam wiedzieć? Mam jedenaście lat.

Roześmiał się i wstał. Wyciągnął rękę niepewnym gestem, by dotknąć Millie - nie był pewny, czy sobie tego życzy. Nie odsunęła się, więc delikatnie uścisnął jej ramię.

- Nie siedź tu za długo, dobrze?
- Pewnie.
- A przy okazji: miałaś rację. Współczuję Sorenowi.
- Mimo że zranił twojego syna.

- Tak. - Cooper wzruszył ramionami. - Ale to mnie nie powstrzyma. Co nie oznacza, że wszystko, co jestem gotów zrobić, jest w porządku.

- Widzisz? - rzuciła. - Jesteś czysty.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nowi Synowie Wolności zdążyli pokonać prawie osiem kilometrów, zanim usłyszeli głos boga.

Pokonanie tego dystansu zajęło im siedem godzin.

- Nie bez powodu Epstein zdołał wykupić pół stanu Wyoming - zauważył Ronnie Delgado. - A powód ten można zawrzeć w czterech słowach: to wielka kupa gówna!

Luke Hammond nie mógł zaprzeczyć - teren, który pokonywali, zdecydowanie pasował do tego opisu. Wiedział, że gdzieś tam, na horyzoncie, zaczynają się majestatyczne góry, tymczasem jednak kolumna kluczyła po paskudnej, kamienistej, lodowato zimnej równinie. Dla piechurów nie było to przesadnym wyzwaniem, osiemnastokołowce skonstruowano jednak z myślą o autostradach międzystanowych. Wydawało się, że dosłownie co kilkaset metrów któryś z nich grzęźnie, łapie gumę, wpada w rozpadlinę albo łamie oś.

Nieliczne drogi, które wybudowano tu przed powstaniem Nowego Kanaan, w większości po prostu przecinały stan, a łączyły się z nimi co najwyżej gruntowe, utwardzone dojazdy do pobliskich farm czy kopalń. Od tamtej pory Epstein poniósł spore nakłady na sieć szos gładkich jak stół, ale wszystkie one Prowadziły ku silnie umocnionym punktom kontrolnym. Być może i z nimi poradziłoby sobie Synowie Wolności, lecz generał Miller uznał - a Luke przyznał mu rację - że bezpośredni atak to niepotrzebne ryzyko. I tak czekało ich sporo walki. Lepiej bezkrwawo pokonać konieczny dystans i wtedy wbić ostry nóż milicji w serce Reduty, niż walczyć przez całą drogę.

Gdy usłyszeli głos boga, Luke akurat maszerował obok Delgado, dyktując w głowie e-mail do Josha i Zacka. Był to jego stary zwyczaj z czasów, gdy często zdarzało mu się służyć za granicą. Jako zawodowy oficer sił specjalnych siłą rzeczy nie mógł być ojcem, który nigdy nie opuszcza szkolnych meczów swoich synów. Starał się jednak kompensować im tę stratę najlepiej jak umiał: spędzali razem dużo czasu, mówił do nich uczciwie i bezpośrednio, a także dzielił się z nimi doświadczeniem świata w taki sposób, jakby wszyscy razem przeżywali

przygody. W owych mailach wspólnie prowadzili rozpoznanie na marokańskim bazarze, gdzie unikatowe jedwabie sprzedawano obok chińskich radiodbiorników, a smród potu mieszał się z wonią kminu i drzewa sandałowego. Razem, drogą e-mailową, słuchali w oszołomieniu nocnego koncertu salwadorskiej dżungli, symfonii owadów, godowych nawoływań większej zwierzyny i niekończącego się tańca drapieżców i ofiar, rozświetlonego zielonkawym blaskiem noktowizorów.

Jak mam wam opisać, moi piękni Synkowie, jak to jest maszerować przez Wyoming? Cóż pomogą wymyślne słowa? Mam wspomnieć o ponurej determinacji i poczuciu sprawiedliwości?

Lepiej opowiem Wam o obolałych stopach i dojmującym bólu rosnących pęcherzy.

O kakofonii, która towarzyszy dwudziestu tysiącom ludzi maszerujących przez ten zmarznięty, księżycowy ląd. Rozmowy, szuranie butów, rzucanie kamieniami i śmiechy. Miarowe uderzenia kolb karabinowych o żołnierskie pasy. Warkot półciężarówek pełzających z prędkością półtora kilometra na godzinę, raz po raz zagłuszany świstem hamulców. Rześkie powietrze, zapach ziemi, aromat kawy, smród pierdnieć.

Mój obraz Reduty ukształtowały media, w większości skupione na miastach, a szczególnie na Tesli. Niewątpliwie widzieliście te same programy dokumentalne o tym, jak śmiały plan i trzysta miliardów dolarów zmieniły pustynną równinę w Disneyland dla uzdolnionych, pełen szerokich alei i rozległych placów, elektrycznych samochodów i genetycznie zmodyfikowanych drzew, skraplaczy wody i pól solarnych, a wszystko to w szlachetnym blasku lustrzanego zamczyska Epstein Industries. I choć rozum podpowiadał, że to nie tak, jakąś częścią umysłu wyobrażałem sobie, że tuż za ogrodzeniem. wkroczymy do tego dziwnego świata.

Tymczasem większość poranka spędziłem - wraz z trzydziestoma innymi mężczyznami - zapierając się grzbietem o karoserię ciężarówki, by wydobyć ją z kolejnej dziury...

I właśnie dotąd Luke Hammond dotarł w wymyślaniu e-maila do synów, gdy rozległ się głos boga.

Dobiegał z bliżej nieokreślonego kierunku, a raczej ze wszystkich

stron naraz - z przodu, z góry, z tyłu, wibrował nawet w podszewkach jego butów, tak głośny, że ludzie odruchowo zakrywali uszy. Wyraźny kobiecy głos wyrecytował krótką wiadomość, a każda jej sylaba wibrowała boleśnie w jego kościach.

UWAGA!

WKROCYLIŚCIE NA TEREN PRYWATNY.

NIE JESTEŚCIE WYZWOLICIELAMI. NIE ZOSTALIŚCIE ZAPROSZENI.

WŁAMALIŚCIE SIĘ DO NASZEGO DOMU, ŻEBY NAS SKRZYWDZIĆ.

BĘDZIEMY SIĘ BRONIĆ.

NATYCHMIAST OPUŚCIE REDUTĘ NOWE KANAAN.

TO JEDYNE OSTRZEŻENIE.

Głos umilkł równie nagle, jak wcześniej rozbrzmiał - zostało tylko echo ginące szybko gdzieś nad równiną, umykające w stronę dalekich gór.

Wszystko zamarło. Karnawałowy nastrój wyparował w jednej chwili. Ludzie spoglądali po sobie, a w ich oczach była niepewność. Jedni wstydliwie odsłaniali uszy, inni powstawali z ziemi.

Przez krótką chwilę Luke zastanawiał się, w jaki sposób nienormalni zorganizowali tę sztuczkę. Mieli ukryte w ziemi głośniki, które uaktywniły się pod wpływem ruchu? Może nadawali z samolotów? A może po prostu wynaleźli sposób na zdalne przesyłanie dźwięku? I nagle dotarło do niego, że najbliżej stojący milicjanci spoglądają, na niego pytająco. Stu, może więcej, a za nimi tysiące - wszyscy oczekiwali natchnienia.

Hammond nie miał takiego daru przemawiania jak Miller. Zrobił więc to, co jako pierwsze i jedyne przyszło mu do głowy: podjął marsz.

Ronnie Delgado szybko do niego dołączył, a po nim następni. Po chwili wrócił znajomy gwar. a potem ktoś krzyknął:

— Ko-niec-z tym!

Zawtórowali mu inni, w tym Luke. Te słowa coś znaczyły, wykrzykiwane jednym głosem przez stu ludzi, przez tysiąc, wreszcie przez wszystkich. Ruszyli naprzód ze zdwojoną energią. Buńczucznie ryknęły klaksony pojazdów, na złość Eri-kowi Epsteinowi, nienormalnym i ich nowemu światu, który chciał zapanować nad starym. Luke czuł, że coś rośnie w jego piersi, w jego sercu. Pamięć podpowiedziała mu znowu słowa Szekspira: „Nas, małej, ale szczęsnej garstki braci”. Klaksony tysiąca pojazdów wyły coraz głośniejsze - i nagle umilkły.

Wszystkie naraz, jakby sterował nimi wspólny wyłącznik.

Luke przystanął. Spojrzał na zegarek - wyświetlacz nie działał.

Dostrzegł coś kątem oka. coś spadało z nieba! Jaskrawa kropka rosła szybko i pewnie mogłaby być ptakiem, gdyby nie to, że wykonano ją z metalu i plastiku. W ostatniej chwili, nim zderzyła się z ziemią, dostrzegł na jej burcie napis CNN.

Skoro z nieba spadają drony reporterskie, musiał zadziałać impuls elektromagnetyczny - tak jak przewidział Miller. A zaraz po nim nastąpi...

Świat eksplodował.

Sypnęło mu w twarz czymś twardym i zimnym, pewnie ziemią; dźwięk wybuchającego pocisku dotarł do jego uszu tuż po tym, jak podmuch i fala gorąca rzuciły go w bok. Runął na ziemię tak ciężko, że poczuł ogień w kolanach i rozdartych dłoniach. Podniósł się na kolana i wiedziony odruchem zawołał: „Kryć się! Odsunąć się od wozów!” Prawdopodobnie nikt go nie słyszał, zresztą i tak nie było dokąd uciec. Sam też nie słyszał własnego głosu, bo wszędzie dookoła ze świstem lądowały i eksplodowały smukłe pociski, a każdy z nich podrywał w górę kolejne ciała, doskonale widoczne na tle coraz liczniejszych kul ognia. Jeden z ładunków trafił w najbliższą osiemnastokątową ciężarówkę. Bak z paliwem wybuchł ze zdumiewającą mocą, a podmuch tym razem rzucił Luke'a na plecy. Żar prażył mu skórę, a dźwięk z wolna cichł, zmieniał się w dzwonienie w uszach. I znowu świst, znowu

eksplozja.

I jeszcze raz. Gęsty, czarny dym z płonącej benzyny mieszał się z tumanami kurzu wzniesionego z ziemi. Ciężarówki wybuchały kolejno, podskakując przy tym jak szalone byki z przetrąconymi kręgosłupami. Detonacje wyrzucały w powietrze ich ładunek: konserwy mięsne, strzępy koców i płonące papiery spadały na ziemię jak upiorny deszcz. Hammond powstał tylko na chwilę i niemal natychmiast został trafiony czymś ciężkim. Upadł bez tchu, przygnieciony czymś mokrym. Sięgnął, by to odepchnąć, i stwierdził, że jego dłoń utknęła we wnętrzu rozłupanej czaszki Ronniego Delgado, którego twarz zastygła w grymasie zdumienia, jakby nareszcie pojął jakiś nieśmiertelny dowcip. Luke zaczął pełznąć. Ktoś przebiegł mu po plecach, ktoś inny stanął na dłoni: dookoła rozbrzmiewało coraz więcej wystrzałów karabinowych. Milicjanci strzelali w niebo, próbując strącać drony, co było niedorzecznym wręcz marnotrawstwem amunicji, jeśli wziąć pod uwagę pułap i prędkość takich maszyn - nie wspominając o tym, że skoro były odporne na EMP, to cóż mogły im uczynić kule? Świat zniknął stopniowo w kłębach dymu. Hammond zmrużył Powieki, zacisnął usta i strząsnął z siebie resztki ciała Delgado, byłego funkcjonariusza Gwardii Narodowej, ranczera i błazna, którego brat jako pierwszy z rodziny poszedł na studia. Chwilę później poderwał się z ziemi, kaszląc i plując. Czekał na kolejną serię pocisków, na wstrząs towarzyszący nowym eksplozjom, na ogień, krew i dym.

Daremnie.

Daremnie.

Daremnie.

Wyprostował się i rozejrzał. Bolała go głowa, w oczach czuł pulsowanie, dłoń miał poparzoną i zakrwawioną, a skurcz mięśni kręgosłupa sprawiał, że trudno mu było utrzymać pion. W nagłej ciszy, która nastąpiła po bombardowaniu, słyszał głównie dzwonienie w uszach, ale także trzask ognia dobiegający od strony płonących wozów i krzyki porozrywanych ludzi.

I wtedy nad pustynią zagrzemiał znowu głos boga:

WKRÓTCE WZNOWIMY OSTRZAŁ.

ODDALCIE SIĘ.

NAJLEPIEJ BIEGIEM.

Luke uśmiechnął się mimowolnie. *Niech to szlag, Miller miał rację.*

Coś pociekło mu w stronę oka; starł dłonią strumyk krwi. Wiedział, że musi jak najszybciej odnaleźć generała. Gdyby Miller zginął w bombardowaniu, cały plan ległby w gruzach. Luke proponował bodaj sto strategii, które miały zachować go przy życiu - między innymi chciał zatrzymać go na tyłach albo wyznaczyć ochroniarzy, którzy w razie niebezpieczeństwa osłoniłoby go własnymi ciałami. Ale Miller odmówił.

- Gdy przyjdzie co do czego - odpowiedział mu wtedy generał - będę ryzykował tak samo jak wszyscy. Musimy przetrwać.

- A co potem? - spytał Luke.

- Potem pokażemy światu, że król jest nagi.

Luke parł naprzód, przeciskając się między z wolna powstającymi Synami Wolności, omijając dymiące kratery i płonące pojazdy. Musiał odnaleźć Millera, bo gdyby tego nie zrobił, blef nienormalnych przyniósłby skutek, dałby im zwycięstwo...

- EPSTEIN!

Ten głos nie był nawet w przybliżeniu tak donośny jak głos boga, ale megafon i niebagatelna moc płuc generała Sama Millera wystarczyły, by zagłuszyć dzwonienie w uszach.

Luke odwrócił się i ujrzał starego druha. Szalony sukinsyn wspiął się na dach ciągnika siodłowego-jednego z ostatnich, które jeszcze nie płonęły, choć naczepa została trafiona (zniknął gdzieś napis Supplies, został jedynie Finest). Przez wielką dziurę w burcie kontenera wysypały się paczki z żywnością.

- TUTAJ JESTEM. EPSTEIN!

Ruchy, rozkazał swym nogom Luke. Usłuchały. Szedł chwiejnie, po chwili zaczął truchtać, a potem biec. Zatrzymał się przy zderzaku ciężarówki.

- CHCESZ WYBRAĆ CEL? CHCESZ TO WSZYSTKO ZAKOŃCZYĆ?

Luke wdrapał się na maskę, chwycił się gorącego chromowanego komina i wytrzymał na tyle długo, by wspiąć się wyżej, na wierzchołek przewróconego kontenera. Miller teraz dopiero go zauważył i

uśmiechnął się ponuro.

Wyraz jego twarzy w zasadzie nie zmieniał się od dwóch dni - odkąd opracowali plan. Siedząc w namiocie Millera. Luke słuchał wiatru uparcie szarpiącego płótno, gdy generał rzekł:

- No dobra, analiza strategiczna. Dowodzisz siłami dysponującymi znaczącą przewagą techniczną, ze sporym potencjałem obronnym. Jednakże twoje środki ofensywne są ograniczone. Atakują cię liczne oddziały zdeterminowanego wroga i nie dysponujesz zapasami uzbrojenia, które pozwoliłyby na stopniowe niszczenie jego sił. Mówiąc wprost: masz tyle a tyle bomb, bo nie dostałeś pozwolenia na to, by mieć więcej. Co robisz?

- To proste — odparł Luke. — Zadaję jeden decydujący cios, Wszystkim, co mam, jak najszybciej i jak najskuteczniej, licząc na to, że strach wykona za mnie resztę roboty. Właśnie dlatego zrzuciliśmy bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki, zużywając w całości nasz arsenał jądrowy. - Luke umilkł na chwilę. — Czeka nas tęgie lanie.

- Uwzględniając rannych i dezertów, prawdopodobnie stracimy dwadzieścia procent stanu. Ale ci, którzy pozostaną, nie będą już milicją. Będą armią.

- Albo, jeśli się mylimy, będzie po wszystkim.

- Jeśli się mylimy, już jest po wszystkim.

Pora przetestować tę logikę. Stojąc na kontenerze, Luke czuł się nagi. Instynkt nakazywał mu natychmiast znaleźć kryjówkę, ale myśl o synach, którzy spłonęli żywcem, sprawiła, że stanął na baczność.

- **JESTEŚMY DOWÓDCAMI NOWYCH SYNÓW WOLNOŚCI** - krzyczał Miller. - **CHCECIE TO ZAKOŃCZYĆ TU I TERAZ? ŚMIAŁO! MOŻECIE WZNOWIĆ OSTRZAŁ!**

Opuścił megafon, odchylił głowę do tyłu i rozpostarł ramiona. Jego mundur był brudny, a po policzku ciekła krew. Na tle kłębow dymu i płomieni wyglądał jak jakiś pierwotny bóg wojny.

Stojąc u jego boku, Luke uczynił to samo. Oczy miał otwarte i spoglądał w chłodne, niespokojne niebo. Gdzieś tam, w górze, krążyły nad nimi niewidzialne drony.

Trzaskały płomienie. Jęczeli ranni. Gdzieś odezwał się wystraszony ptak.

I wtedy rozległ się pierwszy głos:

- Ko-niec-z tym!

Dołączył do niego drugi, potem trzeci i tysięczny. Ludzie skandowali, zagłuszając rannych, ogień i własny strach, który odtąd nie miał nad nimi władzy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mrowienie zaczął odczuwać już na lotnisku, gdy negocjował z jedną z pilotek siedzących w poczekalni.

- Do Newton, tak? — Kobieta lekko przekrzywiła głowę i wsunęła dłonie do kieszeni kurtki. - Ma pan szczęście. Noc jest pogodna, prądy korzystne. Dolecimy w dwie godziny. Czterysta.

- Dwieście - odparł Cooper.

- Czterysta.

- Trzysta w gotówce, jeśli dolecimy w godzinę.

- W gotówce? - powtórzyła, unosząc brew. - Zgoda. Tylko żeby mi pan nie zarzygał kabiny.

- Nie miewam mdłości w powietrzu.

- Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć. Zwłaszcza przy takim lataniu, jakie może być konieczne, jeśli mamy zdążyć w godzinę.

Dwie minuty później już pomagał jej wypchnąć szybowiec na pas startowy. Zbudowana z włókna węglowego grubości serwetki maszyna nie ważyła więcej niż sto kilogramów. Pilotka zaczepiła pod jej brzuchem stalową linę wyciągarki, sprawdziła działanie instrumentów i zaczęła rozmawiać z wieżą kontroli lotów, zanim Cooper zdążył wejść do kabiny.

Chwilę później lina naprężyła się i w ciągu trzydziestu sekund przeciągnęła szybowiec na odległość ponad półtora kilometra. Wystrzelili w powietrze z taką prędkością, że Cooper miał wrażenie, jakby zostawił żołądek na lotnisku.

Była to jego druga podróż szybowcem i nie podobała mu się ani trochę bardziej niż pierwsza, gdy za sterami siedziała Shannon. Cooper generalnie nie miał nic przeciwko lataniu; niepokoiła go jedynie myśl o tym, że mkną w powietrzu bez silnika. Nastroju nie poprawiały mu też działania pilotki, która najwyraźniej nie żartowała, ostrzegając go przed startem: chwilami wspinali się stromo setki metrów, korzystając z prądów termicznych, by zaraz potem nabierać ogromnej prędkości niemal nurkowym lotem. Cooper długo nie reagował, gdy spękana, pustynna równina biegła im na spotkanie, aż wreszcie, po wyjątkowo

gwałtownym spadku wysokości, zapytał:

- Co się dzieje, gdy się nie zmieni kursu we właściwym momencie?

- Wtedy jest okazja, żeby się przekonać, na ile skutecznie działa pianka zabezpieczająca - odpowiedziała pilotka. - Powinna wypełnić kokpit w ciągu dziesiątej części sekundy, zeszywnieć w momencie zderzenia, a następnie rozpuścić się. Ale zdawało mi się, że to panu zależy na czasie.

- Dobrze, że przynajmniej tym razem nie mam kaca.

- Słucham?

- Nic, nic.

Przelot potrwał ciut dłużej niż godzinę, ale Cooper i tak zapłacił całe trzy setki, po czym wskoczył do jednej z elektrycznych taksówek czekających przed budynkiem lotniska w Newton. Wkrótce zaczął padać śnieg; cienkie płatki tańczyły w blasku ulicznych latarni. Nadal padało, gdy piętnaście minut później wysiadał z wozu w połowie długości dwukondygnacyjnego szeregowca, którego parter zajmowały witryny lokali użytkowych, a piętro - mieszkania. Minął wejście do baru i ruszył schodami w górę, przeskakując po dwa stopnie. Zatrzymał się na moment, nim zapukał do drzwi, by przygłodzić włosy i upewnić się, czy ma świeży oddech.

Czekał, czując przyspieszone bicie serca oraz ciepło, którego zasięg wyraźnie rozlewał się poza okolice brzucha.

Drzwi się otworzyły.

Shannon najwyraźniej nie spodziewała się towarzystwa. Miała na sobie coś, co służyło jej za piżamę - wąskie, czarne spodnie do jogi i cieniutką bawełnianą koszulkę, która zsunęła się z jej ramienia, odsłaniając obojczyk. Włosy zaczesła pospiesznie za uszy. Cooper nie widział jej prawej dłoni, ale nienaturalny układ ręki podpowiedział mu, że trzyma w niej pistolet.

- Cześć - powiedział.

Przyglądała mu się z krzywym uśmiechem na ustach, jak zawsze. Po chwili, doskonale oszczędnym ruchem odłożyła pistolet na stolik stojący przy drzwiach, pochwyciła Coopera obiema rękami za koszulę, szarpnęła i wciągnęła do środka.

Czuł przy sobie jej ciało, sprężyste i gorące, mięśnie tancerki i delikatność skóry, a także zapach - kobiety i szamponu. Chwyciła go za włosy i przycisnęła wargi do jego ust. Jej język zawibrował słodko. Gdy Cooper uniósł ją nieco, zaplotła nogi wokół jego bioder, a wtedy pochwycił ją za pośladki. Kopniakiem zamknął drzwi i zatoczył się na ścianę. Zaśmiała się gardłowo.

- Tęskniłeś za mną?
- No chyba.

Znowu ją pocałował, tym razem delikatniej, po czym zaczął ssać jej dolną wargę. Jęknęła cicho, ocierając się o niego całym ciałem, a wtedy i on westchnął z rozkoszą. Jej dłonie zsunęły się po jego piersi, sięgając do klamry paska. *Tak*, pomyślał, *o Boże, tak*. Pragnął tego, oboje pragnęli, natychmiast, łapczywie i wbrew rozsądkowi odzyskać siebie, bo przecież potem, nocą, będzie jeszcze dość czasu, by...

Odzyskać. Przed oczami Coopera mignął nieproszony obraz dosiadającej go Natalie. Palce Shannon pociągnęły rozpięte spodnie, a druga dłoń wsunęła się za...

- Czekaj.

Shannon się roześmiała.

-Akurat...

Nadal posuwała się na południe i, na Boga, robiła to cudownie, ale...

Nie. Chwycił ją za nadgarstek.

W jej oczach pojawił się błysk.

- Co się stało?

Postawił ją na podłodze i niespokojnym gestem przeczesał palcami włosy.

- Nick?
- Muszę ci o czymś powiedzieć.

Shannon stała przy kuchennym blacie, nie patrząc mu w oczy. Jej

palce obracały szklankę pełną bourbona. Telewizor bezgłośnie grał dla siebie, ustawiony na piracką stację informacyjną Reduty.

- Nie planowałem tego. Po prostu się stało. Jest...

— Przestań - przerwała mu ostro. — I nie mów, że ci przykro.

— Nie zamierzałem.

— Ona zasługuje na coś lepszego.

- Zgadzam się.

— Rozumiem, co zaszło — powiedziała po chwili. — Łączy was wspólna przeszłość. A jeśli chodzi o ciebie i o mnie, to nigdy nawet nie rozmawialiśmy o...

Nie, pomyślał. Nie rozmawialiśmy. Byłem zajęty obalaniem jednego prezydenta i służeniem drugiemu; starałem się ocalić świat. Ty z kolei walczyłaś po stronie rewolucji i uwalniałaś zniewolone dzieci, nie wspominając o tym, że uratowałaś mi życie.

— Żałuję, że nie - odparł. — Że nie rozmawialiśmy.

Shannon na pozór obojętnie wzruszyła ramionami, wciąż nie patrząc mu w oczy.

- To prawie zabawne. Nie wiedziałam, póki Natalie do mnie nie przyszła.

— Nie wiedziałaś... zaraz. Przyszła do ciebie? Kiedy?

- Parę tygodni temu. Po tym, jak umarłeś.

- Aha. - Nie wiedział o tym. Gdy Todd został ranny, a pobity Cooper był bliski kapitulacji, to Natalie postawiła go do pionu. Pomogła oczyścić umysł, kopnęła w zadek i posłała do walki o przyszłość dzieci. Zapewne wkrótce potem odwiedziła Shannon. Potrafił to sobie wyobrazić. Inna kobieta może rzucałaby obelgami, groziła, próbowała odstraszyć rywalkę. Ale Natalie po prostu uznała, że Shannon zasługuje na to, by dowiedzieć się, że jej kochanek przeżył.

A wszystko to wkrótce po tym, jak Shannon wystąpiła z organizacji Johna Smitha, po czym wsiadła do samolotu i zjawiła się we właściwym miejscu w samą porę, by ocalić Cooperowi życie.

Kobiety w jego życiu były zaiste niezwykle.

Gdy bogowie chcą naprawdę zabawić się twoim kosztem, ofiarowują ci zbyt wiele dobrego naraz.

- Wiedziałam, że nadal wiele was łączy - ciągnęła Shannon. - Ale

zanim Natalie zjawiła się w moim pokoju hotelowym, nie miałam pojęcia, że ona nadal cię kocha.

Cooper zawahał się.

- Nie jestem pewny, czy to prawda.

- Prawda - odrzekła takim tonem, jakby informowała go, że pada śnieg.

- Nie wprowadziłem cię w błąd. Gdy się rozwodziliśmy, nasz związek naprawdę był skończony. Po prostu tyle się ostatnio wydarzyło, że może i uczucia Natalie zaczęły się zmieniać. Może uznała, że warto spróbować jeszcze raz.

-A ty?

- Ja... Ona jest matką moich dzieci, Shannon. Zawsze będę ją kochał.

- Jak mówiłam: rozumiem. — Wzięła mały łyk whiskey. -Jestem dorosłą kobietą, Cooper, nie zabujaną gówniarą.

No ładnie. Powiedziała „Cooper”.

- Shannon, ja...

- Wiem, pewnie jesteś skołowany.

Bardzo, bardzo chciał skwapliwie przytaknąć, ale miał wystarczające doświadczenie w obcowaniu z kobietami, by wiedzieć, że to fatalny pomysł. Nadludzkim wysiłkiem woli zdołał nie pokiwać głową.

- Ale coś ci powiem: lepiej nie próbuj z nią igrać. To wyjątkowa osoba. - Shannon westchnęła i znowu sięgnęła po butelkę. - Napijesz się?

Patrząc na nią, czuł, że coś pęka w jego piersi. Miał wrażenie, że sprawy nabierają rozpędu, że gnają na oślep w złym kierunku, gotowe zderzyć się ze ścianą. Wiedział, że może zapobiec katastrofie. Wystarczyło powiedzieć głośno i wyraźnie, że wybiera Shannon. Że zawsze będzie kochał Natalie i nie żałuje ostatniej nocy, ale to było tylko pożegnanie. Że pragnie tylko Shannon i kropka.

Mijały sekundy. Na trójwymiarowym wyświetlaczu telewizora pojawił się nowy obraz: miejsce prezydent Ramirez zajęło morze maszerujących.

- Widzisz to? - spytała Shannon, nieźle panując nad głosem.

Otworzyła witrynę, wyjęła szklankę i minimalnie drżącą ręką nalała bourbona. — Odtwarzają w kółko ten sam materiał, ale jakoś nie mogę go wyłączyć.

- Shannon...

- Masz. - Wcisnęła mu do ręki szklankę i trąciła ją swoją. - Za Nowych Synów Wolności. Twarde łajdaki, to muszę im przyznać. Włącz dźwięk!

Cooper chciał zaprotestować, ale zrezygnował, widząc jej spojrzenie. *Jest tylko jedno rozwiązanie: muszę podjąć decyzję, tu i teraz, szczerze.*

Na Boga, nie mógł tego zrobić. Zakręciło mu się w głowie. Sięgnął po trunek i wypił połowę jednym haustem.

Telewizor posłusznie wykonał polecenie Shannon i z głośników popłynęły słowa spikera:

- ...bandę frajerów mniej więcej osiem kilometrów za granicznym ogrodzeniem w rejonie Rawlins. - Kamera filmowała z dużej wysokości, lecz mimo to cały kadr wypełniał żywy dywan maleńkich postaci maszerujących z trudem przez jałową równinę. Znany Cooperowi głos Patricii Ariel, dyrektorki do spraw komunikacji w firmie Epsteina, grzmiał z głośników nad pustkowiem, informując intruzów, że nie są mile widziani i że Reduta będzie się bronić. Maszerujący jakby się zawahali, lecz po chwili odpowiedzieli gromko hasłem Nowych Synów Wolności: „Ko-niec-z tym! Ko-niec-z tym! Ko-niec...”.

- Brawo, chłopaki - ciągnął spiker. - Zgrabne motto. Może na kolejnych zajęciach za tydzień poćwiczymy coś trudniejszego niż sylabizowanie. O, jak pięknie: klaksony! Nic tak nie budzi grozy jak trąbienie. Ale zaraz... czekajcie... czekajcie...

Obraz zanikł na chwilę. Cooper wiedział, że to impuls elektromagnetyczny, którego zadaniem było usmażenie nieprzyjacielskiej elektroniki — w drodze na lotnisko czytał o szczegółach pierwszego starcia.

Musiała minąć godzina, może dwie, zanim którejś ze stacji udało się ściągnąć na miejsce akcji nowego drona z kamerą. Zdjęcia ukazały obraz zniszczeń: rozprute i poprzewracane ciężarówki, wypalone krzewy i podziurawione kraterami pole bitwy usiane trupami.

- A niech mnie! Wiecie, jak to ludzie mawiają- odezwał się znowu spiker. - Zabawa jest na sto dwa, póki ktoś nie przypuści ataku z użyciem dronów. Przykra sprawa, chłopaki, ale wygląda na to, że już po Brygadzie Matołów...

Nieźła gadka, pomyślał Cooper, ale to, co widzimy na ekranie, mój przemądrzały przyjacielu, to armia zakładająca bazę.

- Wyłącz dźwięk. - Shannon pokręciła głową. - Nie rozumiem, dlaczego Epstein przerwał bombardowanie. Mówi się o tysiącu zabitych oraz paru tysiącach rannych i dezertersów. Chyba nieźły wynik, tylko że wirus Proteusz był pięćdziesiąt razy skuteczniejszy. Jaki sens ma okazywanie im łaski w takim momencie?

Wszystko wskazywało na to, że dyskusja na tematy sercowe trafiła na półkę. Cooper pomyślał, że może warto do niej wrócić, tylko nie bardzo wiedział, co jeszcze mógłby dodać. W końcu uznał, że będzie lepiej, jeśli emocje trochę ostygną,

- To nie łaska. Zwyczajnie skończyły mu się bomby.

- Tak sądzisz?

- Rząd nie chciał pozwolić RNK na zakup broni ofensywnej. Erik zdobył trochę na czarnym rynku, trochę po cichu zbudował, ale nie mógł zbyt ryzykować. To nie hipoteza, ja wiem, jak było. Służyłem w DAR, pamiętasz?

- Nie pozwalasz mi zapomnieć.

Nie reaguj. Ma prawo być wkurzona.

- Tak czy owak, Epstein nie przejmuje się zbyt Nowymi Synami Wolności. Bez względu na to, ilu się ich zbierze, nie przejdą przez Pierścień Voglera. Powstał specjalnie po to, by zatrzymać wieśniaków z widłami. - Cooper pokręcił głową. -Znacznie bardziej niepokoi mnie Smith.

Wcześniej, gdy oglądali zdjęcia z pola bitwy, widać było, że Shannon nie skupia się na nich w pełni. Udawała, że tak jest, ale Cooper bez problemu dostrzegł prawdę. Teraz jednak najwyraźniej wyrzuciła z głowy wszelkie myśli o wspólnej romantycznej przyszłości.

- Mów dalej.

- Wyprzedził nas. Przechwycił Abe'a Couzена.

- To niedobrze.

- Jest nawet gorzej.

Stopniowo wprowadził ją w ostatnie wydarzenia, poczynając od momentu, w którym się rozdzielili. Słuchała uważnie i zadawała konkretne pytania. Temat był bezpieczny dla obojga: analizowali sytuację i szukali rozwiązań. Do tej pory takie rozmowy zastępowały im randkowanie. Gdy Cooper opowiadał o laboratorium Couzena, Shannon dokończyła drinka i znowu napełniła szklankę. Dopił swojego, relacjonując swoją, rozmowę z Sorenem, a wtedy bez zastanowienia przesunęła ku niemu butelkę.

- A propos - powiedział - dzięki, że przywiozłaś go tutaj. Pewnie nie było to przyjemne doświadczenie.

- Żaden z niego kompan. Ostatnie dwa dni spędził w bagażniku. - Shannon uśmiechnęła się krzywo. - Naprawdę sądzisz, że ci pomoże?

- Jestem pewny.

- John jest jego najlepszym przyjacielem. Soren nie sprzeda go tak łatwo. Czyżbyś zamierzał...

- Chyba nie mam wyboru. Smith aż do tej chwili manipulował praktycznie całym światem. Nadal nie rozumiem po co, nie jedno już wiem: on nigdy nie zaczyna walki, w której nie może zwyciężyć.

- Czy jest coś, co można by zaoferować Sorenowi? Marchewka zamiast kija?

- Co na przykład?

Shannon podeszła do okna i zapatrzyła się na płatki śniegu niesione mocnym podmuchem wiatru.

- Mógłbyś pogadać z Samanthą.
- Z kim? - Imię wydało mu się znajome.
- Nie mów, że jej nie pamiętasz.

Dlaczego tak na mnie patrzysz? Och... Już pamiętał. Przyjaciółka Shannon, kremowe ciało, złote włosy i tony seksapilu. Poziom pierwszy, niby czytaczka, ale z anormalnym poziomem empatii: potrafiła odczytywać ukryte pragnienia i doskonale emulowała wymarzony obiekt.

- Soren zna Samanthę?

- Dogłębnie. Od czasów Hawkesdown Academy. - Shannon skrzywiła się z niesmakiem. - Wyjątkowo popaprany związek.

Nie żartujesz. Cooper spotkał Samanthę tylko raz, ale nietrudno było dostrzec, że uzależnienie od środków przeciwbólowych to jeden z jej najmniej szkodliwych nawyków. Bazując na swym darze i na przeszłości - jako trzynastolatki została uwiedziona przez nauczyciela z akademii, który następnie uczynił z niej prostytutkę - wybudowała kruche Poczucie własnej wartości oparte na przekonaniu, że jest potrzebna.

A kto mógł jej potrzebować bardziej niż nienormalny z zaburzeniem temporalnym. dla którego każda sekunda trwa jedenaście sekund? Intensywność uwagi, którą poświęcał jej Soren, musiała być dla Samanthy niczym heroina. Z kolei umiejętność wyczuwania pragnień z pominięciem korowodu społecznych zachowań, do których on był niezdolny, czyniła z tej dziewczyny absolutnie unikatową kochankę.

- Wyobrażasz sobie — ciągnęła Shannon - jak wygląda świat widziany jego oczami? On nie może normalnie rozmawiać. Nie może obejrzeć filmu. Jeśli się upije, kac będzie trwał tydzień. Do licha, seks jest bodaj jedyną rzeczą, w której może znaleźć trochę szczęścia. Zwłaszcza seks z Sam.

- Ona go kocha?

Shannon skinęła głową.

- Prawie tak mocno jak Johna.

- Ach tak.

Kusiło go. żeby spróbować zagrać na uczuciach Samanthy, przekonać ją, że może ocalić Sorena. Zapomniał jednak, że ogniwem łączącym tych dwoje był Smith. To Smith zabił jej mentora i alfonsa. Nie było mowy o tym. by nakłonić Sam do zdrady.

- Co zamierzasz?

- Nie wiem - westchnął Cooper. - Widziałem dziś Millie. Pamiętasz ją?

- Dziewczynka o zielonych włosach.

- Ostatnio fioletowych. Otóż powiedziała mi, że nie potrafi czytać Sorena. bo przeszkadza w tym jego postrzeganie czasu. Myślałem, że może stres mógłby to zmienić, a tymczasem— ona zaczęła czytać mnie.

- Biedactwo.

Spojrzał na Shannon z wyrzutem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, powiedziała, że jestem czysty.

- Bo nie zna cię tak jak ja.

- Ha, ha. Rozmawialiśmy potem i schrzaniłem sprawę, palnąłem wyjątkowe głupstwo: że Soren to wybryk natury, że dar go zniszczył, umieścił na marginesie społeczeństwa. I ledwie to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że to samo można rzec o niej.

Shannon skrzywiła się lekko.

- A ona oczywiście odczytała, że o tym myślisz?

- Tak. Współczuję jej. Jest małą dziewczynką, a musi znosić taką presję. Jakoś próbuje sobie z tym radzić, chowa się za tą swoją grzywką i gramami wideo, ale... - Nagła myśl uderzyła Coopera z niemal fizyczną siłą. Wyłączył się na chwilę, żeby przyjrzeć jej się z bliska.

Czy to możliwe?

Millie sądziła, że tak. W dodatku byli w Reducie; na całym świecie nie było miejsca bardziej zaawansowanego technicznie, wszak była to zamknięta społeczność uzdolnionych, dysponujących niemal nieograniczonymi środkami i prawie nieograniczoną wolnością tworzenia. Do licha, potrafili nawet sprawić, że powstał z martwych!

- Cooper? - Shannon spoglądała na niego z mieszaniną troski i zaciekawienia. — Dobrze się czujesz?

Sięgnął po szklankę i dopił resztę bourbona, prawie nie czując smaku. A potem spojrzał w oczy Shannon.

- Marchewka.

TIME MAGAZINE

10 pytań do Shermana VanMetera

Dr Sherman VanMeter zbudował swą karierę na nieprzeciętnym talencie do przedstawiania nawet najbardziej zawiłych kwestii naukowych w przystępny - choć nie zawsze prawomyślny - sposób.

Pisze pan książki o wszystkim, od astrofizyki po zoologię. Jak to możliwe, że zdobył pan tak rozległą wiedzę w tak wielu różnych dziedzinach?

Panuje przekonanie, że dyscypliny nauki są niczym osobne państwa, a w rzeczywistości nauka jest jak uniwersalny paszport. Rzeczą polega na tym, by badać i myśleć krytycznie, nie przyswajać wiedzy pamięciowo. Stawiać znaki zapytania, nie kropki.

Zechce pan podać przykład?

Jasne. Dzieci uczą się o Układzie Słonecznym, zapamiętując nazwy planet. I kropka. Z naukowego punktu widzenia jest to wiedza bezużyteczna; nazwy planet nie mają najmniejszej wartości.

Stawianie znaków zapytania rozumiałbym w tym przypadku następująco: „Istnieją setki tysięcy sporych obiektów orbitujących wokół Słońca. Które z nich są wyjątkowe? Z jakiego powodu? Jakie są między nimi podobieństwa? Czego one dowodzą?”.

Ale w jaki sposób można wyjaśnić dzieciom tak złożone zagadnienia?

Należy je uczyć odpowiedniego sposobu myślenia. Nie ma odpowiedzi, a jedynie pytania, które kształtują nasz sposób rozumienia świata i w konsekwencji pozwalają postawić sobie kolejne pytania.

Brzmi to bardziej jak mistycyzm niż nauka. Gdzie nakreśliłby pan granicę?

Tu właśnie wkracza do akcji myślenie krytyczne.

Rozumiem, jak można je zastosować do kategoryzowania obiektów w Układzie Słonecznym. Ale co z bardziej abstrakcyjnymi zagadnieniami?

Tu także sprawdzi się doskonale. Weźmy na przykład miłość. Artysta powiedziałaby, że miłość to tajemnicza siła.

Kapłani twierdzą, że to manifestacja tego, co boskie.

Według biochemików jednak miłość to tylko sprzężenie zwrotne dopaminy, testosteronu, fenyloetyloaminy i noradrenaliny, z małym dodatkiem naglącej potrzeby. Różnica polega na tym, że my mamy dowody.

Nie jest pan zatem romantykiem?

Jesteśmy tym, kim jesteśmy, za sprawą ewolucji. Ewolucja zaś, zwięźle rzecz ujmując, jest stałym procesem produkcyjnym coraz skuteczniejszych maszyn do zabijania.

Czy nie trafniejsze byłoby określenie „maszyn do przetrwania”?

Jedno idzie w parze z drugim. Jednakże to zabijanie jest czynnikiem sprawczym; bez niego nie ma mowy o przetrwaniu.

To dość chłodny sposób patrzenia na świat, nie sądzi pan?

Nie. Prawdę mówiąc, to dość optymistyczna ocena. Zacytuję może moje ulubione słowa antropologa Roberta Ardreya: „Narodziliśmy się z małp, które wyewoluowały, a nie z upadłych aniołów, a na dodatek były to małpy-zabójcy. Co jednak powinniśmy podziwiać? Nasze zbrodnie, masakry, pociski i niereformowalne reżimy? Czy może nasze pakt o wzajemnej współpracy, cokolwiek są warte; nasze spokojne ziemie, nawet jeśli raz na jakiś czas zmieniają się w pole bitwy, a może nasze marzenia, nawet jeśli rzadko udaje nam się je spełnić? Cud człowieczeństwa nie polega na tym, jak nisko się stoczyliśmy, ale na tym, jak wspaniale potrafiliśmy się podnieść”.

Użył pan tych słów jako motta swej nowej książki, zatytułowanej *Bóg jest nienormalny*. Zauważyłem jednak, że opuścił pan ostatnie zdanie: „Jesteśmy znani wśród gwiazd z naszych wierszy, nie z naszych trupów”. Dlaczego?

W tym momencie wolność twórcza Ardreya wzięła górę nad jego naukowym podejściem, co uważam za niebezpieczny błąd. Słońce nie rozważa ludzkiej natury; galaktyka nie jest naszym sędzią. Jesteśmy wszechświatowi najzupełniej obojętni. Wyewoluowaliśmy i jesteśmy tym, kim jesteśmy, ponieważ aktualny model człowieka potrafił przetrwać, a poprzednie - nie. To proste.

Dlaczego uważa pan odrobinę twórczego entuzjazmu za

niebezpieczny błąd?

Dlatego, że artyści są bardziej niebezpieczni niż mordercy. Najskuteczniejszy z seryjnych zabójców może zgładzić co najwyżej dziesiątki ludzi. Poeci kładą pokotem całe pokolenia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Soren śnił.

Szedł ulicami obcego miasta, czując pod stopami prastare kamienie bruku. Przybrudzone budynki z białego kamienia, wysokie bramy w kolorze głębokiej zieleni, zasłony widoczne w oknach na piętrze, starzy ludzie przyglądający się płynącemu życiu. Rzym? Nigdy nie był w Rzymie. Lot na takim dystansie trwał osiem albo dziewięć godzin „normalnego” czasu, zatem blisko sto godzin według jego rachuby, ale nie one stanowiły sedno problemu. Czas był oceanem, w którym Soren nauczył się pływać - gdyby był sam, spędziłby podróż pogrążony w medytacjach, w pogoni za nicością.

Problem stanowiło długotrwałe przebywanie w zamkniętej przestrzeni z innymi ludźmi.

Cierpiał katusze, patrząc, jak poruszają się niczym sparaliżowani, jak upiornie wypaczony jest każdy ich grymas, jak robaki ich warg wiją się leniwie, by wypluć umęczone sylaby, jak kropelki śliny tryskają powolnym łukiem z ich odrażających ust. Tłuste ciała, łysiejące czaszki. Prymitywna, straszna energia ich istnienia, samego istnienia - i to, jak głośno ją manifestują, jak krzykliwie, jak tandetnie. Nawet gdy spali, zagłuszali świat swym chrapaniem i zatrawali gazami. Gdzie byli ludzie, tam nie było piękna.

Właśnie dlatego wiedział, że to sen. Rzadko, ale jednak się zdarzało, że w snach jego klątwa przestawała działać. Nie musiał wtedy znosić własnych kroków w zwolnionym tempie, nie musiał czekać w więzieniu pod powiekami, aż świat nareszcie go dogoni. Mógł spacerować między bliźniami, nie nienawidząc ich.

Najokrutniejszymi snami były te na jawie, które potrafił świadomie kontrolować. Mógł wtedy zatrzymać się przed restauracją i rozkoszować się aromatem bazylii i czosnku dolatującym zza otwartych drzwi. Mógł podrapać się w szyję, gdy go zaswędziała, czując dotyk swoich paznokci. Mógł, jak teraz, ujrzeć na swej drodze małą kapliczkę i zachwycić się jej doskonałymi proporcjami, docenić zwycięstwo każdego kamienia w zmaganiach z pogodą i czasem. Zbliżając się do

niej, usłyszał dźwięki dobiegające z wnętrza. Skrzywił się odruchowo. Nigdy nie były przyjemne: głosy, westchnienia, śmiechy zlewały się w jego uszach w jeden zgrzyt, jakby ktoś piłował zęby.

Ale.

Te dźwięki.

Takich jeszcze nigdy nie słyszał.

Narastały warstwami, wznosiły się coraz wyżej, zmieniając tekstury i nastroje. Był w nich rytm, który pęczniał jak miłość - jak wtedy, gdy był z Samanthą, gdy każde leniwe pchnięcie stawało się czystą ekstazą. Zatracał się w niej, a każde kolejne doznanie było odrębnym światem, trwającym w nieskończoność. Wydawało mu się, że rytm ma własny temat -jakby ktoś znalazł sposób na oddanie w ten sposób jasności brzasku, nadchodzącego po nocy tak zimnej i długiej, że zdawała się trwać bez końca. Niskie tony odbierał jako atramentową czerń, zagubienie i lęk, ale do walki z nimi stawały wyższe dźwięki, natarczywe, coraz głośniejsze, układające się w motywy, od których czuł dziwny ucisk w piersi.

Przekroczył próg kaplicy, zdumiony mocą echa niosącego się pośród zabytkowych kamiennych ścian. Wnętrze oświetlały grube, białe świece, których płomienie tańczyły tak... szybko, tak bardzo szybko! Widok ten zdumiał Sorena, ale i napełnił poczuciem swobody. I ten zapach, taki bogaty, taki swojski -wosk, ogień, kadzidło. Pośrodku sali stał rozśpiewany chór.

Ludzie? Ludzie wydają takie dźwięki?

Wszedł między rzędy ławek i przysiadł w ciemnym kącie. Usta chórzystów poruszały się zwyczajnie, ale płynące z nich dźwięki - coś takiego słyszał pierwszy raz w życiu. Starannie skalkulowana plecionka głosów, czysta, mocna i piękna. Porwała go, wstrząsnęła nim, uniosła w górę. Jego palce zacisnęły się kurczowo na kolanach, a pierś zafalowała nagle. Zaczął płakać.

Czuł, że może to być najokrutniejszy ze wszystkich snów, jakie kiedykolwiek wyśnił, tymczasem jednak trwał w nim: skoro musi zapłacić cenę, niech przynajmniej rozkoszuje się chwilą, chłonie ten dźwięk, który opływa go jak ciepłe morze, tę czystość, tę esencję, tę świętą...

Muzykę.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że to muzyka. Tak musieli ją słyszeć inni. W jego uszach od zawsze była niczym więcej jak tylko niekończącym się, upiornym rżeniem, kakofonią dźwięków przeszywających aż do kości. Wiedział, że ludzie ją lubią, ale on nie był jednym z nich.

Głosy pomału cichły - zbyt wcześnie! A kiedy pieśń dobiegła końca, Soren poczuł się tak, jakby ustała fizyczna siła pchająca go w górę. I wtedy usłyszał coś jeszcze. Gdzieś z boku. Kolejny dźwięk, którego nie znał: prawdziwy głos mówiącego.

- Niezłe, co?

Wiedział, że sen wkrótce dobiegnie końca. A przecież chciał tylko jednego: zostać w nim jeszcze chwilę, trochę dłużej, na zawsze. Niestety, tak to bywało z jego snami. Na ławce, tuż obok niego, siedział Nick Cooper. Człowiek, którego Soren zabił i który powrócił spomiędzy umarłych, by go oszukać, by mu połamać kości i wreszcie wysłać do białego czyścica, w którym mógł jedynie liczyć.

- Muzyka - dodał potwór. - Pomyślałem, że to najlepszy sposób, żeby coś ci pokazać. Nigdy wcześniej jej nie słyszałeś, prawda?

Kres snu był coraz bliższy. Soren odwrócił się znowu w stronę chóru. Może jeszcze coś zaśpiewają?

- Twój czas zerowy to 11,2. Potrzebuję mniej więcej sekundy, żeby powiedzieć: „Raz Missisipi”. Ale tego słowa też nigdy nie słyszałeś, mam rację? Słyszałeś coś takiego: „Rrrrrrrrr-aaaaaaaaazzzzzzzz Mmmmmmmmmiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiij. sssssssssssss...” - Cooper nie dokończył słowa. - Nigdy nie zaznałeś życia. Tego prawdziwego.

Soren znowu poczuł swędzenie szyi. Podrapał się. W większości snów był ledwie współuczestnikiem akcji; wizje tak wyraziste jak ta zazwyczaj świadomie kontrolował. Postanowił wygnać Nicka Coopera z kaplicy i skupić się całkowicie na muzyce, zanim tkanina snu wystrzępi się i pęknie.

- Niech no zgadnę - powiedział Cooper. - Myślisz, że to sen.

Soren obrócił się mimowolnie, dość gwałtownie.

- Całkiem jak w tej przypowieści o człowieku, któremu się śniło, że jest motylem. Gdy się obudził, nie był pewny, czy aby nie jest

motylem śniącym o tym, że jest człowiekiem. Znam jeszcze parę podobnych przykładów; typowa filozofia dla smarkaczy. - Uśmiech, który pojawił się na ustach Coopera, nie sięgnął jego oczu. - Pozwól, że rozwiążę za ciebie tę zagadkę. Nie śniesz.

- Zatem co się dzieje?

- Urocza chwila, nie sądzisz? Masz niepowtarzalną szansę chodzić, rozmawiać i myśleć, nie czekając, aż reszta świata cię dogoni. Wyobraź sobie, jak sprawy mogłyby się ułożyć, gdybyś nie urodził się taki, jaki jesteś. Mógłbyś mieć prawdziwe życie. Przyjaciół, związki. Mógłbyś słuchać muzyki, spacerować po plaży, zwyczajnie rozmawiać. Doświadczyłbyś tego wszystkiego, co dla zwykłych ludzi jest normą. Wszystkiego, czego nie dane ci było zaznać.

- Co to wszystko znaczy?

- Wiesz - odparł Cooper - nie musisz się trzymać schematu czterech słówek naraz. Rozwiń skrzydła. Spróbuj wypowiedzieć całe zdanie.

Soren patrzył na niego. Czekał.

Cooper westchnął.

- Mówię o możliwości prowadzenia prawdziwego życia.

- Prawdziwego? - Johansen potoczył spojrzeniem po murach kaplicy, chórze, rzymskiej uliczce za otwartymi drzwiami.

- Akurat ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że „prawdziwy” to bardzo elastyczne określenie. Reszta świata doświadcza pewnych rzeczy, a ty doświadczasz czegoś zupełnie innego. Co tu jest prawdziwe? Nasz świat? Twój? A może żaden z nich? — Cooper wzruszył ramionami. — Percepcja to tylko kwestia sygnałów elektrycznych w ludzkim mózgu. Filozofowie, poeci i kapłani twierdzą, że to coś więcej. Kto wie, może mają rację. Ale to nie zmienia faktu, że świadomość to zjawisko elektryczne. Nie istnieje obiektywna prawda, a jedynie subiektywne doświadczenie rejestrowane przez mózg. Czy nie było tak, że gdy wydawało ci się, że to tylko sen, chciałeś w nim pozostać na dłużej?

Chciałem. Bardziej niż cokolwiek innego. Pozostać w nim na resztą życia.

- Co to wszystko znaczy? - powtórzył Soren.

- To symulacja. Zaprojektowana przez najlepszych specjalistów

Reduty. To się nazywa „nowa technologia”, co? Naprawdę pionierska rzecz, inteligentna sieć, zdolna przewidywać i planować działania o krok przed użytkownikami. Nie jestem bioinżynierem, ale wyjaśniono mi, że ten sprzęt bezpośrednio stymuluje części mózgu odpowiedzialne za przetwarzanie danych zmysłowych. Płat potyliczny, skroniowy, czołowy i ciemieniowy, neurony pnia mózgu i kto wie co jeszcze. Chodzi o to, że dane wynikowe są równie realne jak wszystko inne, co powstaje w twojej głowie. A jako że są generowane, możemy wyzerować twoje poczucie czasu.

- Jak?

- Uśpiliśmy cię podczas snu, a chirurdzy Erika wszczepili ci niewielkie urządzenie, interfejs.

- Po co?

- Chciałeś chyba powiedzieć „dziękuję”. - Nick znowu uśmiechnął się chłodno. - Jak na faceta, którego podstawową rozrywką jest liczenie dziur w ścianach i który w skrytości marzy głównie o tym, żebym go zabił, to coś jakby Boże Narodzenie, jak sądzę?

Soren nareszcie zrozumiał.

- To oferta.

Cooper skinął głową.

- Wersja jeden zero. Z czasem Epstein będzie w stanie stworzyć stały interfejs, jakby mentalnego tłumacza, który pozwoli ci postrzegać świat dokładnie tak samo, jak postrzegają go zwykli ludzie.

Soren podrapał się w szyję.

- Za jaką cenę?

- Potrzebujemy informacji.

- O Johnie.

- Tak.

Soren zamyślił się.

Gdy był dzieckiem, przytłoczonym każdą sekundą życia, gdy nie umiał nikomu wyjaśnić, co jest z nim nie tak, w jego głowie odezwał się głos, który obiecał mu, że pewnego dnia zostanie uleczony. Że ktoś znajdzie sposób, zapanuje nad piekłem, które szalało w jego głowie. Że kiedyś i on, Soren Johansen, będzie postrzegał świat tak jak inni. Cieszył się najprostszymi przyjemnościami.

Tylko dlatego pozostał przy życiu. I choć z czasem przestał wierzyć owemu głosowi, jego wpływ był ogromny: pragnienie przetrwania stało się dla Sorena nawykiem, którego nigdy się nie wyrzekł, chociaż miewał chwile zwątpienia.

A teraz okazało się, że głos nie kłamał. Istniało lekarstwo. Chór znowu zaczął śpiewać. Wibrujący szept niósł się echem w murach kaplicy. Soren nigdy w życiu nie słyszał niczego piękniejszego. Chwile spędzone z Samanthą, choć równie cudowne, były tylko blaknącym wspomnieniem; ten śpiew był zaś realny i taki bliski.

Przez całe życie starałeś się być liściem, pozwalając, by niósł cię prąd.

Co by się stało, gdybyś stał się teraz orłem i poszybował pod wiatr?

- Wiem, że uważasz go za swego przyjaciela, ale Smith cię wykorzystał. Wysłał cię z misją, miałeś dla niego zabijać, a gdy poniosłeś klęskę, porzucił cię. Nie kochał cię bardziej, niż szachista kocha mocną figurę, wiedząc doskonale, że jeśli zajdzie potrzeba, poświęci ją dla zwycięstwa.

Soren przypomniał sobie nagle słowa Johna: „ Jesteświeżą. Zapomnianąwieżawtylnymrzędzie”. Od niepamiętnych czasów tak do niego mówił: zlepił słowa, by Sorenowi łatwiej było je zrozumieć. Rozmawiali w mieszkaniu w Tesli, pełnym książek. John zaaranżował mu tam ponowne spotkanie z Samanthą.

Znowu to swędzenie.

Soren spojrzął na ściany pięknej kaplicy, rozświetlonej blaskiem świec, pachnącej woskiem i płynem do polerowania mebli, rozbrzmiewającej tonami pieśni, której piękna doświadczał po raz pierwszy. A potem sięgnął obiema rękami za głowę.

- Co robisz? - spytał Cooper, spoglądając na niego z ukosa.

Soren go zignorował. Szyja w zasadzie go nie bolała, ale czuł, że coś się w niej zmieniło. Skupił się i wyteżył siły. Czuł się tak, jakby próbował wybudzić się ze snu, jak w chwili, gdy oba światy wydają się równie realne, gdy granica między nimi jest elastyczna. W tym samym momencie, gdy o tym pomyślał, poczuł pod palcami coś twardego i zimnego. Patrząc prosto w oczy Coopera, zagiął palce wokół obcego ciała i szarpnął.

Świat zamarł, wykrzywił się i zamigotał, jak marnej jakości przekaz wideo - a potem zniknął.

Kaplica, świece, chór — wszystko przepadło.

Wszystko prócz Coopera, który nadal siedział naprzeciwko niego w jasno oświetlonej celi, której ściany pokryto płytkami z 415 872 otworami. Mężczyzna patrzył nań z mieszaniną zdumienia i zgrozy.

Powoli, bardzo powoli. Soren cofnął rękę zza głowy i spojrzął na przewód, który chwilę wcześniej był podłączony do jego karku. Głos w jego głowie krzyczał jak oszalały, że trzeba natychmiast podłączyć tę wtyczkę, że jeszcze nie jest za późno, że przecież właśnie o tym marzył przez całe życie.

Rozluźnił palce i pozwolił, by implant upadł na podłogę.

- Nie.

Ale dla Sorena brzmiało to jak: „Neeeeeeeeeeeeeeeeee eeeeeeeeeeeeeeeee...”.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ziemia była zimna i twarda jak żelazny odlew wyjęty z zamrażarki. Luke Hammond czuł, jak chłód wciska się do jego piersi, kamienie wbijają się w nogi, a tępy ból przenika mięśnie. Wreszcie zebrał siły i wyłączył dyskomfort. Nauczył się tej sztuczki w Laosie, jako dziewiętnastolatek, zwiadowca dalekiego rozpoznania. Kataloguj czynniki zewnętrzne, ale nie ulegaj im. Skup się na misji.

Noktowizor sprzężony z lornetką uległ zniszczeniu wraz z całą resztą elektroniki, gdy potężny impuls elektromagnetyczny przerwał pochód milicji. Niebo nad Wyomingiem było jednak czyste i w świetle gwiazd obóz widać było jak na dłoni. Kolonia przyczep kempingowych i kontenerów mieszkalnych otaczała napętnioną powietrzem strukturę o długości blisko stu metrów, w której wyraźnie odznaczały się sale i korytarze. Wiatr raz po raz niósł basowy pomruk generatorów. Na zaimprovizowanym parkingu stała garstka samochodów i cztery wielkie autobusy. Bazy nie otaczało ogrodzenie, nie było nawet tabliczki ani żadnego stałego elementu architektonicznego. Całość sprawiała takie wrażenie, jakby sklecono ją w pośpiechu najwyżej tydzień wcześniej — i tak właśnie było.

Jedyny strażnik obozu przytupywał dla rozgrzewki i właśnie zapalał papierosa. Prawdziwy żołnierz nie popełniłby na warcie tak grubego błędu, ale prawdą było i to, że nikt tu nie spodziewał się ataku. Między innymi dlatego Luke i jego drużyna przebyli osiemdziesiąt kilometrów prostopadle do szlaku, którym poruszali się Nowi Synowie. Na tej bezludnej ziemi jałowej warta służyła głównie ochronie obozowiczów przed kojotami.

Odłożył lornetkę i rozejrzał się na boki. Jedenastu ludzi leżących w milczeniu na brzuchach, spoglądało na niego Podobnie jak on, mieli na sobie czarne ubrania i wełniane czapki. W mroku połyskiwały jedynie ich oczy i metalowe elementy broni.

Miller uważał, że przydałby się liczniejszy oddział, ale Luke był odmiennego zdania. Być może Epsteinowi skończyły się bomby, ale niebo niewątpliwie wciąż było pełne dronów obserwujących każdy ruch

ochotniczej armii.

- Wezmą nas za dezerterów. Sam wiesz, że wielu będzie takich. Wykrzykiwanie haseł to jedno, a przeżycie ostrzału dronów to zupełnie inna sprawa. Epstein zaś nie będzie w stanie śledzić każdej odłączającej się grupy.

- Nie - zgodził się generał Miller. — Ale ta misja ma kluczowe znaczenie dla powodzenia całej ekspedycji. Czy tuzin ludzi zapanuje nad sytuacją?

- Tak - odparł pewnie Luke. - Naszym celem są ludzie nawykli do wykonywania rozkazów.

Oddział, który poprowadził, nie był jedną z tych elitarnych jednostek, którymi dowodzić przywykł w wojsku, ale ci, którzy zdecydowali się dołączyć do milicji i przybyli w tym celu z najodleglejszych zakątków kraju, należeli do podobnego gatunku. Wybrał spośród nich ochotników z największym doświadczeniem bojowym. Byli podobni, ale i dramatycznie odmienni: Górecki służył niegdyś w piechocie morskiej, a ostatnio był ochroniarzem gwiazd hip-hopu. Decker był zbrojmistrzem jednego z klubów motocyklowych z San Diego. Reynolds dowodził policyjną jednostką szybkiego reagowania w Tennessee.

- Zdejmę wartownika na zewnątrz — szepnął Luke. -W dormitoriach jest pewnie jeszcze paru. Reynolds, to robota dla twojej drużyny. Załatwcie to po cichu. Górecki, weź swoją trójkę i obstawcie perimetr. Personel zastaniemy prawdopodobnie w przyczepach; pójdziemy z Deckerem od drzwi do drzwi. Wszystko jasne?

Liderzy drużyn unieśli kciuki. Luke już miał powstać, ale zmienił zdanie.

- Pamiętajcie, żeby uważnie wybierać cele. Niech nikt się nie waży skrzywdzić dzieciaka.

Zaczekał, aż jedenastu ludzi przytaknie ruchem głowy, zanim po raz ostatni spojrział przez lornetkę na obóz. Wartownik nadal opierał się o maskę wozu, tyłem do nich.

Oddawszy lornetkę Góreckiemu, Luke podniósł się z ziemi i pochylony ruszył w kierunku parkingu. Dobrze było poruszać się trochę po półgodzinie leżenia na zmarzniętej ziemi. Zadanie było jasne, zmysły

działały na najwyższych obrotach. Ile razy wykonywał podobne misje? Dziesiątki? Przestał już liczyć nawet kraje, w których przyszło mu walczyć. Czasem miał wrażenie, że tylko w takich chwilach, podczas akcji, naprawdę żyje.

A przynajmniej miewał takie myśli, zanim stracił synów.

Warkot generatorów zagłuszał wszelkie odgłosy towarzyszące jego ruchom, lecz mimo to starał się stąpać ostrożnie. Gdy dotarł do najbliższego autobusu, znowu położył się na ziemi i zajrzał pod podwozie. Z tej pozycji widział jedynie tylną część nóg wartownika. Zastanawiał się, czy warto go okrążyć, ale ostatecznie wybrał mniej oczywistą drogę: wpełzł pod autobus. Za każdym ostrożnym ruchem widział coraz więcej. Liczba niedopałków leżących u stóp wartownika wskazywała na to, że pełnił służbę od dłuższego czasu. Nocna zmiana zawsze bywa najbardziej nudna; łatwo wtedy Popaść w zamyślenie.

Luke powstał, cichy jak cień. Nie sięgnął po pistolet; wyjął z kieszeni kawałek linki i kilkakrotnie owinął jej końce wokół dłoni zabezpieczonych rękawiczkami. Jeden, dwa, trzy kroki i już był tuż za plecami przeciwnika - na tyle blisko, by Poczuc kwaśny smród tytoniu i usłyszeć chrapliwy oddech. Luke zczekał, aż mężczyzna zaciągnął się po raz ostatni i wypuścił powietrze z płuc. W tym momencie skrzyżował ramiona, tworząc z linki pętlę, zarzucił ją na szyję wartownika i szarpnął z całej siły ku sobie, jednocześnie kopniakiem podcinając mu kolano.

W ciągu niespełna sekundy cały ciężar ciała zaatakowanego i wszystkie siły Luke'a oddziaływały na linkę, zamykając tchawicę i tętnicę szyjną. Mężczyzna uniósł ręce ku szyi w daremnej próbie uwolnienia się. Rył butami ziemię w dzikich spazmach, ale już po trzech sekundach zabrakło mu sił, a po ośmiu przestał się ruszać. Luke odczekał jeszcze dwadzieścia, nim odwiązał linkę i na wszelki wypadek zadał leżącemu cios nożem.

Wreszcie wstał i skinął na swój oddział.

Przybiegli szybko, z pistoletami maszynowymi w pogotowiu. Drużyna Reynoldsa natychmiast ruszyła w stronę nadmuchanej kopuły. Ludzie Goreckiego rozdzielili się, by otoczyć obóz. Decker, chudy od nadmiaru amfetaminy motocyklista, przypominał wytatuowanego stracha na wróble; długie włosy zaczesał do tyłu i przycisnął czapkę.

Jego źrenice nawet się nie rozszerzyły, gdy zobaczył martwego wartownika i kałużę parującą krwi na zmarzniętej ziemi.

Luke wskazał na najbliższą przyczepę. Miał nadzieję, że drzwi nie będą zamknięte - w końcu od najbliższego miasta dzieliło ich sporo kilometrów - ale gdy przekręcił gałkę, nie ustąpiły. Do zamka pasował czwarty z pęku kluczy odebranych zabitemu wartownikowi. Luke otworzył drzwi i wśliznął się do środka. Decker podążył za nim.

W poświęcacie gwiazd widać było ciasne wnętrze: kuchnia znajdowała się po lewej stronie, a sypialnia - za otwartymi drzwiami po prawej. Luke zakradł się tam, bezszelestnie stąpając po miękkiej wykładzinie, i zajrzał do środka. Ciemność. Wyjął z kieszeni latarkę, otoczył ją dłonią i pozwoliłby czerwone światło przefiltrowane przez ciało rozproszyć mrok. Biurko, drzwi do łazienki, podwójny materac, jedna leżąca postać. Sześć kroków i był przy niej.

Jednym skokiem dosiadł lokatora przyczepy. Zakrył mu usta prawą ręką, lewą kierując snop światła prosto w oczy leżącego. Mężczyzna obudził się wystraszony i wymamrotał coś prosto w dłoń Luke'a.

- Nie stawiaj oporu.

Napadnięty zamarł. Był blady, a źrenice jego szeroko otwartych oczu zwężyły się w reakcji na ostre światło.

- Za chwilę odsłonię ci usta. Jeśli odważysz się krzyknąć, zginiesz. Zrozumiałeś?

Drżące skinienie głową.

- Jaka jest twoja rola?

- C...co? - spytał mężczyzna łamiącym się głosem.

- Twoja praca. Czym się zajmujesz?

- Jestem wychowawcą.

- Jak ci na imię?

- Gary.

- Ile dzieci tu trzymacie, Gary?

- Eee... - Mężczyzna zawahał się po raz pierwszy.

Decker wyjął z pochwy na udzie długi myśliwski nóż, błysnął klingą w blasku latarki i przycisnął ją do gardła Gary'ego. Na skórze pojawiła się cieniutka kreska świeżej krwi. Wychowawca szarpnął się i chyba chciał wrzasnąć, ale Luke w porę zacisnął dłoń na jego ustach.

- Usłyszeliśmy jedno ostrzeżenie, zanim Epstein spróbował nas zabić. Dostaniesz od nas tyle samo: spróbuj jeszcze coś zataić albo nas okłamać, a wypruję ci flaki. - Luke cofnął rękę. - A zatem...?

- Sześćset czworo!

Przez chwilę Luke był bliski wydania Deckerowi rozkazu. by zabił wychowawcę, ale doszedł do wniosku, że strach w jego oczach jest autentyczny.

- To bez sensu.

- Przysięgam...

- Mów ciszej.

- Przysięgam, że to prawda. Przysięgam.

- Wiemy, że Epstein sprowadził tu dzieciaki, które dwa tygodnie temu uciekły z Davis Academy. W całej szkole było najwyżej trzystu uczniów.

- Do... dobraliśmy ich w pary. Z innymi dziećmi.

- Po co?

- W akademiach... Te dzieci zostały odebrane rodzicom i poddane praniu mózgow. Przez lata uczono je, że mają się nawzajem nienawidzić. Potrzebują opieki, pomocy. To dlatego trafiliśmy właśnie tu, w sam środek pustkowie. Proszę, nie róbcie mi krzywdy...

- Z jakimi innymi dziećmi?

-Hę?

- Powiedziałaś, że dobraliście uczniów w pary z innymi dziećmi.

- Ach, tak. Z dziećmi z Reduty. Ochotnikami.

Luke się zamyślił. Brzmiało to sensownie i nawet przypominało terapię, której poddawano weteranów wojennych z zespołem szoku pourazowego. *To błogosławieństwo. Dzięki niemu plan Millera będzie dwukrotnie bardziej skuteczny.*

- Jesteś nienormalny?

- Tak. Czytacz, poziom drugi, z magisterką z...

- Zadam ci pytanie i chcę, żebyś mnie starannie czytał i zastanowił się bardzo głęboko, zanim odpowiesz. - Luke pochylił się nad leżącym. - Jak bardzo chcesz żyć?

Mężczyzna patrzył mu w oczy. Luke przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wiedząc, że trwa wewnętrzna walka, spór o wagę takich

spraw, jak honor i obowiązek. Abstrakcyjne pojęcia musiały wydawać się nader ulotne komuś, kto obudził się w środku nocy z nożem na gardle.

- Co mam zrobić?
- Ilu macie tu terapeutów?
- Eee... chyba dziesięciu zawodowców, do tego paru administratorów.
- Gdybyś miał wybrać dwóch, którzy przeżyją tę noc, których byś wytypował? I gdzie nocują?

Dwadzieścia minut później Luke i Decker mieli do dyspozycji dwoje terapeutów.

Zapewne poszłoby im szybciej, gdyby nie to, że trafili też na dwóch takich, którzy nie chcieli żyć tak bardzo jak Gary.

Biorąc pod uwagę ścisk, jaki panował pod wielką kopułą dmuchanej sali gimnastycznej, był tam zadziwiający spokój. Dzieci siedziały na podłodze, niektóre w parach, ale większość pojedynczo. Te z Davis Academy pokornie wyciągały ręce do spętania. Gary i terapeuci bardzo się przydali: na widok znajomych twarzy dorosłych dzieci bez oporu wykonywały polecenia.

To ochotnicy z Reduty próbowali dyskutować albo wręcz stawiać opór. W ryzach trzymał je przede wszystkim lęk przed komandosami uzbrojonymi w pistolety maszynowe.

- Nie ma się czego bać - powiedział Gary drżącym głosem. - Ci panowie obiecali, że nikomu nie stanie się krzywda.

Stał pośrodku sali, obracając się wolno i próbując nie patrzeć na uzbrojonych strażników, którzy otoczyli jeńców.

Luke obszedł zebranych dookoła, licząc głowy. Zastanawiał się, co tak naprawdę musiało się dziać w akademiach, skoro dzieciaki są tak potulne. Podobne zgromadzenia we własnej szkole pamiętał jako

pandemonia, i to bez względu na to, jak zdzierali sobie głosy wychowawcy, próbując zaprowadzić porządek. A tu przecież udało się zebrać dzieci nieprzeciętnie uzdolnione; u wielu z nich zdiagnozowano poziom pierwszy. Nie tylko potrafiły dokonywać rzeczy nieosiągalnych dla zwykłych śmiertelników, lecz także doskonale o tym wiedziały. Spodziewał się, że będą buńczuczne, pewne tego, że ich zdolności zapewnią im szczególne traktowanie. W końcu, choć młode, miały ogromną przewagę liczebną: ponad sześćset dzieci przeciwko tuzinowi żołnierzy.

Naturalnie żadne nie wiedziało, że Luke nie ma zamiaru nikogo skrzywdzić. Czymkolwiek były akademie, ludzie, którzy je prowadzili, z pewnością nie przestrzegali tej zasady. Jak sam mówił generałowi Millerowi, dozwolone było wszystko, co prowadziło do celu - i dlatego wychowankowie przywykli do wykonywania rozkazów.

500, 502, 504.

Decker i dwaj inni weszli pod kopułę, wpuszczając przy okazji głośny powiew lodowatego wiatru. Motocyklista skinął głową w stronę Luke'a. Doskonale - zadanie zostało wykonane. Resztę personelu zneutralizowano; pozostali jedynie Gary i dwoje terapeutów.

Obóz należał do Nowych Synów Wolności.

Luke poczuł się nagle znużony. Bez wątpienia podobnie czuli się jego towarzysze - zbliżał się świt po bardzo długim dniu i takiejż nocy. Prawdę mówiąc, rozpoczęli wyprawę jeszcze w ciemnościach, krótko po ataku dronów. Maszerowali wytrwale, pokonując prawie osiemdziesiąt kilometrów w dwadzieścia cztery godziny; zatrzymywali się tylko na krótko, by się posilić albo zaczekać w krzakach, aż ucichnie ruch na szosach, przez które musieli przebiec. Nerwowo wypatrywali szybowców zwiadowczych. Jeśli dodać do tego stale wysoki poziom adrenaliny - nawet jeśli podczas akcji nie napotkali żadnego oporu - to trudno się dziwić, że Luke marzył teraz przede wszystkim o paru godzinach spokojnego snu.

A przed tobą jeszcze długi dzień.

580, 582, 584.

Napad powiódł się tylko dlatego, że nikt w Reducie się go nie spodziewał. Generał Miller szacował, że po ataku dronów zdezerteruje

do dwóch tysięcy ludzi. Wielu z nich zamierzało wrócić prostą drogą tam, skąd przybyli, ale liczne grupki podążyły w przypadkowych kierunkach, a to oznaczało poważne problemy ze śledzeniem i przechwytywaniem ich - zwłaszcza że główne siły Nowych Synów Wolności nadal posuwały się w kierunku Tesli.

Luke cieszył się w duchu, że przynajmniej drogi powrotnej nie będą musieli pokonać pieszo. Autobusy stojące na parkingu - niewątpliwie te same, którymi przywieziono tu dzieci — mogły zapewnić im szybkie dołączenie do milicji.

- Wiem, że się boicie — ciągnął Gary. — Podobnie jak my. Ale wszystko będzie dobrze. Niech każdy trzyma się swojego kolegi i wykonuje polecenia. Razem przetrwamy do końca tej przygody.

598, 600, 602... 603.

Luke zmarszczył brwi. Po pierwszym liczeniu uznał, że albo któryś z dzieciaków przesiadł się wbrew zaleceniom, albo ze zmęczenia popełnił błąd. Teraz jednak był pewny, że albo Gary go okłamał, albo jeden z podopiecznych gdzieś się ukrył.

W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia — i tak przechwycili ich więcej, niż się spodziewali. Lecz gdyby ów dzieciak był dostatecznie bystry, żeby spróbować skorzystać z telefonu, utraciliby całą przewagę. Nie mieliby szans na bezpieczny powrót do głównych sił milicji, gdyby władze Nowego Kanaan dowiedziały się o ich misji.

Gary głądził bez końca, jak mu kazano, a Luke podszedł do Reynoldsa, byłego gliniarza. Reynolds spisał się doskonale; jego zespół zlikwidował wartowników pod kopułą, nie wzbudzając niepokoju podopiecznych.

- Jednego brakuje.

Reynolds zaklął z cicha.

- Mam poszukać?

- Nie, zostań tu i czuwaj. - Luke jeszcze raz obszedł gromadę siedzących, próbując ignorować trwożliwe spojrzenia dzieci. Wnętrze dmuchanej kopuły miało modularny układ: gimnastyczna była największym pomieszczeniem, a korytarze prowadziły do dormitoriów i sal lekcyjnych. Dobra wiadomość była taka, że nie było tu nazbyt wielu dobrych kryjówek. Luke spodziewał się, że znajdzie brakującego

smarkacza gdzieś pod łóżkiem.

Gdy dotarł do drzwi, przyszła mu do głowy nowa myśl. Odwrócił się i znowu zaczął liczyć. 2, 4, 6, 8... 9. Dziesięciu, licząc wraz z nim.

Poczuł lodowaty chłód i zdecydowanym ruchem sięgnął po broń.

Korytarz był pusty i cichy, jeśli nie liczyć zawodzenia wiatru napierającego na płótno. Dopiero po chwili Hammond usłyszał jakby daleki głos i może stłumione skomlenie. Przyspieszył kroku, starając się iść jak najciszej. *Chrzanić ciszą*, pomyślał zaraz i puścił się biegiem.

Gdy Luke gwałtownym ruchem otworzył drzwi, Healy wyprostował się gwałtownie, a wyraz jego twarzy zdawał się mówić: „O, w mordę”. Górecki odwrócił się nieporadnie, w spodniach spuszczonej do kostek i z interesem na wierzchu.

Przez moment tylko patrzyli na siebie — Luke, jego dwaj podwładni i dziewczyna, która obróciła ku niemu zapłakaną twarz.

- Stary, ta dziewczyna to tylko porąbaniec.

Luke pomyślał o swoich chłopcach, o swych pięknych synach, którzy spłonęli żywcem. Josh gdzieś na niebie. Zack w czołgu. Żołnierze. Zamordowani przez nienormalnych, dzięki pracy programisty, uzdolnionego pierwszego poziomu. Uzdolnionego, takiego jak ta dziewczyna.

Sięgnął po pistolet, chwycił go oburącz i wpakował dwie kule w korpus Góreckiego, po czym poprawił strzałem w głowę. Obrócił się natychmiast i taką samą porcją metalu wpakował w Healy'ego.

Gdy skończył, wsunął broń do kabury i ruszył na poszukiwanie koca, żeby okryć dziewczynę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Cooper znowu umarł.

To był nóż marki Fairbairn-Sykes, smukły sztylet używany właściwie tylko do zabijania. Wykonaną z włókna węglowego klingę ostrzono do grubości jednej molekuly, dlatego bez najmniejszego trudu przebiła ubranie, skórę i mięśnie, a następnie lewą komorę serca. Śmierć była niemal natychmiastowa.

Soren wycofał nóż i ruszył w swoją drogę. Jego twarz nie zdradzała emocji.

- Powtórz - polecił Cooper.

Projekcja cofnęła się o dziesięć sekund. Śniadanie w restauracji, z Natalie i dziećmiakami, przed dwoma tygodniami. Niby było to tylko nagranie z monitoringu, ale znajdowali się w Reducie, więc zasięg obiektywu i rozdzielczość obrazu były wręcz niewiarygodne. Cooper doskonale pamiętał rozmowę: Todd mówił o piłce nożnej w RNK; o tym, jak ze względu na uzdolnionych zmieniono zasady gry. Cooper słuchał i żartował, aż nagle gdzieś na skraju ekranu Soren poderżnął gardło ochroniarzowi, zrobił trzy kroki naprzód i otworzył drugiemu tętnicę ramienną. Krew trysnęła na najbliższe stoliki.

Z nagrania wynikało, że Cooper nie wahał się ani chwili. Wstał, rzucił krzesłem i zaatakował, lecz walka była żałośnie krótka: krzesło nie trafiło w cel, podobnie jak cios prosty. Sierpowy zaś został zablokowany klingą sztyletu, która rozplątała mu dłoń. Tu w zasadzie kończyło się to, co było niezłe.

Kolejna scena była już koszmarem. Todd, widząc rannego ojca, rzucił się na pomoc. Soren ugiął ramię i obrócił się z przerażającą mocą. Jego łokieć zderzył się ze skronią Todda; głowa chłopca gwałtownie odskoczyła w bok. Teraz Cooper wrzasnął i rzucił się na Sorena, a ten ustawił broń bardzo precyzyjnie - i właśnie wtedy przebiła ubranie, skórę i mięśnie, a następnie lewą komorę serca.

I Cooper znowu umarł.

Nawet teraz, gdy wiedział już, że Todd będzie zdrowy i że Soren przegrał - w dodatku dzięki niemu - odchodził od zmysłów, patrząc, jak

łokieć ze świstem przecina powietrze i jak oczy jego syna zachodzą mgłą.

I właśnie po to fundujesz sobie to ćwiczenie, prawda? Żeby nie zapomnieć, z kim masz do czynienia.

Cooper był dumny z siebie, gdy wpadł na pomysł z marchewką dla Sorena. Z drugiej jednak strony był też wściekły, bo ani trochę nie cieszyła go wizja niesienia pociechy potworowi, który zaatakował jego dziecko. Lecz siedząc obok zabójcy w wirtualnej kaplicy, znowu poczuł coś. czego wcale nie chciał czuć: litość.

A wszystko przez łzy w oczach Sorena. Pojawiły się, gdy po raz pierwszy usłyszał muzykę. *Pomyśl tylko, jaką siłą musiał się wykazać, by wbrew rozsądkowi wyrwać się z tak pięknego snu. Nareszcie dostał to, czego zawsze pragnął i w co przestał już wierzyć, a następnie... wyrzekł się tego.*

Cooper był zły na siebie. Żelazna wola Sorena wzbudziła w nim coś na kształt podziwu, na który nie mógł sobie pozwolić. I dlatego siedział teraz w tej zacisznej salce konferencyjnej, raz za razem serwując sobie powtórkę z najgorszej chwili w całym swoim życiu.

Właśnie miał polecić terminalowi, by odtworzył materiał jeszcze raz, gdy pisnął jego telefon. Jeszcze niedawno telefon był praktycznie żywą istotą w jego kieszeni - wiecznie sygnalizował odebranie wiadomości tekstowej, e-maila, powiadomienia, aktualizacji statusu. Jednakże parę miesięcy temu Cooper wypadł z obiegu tamtego świata. Prawdę mówiąc, całego świata. Nastał czas, w którym nowa wiadomość była niemal atrakcją.

QUINN: MUSIMY POGADAĆ. JAK-NAJ-KU...-SZYBCIEJ.

Cooper zaczął pisać odpowiedź, ale w porę przypomniał sobie, że siedzi w sali konferencyjnej.

- Zaczynij połączenie wideo — rozkazał i wyrecytował numer Bobby'ego.

- Łączność z miejscowościami położonymi poza granicami Reduty została czasowo...

- Anuluję zakaz.

- Proszę o kod autoryzacyjny.

- Zapytaj Epsteina.

Cooper czekał, wyobrażając sobie, jak w podziemnej kryjówce Erika gdzieś w niekończącej się rzece informacji wyświetla się nowa wiadomość. Bolała go głowa i był to jeden z tych morderczych bólów czających się tuż za gałkami ocznymi, więc czekając, mimowolnie tarł oczy.

Po chwili powietrze zadrżało i nieruchomy obraz jego zgonu zniknął, ustępując miejsca przyjemniejszemu widokowi: w słonecznym biurze trwała przeprowadzka; zdjęcia w ramach stały oparte o białą ścianę obok pękatych kartonów piętrzących się przy biurku.

Cooper uśmiechnął się.

- Bobby, załapałeś się na biuro w nowym gmachu? Ładne. Z oknem i w ogóle. Opłaciło się włożenie we właściwe tyłki, co?

Quinn, ubrany w dopasowany garnitur, uśmiechnął się lekko.

- Szybko się odezwałeś. Wiesz, chłopcy będą bardziej na ciebie lecieć, jeśli będziesz zgrywał niedostępnego.

- Nie umiem zwlekać, gdy chodzi o ciebie.

- Ktoś chciałby się z tobą przywitać. - Quinn pochylił się i wcisnął klawisz. Obraz podzielił się na dwie części.

- Jezu, szefie — westchnęła Luisa Abrahams. - Wyglądasz, jakbyś przez całą noc obciążał bezdomnym na dworcu autobusowym. - Stojąca obok niej Valerie West z trudem zdusiła śmiech.

Nie tak dawno temu wszyscy czworo tworzyli zespół-najbardziej zasłużony zespół w całych Służbach Obywatelskich. Tropili terrorystów i zabójców, planowali operacje o ogólnokrajowym zasięgu, byli długim ramieniem sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Przez lata razem polowali na złych ludzi, wracali późno do domu, zamawiali jedzenie na wynos, tracili nerwy i w ostatniej chwili ratowali świat. Widząc swych towarzyszy, Cooper uzmysłowił sobie nagle, jak bardzo za tym tęsknił. Za nimi.

- Louise - powiedział, po czym przygładził włosy. - Jak zawsze poetycka. Tak lepiej?

- O tak. Jestem gotowa na tradycyjną wymianę koszulek. Przykro mi, mała - dodała Louise, szturchając łokciem Va-ale nie mogę mu się dłużej opierać.

- Dość - uciął Quinn. - Czy to bezpieczne łącze?

- Ani trochę. Jestem w Reducie.
- Co? Dlaczego?
- Realizuję swoje odwieczne marzenie: chcę zostać kowbojem. - Cooper wzruszył ramionami. - A jak myślisz? Poluję na Smitha.

- Ach tak. A skoro już o tym, to po naszej ostatniej rozmowie zacząłem się zastanawiać - odparł Quinn. - Większość środków Departamentu skierowano do sprawy Epsteina, ale byłem ciekaw, co porabia nasz stary faworyt. Poprosiłem Val o małą analizę wzorców jego postępowania.

- No tak. - Analityczka poruszyła się niespokojnie w fotelu. Miała bladą cerę typową dla osoby, która większość dziennej dawki światła przyjmuje od monitora komputerowego. Co zresztą było prawdą oraz powodem, dla którego była tak świetna w swoim fachu. To właśnie Val dała Cooperowi i Ethanowi cynk, że Abe Couzen przebywa na Manhattanie. - Słuchajcie, to tylko teoria.

- Twoje teorie cenię wyżej niż fakty innych ludzi. Mów, co masz.

- Uważam, że John Smith wkrótce zaatakuje. Znaczący lada chwila. - Val umilkła na moment. - Grywasz w szachy, szefie?

- Wiem, jak poruszają się figury.

- Dobra, zatem w skrócie: rozgrywkę dzielimy na trzy fazy. W otwarciu obie strony pozycjonują swoje siły. W przypadku Smitha był to czas ukrywania się, budowania sieci i werbowania współpracowników. W fazie zasadniczej przeciwnicy wzajemnie testują swoje słabe strony, tracąc pionki. Bywa, że to krwawa wymiana ciosów, ale jeszcze nie zasadniczy konflikt. Weźmy ostatnich kilka lat: zabójstwa, eksplozja w budynku giełdy...

- Dzieci Darwina?

- Nie. To akurat był już wstęp do rozgrywki finałowej. A w niej nikt już nie jest bezpieczny, ani twoje najsilniejsze figury, ani pozycje, które budowałeś przez całą grę. Czasem wszystko to trzeba poświęcić. Liczy się tylko zwycięstwo.

Oto cały John Smith w pigułce.

- Zatem jakie zagranie szykuje?

- Tego nie wiem. Ale wiem, że już wkrótce i że to nieuniknione.

- Mów dalej.

- Pierwszy sygnał ostrzegawczy to zniknięcie poruczników Smitha z naszych radarów. I tak działali w głębokiej konspiracji, ale mimo to zawsze odbieraliśmy jakieś wibracje: czasem, z reguły za późno, udawało się zidentyfikować twarz, czasem wytropić aktywność kredytową, odczytać zakodowaną wiadomość gdzieś w sieci i tak dalej. W ostatnich dniach to wszystko ustało. Przepadło bez wieści. I jeszcze sprawy finansowe. Pamiętasz te lewe konta bankowe na Kajmanach i w Dubaju?

Skinął głową. Znana z filmów zasada, by podążać śladem pieniędzy, była standardową procedurą w pracy wywiadowczej i antyterrorystycznej. DAR zatrudniał całą armię rewidentów śledczych, których zadaniem było zamrażanie nielegalnego kapitału. W przypadku Smitha nigdy nie udało się dowieść, że zagraniczne konta należały do niego. Istniała jednak poważna różnica między dowodami a niezachwianą pewnością i dlatego uważnie przyglądano się aktywności licznych podejrzanych kont.

- W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wyprowadzono środki z czternastu z nich - ciągnęła Valerie.

- Ile w sumie?

- Ponad sto milionów dolarów.

- Jasna... Siedzicie ich drogę?

Pokręciła głową.

- Nasi najlepsi hakerzy stosowali półlegalne metody, żeby zapobiec przelewom. Gdyby to wyszło na jaw, mielibyśmy międzynarodowy skandal. Ale mimo ich wysiłków pieniądze zniknęły. Co gorsza, nie zadziałały nawet alarmy założone przez naszych programistów. Gdyby Quinn nie poprosił mnie, żebym zajrzała na te konta, do dziś o niczym byśmy nie wiedzieli.

Cooper czuł dziwny ucisk w żołądku, jakby zjadł surowego kurczaka. Patrzył na Valerie, analizując informacje.

- Smith chce pójść na całego. Jakies domysły co do jego planów?

- Nic konkretnego. Ale przecież to John Smith, nieprawdaż? Sam nazwałeś go strategicznym odpowiednikiem Einsteina. - Valerie wzruszyła ramionami. - Cokolwiek planuje, na pewno będzie to coś,

czego się nie spodziewamy.

I będzie to miażdżący cios, dodał w duchu Cooper.

- Bobby, musisz z tym pójść do dyrektorki.
- Tak sądzisz? - Quinn pokręcił głową. - Kocham cię, stary, ale wypłatę biorę z DAR. Rozmawiałem z nią, zanim napisałem do ciebie. Pamiętasz, co ci mówiłem w tamtym podłym barze?

- Pamiętam. Że świat stoi w ogniu.
- I że brakuje wody. - Quinn wzruszył ramionami. - Dyrektorka rozumie zagrożenie, ale w całym kraju mamy prześladowania i lincze uzdolnionych. W wielu miejscach brakuje żywności. W kilkunastu miastach trwają zamieszki. Milicja maszeruje przez Wyoming. Do tego trzy zamachy na prezydenta w ciągu dwóch tygodni. Nie wiadomo, w co włożyć ręce.

Cooper słuchał tego wszystkiego z niesłabnącym bólem głowy. Oparł łokcie o stół i wsparł czoło na dłoniach.

- O mojej teorii na temat poziomu zero też mówiłeś?
- Jasne. Jakoś musiałem wyjaśnić władzy, jakim cudem jajogłowy dziadek skopał mi tyłek.

- Jaka reakcja?
- Władza przyznaje, że byłoby źle.
- Wspaniale - westchnął Cooper i wyprostował się. - Słuchaj, wiem, że mocno ryzykujesz, dzieląc się ze mną tym wszystkim. Doceniam to.

- Hej, nie bądź dupkiem - wtrąciła Luisa. - Szkoda, że cię tu nie ma, szefie. Robi się naprawdę ponuro.

- Nie martwcie się - odrzekł Cooper. - Ja nadal walczę.
- No dobra, partnerze - powiedział Quinn. - Na nas już czas. Musimy zarobić na swoją wypłatę.

- Jasne. Jeszcze raz dzięki.
- Nie ma sprawy. Tylko pamiętaj: stawiasz piwo.
- Zawsze, bracie. Zawsze.

Jego stary przyjaciel uśmiechnął się i otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz zanim to zrobił, obraz zbieleł nagle, a okno nowego biura eksplodowało w deszczu ognia i odłamków szkła.

Połączenie zostało zerwane.

Ale nim to nastąpiło, w ostatnim ułamku sekundy Cooper usłyszał jeszcze przeraźliwy krzyk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Owen Leahy był pod prysznicem, gdy ktoś po niego przyszedł.

Grudzień rzadko przynosił śnieg w północnym Marylandzie, lecz mimo to sekretarz obrony właśnie tak wyobrażał sobie Camp David o tej porze roku: nagie drzewa najeżone lodowymi kolcami i powietrzne wiry drobnych płatków śniegu. Nawet latem miał przed oczami taki obraz, dlatego teraz potrzebował dodatkowych koców i często brał gorący prysznic. Stał w kłębach pary już od półgodziny, rozmyślając i machinalnie wodząc pomarszczonymi od wody palcami po wątrobianych plamach na skórze przedramion.

I wtedy, raczej niespodziewanie, w jego prywatnej łazience pojawił się oficer w mundurze marynarki wojennej.

- Panie sekretarzu? Doszło do kolejnego ataku.

Sześć minut później biegli już aleją obok nagich drzew i zmrożonych krzewów. Woda kapiała z włosów Leahy'ego na garnitur, a krawat powiewał za jego plecami jak ogon. Wszędzie pełno było żołnierzy i agentów Secret Service. Oficjalnie nazywane „wiejską rezydencją”, Camp David było w istocie twierdzą, z bateriami antyrakiet rozlokowanymi w okolicznych lasach i podziemnym schronem przeciwatomowym.

Gdy przebywał tu prezydent, sala konferencyjna w budynku zwanym Laurel służyła jako pokój sytuacyjny. Leahy wszedł i pospiesznie powiódł wzrokiem po twarzach zebranych-byli to przedstawiciele sił zbrojnych, służb wywiadowczych oraz rządu. Sporą grupę stanowili nowicjusze, którzy zastąpili zabitych w ataku rakietowym na Biały Dom, ale znał ich wszystkich.

- Pani prezydent. — Przywitawszy się, Leahy rzucił w przestrzeń pytanie: - Co się stało?

Odpowiedziała mu Sharon Hamilton, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Mamy falę ataków terrorystycznych w całym kraju.

- Ile?

- Trudno powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo wciąż napływają informacje o nowych - wyjaśniła Hamilton, wskazując na baterię trójwymiarowych telewizorów.

Po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatniego roku, Leahy był gotów się założyć, że żaden reportaż z miejsca katastrofy nie zrobi już na nim wrażenia. Widział, jak wali się gmach giełdy, jak płonie Cleveland, jak amerykańscy żołnierze masakrują się nawzajem. To, co widział teraz na ekranach, w gruncie rzeczy wyglądało podobnie - tyle że natężenie doniesień było niesłychane. Wszędzie panowały chaos i ogień. Zburzone budynki, szalejące piekło płomieni, przerażeni ludzie. Zbryzgani krwią cywile o pustych oczach. Zapłakane dzieci na ulicach. A na mapie mrowie czerwonych kropek rozsianych po całym kraju.

- Jezu. Jakaś prawidłowość w doborze celów?

- Głównie obiekty wojskowe i polityczne. Uzbrojeni napastnicy w ratuszu w Los Angeles. Samobójca z bombą w stołówce w Fort Dix. Dwie ciężarówki zepchnęły do Chicago River limuzynę gubernatora Illinois. Bomba przed gmachem Rezerwy Federalnej; ten zamach akurat udało się udaremnić. Ochrona gazociągu zasilającego Centralę Kontroli i Prewencji Chorób w Atlancie została napadnięta, w wyniku ataku płocie większość kompleksu. Jak dotąd najtragiczniejsza była eksplozja w gmachu DAR; ładunki podłożono prawdopodobnie podczas niedawnej rozbudowy. Największy gmach został praktycznie zrównany z ziemią.

- Ofiary? - Leahy spojrzał na Marjorie May. Pogodne nazwisko dyrektorki DAR przeczyło jej lodowatemu chłodowi politycznemu sprytowi i bezlitosnej skuteczności. Jednak nawet jej głos drżał, gdy odpowiadała:

- Atak nastąpił w środku dnia. Tysiąc osób, może więcej.

Świat zakolysał się przed oczami Leahy'ego i przez chwilę sekretarz obrony miał wrażenie, że upadnie. Przytrzymał się krawędzi stołu z taką siłą, że zbieleły mu palce.

- To nienormalni?

- Rozmawiałam z Erikiem Epsteinem — odpowiedziała mu prezydent, nie odrywając wzroku od ekranów. - Przekazał kondolencje i zapewnił mnie, że Reduta nie ma z tym nic wspólnego.

- Gówno prawda.

Ramirez teraz dopiero odwróciła się i spojrzała na niego z ukosa.

- Przepraszam, pani prezydent - dodał pospiesznie Leahy-ale wydaje mi się to wysoce nieprawdopodobne.

- Z całym szacunkiem, jestem innego zdania - wtrąciła Marjorie May. - Uważam, że bardziej prawdopodobnym sprawcą jest John Smith. To typowe dla niego działanie; mieliśmy też pewne sygnały, że szykuje się do ataku.

- Jednakże to Epstein stanął wobec zagrożenia inwazją. To oznacza, że musimy go traktować jako realne zagrożenie.

- Panie sekretarzu, zapewniam, że Smith reprezentuje...

- Rozumiem - wpadł jej w słowo Leahy. - Sugeruję tylko, że połączyli siły. Smith może być na przykład człowiekiem Epsteina od czarnej roboty; pozwala mu z czystym sumieniem wyprzeć się udziału w takich akcjach. Albo inaczej: może Smith obawia się, że Epstein złoży broń, by chronić Nowe Kanaan. - Leahy urwał. - Tak czy inaczej, właśnie otrzymaliśmy polityczny pretekst do przeprowadzenia ataku.

- Dość. - Gabriela Ramirez wreszcie oderwała się od ekranów.

- Pani prezydent...

- Siadaj.

Leahy przyciągnął sobie krzesło. Otworzył usta, żeby kontynuować dyskusję, ale prezydent nie dopuściła go do głosu.

- Posłuchajcie mnie wszyscy. Nie jest ważne „kto” W tej chwili Ameryka jest atakowana. Nasi obywatele giną. W tej chwili nie jest najważniejsze ani poszukiwanie winnego, ani przygotowania wojenne. Naszym zadaniem jest powstrzymanie kolejnych ataków. Ratowanie życia. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Jeśli chodzi o DAR, przykro mi, że straty są tak poważne, ale trzeba brać się do pracy. Wasi ludzie są do tego gotowi?

- Tak jest.

- To dobrze. Od tej chwili priorytetem w skali kraju jest zapobieganie kolejnym atakom. Wszystkie środki mają zostać skierowane do analizy zagrożenia oraz prewencji.

- Rozumiem. — May zawahała się. — Jeśli chodzi o nasze

aktywa... może być ciężko. Wielu spośród naszych, którzy dziś zginęli, to agenci i operatorzy. Nie mówiąc o tym, że każdego dnia otrzymujemy setki sygnałów o nowych zagrożeniach. Jeżeli będziemy się zajmować wszystkimi, na nic więcej nie wystarczy nam czasu i środków. W tym także na odnalezienie zleceniodawcy dzisiejszych ataków.

- Najpierw musimy opanować sytuację. Sekretarzu Leahy, jakie działania zamierza pan podjąć celem powstrzymania ataku milicji na Redutę?

Leahy milczał. Była to sztuczka, którą wypracował przez lata: palce na stole, oczy spokojne, ale niewidzące, jakby koncentrował się na skomplikowanych obliczeniach. Niech czekają. Była to taktyka skuteczna zwłaszcza wobec ludzi, którzy przywykli do otrzymywania natychmiastowych odpowiedzi na pytania - na przykład wobec prezydentów. Przemówił na chwilę przed tym, nim cisza stała się bardzo krępująca.

- Pani prezydent, uważam, że nie powinniśmy podejmować takich działań.

- Jaśniej proszę.

- Niekiedy najlepszą obroną jest utrzymywanie przeciwnika w stanie nierównowagi. Marsz Nowych Synów Wolności to dla nas świetna sposobność.

- Jeżeli kiedykolwiek podejmę decyzję o ataku na Redutę, to będzie to atak żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych

- Opinia publiczna głośno domaga się reakcji. Po dzisiejszej tragedii będzie się domagała ataku odwetowego. Nowi Synowie, powtarzam, to nasza sposobność do działania w sposób, który nie ograniczy naszych opcji w przyszłości.

- Samowola tłumu to niedopuszczalna opcja.

- Powstrzymanie zapędów milicji zostałyby odebrane jako dowód słabości. Równie istotne jest to - dodał prędko Leahy, zanim doczekał się riposty - że praktycznie nie jesteśmy w stanie tego dokonać.

Prezydent Ramirez spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

Ostrożnie dobieraj słowa.

- Degradacja sił zbrojnych sprawia, że jesteśmy w nieciekawym położeniu.

Obecni wymienili ukradkowe spojrzenia; dyskretny przytyk nie umknął ich uwagi. To właśnie Ramirez zarządziła degradację i choć Leahy o tym nie wspomniał, nietrudno było zrozumieć, że obarcza ją winą.

- Twierdzi pan, że w tej chwili nasze wojska nie są w stanie powstrzymać gromady cywilów?

- Twierdzą, pani prezydent, że ich wtargnięcie na terytorium Reduty najprawdopodobniej zostałyby odebrane jako atak. Nawet gdybyśmy chcieli jedynie zatrzymać milicję, w żaden sposób nie przekonamy Epsteina, że to nasz jedyny cel. Co więcej, demontaż nowoczesnej techniki bojowej jeszcze się nie zakończył; nasze siły zbrojne nadal są pod wieloma względami narażone na cyberatak. - Leahy skinął dłonią w stronę ekranów. Telewizja relacjonowała na żywo sytuację w kompleksie DAR. Zniszczony budynek wyglądał tak, jakby nadepnął nań Bóg. Z setek miejsc unosił się gęsty dym, a cały teren usiany był ciałami zabitych. — Dzisiejszy dzień przypomina nam, do czego są zdolni nienormalni. Jeśli przyprzemy Epsteina do muru — któż nam zagwarantuje, że nie zareaguje atakiem na masową skalę?

Zastanawiał się, czy powiedzieć coś jeszcze, ale doszedł do wniosku, że już wystarczy. Po długiej chwili Ramirez znowu odwróciła się w stronę ekranów.

Leahy nie pozwolił sobie na uśmiech. Nie życzył sobie tragedii, która rozegrała się tego dnia, ale czuł, że może ją wykorzystać. Terrorysty nadal nie rozumieli sedna sprawy. Im więcej siali zniszczenia, tym bardziej umacniali pozycję ludzi takich jak on. Ramirez w praktyce skupiła się wyłącznie na obronie, każąc agentom DAR ścigać nieuchwytnych złoczyńców, dając pole do popisu tym, którzy doskonale wiedzieli, że jeszcze żadnego meczu nie udało się wygrać samą obroną.

Nowi Synowie Wolności wdzierali się coraz głębiej na terytorium Reduty. Nie zatrzymało ich bombardowanie przez drony - blef Epsteina nie zadziałał. To, co musiało się teraz wydarzyć, mogło nie być piękne, lecz z pewnością będzie skuteczne.

Doczekasz się swojej wojny. Wojny, której Ameryka potrzebuje. Skupionej, punktowej i arcyważnej.

A gdy to wszystko dobiegnie końca, ty nadal będziesz stać- samym

szczybie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cooper nie mógł sobie przypomnieć, jak się tu dostał.

Z początku próbował sobie wmówić, że nagłe przerwanie połączenia nic nie znaczyło. Ze to tylko błąd cyfrowej aparatury. Ale gdy w panice ponownie wybierał numer, nie mógł wyrzucić z pamięci obrazu eksplozji, deszczu odłamków, czarnej pięści dymu.

I krzyków.

Połączenie wideo mogło się zawiesić. Obraz mógł być zniekształcony. Ale coś takiego...

Pięć razy próbował się dodzwonić, a potem zaczął biec. Głowę miał pełną myśli o swych dawnych towarzyszach. Wspominał, jak Luisa przyjęła na kamizelkę trzy kule, jak tego samego wieczoru w barze koniecznie chciała zrzucić koszulę, jak zadzierała ją raz po raz, by odsłonić siniaki, żądając: „No spójrz wreszcie na mój cyc!”. W uszach rozbrzmiewał mu głos Valerie, która ledwie parę tygodni wcześniej powiedziała mu z cichą dumą, że nareszcie przechytryła speców Johna Smitha od zabezpieczeń, że ich pokonała ich własną bronią-

I jeszcze Bobby, jego partner. Cooper nie miał nigdy brata, ale dla gliniarza partner jest bratem. Razem pili, razem leczyli kaca, razem przeżywali swoje rozwody. Razem wyważali drzwi. Razem obalili skorumpowanego prezydenta.

Eksplozja i pięść dymu. I krzyki. W prawdziwym bólu czy strachu różnice płci znikają: mężczyźni i kobiety tak samo dawali upust emocjom. Kto krzyczał? Może tylko jedno z nich. A może wszyscy.

Oprzytomniał dopiero w podziemnym sanktuarium Epsteina, ciemnym i chłodnym, pachnącym przetworzoną żywnością i oświetlonym jedynie obrazami pełnymi grozy. Spoglądając na nie, można było odnieść wrażenie, że cały kraj pogrążył się w szaleństwie. Limuzyna w czarnym nurcie rzeki, kołami do góry. Posterunek policji staranowany przez na wpeł przewrócony ciągnik siodłowy. Kula ognia pochłaniająca biurowiec. Oddziały SWAT strzelające granatami gazowymi przez wybite okna gmachu rządowego, Departament Analiz i Reagowania w ruinie. Rozerwany, jakby olbrzym próbował wygrzebać

coś ze środka. Obnażone biura, rzędy nagich biurek i zaśmieconych korytarzy, roztrzaskanych sedesów. Nowy budynek zawalił się całkowicie; był ledwie stertą gruzu, na wpół zasłoniętą przez kolumnę czarnego dymu.

Nowy budynek. Cooper przypomniał sobie przekaz wideo z biura Bobby'ego. Białe ściany i zdjęcia, których nie zdążyli zawiesić.

I już nie zawieszają.

Kolana Coopera zderzyły się z posadzką, a z jego płuc wydobył się dźwięk.

Ktoś go przytulił. Smukłe ramiona zaplotły się wokół jego szyi. Poczul zapach lakieru do włosów.

- Tak mi przykro — powiedziała Millie do jego barku, On także się w nią wtulił, otoczył ramionami. Ale to nie Millie była teraz blisko niego, to Natalie, Shannon, dzieci, jego ojciec, Bobby, Luisa i Val. Tulił ich wszystkich przez długą chwilę, kryjąc twarz we włosach dziewczynki.

A potem powoli ją uwolnił. Odstąpiła, patrząc mu w oczy. Dookoła nadal unosiły się w powietrzu apokaliptyczne hologramy.

W jego głowie rozbrzmiewały słowa Val. *Przecież to John Smith. Cokolwiek planuje, na pewno będzie to coś, czego się nie spodziewamy.*

Słowa, które wypowiedziała za życia.

Słowa, które wypowiedziała ledwie parę chwil wcześniej

Podniósł się powoli.

- Tak... tak mi przykro. - Migotliwe obrazy wideo rzeźbiły w twarzy Erika głębokie cienie. Dłonie trzymał w kieszeniach. - Z powodu twoich przyjaciół.

- Czy oni... - Cooper umilkł, gdy głos mu się załamał. Odkasznął. - Czy oni nie żyją?

- Statystycznie...

- Pieprzę twoje statystyki! — Nie kontrolował się. Zmusił się do spokojniejszego oddechu i po chwili dodał: - Przepraszam.

- To... to ja przepraszam. - Pauza. - Tak.

- Jesteś pewny.

- Rozmowę prowadzono z zachodniego narożnika... tak. Oni nie żyją. Szacowana liczba ofiar w kompleksie DAR: od tysiąca dwustu do

dwóch tysięcy.

Cooper skinął głową.

- Okej.
- Nie - wtrąciła Millie - to nie jest.
- Ile było ataków?
- Jak dotąd piętnaście. Były zsynchronizowane.
- John Smith.

Epstein skinął głową.

- Analiza twojej przyjaciółki Valerie była trafna.
- Podśluchiwałeś?
- Oczywiście - odparł Erik, jakby to było całkiem naturalne. -

Trzeba jednak zastrzec, że zabrakło jej obiektywizmu. John Smith nie działał przeciwko DAR. I choć to finalna rozgrywka, mistrzowski ruch jeszcze nie nastąpił.

- Nie - zgodził się Cooper. — On myśli większymi kategoriami.

- Zgoda. Statystycznie... — Epstein umilkł zmieszany. - To znaczy logika podpowiada, że chciał osłabić istniejącą strukturę władzy. Terrorysty odnoszą korzyść, gdy działają przeciwko zdesperowanej społeczności.

- Tak — mruknął Cooper, patrząc na ekrany. — Cóż...

- Jednakże - ciągnął Epstein - nie znaleźliśmy się ani trochę bliżej Johna Smitha. Być może powinniśmy spróbować alternatywnych metod.

- Mamy zacząć torturować Sorena? Nie.

- Ekstremalne przesłuchanie nie mieści się w twojej matrycy osobowości. Rozumiem to. Ale istnieją ludzie zdolni do takich działań.

- Wydaje ci się, że jestem miękki? - Cooper wydał z siebie dźwięk, który nie zabrzmiał jak śmiech. - Po tym, co się wydarzyło? — Pokręcił głową. — Nienawidzę samej koncepcji tortur, ale osobiście rozerwałbym Sorena po kawałeczku na strzępy, gdybym wierzył, że to nam pomoże. Ale nie pomoże.

- Rozwiń.

- Zaproponowałem mu jedną, jedyną rzecz, o której zawsze marzył, ale już od dawna nie wierzył, że kiedyś jej zazna. Zapewne obserwowałeś tę scenę. Skłamałem nawet, sugerując, że można ten efekt

utrwalić. A wtedy on wyrwał sobie implant z głowy.

- Lecz może ból mógłby...

Cooper pokręcił głową.

- On jest zbyt silny. Nie wątpię, że umiałbyś go złamać, ale złamałbyś jedynie umysł, nie wolę. Na całym świecie istnieje tylko dwoje ludzi, na których mu naprawdę zależy, ale żadna dawka bólu nie skłoni go do zdrady...

Urwał.

Millie popatrzyła na niego badawczo.

- Rany. Naprawdę?

Cooper odwrócił się, nie potrzebował jej oskarżycielskich spojrzeń. Zerknął na Erika Epsteina, bladego, potężnego, otoczonego obrazami świata pogrążonego w kryzysie.

- Musisz mi kogoś sprowadzić.

- Kogo?

- Drugą osobę, na której zależy Sorenowi — odparł Cooper. - Jego kochankę, Samanthę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Hawk czytał właśnie szósty tom powieści graficznej, gdy ktoś zapukał do drzwi.

W zasadzie nie widział różnicy między komiksem a powieścią graficzną, lecz uważał, że ta druga nazwa brzmi znacznie lepiej. Komiks mógł być głupawą historyjką o bogatym kaczorze i jego siostrzeńcach. Tom, który teraz czytał, był filozoficznym traktatem o nieustającej wojnie diabła przeciwko niebu. Diabeł nie był ani czerwony, ani łuskowaty, ani nawet szczególnie wredny, choć oczywiście przesadnie poczciwy też nie był. Po prostu robił swoje, bez względu na wszystko. Zależało mu na wolnej woli, z kolei niebo upierało się przy koncepcji predestynacji. Hawk wiedział, po której stronie opowiedziałyby się jego mama, i może dlatego był podobnego zdania.

Każdy mógł tak po prostu dość cicho trzykrotnie zapukać. Idąc w stronę drzwi, Hawk wyobrażał sobie, że to Tabitha. Może chciała go poprosić o pomoc? Strzelał lepiej niż ona, mógłby z nią poćwiczyć...

W korytarzu stał John Smith.

- Cześć, Hawk.

To właśnie John jako pierwszy użył tego przydomka, a choć Aaron Hakowski nie miał nic przeciwko swojemu imieniu i nazwisku, zdecydowanie wolał być Hawkiem. Wyprostował się i zaczesał do tyłu włosy. John jeszcze nigdy nie zajrzał do jego pokoju. Niby po co miałyby to robić? On tu dowodził, a Aaron był tylko dzieciakiem, którego matka...

- Mogę wejść?

- Tak, tak, oczywiście. — Otworzył szerzej drzwi.

John wszedł do środka i rozejrzał się. Aaron nagle zobaczył swój pokój jego oczami: zmięte koce, stertę gratów na biurku i, cholerka, komiks na łóżku.

- Co czytasz?

- Nic, to tylko...

- O! - John sięgnął po komiks i przyjrzał mu się z uśmiechem. -

Uwielbiam tę serię.

- Naprawdę?
- Świetnie napisana. No i trochę identyfikuję się z bohaterem. Zresztą wielu ludzi uważa mnie za diabła. To ryzyko, które musi ponieść każdy, kto chce podążać własną ścieżką. -John odłożył komiks na poduszkę. - Pozwolisz, że zapalę?

- No pewnie.
- Dzięki. - Wysunął papierosa z paczki i zapalił srebrną zippo. - Kiepski nawyk, ale pomaga mi myśleć.

- A nie martwisz się, że...
- Że to mnie zabije?

Aaron kiwnął głową.

- Szczerze? - John wzruszył ramionami. - Pewnie bym się martwił, gdybym miał szansę dostatecznie długo pożyć. Mogę usiąść?

- Tak. - Aaron sięgnął po krzesło i strącił z niego kilka książek. - Co masz na myśli, mówiąc, że nie pożyjesz...

- Toczę grę z całym światem, Hawk. Robię to, odkąd skończyłem osiem lat. Wiesz, co mi się wtedy przytrafiło?

Aaron pokręcił głową.

- Wypełniłem test. Wtedy to była nowość, test Trefferta--Downa. Wszyscy się nim podniecali, bo pozwalał zmierzyć poziom uzdolnienia. Nauczono mnie radzić sobie na testach, więc i z tym poradziłem sobie bez trudu. Poradziłem sobie tak doskonale - John wyjął z kosza na śmieci puszkę po coli i strzepnął do niej popiół - że agenci rządowi przyszli i zabrali mnie od mamy. Umieścili mnie w akademii. Zmienili mi nazwisko i próbowali mnie złamać. Spędziłem tam dziesięć lat. Patrzyłem, jak niszczą moich przyjaciół. Jak piorą im mózgi, a czasem robią z nimi coś gorszego. Znacznie gorszego.

- Mama opowiadała mi o akademiach - odparł Aaron. -Przykro mi.

- A mnie nie. - John popatrzył mu w oczy. - Akademia mnie stworzyła. Zrozumiałem jako ośmiolatek, że w takim świecie nie mogę żyć. Postanowiłem zburzyć go i zbudować nowy, lepszy. Stworzyć nową historię, pisaną ogniem. I uda mi się.

- Wierzę ci - odpowiedział Aaron.

- Uda mi się - ciągnął John - ale nie przeżyję. Zabiją mnie. -

Znowu zaciągnął się dymem. - To w zasadzie pewne. I wiesz co? Właśnie dlatego nie martwię się zbyt rakiem płuc.

- Ale... przecież mógłbyś uciec. Ukryć się.
- Dostatecznie długo uciekałem. Nadszedł czas, by działać. Nie wykonam swojego planu, chowając się gdzieś pod kamieniem. - John nachylił się nieco. — Niedawno mnie o to pytałeś... nadal chcesz wiedzieć?

- Tak.
- Pamiętasz tego człowieka, którego tu sprowadziliśmy?
- Doktora Abrahama Couzena. Powiedziałeś, że dokonał najważniejszego odkrycia od tysięcy lat.

John się uśmiechnął.
- Właśnie. Couzen odkrył, co tak naprawdę czyni niektórych z nas obdarzonymi. Co więcej, znalazł sposób na to, by zmieniać zwykłych ludzi w uzdolnionych. Stworzył niekodujący RNA zmieniający ekspresję genów.

To musiał być sen. Nawet gdyby otworzył drzwi i zobaczył przed sobą Tabithę w samej bieliźnie, zachęcająco machającą kondomem, byłoby to niczym w porównaniu z tym, co się działo: oto sam John, kurna, Smith, siedział na jego łóżku i rozprawiał o powieściach graficznych i niekodującym RNA, cokolwiek miało to znaczyć.

-I... to działa?
- Tak. Ale to ledwie początek. Dużo wiesz o chemii organicznej?
Gdyby ktoś inny zadał to pytanie, zabrzmiałoby jak zniewaga, ale Aaron pojął w lot, że John pyta w najlepszej wierze.

- Nie.
- Zatem posłuchaj. To oczywiste, że ktoś w końcu musiał odkryć przyczyny, dla których pojawili się uzdolnieni. Nie będę cię zanudzał szczegółami, ale wiele wskazywało na to, że przełom jest już bliski. Grupa najlepszych uzdolnionych naukowców służy naszej sprawie i mogłem zaprząć ich do pracy nad rozwiązaniem. To jednak nie było optymalne rozwiązanie. Przecież lepiej, by cały świat zajął się badaniami, nie skromny zespół. I dlatego skupiliśmy się na mechanizmie przenoszenia serum. Zaczęliśmy od badań nad wyjątkowo wrednym szczepem wirusa grypy, ale to było dawno temu. Od tamtej pory stale

robiliśmy postępy. Wreszcie udało nam się wyhodować bodaj najbardziej zaraźliwą odmianę... w gruncie rzeczy... przeziębienia.

- Nie rozumiem. W jaki sposób zarażanie ludzi chorobą ma im pomóc? Chodzi o to, żeby poumierali?

- Powiedziałem „zaraźliwą”, nie „śmiercionośną”. Problem z taką strategiczną bronią biologiczną polega na tym, że bardzo trudno jej używać, trudno nad nią zapanować, a gdy okazuje się skuteczna, to zwykle wykańcza nosicieli. Ale z tą jest inaczej. Powoduje katar, lekki kaszel i w zasadzie nic poza tym. Za to niewiarygodnie łatwo się rozprzestrzenia i jest niesamowicie żywotna. Jeśli właściwie ją rozprzestrzenimy, możemy być pewni, że większa część ludzkości zachoruje.

- Nadal nie rozumiem. W jaki sposób ma to nam pomóc?

- Rzecz w tym, że grypę wywołuje wirus RNA, podobnie jak ebolę czy SARS. To oznacza, że możemy podrzucić mu Pasażera na gapę: niekodujący RNA doktora Couzена.

Hawk bardzo chciał zadać inteligentne pytanie, ale przeczuwał, że jeśli tylko otworzy usta, rozlegnie się co najwyżej „eemmmm”, więc milczał.

- To z kolei oznacza, że niemal każdy zarazi się moją grypą-ciągnął John. - A każdy, kto się zarazi, zostanie uzdolnionym.

Szczęka Aarona opadła nagle i nawet tego nie zauważył.

- Ty... zamierzasz zamienić wszystkich ludzi...

- W obdarzonych. - John wrzucił niedopałek do puszki. - Tak.

- Ależ to... to przecież... znaczy...

- To będzie największy skok w rozwoju ludzkości od czasu wynalezienia rolnictwa. A nawet większy, bo rolnictwo, podobnie jak pismo, matematyka czy medycyna, to tylko wiedza, a wiedzę można zatracić. Tym razem będzie inaczej: przyspieszymy ewolucję. Zmiany ekspresji genów będą dziedziczne. Rozumiesz, co to oznacza?

- Ja...

- Ja nie tylko zmienię wszystkich żyjących dziś ludzi w obdarzonych. Zmienię całą ludzką rasę. Na zawsze.

Aaron właśnie zdołał zamknąć usta i zaraz, równie bezwiednie, znowu je otworzył.

- Mój Boże.

- Pomyśl tylko. Zupełnie nowy świat. Lepszy, pełen lepszych ludzi. Mądrzejszych, bardziej zdolnych, żyjących bez strachu. Pomyśl, jak by to mogło wyglądać. Wyobraź sobie, ile ludzkość mogłaby osiągnąć, gdyby wszyscy byli uzdolnieni.

- Niesamowite. - Hawk miał wrażenie, że krzesło wiruje pod nim. Tyle pytań cisnęło mu się na usta! Ale tak naprawdę wszystkie zlewały się w jedno: *Czy mogę dostać ten wirus?* Z uśmiechem na ustach dałby sobie obciąć jajo, żeby zostać uzdolnionym. - Ale co mogę... czego ode mnie potrzebujesz?

- Słucham?

- No wiesz... - Aaron umilkł na chwilę. — Chyba jest jakiś powód, dla którego opowiadasz mi o tym wszystkim, prawda?

Przez jedną, straszliwą sekundę zdawało mu się, że uraził Johna, lecz nagle jego przyjaciół uśmiechnął się.

- Bystry z ciebie gość. Posłuchaj więc dalej. Wiemy już wszystko o patologii naszego zmodyfikowanego wirusa grypy, Nasi wirusolodzy pracują nad nim od lat. Teraz mamy także wyniki badań Couzena i wiemy, że jego serum działa. Stworzyliśmy też szczegółowe modele komputerowe obrazujące ich połączenie.

Aaron nagle pojął.

- Ale jeszcze nie wypróbowaliście całości.

- Sam bym przyjął tego wirusa, ale już jestem uzdolniony.

- Zatem na uzdolnionych nie zadziała?

- Owszem, dostaną kataru. I, co ważniejsze, ich dar stanie się dziedziczny. Ale nie zmieni się rodzaj ani poziom ich uzdolnienia.

- Czyli... potrzebny ci królik doświadczalny?

- Nie. Potrzebny mi pionier. Nie mamy czasu na testy kliniczne, Hawk. A jednak muszę wiedzieć, jak długo potrwa zmiana i czy są jakieś efekty uboczne, których nie zdołaliśmy przewidzieć. Sam rozumiesz. To jest to, przyjacielu. To nasza mistrzowska zagrywka. Albo wygramy wszystko, albo wszystko stracimy. A ja bardzo chcę wygrać.

Aaron musiał użyć całej siły woli, by nie zgodzić się natychmiast. Pragnął takiej przemiany bardziej niż czegokolwiek innego. Pragnął jej od chwili, gdy mama wyjaśniła mu, czym się od niego różni. Była taka

przybita, taka zawstydzona i tak bardzo starała się go przekonać, że nie uważa go za gorszą istotę tylko dlatego, że jest normalnym człowiekiem. On zaś wiedział, że tak nie uważała. A jednak smutna prawda pozostała prawdą: był gorszy.

- Doktor Couzen — powiedział, tknięty nagłą myślą. — Mówiłeś, że on umrze.

- Tak.

- To dlatego, że wziął ten swój lek?

- Serum czyni człowieka uzdolnionym, a to oznacza fundamentalną zmianę funkcjonowania mózgu. Couzen jest za stary na to. by przejść ten proces bez konsekwencji. Ale ty masz tylko czternaście lat. Nie twierdę, że będzie to dla ciebie jak wycieczka do Disneylandu, ale wyjdiesz z tego cały. Więcej: na pewno staniesz się uzdolnionym.

Ostatnie zdanie jakby zawisło w powietrzu. Aaron zastanawiał się, co tak naprawdę oznacza. Czy będzie kimś w rodzaju superbohatera?

- Czy umrą wszyscy starzy ludzie, którzy się zarażą tą grypą?

- Niektórzy - odparł John. - Ale to właśnie oni ukształtowali ten świat. Jeżeli ceną za zbudowanie nowego, lepszego świata ma być życie tych, którzy wymyślili akademie, to... chyba lepiej, żeby to oni odeszli, nie ty.

Aaron przygryzł paznokcie.

- Jeśli to zrobisz - ciągnął cicho John — bardzo pomożesz naszej sprawie. I mnie. Ale decyzja należy do ciebie. Jak zawsze.

Wiedział, jaką radę usłyszałby od mamy. Ale ona... ona była jego mamą. Jej zadaniem było wierzyć, że jest idealny. A on przecież wiedział lepiej. Poza tym to było jego życie, jego wybór. Wskazał na paczkę papierosów.

- Mogę jednego?

- Palisz, Aaronie?

- Jeszcze nie wiem.

John spojrzał na niego przenikliwie, a potem podał mu paczkę.

Aaron wyjął papierosa i włożył do ust. John Smith uczynił to samo, a potem zapalił oba.

- Wyświadczysz mi przysługę? - spytał Aaron. Dziwnie się czuł z papierosem między palcami, ale i całkiem nieźle. -Mów mi Hawk.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gdy Natalie otworzyła drzwi, jej oczy, czerwone i podkrążone, rozjaśniło nagle poczucie ulgi.

- Och, dzięki Bogu - jęknęła i zaraz dodała: - Chodź do mnie.

To rzekłszy, rozłożyła ramiona i wyszła mu naprzeciw.

Wtulił się w nią, czując znajomy aromat jej włosów i delikatną, wilgotną woń łez. Zawsze pachniała trochę inaczej, gdy płakała. W jej bliskości wyczuwał przyzwolenie i wiedział, że sam jest bliski łez. Kiedy to płakał po raz ostatni? Gdy umarł tata?

- Oglądałam wiadomości - powiedziała wtulona w jego ramię. - Wiedziałam, że cię tam nie było, ale nic nie mogłam poradzić, gdy zobaczyłam ten budynek. Te gmachy, w których pracowałeś każdego dnia... Po prostu się rozkleiłam.

- Nic mi nie jest - odparł.

Jak zawsze usłyszała coś, czego nie powiedział, i zeszywniała. Odsunęła się, ale nie na tyle, by stracić fizyczny kontakt z Nickiem, i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Bobby?

- I Val, i Luisa.

Zasłoniła usta rękami, jakby chciała zatrzymać dźwięk, ale i tak krzyknęła.

- Czy oni... Jesteś pewny?

- Rozmawiałem z nimi, kiedy to się stało. Ja... widziałem. - Zamknął oczy i na chwilę wstrzymał oddech.

- O Boże, skarbie. Och, Nick. - Znowu przycisnęła się do niego całym ciałem i wpiła mocne palce w jego plecy. Wypuścił powietrze z płuc, mając przy tym wrażenie, że coś w nim pękło. Tulila go i kołysała delikatnie. - Chodź ze mną.

Dal się poprowadzić w głąb mieszkania, przez kuchnię i dalej, korytarzem do sypialni. Był dziwnie świadomy faktu, że kochali się, gdy był tu ostatnio - a wraz z tą świadomością pojawiła się myśl o tym, że nie będzie miał okazji opowiedzieć o tym Bobby'emu, podzielić się z nim zamętami uczuć i wysłuchać wielce niestosownych żartów na ten

temat, czegoś pieprznego i zabawnego zarazem, co sprawiłoby, że znowu śmiałyby się razem. W tym momencie puściły hamulce i zaczęły płakać. Natalie wskoczyła na łóżko i usiadła oparta plecami o ścianę. Rozłożyła ramiona, a on wspiał się za nią, położył głowę na jej kolanach i objął jej nogi. Głaskała go po głowie, wiedząc doskonale, że nie powinna mówić „już dobrze”.

Nie było dobrze, a trwało to tak długo, że zaczął już wątpić, czy jeszcze kiedykolwiek będzie dobrze.

Łzy nie płynęły zbyt długo - nie, nie miał problemu z takim wyrażaniem emocji, po prostu nie robił tego często - ale gdy obeschły, nie zmienił pozycji: leżał tak, z głową na jej udach, spoglądając na jej stopy i dalej, na firankę, za którą z wolna konał dzień. Wodząc w nieskończoność palcami po jego głowie, czekała, cierpliwa i bliska.

- To nie tak - odezwał się wreszcie. — Nie tak powinno być. Wiesz, ile razy byliśmy z Bobbym w niebezpieczeństwie?

Ile drzwi wywaliliśmy razem kopniakami, ilu podejrzanych zatrzymaliśmy? Do diabła, tamtego dnia na giełdzie przyjął strzał na klatę; śrut połamał mu dwa zębra. Byłem tam; obaliłem go na ziemię i...
- Cooper nie dokończył myśli.

Natalie gładziła cierpliwie jego włosy.

- Byliśmy agentami - odezwał się po chwili. - Wiedzieliśmy, jakie jest ryzyko. Ale... nie, nie tak. Nie od bomby w środku dnia. Bez ostrzeżenia, bez walki, tylko bum, i nie żyjesz. Zasłużył na coś lepszego. Na lepszą śmierć.

- Nie ma czegoś takiego jak lepsza śmierć, skarbie. Jest po prostu śmierć.

- Tak, ale dla Bobby'ego Quinna powinna coś oznaczać. Powinna go dopaść w chwili, gdy robiłby coś istotnego.

- Robił - odpowiedziała cicho Natalie. - Był w pracy, próbował bronić swego kraju.

- To nie to samo. Nie był gotowy.

- A kto jest? - Wzruszyła ramionami. - Bobby był bohaterem. podobnie jak Luisa, Val i cała reszta. Tylko w filmach bohaterowie mogą liczyć na wzniosły moment wielkiej ofiary. Prawdziwe życie jest znacznie bardziej pokręcone.

- Wiem, ale... To była sekunda. Żartowaliśmy sobie, gdy to się stało. Powiedział, że mam mu postawić piwo. To były jego ostatnie słowa: „Tylko pamiętaj: stawiasz piwo”.

Z piersi Natalie wyrwało się coś, co zabrzmiało prawie jak śmiech.

- Wybacz, ja tylko... — Urwała, a potem naprawdę się roześmiała, choć był to śmiech podszyty smutkiem. - Gdybyś spytał Bobbyego, pewnie powiedziałałyby, że to całkiem niezłe ostatnie słowa.

Zaskoczyła Coopera, ale szybko przekonał się, że potrafi sobie wyobrazić tę scenę: partnera siadającego przy barze, obracającego w palcach papierosa, którego nie zamierzał zapalić, i mówiącego: „Spróbuj przebić taki tekst, stary”.

- Naprawdę nie chciałam się śmiać.

- Nie, masz rację. Spodobałoby mu się. - Przez chwilę leżeli w milczeniu. Przyciskał twarz do jej uda, słysząc wyraźnie własny puls.

- Boże — powiedziała nagle Natalie. - Jego córka.

- Psiakrew. - Bobby był rozwiedziony, a jego stosunki z byłą żoną nie bardzo przypominały to, co łączyło Nicka i Natalie. Jego córka mieszkała z matką, a Cooper nie widział jej od dłuższego czasu. — Maggie ma już... z jedenaście lat?

- Dwanaście - sprostowała Natalie. - W czerwcu ma urodziny.

- Jakim cudem to pamiętasz?

- Ja też go kochałam, Nick. Podobnie jak nasze dzieci.

Coraz gorzej i gorzej. Wiedział, że będzie musiał im powiedzieć o śmierci wujka Bobby'ego - jakby za mało jeszcze przeszły

- Kate i akademia. Todd w śpiączce. Maggie bez taty. I tak dalej, aż do dzieciaków z restauracji Monocle. Dlaczego to zawsze dzieci muszą cierpieć? - Odwrócił głowę, poruszony nagłą myślą. - Czekał, gdzie one...

- Bawią się z kolegami. Nic im nie jest. - Pauza. - Czy to John Smith?

- Tak.

- On nigdy nie przestanie, prawda?

Jej słowa uderzyły go z fizyczną siłą. Coś w jego piersi -zapewne nie biologiczne, ale metaforyczne serce - nagle urosło, najeżyło się i

stwardniało jak krzepnąca lawa.

- Nie - odpowiedział, podnosząc się. - Nie przestanie.
- Nick...
- Muszę jechać.
- Zostań. Nie ma pośpiechu. Próbowałam tylko...
- Nie, ja... - Wytarł nos wierzchem dłoni. - Dziękuję. Nie chodzi

o to, co powiedziałaś.

- Naprawdę możesz pozwolić, żeby czasem ktoś ci pomógł. Na przykład ja.

- Pomogłaś. - Popatrzył na nią i było to owo przeciągłe, nagie spojrzenie, które mogą wymienić tylko ludzie wpasowani w siebie tak doskonale, że trudno powiedzieć, gdzie leży granica między nimi. — Teraz moja kolej.

- Na co?

Cooper pomyślał o przygotowaniach, które nadzorował Epstein, o porwaniu Samantha: nagły atak, kaptur na głowie ofiary i zapach chemikaliów na chwilę przed utratą przytomności. A potem znowu o pięści dymu wybijającej okna, zabijającej jego przyjaciół i tysiąc innych osób. O nastoletnim trupie kołyszącym się na końcu sznura. I wreszcie o Sorenie liczącym dziurki w ścianach celi.

- Na to, co muszę zrobić.

Patrzyła na niego coraz bardziej nachmurzona.

- Nie chcesz mi powiedzieć.
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo nie jestem z tego dumny.
- A dzięki temu dopadniesz Johna Smitha?
- Na pewno.
- Zatem zrób to - powiedziała spokojnie. — Cokolwiek to jest.

Przez długą chwilę spoglądali na siebie w półmroku sypialni. Wreszcie Cooper położył dłoń na jej policzku i skinął głową.

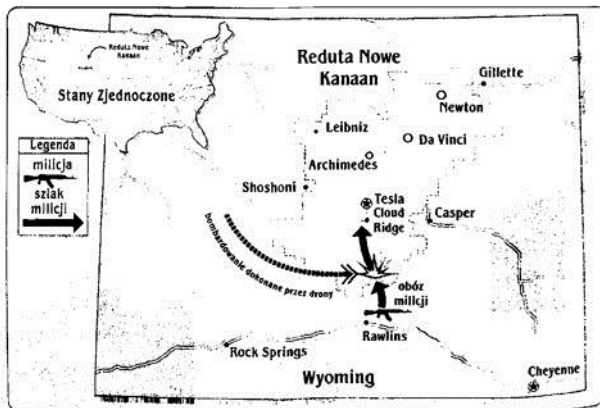
NOWI SYNOWIE WOLNOŚCI ZBLIŻAJĄ SIĘ DO TESLI

*Prezydent Ramirez potępia NSW,
ale twierdzi, że „ma związane ręce”.*

Od 17 grudnia, to jest od czasu sforsowania granicznego ogrodzenia otaczającego Nowe Kanaan, siły NSW pokonały prawie 130 kilometrów i zbliżają się do stołecznej Tesli. Cywilna milicja, której liczebność szacuje się na 17 tysięcy ochotników, poniosła ciężkie straty podczas bombardowania przeprowadzonego przez

drony, lecz od tamtej pory kroczy naprzód, praktycznie nie napotykając oporu. Zgodnie z zaleceniem Erika Epsteina obywatele Reduty wycofali się do Tesli, o której mówi się, że strzeże jej tajna, supernowoczesna instalacja obronna.

W wydanym dziś krótkim oświadczeniu prezydent Ramirez potępiała działania cywilnej milicji, lecz jednocześnie przyznała, że wskutek planowej degradacji urządzeń komputerowych należących do sił zbrojnych USA rząd chwilowo nie jest w stanie dokonać bezpośredniej interwencji...



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Starzec siedział na ganku, zaciskając dłonie w rękawiczkach bez palców na strzelbie leżącej na kolanach. Trzymał ją swobodnie, jak ktoś, kto zwykł traktować broń jak narzędzie. Albo jak ktoś, kto czule nazywa ją naładowanym alarmem antywłamaniowym.

O ile Luke zdążył się zorientować, tylko ten mężczyzna pozostał z populacji miasteczka Cloud Ridge, ostatniego przystanku przed Tesłą.

W ostatnich dniach Nowi Synowie pokonali w znoju ponad sto dziesięć kilometrów mroźnego pustkowia. Możliwe, że Epsteinowi skończyły się bomby, ale wiedział, jak nękać przeciwnika. Snajperzy ostrzeliwali intruzów z daleka i choć ich stanowiska były zbyt odległe - albo ich wyszkolenie niedostateczne - co skutkowało słabą celnością ognia, to gdy tylko z daleka dobiegał huk wystrzału, cała armia cywilów podskakiwała lękliwie. Szybowce cięły niebo nad nimi od rana do nocy, a piloci zrzucali na maszerujących wszystko, co mieli pod ręką, od kul do kręgli po koktajle Mołotowa. Nocą z kolei nienormalni rozpoczynali kolejny pokaz możliwości swego sprzętu audioprojekcyjnego, serwując przeciwnikowi propagandowe mowy, niekończące się wycie syren oraz głośną muzykę. Wszystkie te zabiegi, rzecz jasna, nie mogły wyrządzić wielkich szkód, ale ludzie mieli ich już serdecznie dosyć. Byli znużeni, nerwowi i skłonni do przemocy.

Użycie koni, jak się okazało, było genialnym posunięciem. Jako że impuls elektromagnetyczny unieruchomił niemal wszystkie pojazdy, to właśnie konie transportowały większość zapasów. Miller kazał wybebeszyć setki furgonetek i SUV-ów wymontować z nich silniki i siedzenia, a to, co pozostało, posłużyło jako wozy konne. Symbolika tej sytuacji nie umknęła Luke'owi Hammondowi: wielka banda amatorów prowadziła kolumnę wozów konnych przeciwko mniejszości zdolnej przemawiać głosami prosto z nieba. Konflikt normalnych z nienormalnymi stał się metaforą spisaną krwią.

Cloud Ridge było raczej miejsciną niż miastem - zamieszkiwało je nieco ponad dwa tysiące ludzi - i nie przypominało Luke'owi żadnej innej miejsciny. Nie rozrastało się organicznie przez dziesięciolecia, jak

większość ludzkich osiedli, tylko zostało zaprojektowane przez urbanistów i powstało jako jednolita całość w ciągu zaledwie paru miesięcy. Wszystko tu było przede wszystkim przemyślane i funkcjonalne, począwszy od szerokich alei otaczających park miejski, aż po farmę solarną - setki paneli fotowoltaicznych, idealnie zgodnym ruchem zmieniających położenie w ciągu dnia.

A wszystko to zostało w pośpiechu porzucone. Luke nie był tym zaskoczony, lecz trochę rozczarowany. Po tym, jak drony Epsteina zadały milicji potężny cios, po udręce dalekiego marszu, przyjemnie byłoby stanąć do uczciwej bitwy. Nawet gdyby wszyscy mieszkańcy Cloud Ridge — mężczyźni, kobiety i dzieci - postanowili bronić swych domów, zostaliby rozbici przez bojowo nastawionych Nowych Synów Wolności. I właśnie dlatego miasteczko było puste. Przeciwnik wszak nie był idiotą.

- Odłóż to, dziadku! - zawołał jeden z tuzina milicjantów otaczających ganek, najwyraźniej szukając zaczepki. Ale jedyny obrońca miasta tylko odwrócił głowę i splunął.

- Czołem - pozdrowił go Luke.

- Jesteś tu dowódcą?

- Jednym z wielu.

- No to chrzań się.

- Dlaczego nie wycofałeś się wczoraj do Tesli, jak wszyscy inni?

Pory ewakuacji mógł się jedynie domyślać, ale zapewne się nie mylił. Epstein niewątpliwie śledził postępy milicji za pomocą dronów i radarów, a także starał się przewidywać ruchy kolumny, stosując symulacje komputerowe. I dlatego rozkaz ewakuacji musiał zostać wydany w optymalnym czasie.

- Bo to mój dom.

- Syn czy córka?

- Hę?

- Za stary jesteś na nienormalnego. Wiem, że wielu naiwnych sympatyków też zamieszkało w Reducie, ale sądząc po twoim wieku, zgaduję, że chodziło o coś innego.

- Bystrzak z ciebie. - Stary poruszył się w fotelu i tuzin palców dotknęło tuzina spustów. - Wnuczka.

- Przyjechaliście całą rodziną?
- Z synem, jego żoną i ich dziećmi. Najmłodsza, Melissa, jest uzdolniona, a my nigdy nie pozwolimy, żeby trafiła do akademii.

Luke skinął głową. Wcześniej nie zastanawiał się zbyt nad tym, czym właściwie były owe akademie - w końcu kierowano do nich tylko najbardziej uzdolnionych - ale po ostatniej nocy zaczął dostrzegać, jaką budziły grozę.

- Twój chłopcy mogą się tak nie spinać; nie zamierzam walczyć. Nie mam też wiele zapasów, ale jeśli chcą napełnić swoje menażki, to proszę bardzo.

Luke się uśmiechnął.

- Zatrute żarcie, co?
- Warto było spróbować. - Starzec odpowiedział uśmiechem, błyskając plombami. - Co teraz?
- Jeśli złożysz broń i poddasz się, pozwolimy ci odejść.
- Tak? A będziecie polować na mojego syna i jego rodzinę?
- Wiesz co - odrzekł wolno Luke — ja też miałem synów. Dwa tygodnie temu twoi ludzie spalili ich żywcem.
- Przykro mi to słyszeć.

Wiatr znad pustyni zaświstał między prętami balustrady okalającej ganek. Z niezbyt dużej odległości dobiegł huk wystrzału. Pewnie znaleźli jeszcze jednego mieszkańca Cloud Ridge, pomyślał Luke.

- Ostatnia szansa: odłóż broń i odejdz stąd.
- Albo inaczej: podejdz no tu, rozepnij mi rozporek i...

Luke wyjął z kabury pistolet i strzelił starcowi w środek czoła. Huk odbił się echem od szarego podbrzusza nieba. Dziadek siedział w fotelu jeszcze przez krótką chwilę, a potem mięśnie zaczęły się rozluźniać, ciało zwiotczało i z łomotem osunęło się na deski. Strzelba z klekotem spoczęła obok.

Jeden z Nowych Synów wybuchnął śmiechem - piskliwym, urywanym, niemal histerycznym.

- Przekazać wszystkim, że wydany przez Millera zakaz picia tutejszej wody nadal obowiązuje — rzucił w powietrze Luke. - Przeszukiwać domy w marszu. Nie próbować świeżego jedzenia; brać co najwyżej puszki, amunicję i koce.

Żołnierz, który wybuchnął śmiechem, nie mógł się uspokoić: stał na ugiętych nogach, rechocąc żałośnie. Luke spojrział przelotnie najpierw na niego, a potem na stojącego obok młodzika o żuchwie porośniętej kępkami włosów.

- A potem spalić.
- Jego dom?
- Miasto. Spalić do gołej ziemi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Soren się obudził.

Po nocy spędzonej na metalowej pryczy jak zawsze miał obolałe biodra i sztywne plecy. Podnosząc się wolno, swoim zwyczajem wyprzedzał myślą pracę mięśni: zastanawiał się od dłuższej chwili, co właściwie go obudziło. Drzwi. Ktoś otworzył drzwi klatki. Zazwyczaj jego prześladowcy najpierw wpuszczali gaz, a potem robili co chcieli z jego nieprzytomnym ciałem.

Tak niewiele zmieniało się w jego małym królestwie. Cokolwiek go teraz czekało, nie mogło być przyjemne. Skupił się, by zachować spokój, odnaleźć swoją nicość.

Do celi weszli mężczyźni o szerokich barkach i potężnych karkach zapaśników. Mieli na sobie niewymyślne kombinezony z emblematem Epstein Industries - wschodzącym niebieskim słońcem - a w rękach trzymali tasery. Soren miał dość czasu, by zaobserwować, jak jeden z nich naciska spust, jak rozpręza się gaz ze zbiornika, jak drut rozwija się i mknie w powietrzu niczym atakujący wąż i wreszcie jak stalowe kły wbijają się w jego nagą pierś. A potem napięcie tysięcy woltów sprawiło, że stracił zdolność świadomego myślenia i kontrolę nad ciałem. Potężny skurcz dopadł mięśnie i wydusił z jego krtani zdławiony krzyk.

Strażnicy podeszli bliżej, by zapanować nad drgającym spazmatycznie ciałem i wbić je w ubranie, które w pierwszej chwili było zbyt ciasno zwinięte, by mógł je rozpoznać. Dopiero gdy jeden z oprawców użył stalowego łańcucha, by przykuć go do ściany, Soren zrozumiał, że ma na sobie kaftan bezpieczeństwa.

A zatem tortury. Oni najwyraźniej nadal nie rozumieli, jak działa jego umysł. Zapewne wyobrażali sobie, że zmieniona percepcja czasu sprawia, iż ból jest dlań tym trudniejszy do zniesienia. W pewnym sensie zresztą mieli rację, ale nie osiągnęliby tego, na co liczyli. Mógł po prostu wycofać się w nicość i pozwolić, by niszczyli jego ciało. To i tak lepsze niż wieczność spędzona na liczeniu.

Przyszło mu na myśl, że oto pojawia się nawet pewna szansa na

zwycięstwo. Najważniejsze było to, by nie ujawnić im tego, czego potrzebowali, ale czuł, że może wznieść się jeszcze wyżej - nie krzyknąć ani razu. Całe życie spędził w bólu; nie byli w stanie wymyślić takich katuszy, których nie potrafiłby znieść.

Strażnicy wyszli, gdy uznali, że jest odpowiednio spętany, a do celi wszedł nieznajomy. Był szczupły, niczym się nie wyróżniał; miał ciemne oczy i wystające kości policzkowe. W jednej ręce niósł krzesło, a drugą ciągnął stolik na kółkach z tacą pełną lśniących instrumentów. Soren omal nie parsknął śmiechem, ubawiony teatralnością tej sceny.

Wesołość opuściła go, gdy wszedł Nick Cooper, wlokąc za sobą kobietę. Palce agenta wpijały się w jej blade, doskonale ramię. Samantha. Wstrzymała oddech, gdy zobaczyła więźnia, a potem wyrwała się z uścisku i podbiegła do niego. Soren patrzył, jak się zbliża, powoli, tak powoli, spoglądając na niego orzechowymi oczami pełnymi przerażenia. Złote włosy frunęły za nią, ramiona otwierały się coraz szerzej, aż wreszcie była przy nim. Tuliła go, całowała, a jej ciepło i zapach całkowicie wypełniły jego świat. Samantha drżała, a z jej ust dobiegały dźwięki bardziej przypominające skomlenie niż słowa.

- Dość.

Cooper szarpnął ją ku sobie.

Soren rzucił się za nią, ale kaftan bezpieczeństwa przyciskał jego ramiona do boków, a łańcuch napiął się niemal natychmiast, gdy jego plecy odkleiły się od ściany. Naprężył mięśnie i pracował nogami ze wszystkich sił, by się wyrwać, ale mógł tylko patrzeć, jak zabierają mu jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochał i która go rozumiała, jak siłą sadzają ją na krzesło, przykuwają do niego jej ramiona i nogi, jak zaciskają pas wokół jej smukłej talii i jak taśma uszczelniająca zasłania jej doskonale wargi.

- Proponowałem ci lepsze rozwiązanie - powiedział Cooper.

Soren patrzył, a jego nicość rwała się na strzępy jak pajęczyna na huraganowym wietrze.

- Powiem. Wszystko powiem.

- Widzisz, w tym cały problem. - Cooper wzruszył ramionami.

— Ty nadal próbujesz negocjować. Gdybyś poprzednim razem po prostu powiedział wszystko, co wiesz, może byłbym innego zdania. Teraz,

niestety, nie wierzę ci.

Soren patrzył na niego z otwartymi ustami, gotowy podzielić się całą wiedzą, jaką posiadał. John przecież nie chciałby, żeby Samantha cierpiała. Zresztą - czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Jego przyjaciel miał plan na każdą ewentualność. Z pewnością przewidział i taki rozwój wydarzeń.

A może jednak nie.

Z drugiej strony, Cooper nie posunąłby się do czegoś takiego. To tylko blef.

Soren się zawahał.

- No właśnie. Tak myślałem. - Cooper skrzywił się z niesmakiem. - Żałuję, że muszę to zrobić, ale tak właśnie jest. Dziś twój przyjaciel zabił dwa tysiące moich. A na jutro planuje coś jeszcze gorszego. - Skinął głową w stronę nieznanego. - Do dzieła, Rickard.

Ciemnooki kat ceremonialnie pochylił się nad tacą, by kolejno dotknąć palcami kilku instrumentów. Wybrał skalpel, uniósł go do światła, strzepnął z czubka jakiś pyłek, po czym odłożył narzędzie i sięgnął po następne - krótkie zębate ostrze, zakrzywione jak nóż do grejpfrutów. Nawet z daleka Soren doskonale widział, jak srebrzyście połyskuje klinga.

Rickard stanął za plecami Samantha i przysunął czubek ostrza do jej policzka, nie dotykając skóry. Jęknęła i szarpnęła kajdankami. W zaciśniętym kaftanie bezpieczeństwa Soren zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie przecięły skórę dłoni. *To blef, to tylko blef, nie odważą się...*

Płynnym ruchem szczupły oprawca przycisnął ostrze do dolnej powieki lewego oka Samantha. Pchnął płasko, znacząc na skórze szeroką, czerwoną wstążkę, a potem zręcznie wyłuskał gałkę oczną z oczodołu. Krew i płyn bryznęły na policzek, a oko zawisło żałośnie na wiązce nerwów.

Soren wrzasnął.

Ale Rickard jeszcze nie skończył.

Dopiero zaczął.

Cooper zacisnął pięści, próbując zapanować nad tym, co działo się w jego żołądku.

Tak trzeba.

Popatrzył na hologram, na ciało więźnia szarpane spazmatycznymi skurczami. Za zaciśniętymi powiekami widać było zarys rozpaczliwie rozbieganych oczu. Soren leżał na swojej pryczy, a przewód wystający ze ściany podłączony był do gniazda na jego karku.

Siedzący obok Rickard pospiesznie pisał na klawiaturze. Ekran terminalu wypełniały okna, a widoczne w nich siatki modeli w czasie rzeczywistym reagowały na polecenia programisty. Dziwne to było doznanie, stać w pokoju przylegającym do celi Sorena, pełnym sprzętu komputerowego, i w milczeniu przyglądać się holograficznemu obrazowi człowieka, który poci się obficie i wije w konwulsjach.

- Imponujące, co? - spytał Rickard, podczas gdy jego palce nie przestawały tańczyć po klawiaturze.

Cooper czuł się mniej więcej tak, jakby słuchał odgłosów krwawego horroru dobiegających z telewizora w sąsiednim pokoju. Rozpaczliwe krzyki Sorena, czasem gardłowe, czasem piskliwe, były trudne do zniesienia, podobnie jak jęki Samantha - *nie, nie Samantha, tylko jej cyfrowego obrazu, programu, niczego więcej* - wydobywające się spod taśmy krępującej jej usta.

- Muszę to panu oddać - sam nigdy nie pomyślałem o takim zastosowaniu tego oprogramowania. To miała być gra, wie pan, typu „biegaj i strzelaj do obcych”, miała podwyższać poziom adrenaliny, oferować realistyczny widok krwi i tak dalej. Opcję skanowania prawdziwych osób też przygotowaliśmy dla graczy, żeby ludzie mogli bawić się razem, ratować wszechświat w asyście najlepszego kumpla. - Rickard uśmiechnął się. - Co nie znaczy, że miałem coś przeciwko skanowaniu tej panienki. No naprawdę, niezła jest.

W jednym z okien widać było Samanthę taką, jaką widział ją teraz Soren. Gdy Cooper na nią spojrział, poczuł ucisk w gardle i gorzki smak żółci w ustach.

- No co? - zdziwił się Rickard, obojętnie przyglądając się reakcji Coopera. - Przecież nie zrobiliśmy jej krzywdy. To tylko skan dookólny; wzięliśmy jedynie próbkę naskórka i włosów. Dokładnie tak samo jak przed pańską wycieczką do Rzymu. Lwią część roboty wykonuje podświadomość, podobnie jak we śnie, w którym człowiek od razu wie, że ma przed sobą swoją żonę, nawet jeśli wyglądem bardziej przypomina matkę. To nie są prawdziwe sceny. Nikogo nie torturujemy.

- Nie torturujemy jej. Ale proszę spojrzeć na to. - Cooper wskazał na narożnik ekranu, w którym wyświetlane były parametry życiowe Sorena. Wskaźnik częstotliwości pracy serca od dawna był na czerwonym polu, podobnie jak stężenia hormonów i rytm oddechu. - I niech mi pan nie mówi, że go nie torturujemy.

- Jasne, ale to nie są prawdziwe tortury.

- On tak je przeżywa. Dla niego to jak najbardziej realne: ktoś tnie ją na kawałki na jego oczach.

- Chwileczkę - powiedział Rickard i wpisał kolejną komendę, by uruchomić nowy podprogram. W sąsiednim oknie przemówiła cyfrowa wersja Coopera:

- I co, jesteś gotowy powiedzieć mi, gdzie jest Smith?

Soren tylko się rozplakał i zaskomlał w odpowiedzi.

- Niech pan kontynuuje, Rickard - rozkazał cyfrowy Cooper.

Nick przyglądał się temu wbrew woli.

- Dlaczego używa pan siebie w roli oprawcy? - spytał po chwili.

- Tak jest wygodniej. Mam dokładne skany swojego ciała. - Rickard oderwał jedną rękę od klawiatury i odgarnął włosy z karku, by pokazać implant w karku. - Wstawiłem to sobie podczas pracy nad grą.

- I nie przeszkadza to panu? Rola torturującego?

- No wie pan... to przecież nieprawdziwe.

- Wciąż pan to powtarza.

Programista spojrział Cooperowi w oczy.

- Czy mi się zdaje, czy ten facet pana zabił?

- A także sprawił, że mój syn zapadł w śpiączkę, oraz zamordował całą rodzinę niewinnych ludzi, w tym małe dziecko. A to tylko niektóre z jego dokonań; akurat byłem wtedy w pobliżu. - Cooper umilkł na chwilę. - Gdy pies ma wściekliznę, trzeba go uśpić, ale nie

należy czerpać z tego przyjemności.

Rickard właśnie miał odpowiedzieć, gdy nagle dane na ekranie przykuły jego uwagę.

- Zmiana w betach.

- Hę?

- To wskaźnik aktywności mózgu. Rejestrował wysoki poziom fal beta, co normalne w tak wielkim stresie. Ale teraz ich układ się zmienia.

- Co oznacza?

- Że zaraz zacznie mówić.

- Przestań! - ryknął Soren w swym prywatnym wirtualnym piekle i zwiesił głowę.

Zaraz potem, urywanym głosem, zaczął opowiadać o planach Smitha.

- Jasna dupa - mruknął Cooper, po czym schylił się i nacisnął klawisz. - Epstein, oglądasz?

- Tak - dobiegł z głośnika głos Erika. - Przygotowujemy oddział szturmowy.

- Ja dowodzę.

- Jednostki taktyczne RNK...

- Nie są tak dobre jak ja - wpadł mu w słowo Cooper.

- Odmawiam. Dwie wcześniejsze okazje. Obie zmarnowane.

- I dlatego to ja muszę dowodzić. Naszym celem jest John Smith. Ścigam go od niemal dziesięciu lat. Nikt nie zna jego taktyki tak jak ja.

Milczenie trwało kilka długich sekund. Cooper wyobrażał sobie Epsteina w jego jaskini, jego twarz oświetloną hologramami nieskończonego potoku danych. *To nie była odpowiedź.*

- Erik, zapomnij o osobistych urazach. Jakie rozwiązanie gwarantuje najwyższe prawdopodobieństwo sukcesu?

Znowu cisza. Cooper właśnie zaczął się zastanawiać, czy Epstein nie przerwał połączenia, gdy głośnik ożył.

- Czego potrzebujesz?

- Twoich najlepszych ludzi. Transportu. Broni. I planów, nie tylko budynku, lecz także sąsiednich kwartałów, a także instalacji komunalnych w całej okolicy.

- Tak.

- I jeszcze jedno. — Cooper umilkł i uśmiechnął się. — Shannon jest w Newton. Jak szybko mógłbyś ją tu ściągnąć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- No dobra - powiedział Cooper. - Z pozoru sprawa jest prosta: wejść i wyjść. Ale wszyscy wiecie, jaka jest stawka. To musi być podręcznikowa akcja.

W zatłoczonej ciężarówce panował półmrok, a powietrze było wilgotne od oddechów trzydziestu muskularnych mężczyzn i kobiet. Choć Epstein nie posiadał prywatnej armii, jego operatorzy taktyczni nie byli mięczakami. Technicznie rzecz biorąc, Strażnicy byli pracownikami korporacyjnej jednostki policyjnej, która zapewniała bezpieczeństwo mieszkańcom Reduty. Cooperowi przypominali jednak przede wszystkim Rangersów Armii Stanów Zjednoczonych -byli elastyczną, elitarną jednostką nieustannie szkolącą się w każdej dziedzinie swego rzemiosła, od akcji poszukiwawczo--ratunkowych po działania wojenne w terenie zabudowanym. Siedzieli na ławkach ustawionych w pośpiechu pod ścianami budy. Czarne pancerze okrywały ich szerokie piersi, a broń--karabiny maszynowe - spoczywała na ich kolanach.

- Jak wiecie, naszym celem jest John Smith. Nie wolno pozwolić, by uciekł. Drużyny Alfa i Bravo wyważą jednocześnie frontowe i tylne drzwi, po czym zaczną posuwać się naprzód, czyszcząc kolejne pomieszczenia, aż spotkają się w laboratorium. Drużyna Charlie zaczeka na zewnątrz, zabezpieczając ulicę i wszystkie potencjalne drogi ucieczki. Dodatkowo mamy już snajperów na dachach sąsiednich budynków...

Epstein potrzebował nieco ponad godziny, by helikopterem sprowadzić Shannon. Cooper miał więc dokładnie tyle czasu, by przejrzeć plany budynku i przygotować scenariusz akcji. Godzinę, by zorganizować operację schwytania najbardziej niebezpiecznego człowieka na świecie.

Choć z pozoru czasu nie było wiele, zmieścił się w nim swobodnie. Spece Epsteina włamali się do sieci obsługującej rządowe satelity szpiegowskie i dzięki pozyskanym danym zdołali potwierdzić, że Soren nie kłamał. John Smith dotarł na miejsce dwa dni wcześniej i, o ile mogli polegać na nagraniu z kamer satelitarnych, jeszcze nie opuścił budynku. Należało jednak założyć, że być może właśnie w tym momencie pakuje

walizki - Cooper nie wykluczał takiej ewentualności. Nie mogli zwlekać, nie teraz, gdy byli tak blisko celu.

Jest w tym jakaś ironia. „Tak blisko” naprawdę oznacza blisko. Czy John Smith szukał kryjówki w Kongu? W afgańskiej jaskini? A może chociaż gdzieś w ustronnym zakątku Nowego Jorku?

Nie. Łajdak siedział w Tesli, niespełna osiem kilometrów od domu, w którym śpią twoje dzieci. I czając się tuż za rogiem, szykował swoją broń biologiczną.

Sytuacja była śmiertelnie poważna, ale i zabawna, lecz Cooper nie miał czasu, by się z niej śmiać. To była ostatnia szansa. Musiał mieć pewność, że pomyślał o wszystkim. Polował na Smitha latami, tropił go, analizował jego poczynania. Studiował nawet przebieg jego meczów szachowych, oglądał nagrania przemówień. Dwukrotnie stanął z nim twarzą w twarz: przed rokiem, gdy Smith nakarmił go półprawdami i niczym pocisk sterowany skierował przeciwko własnemu rządowi, a potem jeszcze raz, ledwie parę tygodni wcześniej, gdy Cooper i Bobby Quinn - *Bobby!* - uprowadzili Smitha tylko po to, by w końcu dojść do wniosku, że jeśli go zabiją, stanie się męczennikiem.

- Shannon. - Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Sporo go kosztowało udawanie, że nie czuje jej zapachu oraz ciepła w miejscu, w którym dotykała go swoim udem. - Ty jesteś naszym asem.

Odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

- Nie podoba mi się to.

- Wiem.

- Pozwól, żebym przemieściła się przez cały budynek. Sprawdzę, czy nie czekają na nas żadne niespodzianki. Wiesz, że potrafię.

- Wiem - odparł Cooper. - Wiem, do czego jesteś zdolna. I właśnie dlatego musisz odegrać rolę, którą ci wyznaczyłem. Nikt inny tego nie potrafi.

- Ale...

- Zaufasz mi? - Spojrzył jej w oczy. - Proszę.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa, przygryzając wargę, a potem skinęła głową. Poczuł nagłą potrzebę pochylecia się, przyciągnięcia jej do siebie, dotknięcia ustami jej ust, całowania aż do utraty tchu.

- A co ze mną? - W za dużym kombinezonie, hełmie i z ekwipunkiem taktycznym Ethan wyglądał dość idiotycznie.

- Gdy zabezpieczymy budynek, będziesz kluczową postacią. Możliwe, że Smith już zmodyfikował swój wirus grypy, dodając serum Couzena. Zabezpieczenie tego materiału jest dla nas zadaniem numer dwa. Numerem jeden jest, rzecz jasna, zlikwidowanie Smitha. - Cooper milczał przez chwilę, mierząc wzrokiem swoich komandosów. - Jakież pytania?

Żaden z żołnierzy się nie odezwał, ale napięcie było wyraźnie wyczuwalne, a nawet dostrzegalne: widać było, że chcieliby sprawdzić magazynki albo poprawić ułożenie pancerzy, ale niczego takiego nie robili. Byli świetnie wyszkolonymi zawodowcami - zdenerwowanymi (chyba tylko kowboje potrafiliby zachować spokój!), ale i gotowymi do akcji.

- Ja mam pytanie - odezwał się znowu Ethan.

- O co chodzi, doktoru?

- Właściwie co w tym złego?

Operatorzy wymienili znaczące spojrzenia. Ethan oczywiście je zauważył, lecz choć nie był wojownikiem jak oni, nie był też tchórzem.

- Nie mówię o zlikwidowaniu Smitha. Chodzi mi o wirusa, który zmienia zwykłych ludzi w uzdolnionych.

- Sugerujesz, że ofiara gwałtu powinna się cieszyć, że trafił jej się seks? - odparł Cooper.

- Zaraz, zaraz. - Ethan uniósł dłonie. - Zgoda, każdy człowiek powinien mieć wybór. Ale ja nie próbowałem stworzyć broni.

- Nie - zgodziła się Shannon. - Po prostu opracowałeś technologię, dzięki której broń stworzy ktoś inny.

- Jestem naukowcem. Wymyślanie takich rzeczy to mój zawód. A zanim wskoczysz na zbyt wysokiego konia, zastanów się najpierw, co czują normalni ludzie.

Cooper uniósł brew.

- Zgoda, nie zawsze łatwo jest być uzdolnionym - ciągnął Ethan.
- Ale spróbujcie побыć trochę normalnym. Mówię poważnie: ho-ho, jesteście superbohaterami. Hu-hu, potraficie robić rzeczy, o których my możemy jedynie pomarzyć. - Pokręcił głową. - To, jak społeczeństwo

traktuje obdarzonych, zwłaszcza ostatnio, jest po prostu ohydne. Ale czy nie rozumiecie, jak bardzo pragniemy mieć to, co wy macie?

- Neandertalczycy i *Homo sapiens* — odpowiedziała cicho Shannon.

- Cóż... - Ethan wzruszył ramionami. - W pewnym sensie tak. Nienormalni, obiektywnie mówiąc, są lepsi od normalnych. Tak samo było z neandertalczykami i *Homo sapiens*.

- I co? - spytał Cooper. - Powinniśmy wykończyć normalnych, tak jak *Homo sapiens* wykończył neandertalczyków?

- Prawdę mówiąc, nie całkiem tak było - odparł Ethan. - Bez wątplenia zaistniał kontakt między tymi dwoma gatunkami, ale dochodziło też do krzyżowania. Ostatnie badania dowodzą, że oba gatunki współistniały przez mniej więcej pięć tysięcy lat. W końcu to jednak *Homo sapiens* zwyciężył. Byliśmy po prostu lepsi. Cięża trwała u naszych kobiet dłużej, mieliśmy większe mózgi, lepszą zdolność myślenia symbolicznego. W świecie, w którym zasoby i przestrzeń są ograniczone, potrafiliśmy zdobyć więcej i dlatego przetrwaliśmy, a oni nie.

- I nie masz nic przeciwko temu?

- Nie o to chodzi. To nie była kwestia moralności, tylko ewolucji. Ewolucja to paskudny, krwawy proces, lecz także powód, dla którego dziś tu siedzimy. I bądźcie łaskawi pamiętać, że to ja jestem teraz neandertalczykiem, podobnie jak moja żona i moja córka. - Ethan wzruszył ramionami. - Gdyby neandertalczycy mieli wybór, mogli się stać *Homo sapiens*, to nie sądzicie, że skorzystaliby z szansy? Kto by nie chciał?

- Dwa problemy, doktoru. — Ciężarówka skręciła ostro na skrzyżowaniu i Cooper oparł się o jednego z żołnierzy. -Po pierwsze, powiedziałeś „wybór”, a to jest właśnie to, czego Smith nie zamierza ludziom dać.

- Zgoda, ale...

- Po drugie, tym razem to nie ewolucja. Nie mówimy o tysiącach lat powolnych zmian zachodzących w naturalny sposób. To wynalazek nauki, który podważa fundamenty systemu.

Ethan otworzył usta, ale zanim się odezwał, głośno warknął

brzęczyk. Dłonie zacisnęły się na broni. Cooper poczuł nagłe przyspieszenie pulsu. Jego dłonie w jednej chwili zwilgotniały. Ciężarówka nie zwolniła - jechali naprawdę szybko - ale sygnał oznaczał, że do celu została już tylko jedna przecznica.

- Posłuchajcie - przemówił Cooper do komandosów. -Wiem, że nie po raz pierwszy walczyście z terrorystami, ale tym razem będzie inaczej. - Powiódł spojrzeniem po twarzach siedzących, z każdym po kolei nawiązując na moment kontakt wzrokowy. - Chodzi o Johna Smitha. Nie. Wahajcie. Się.

Szofer wcisnął hamulec do deski i opony z piskiem wryły się w asfalt. Wóz jeszcze się nie zatrzymał, gdy dwaj żołnierze siedzący na końcach ławek poderwali się, z impetem otworzyli drzwi i skoczyli w plamę słonecznego światła.

*To jest to. Twoja ostatnia szansa. Wygraj albo wszystko stracisz.
Idę po ciebie, John.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Będzie bolało?

Znowu siedzieli w pokoju Hawka. Specjalnie go posprzątał; wydawało mu się, że tak należy, bo przecież tak czyni każdy, kto wyrusza w daleką podróż - a on właśnie tak się czuł, choć donikąd się nie wybierał. Usiadł na łóżku, a jego przyjaciel na krześle. John wyglądał na zmęczonego, ale i na zrelaksowanego, jakby wyczuwał, że w tych czterech ścianach może choć na chwilę opuścić gardę. Hawk bardzo to sobie cenił.

- To strzykawka bezigłowa - powiedział John, ważąc w dłoni instrument przypominający futurystyczny pistolet na wodę. - Wystrzeliwuje pod wysokim ciśnieniem strumień płynu, który przenika przez skórę prosto do krwiobiegu. Poczujesz coś jakby ukłucie komara.

- A co...

- Grypa to tylko grypa - ciągnął John. - Katar, kaszel, może odrobina mdłości. Zmodyfikowaliśmy wirusa tak, by choroba miała możliwie łagodny przebieg. Między innymi o to chodziło w całym eksperymencie, bo gdy ludzie czują się okropnie, wolą siedzieć w domu, a my przecież chcemy, żeby wirus się rozprzestrzenił. Ale jeśli chodzi o samą przemianę, o nabycie daru, to całkiem inna sprawa.

- To znaczy?

- Zmieni się sposób pracy twojego mózgu. Możliwe, że będziesz zdezorientowany, może trochę wystraszony.

Hawk uświadomił sobie nagle, że mimowolnie przygryza wargę. Przestał.

- To jak właściwie będę się czuł?

- Nie wiem dokładnie. Jesteś dopiero drugą osobą w dziejach świata, która doświadczy czegoś takiego.

- Pierwszy był doktor Couzen. - Hawk wziął głęboki wdech. - Miał strasznie podrapaną twarz. Czy on... sam sobie to zrobił?

- Tak - odparł John. - Ale pamiętaj: on jest za stary, zbyt sztywny. Ty jesteś młody, silny i podatny na zmiany. Zaczнешz inaczej postrzegać świat; będziesz umiał robić rzeczy, o których ci się nie śniło.

Moja rada jest taka: nie spiesz się. Będzie tak, jakbyś się przesiadł z motoroweru na dziesięciobiegowy ścigacz. Nie chciałbyś przecież od pierwszej chwili rozpędzać się takim do maksimum, prawda? Przyzwyczaj się najpierw, naucz się, jak działa skrzynia biegów, jak hamować. A gdy poczujesz się pewniej, wtedy zacznij badać pełnię swoich możliwości.

- Wiesz może, jaki dostanę dar?

- To właśnie jest najlepsze: obdarzeni rodzą się z ustalonym darem, ale ty jesteś jak czysta karta i z pewnością zyskasz wiele różnych talentów.

- Jakie na przykład?

- Kto wie, może wszystkie - odparł z uśmiechem John. — Gdy już będziesz nad nimi panował, staniesz się potężniejszy ode mnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Hawk spróbował to sobie wyobrazić. Jakie to może być uczucie? Potrafić myśleć jak John, osiąść ten sam dar, tę moc, która sprawiała, że ludzie chcieli mu pomagać. A przy tym móc poruszać się tak jak Haruto - *sensei* Yamato, poprawił się w myślach — który panował nad swoim ciałem z absolutną precyzją i potrafił walczyć na ślepo, prowadzony jedynie dźwiękiem. Czy to nie jest niesamowite?

- Jesteś gotowy?

Aaron odetchnął głęboko i skinął głową.

Chłodna metalowa lufa strzykawki bezigłowej dotknęła jego ramienia. Zanim zdążył się spiąć, jego przyjaciel nacisnął spust. Rozległo się ciche „pfff” i Hawk poczuł leciutkie ukłucie,

- To już?

- Tak.

- Ja... - Emocje napęły jego pierś jak balon. Miał ochotę przytulić Johna i rozplakać się. Spełniło się jego największe marzenie: będzie taki jak mama, jak John, jak Tabitha. Czy teraz będzie go postrzegała inaczej? - Dziękuję - wybąkał drżącym głosem i wytarł dłonią nos. - Dziękuję.

- Nie, Hawk. - John położył dłoń na jego ramieniu. - To ja dziękuję.

Rozległ się stłumiony huk, jakby ktoś upuścił ciężką sztangę na podłogę siłowni. John gwałtownie uniósł głowę i spojrzął na drzwi.

- Co to... - zaczął Hawk.

- Ciii.

Jeszcze przez sekundę nic się nie działo.

A potem zaczęła się strzelanina.

☆

Z zewnątrz budynek w zasadzie niczym się nie wyróżniał. Ot, magazyn na peryferiach Tesli, jeden z wielu. Nowe Kanaan było zmuszone importować większość produktów i gdzieś trzeba było je przechowywać.

Komandosi zwani Strażnikami poruszali się z wytrenowaną precyzją; każdy doskonale wiedział, gdzie powinien się znaleźć i czego pilnować. Nie było krzyków, nie było ostrego sierżanta nawołującego: „Dalej, dalej!”. Takie rzeczy widuje się tylko w kinie. Tu, w oślepiającym blasku słonecznego zimowego popołudnia w Wyomingu, słyhać było jedynie szmer kroków, pomruk samochodów sunących pobliską arterią oraz warkot silnika nieruchomej już ciężarówki.

Drużyna Alfa uderzyła na magazyn niczym czarna fala. Prowadzący założył ładunki pod frontowymi drzwiami i ukrył się, w biegu dając sygnał pozostałym. Cooper sprawdził położenie bezpiecznika w swym karabinie szturmowym - nowoczesnym produkcie Reduty, rzecz jasna, o opływowych kształtach uformowanych z włókna węglowego. Pocił się pod pachami i czuł mocny łomot serca w piersi, ale ręce miał jak ze stali - mógł na nie liczyć, jak zawsze, gdy wykonywał misję. Ile to razy wykonywał podobne zadania dla DAR? Setki, licząc z ćwiczeniami.

Ale nigdy nie atakowałeś, wiedząc, że po drugiej stronie drzwi zastaniesz Johna Smitha.

Wyparł tę myśl. Czas na rozmyślenia już dawno minął. Teraz należało wykonać zadanie albo zginąć.

Niewielkie ładunki bez trudu wyrwały drzwi z zawiasów. Ciężka połącz metalu wpadła do środka z głośnym rykiem, po którym nastąpił równie głośny odgłos eksplozji granatu błyskowo-hukowego. Dwie drużyny ruszyły do szturm, a Cooper pobiegł ich śladem.

Znaleźli się w rozległym przedsionku. Pod dachem magazynu widać było nagie kratownice belek stropowych. Cooper płynął z falą Strażników, zostawiając innym rolę tylnej straży. Według planów, które oglądał, za szerokim holem znajdowała się od razu przestrzeń magazynowa i tylko wąski korytarz biegnący wzdłuż ściany prowadził do pomieszczeń biurowych. W rzeczywistości miał jednak przed sobą ściany inaczej dzielące przestrzeń. Nie był tym specjalnie zdziwiony - plany obrazowały jedynie to, co narysowano w projekcie, a ludzie Smitha po prostu dopasowali wnętrze do swoich potrzeb, nie składając wymaganych prawem wniosków o pozwolenie na przebudowę. Cooper nawet się ucieszył. Liczył na to.

Drużyna błyskawicznie zajęła hol, a gdy wyznaczeni Strażnicy zajęli pozycję w jego kątach, pozostali ruszyli dalej, niemal doskonale zsynchronizowani. Cooper usłyszał krzyki: jeden z jego ludzi wołał do drugiego, by padł na ziemię, ale zanim ten zareagował, zaterkotał pistolet maszynowy: komandosi ze szpicy wypatrzyli przeciwników. Strzały były celne, dwaj obcy zalali się krwią; jeden zatoczył się na ścianę, a drugi padł na kolana. Ktoś wrzasnął gdzieś z tyłu „Błysk!” i nad głową Coopera poszybował kolejny granat błyskowo-hukowy.

Z bocznej alkowy wychynął mężczyzna o płynnych ruchach baletmistrza. W jego twarzy nie było nic niezwykłego, może poza lekkim uśmiechem oraz tym, że miał zamknięte oczy. Nie zatrzymując się, wyciągnął rękę, złapał granat w powietrzu i odrzucił w przeciwnym kierunku energicznym ruchem nadgarstka. Cooper ledwie zdążył się odwrócić, nim hol zalał rozbłysk brutalnej bieli.

W ostatniej chwili przed oślepiającym wybuchem rozpoznał owego tancerza: był nim Haruto Yamato, jeden z pomagierów towarzyszących Smithowi w Nowym Jorku. Cooper oprzytomniał w samą porę, by zobaczyć, jak Yamato, wciąż z zamkniętymi oczami, atakuje pierwszego ze Strażników ciosem w szyję i natychmiast poprawia obrotowym kopnięciem.

Yamato ma dar audiokinetyczny. Walczy z zaciśniętymi powiekami i pewnie ma kolekcję czarnych pasów w tuzinie sztuk walki.

Nie wygrasz z nim na jego zasadach, ale kto powiedział, że to musi być uczciwa walka? Wystarczy zająć go na tyle długo, by inni zdążyli...

Zaraz, zaraz.

On ma karabin szturmowy!

Cooper uniósł swoją broń i wypalił.

Yamato zatańczył i zdołał uniknąć pierwszych trzech kul, ale czwarta, piąta i szósta otworzyły jego pierś. Zatoczył się na ścianę i wolno usiadł na podłodze, zostawiając na murze czerwoną smugę. Wreszcie otworzył puste oczy.

Idę po ciebie, John.



Wystrzały, istna kanonada, potem krzyki i kilka wybuchów. Hawk był już w drodze do drzwi, zanim dotarło do niego, że wykonał jakikolwiek ruch.

- Stój. - Głos Johna był jak strzał pejcza, bez śladu ciepła.

Hawk zamarł. Zawsze mówiło się o tym, że pewnego dnia wróg może uderzyć na ten budynek, ale on nigdy w to nie wierzył. Nie czuł tego w kościach.

Smith uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz, zanim ostrożnie wyszedł z pokoju. Aaron podążył za nim, próbując pamiętać, co mu wkładano do głowy na ćwiczeniach - jak się zachowywać w razie nieprzyjacielskiego ataku. Zostać w pokojach? Nie, to przecież bez sensu. Zbrojownia. Wszyscy mieli się wycofać do zbrojowni.

- Chodź - rzucił John, ruszając truchtem.

- Czekaj, przecież do zbrojowni w tamtą stronę!

Kolejne strzały dobiegły już z bliska. Serce Aarona biło jak oszalałe i czuł, że koniecznie musi skorzystać z toalety.

- Nie idziemy do zbrojowni. Rusz się!



Cooper nie był stałym bywalcem tajnych laboratoriów. Mówiąc ściślej, widział do tej pory dwa, ale to wystarczyło, by nabrał przekonania, że to wyjątkowo niebezpieczne miejsca.

U Abe'a Couzena w Bronksie pełno było lśniących, supernowoczesnych zabawek dla naukowców, ale zanim Cooper i Ethan tam dotarli, wewnątrz zostało gruntownie przemeblowane metodą gwałtownej walki wręcz: ujrzeni poprzewracane stoły i ścianę zbryzganą krwią.

To laboratorium było zaś znacznie większe, doskonale oświetlone i pełne przedmiotów, których przeznaczenia mógł się najwyżej domyślać. I tu można było dostrzec ślady krwi na metalicznych powierzchniach, a pod butami chrzęściło potłuczone szkło. Komandosi biegali między stołami, pokrzykując i w pośpiechu krępując jeńców plastikowymi pętlami.

Przeciwnik był tak zaskoczony atakiem, że Strażnicy w zasadzie bez poważniejszych incydentów zdołali zająć niemal całą halę magazynową. Owszem, tu i tam ludzie Smitha próbowali się bronić pojedynczo lub parami, ale żaden z nich nie był nawet w połowie tak groźny jak Haruto Yamato. Mniej więcej tuzin bojowników zdołał się wycofać do zbrojowni -niewielkiej komórki o ścianach z cegły żuźlowej - co Cooper uznał za bardzo uprzejmy gest z ich strony. O ileż łatwiej unieszkodliwić gazem wrogów, którzy z własnej woli gromadzą się w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu!

Przemierzył laboratorium energicznym krokiem, rozglądając się w skupieniu. Strzały już prawie ucichły. Cooper przestąpił nad czymś efektownie rozpylonym mózgiem i przykucnął obok nieboszczyka. W twarzy mężczyzny ziały dwa otwory po kulach, lecz mimo to identyfikacja nie była trudna: to na pewno nie był Smith.

- Meldować - powiedział, włączywszy mikrofon.
- Tu dowódca Brawo. Budynek oczyszczony w całej naszej strefie.
- Macie Smitha?
- Nie.

- Przyjąłem. Co na zewnątrz? - spytał Cooper.
- Na ulicy spokój. Jeden zatrzymany, dwóch zabitych w akcji, ale żaden nie jest Smithem.

- Sir. - Drużyną Alfa dowodziła krępa kobieta o bezlitosnych oczach. Wielkość jej bicepsów sugerowała, że mogłaby używać Coopera zamiast sztangi. Minę miała raczej ponurą.

- Wśród ludzi w zbrojowni też go nie ma.

- Na pewno?

- W tej chwili dokładnie przeszukujemy budynek. Jeśli nie schował się gdzieś pod podłogą, chyba jednak nam uciekł.

Cooper wolniutko skinął głową.

A potem się uśmiechnął.

Tunel był mocno zapyłony. W mroku Hawk nie potrafił dostrzec pajęczyn, które raz po raz muskały jego twarz, ale za każdym razem dostawał gęsiej skórki. Miejsca było zbyt mało, by mógł się czołgać - musiał więc się jak robak, przyciskając łokcie do tułowia.

Gdy w magazynie trwała intensywna wymiana ognia, John poprowadził go do schowka w pobliżu laboratorium: do cuchnącej amoniakiem klatki z mopami, narzędziami i okazałym plastikowym zlewem. Jedną z osobliwości życia w nielegalnej organizacji o wywrotowym charakterze było to, że nie mogli tak po prostu zatrudnić sprzątaczek - musieli dzielić się obowiązkami. Hawk nie umiał nawet zliczyć, ile razy dzielnie machał mopem w służbie Johna Smitha.

Gdy Aaron wchodził do schowka, John właśnie chwycił zlew, by szarpnąć go z całej chwili. Stalowe podpórki spadły na beton, odsłaniając dziurę w ścianie o średnicy może sześćdziesięciu centymetrów. John bez słowa wetknął w nią głowę, a potem zaczął wciskać się cały do tunelu. Hawk przez chwilę tylko się przyglądał, mając nadzieję, że przywódca jedynie sięga po broń, ale ciało Johna stopniowo ginęło w mroku kanału, aż wreszcie zniknęło.

Aaron wziął głęboki wdech i podążył za nim.

Tuż za murem trafił na wolną przestrzeń, a potem na otwór w betonowej ścianie. Dalej norę wydrążono w mocno ubitej ziemi. Zazwyczaj nie miał klaustrofobii, ale tu było tak ciasno, że pełną lekkiem ukosem w dół, nieustannie ocierał się barkami o ściany tunelu. Z

każdym centymetrem pochłaniała ich coraz głębsza ciemność, aż wreszcie Hawk przestał cokolwiek widzieć, za to słyszał własny płytki oddech, czuł chłód ziemi i jedwabny dotyk pajęczyn, który budził w nim panikę. Wyobraźnia podsuwała mu ponurą wizję: oto tunel wali się pod ciężarem piachu, betonu, budynku, ulicy. A co by się stało, gdyby tu utknął? Czy ktoś by go uratował? A może w chaosie panującym na zewnątrz zostałby tu, zapomniany, uwięziony, żywcem pogrzebany. Panika ścisnęła mu żołądek. Był ślepy, zębatym robakiem, niewiele różniącym się od tych, które ryły w ziemi wokół niego - zresztą ktoś mógł wiedzieć, jakie jeszcze blade, pełzające upiory mieszkają w tym piekle...

Nie waż się pęknąć w obecności Johna. Nie waż się, babo

Dalszy odcinek tunelu biegł prawie poziomo. Poruszali się wolno, tylko oddychali coraz szybciej wilgotnym powietrzem podziemia. Minęła wieczność, zanim John przemówił:

- Jesteśmy.

Zgrzytnął metal o metal, coś ciężkiego upadło z brzękiem i do nory wpadł snop ostrego światła.

Wypełzając z tunelu, Hawk czuł się tak, jakby rodził się po raz drugi. Dyszał ciężko, zgięty wpół, opierając dłonie na kolanach, i minęło sporo czasu, zanim zebrał dość sił, by się wyprostować.

Znajdowali się w długim korytarzu oświetlonym z rzadka rozwieszonymi żarówkami. Pomieszczenie miało może dwa i pół metra wysokości, ale musieli pochylać głowy, bo nad nimi ciągnęła się gęsta sieć kabli. John umieścił metalową klapę z powrotem w ścianie, zakrywając otwór, którym dostali się do środka, po czym rozejrzał się i ruszył przed siebie.

- Idziemy.

- Gdzie jesteśmy?

- To kanał serwisowy. Tesłę zaprojektowano i zbudowano jako całość, więc inżynierowie musieli zacząć od wykopania sieci takich tuneli mieszczących całą infrastrukturę miasta. - John uniósł rękę i dotknął przewodów. - Tymi kablami będą między innymi dane wymieniane przez systemy komputerowe miasta.

- Dokąd teraz?

- Wychodzimy. Od najbliższej studzienki dzieli nas mniej więcej czterysta metrów. W pobliżu wyjścia czeka ciężarówka,.

- Ciężarówka? - Hawk wyprostował się odruchowo i uderzył głową o stalowy wieszak. - Wiedziałeś, że oni przyjdą?

- A myślisz, że zastaliby nas tam, gdybym wiedział? - John obejrzał się przez ramię. - Ciężarówka stoi tam od dwóch lat. W taki sposób się wygrywa, Hawk. Nigdy nie koncentruj wszystkich środków na jednej drodze prowadzącej do celu. Twórz tak wiele furtek, jak to tylko możliwe. Ty sam jesteś jedną z nich.

- Co masz na myśli?

- Z większości opcji przygotowanych „na wszelki wypadek” nigdy nie skorzystasz. Ale jeśli je masz, to we właściwym momencie możesz przekuć porażkę w zwycięstwo. Tak jakbyś zamieniał pionka na hetmana.

Hawk próbował sobie wyobrazić, ile wysiłku kosztowało przygotowanie tej drogi ucieczki. Trzeba było znaleźć właściwe miejsce w kanale serwisowym. Wykopać tunel. Wywieźć ziemię. Uniknąć przypadkowego spotkania z technikami patrolującymi kanał. Kupić ciężarówkę i znaleźć miejsce, w którym mogłaby pozostać przez lata. Dbać o nią - choćby o to, by akumulator nie padł, a koła były napompowane. Wysiłek musiał być ogromny, a wszystko tylko na wypadek, gdyby ktoś pewnego dnia miał zaatakować kryjówkę i... *Och.*

- Zaczekaj - powiedział Hawk, przystając. - A co z pozostałymi?

John także się zatrzymał. Westchnął i potarł twarz dłońmi, po czym odwrócił się i podszedł do chłopaka.

- Toczmy grę przeciwko bardzo złym ludziom, Hawk.

- Czy oni... oni...

- Nie wiem. - John położył dłoń na jego ramieniu. - Nie wiem.

- *Sensei* Yamato. I panna Herr. I... o Boże. Tabitha. Co będzie z Tabithą?

John spojrzał na niego z ukosa.

- Czy wy...?

- Nie. To znaczy... Nie. Czy nic się jej nie stanie?

- Prawdopodobnie nie, jeśli nie popełni jakiegoś głupstwa. A Tabitha nie jest głupia. - John umilkł i widać było, że nad czymś się

zastanawia. Wreszcie rzekł: - Muszę ci coś powiedzieć, Hawk. Coś bardzo ważnego.



Z tej odległości detonacje brzmiały jak odpalaniu sztucznych ogni, ale Shannon potrafiła dosłyszeć różnicę. Ładunki rozrywające. Zaczął się szturm. Parę sekund później rozległy się dalekie trzaski innych fajerwerków: szybsze i cichsze. Te także znała.

I tam właśnie powinnaś być. Strażnicy znajdują się na robocie, ale John jest sprytniejszy. Gdybyś tam by ta, mogłabyś się przemieszczać, rozpoznawać teren, dopilnować, żeby Cooper nie wlaźł w zasadzkę.

Tutaj zaś nie miała nic do roboty - mogła tylko czekać. Czekać i mieć nadzieję, że Cooper wie, co robi.

Czekanie było nieodłącznym elementem jej roboty i czasem nawet sprawiało jej przyjemność. Potrafiła poruszać się niepostrzeżenie i umiejętność ta pozwalała jej znaleźć się czasem w miejscach, w których absolutnie nie należało się pojawiać - w miejscach, w których jeden fałszywy krok oznaczał śmierć. Prawdę mówiąc, to także sprawiało jej frajdę. Gdy ryzykowała, świat stawał się jaśniejszy. Kolory wydawały się żywsze, a powietrze słodsze.

Tym razem jednak - i w ogóle ostatnio - było inaczej. Nie czuła już radości, wykonując swoje zadania. To, co zawsze uważała za wielką, niekończącą się przygodę zwaną życiem, jakoś przestało jej smakować. Nabrało ponurego odcienia. Upadek rozpoczął się wiosną, od pamiętnego wybuchu w gmachu giełdy, kiedy Cooper zdołał ją powstrzymać, zanim zapobiegła eksplozji. Wtedy, rzecz jasna, jeszcze nie wiedział, jakie są jej intencje. W gruncie rzeczy sama wątpiła, czy zdołałaby wtedy wykonać swoją misję. Zginęło tysiąc niewinnych osób, a od tamtej pory liczba ofiar stale rosła.

I jak tak dalej pójdzie, wkrótce znacznie się zwiększy. Uważaj więc.

Nigdy wcześniej nie odwiedzała tej części Tesli, królestwa hal magazynowych i centrów dystrybucyjnych. Zaskoczyła ją spora liczba prywatnych samochodów na ulicach, ale przestała się dziwić, gdy przypomniawszy sobie o Nowych Synach Wolności. Im dalej zapuszczała się kolumna milicji, tym większy odsetek mieszkańców Reduty szukał schronienia za Pierścieniem Voglera. Tesla zaczynała pękać w szwach,

wszystkie pokoje w hotelach były już zajęte. Wielu ludzi było zmuszonych nocować w salach gimnastycznych i kościołach.

Tu, w bocznej uliczce, panował jednak względny spokój. Przejechało nią ledwie kilka samochodów, pieszych nie było wcale. Mimo to Shannon próbowała trzymać się na uboczu, jednocześnie wypatrując potencjalnych świadków i obserwując istotne detale: sto metrów dalej kierowca ciężarówki przyglądał się, jak robotnicy wyładowują towar z naczepy, a na każdym narożnym budynku zainstalowane były kamery miejskiego monitoringu. Elektryczny samochód osobowy właśnie skręcał w przecznicę. Na drzwiach szarej, metalowej kabiny stojącej opodal widniał napis KANAŁ GŁÓWNY, WĘZEL N4W7...

Na drzwiach, które właśnie się otwierały.

Shannon skupiła się na nich bez reszty, podświadomie rozpracowując wektory postrzegania. Uwzględniła stale zwiększający się kąt rozwarcia drzwi, skłonność ludzkiego oka do punktowych spojrzeń (a nie rozległych panoram), istnienie martwej strefy za zaparkowaną opodal ciężarówką (będącej w istocie strefą niebezpieczną, ponieważ tam właśnie musiał skierować się wzrok wychodzących) oraz to, jak trudno przyzwyczać oczy do popołudniowego słońca, gdy wychodzi się z podziemnego kanału. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, upewniła się, że wybrała najwłaściwsze miejsce. Raz jeszcze pomodliła się w duchu za Coopera: żeby nic mu się nie stało, i żeby się okazało, że jego teoria była słuszna.

Z kabiny wyłoniły się dwie postacie. Pierwsza przystanęła, żeby się rozejrzeć — niespiesznie, uważnie, profesjonalnie -ale Shannon w porę odczytała jej intencje i przemieściła się tak, by pozostać niezauważoną.

John Smith. Jej dawny przywódca, dawny przyjaciel. A tuż za nim dzieciak, którego nie znała - szczupły i wysoki jak na swój wiek. Obaj byli brudni, mieli usmarowane ubrania i pajęczyny we włosach. Chłopak nerwowo ścisnął nogi, jakby pilnie musiał załatwić potrzebę fizjologiczną.

Shannon wyszła z cienia rampy towarowej, uniosła strzelbę do ramienia i zawołała głośno i wyraźnie:

- Stać!

Chłopak podskoczył i zaraz dostrzegła, że jego problem z pęcherzem przynajmniej częściowo się rozwiązał.

John tylko na nią popatrzył. Dzielilo ich może pięć metrów i doskonale widziała, że zastanawia się, czy spróbować ucieczki.

- Nie rób tego. - Spojrzała twardo na lufę strzelby, lekko naciskając spust.

- Shannon. Oczywiście.

- Ręce za głowę, dwa kroki w tył i na kolana.

- Zgoda. - John zaplótł palce za głowę i konwersacyjnym tonem dodał: - Uciekaj, Hawk.

- Nie ruszać się!

- Uciekaj.

Dzieciak wahał się tylko przez sekundę, a potem obrócił się na pięcie i ruszył.

Z tej odległości nie mogła chybić, ale czy na pewno chciała oddać strzał? Zamordować uciekającego nastolatka?

Mało tego, musiałybyś na chwilę przestać trzymać Johna na muszce. A ilu ludzi straciło życie tylko dlatego, że na ułamek sekundy spuściło go z oka?

Chłopak wrócił do budki nad skrzyżowaniem kanałów. Pozwoliła mu odejść. Nie zdejmując palca ze spustu, okrążyła Johna w taki sposób, by zasłonił sobą drzwi - na wypadek gdyby dzieciak zechciał wrócić z bronią.

- Kolejny z twoich świętych wojowników?

- Hawk? To mój przyjaciel.

- Ty nie masz przyjaciół.

- Nieprawda - odpowiedział łagodnie. - A co u ciebie?

- Gdy rozmawialiśmy po raz ostatni, jeden z twoich młodocianych samobójców właśnie zamierzał wysadzić mnie w powietrze. Wraz z pociągiem pełnym cywili.

- Przecież wiesz, że to nic osobistego. - Uśmiechnął się drwiąco.
- Przypuszczalnie nie ma szans na to, żebyśmy sobie o tym porozmawiali?

- Ależ są - odrzekła. - Tylko zrób dwa kroki wstecz i uklęknij.



Cooper szarpnął kierownicą, nie zdejmując nogi z gazu i potężna siła odśrodkowa zakoleysała wozem. *Już prawie.*

Gdy tylko dostał potwierdzenie, że Smitha nie ma w magazynie, wybiegł na zewnątrz. Zgodnie z jego rozkazem, w kabinie SUV-a siedział jeden ze Strażników, grzejąc silnik. Komandos nie był zachwycony, gdy Cooper wyrzucił go z kabiny, ale jedno spojrzenie w jego oczy przekonało go, że nie należy protestować.

Właściwie nie musiał się aż tak spieszyć, ale Shannon była tam sama i na myśl o tym ogarniało go przerażenie — większe, niż się spodziewał. Była jedną z najbardziej uzdolnionych osób, jakie zdarzyło mu się poznać, ale John Smith w niczym jej nie ustępował, a to sprawiało, że w wyobraźni Coopera leżały dość koszmarnie wizje.

Bądź cała i zdrowa, Shannon. A jeśli trzeba będzie rozstrzygnąć „albo ty, albo on”, proszę, wybierz mądrze.

Z impetem pokonał ostatni zakręt, mając nadzieję, że będzie dobrze, i lękając się... cóż, praktycznie o wszystko.

I wtedy ją zobaczył. Dziewczynę, Która Przechodzi Przez Ściany, a raczej jej sylwetkę na tle gorejącego nieba: stała ze strzelbą przy ramieniu, a John Smith klęczał u jej stóp. Serce Coopera zawyło z radości. Zatrzymał wóz z piskiem opon, porwał karabin z siedzenia pasażera i wyskoczył na ulicę, by zabezpieczyć drugą linię ognia.

Człowiek, którego ścigał przez większą część dziesięciolecia, spojrzął na niego, mrużąc oczy.

- Witaj, Nick.
- John. Gra skończona.
- Na to wygląda. Dobrze wam poszło. - Smith próbował grać twardziela, lecz Cooper dostrzegł drżenie jego rąk. -Mogę zapalić?
- Czemu nie? Tylko pomału.

Terrorysta bardzo wolno sięgnął do kieszeni. Cooper przyglądał mu się, gotów strzelić, gdyby tylko dostrzegł niebezpieczeństwo, ale

Smith wyjął jedynie zmiętą paczkę papierosów. Wyłuskał jednego, zapalił i zaciągnął się.

- Skąd wiedziałeś?

- Człowieku, ścigam cię przez pół dorosłego życia. Rozgryzłem twoje wzorce. Opcje i zabezpieczenia „na wszelki wypadek”, oto cały ty. I dlatego gdy tylko znalazłem na planach kanał serwisowy, który przebiegał pięćdziesiąt metrów od magazynu, ale się z nim nie łączył, od razu wiedziałem.

- Zabawne. Celowo nie kupiłem magazynu postawionego nad kanałem serwisowym, a okazuje się, że właśnie to mnie zgubiło. I co teraz?

- Dokończ papierosa.

- Hmm. - Smith uśmiechnął się. - Więc tak to będzie?

- Po tym, ile krwi przelałeś? Właśnie tak.

- To jedyny sposób, by zbudować nowy świat: trzeba spalić stary. Historia jest ogniem pisana, Nick. - Znowu głęboko zaciągnął się dymem, po czym spojrzał na Shannon. - Pasuje ci, że to robisz?

- Powiedziałeś mi kiedyś, że muszę zdecydować, na czym mi naprawdę zależy. I zdecydowałam.

Cień uśmiechu pojawił się na moment na ustach Smitha.

- To dobrze. Szczęściarz z ciebie - dodał, zwracając się do Coopera.

- Wiem.

Było w tej scenie coś nierealnego. Taki kawał życia odchodził w przeszłość jak podmuch wiatru: słodki, ulotny, miniony. Pozostać miało jedynie wrażenie, znacznie wyraźniejsze niż detale. Błada poświata bielejącego nieba. Miękkie cienie. Zapach dobrze nasmarowanej broni. Brudna smuga na policzku Smitha. Papieros w zgięciu palców. Prawie niesłyszalny trzask tytoniu z ostatniego zaciągnięcia. I grymas ust, gdy Smith rzucał go na ziemię.

- Jeszcze?

- Nie, dziękuję. — Smith odetchnął energicznie i wykonał okrężny ruch barkami. - Zapamiętaj jedno: zabić mnie to nie to samo, co pokonać.

- Wiem - odparł Cooper - ale to krok w dobrym kierunku.

A potem nacisnął spust i przebił serce Johna Smitha trzema kulami. Echo wystrzałów pomknęło nad równiną, ku dalekim góróm. Wystraszony ptak z głośnym krzykiem poderwał się z pobliskiego dachu. W oddali kierowca ciężarówki w panice rzucił się na chodnik.

John Smith zamknął i rozchylił powieki. Jego głowa opadła, jakby chciał się przyjrzeć ranie. Mięśnie jeszcze pracowały; przez chwilę stał chwiejnie.

Wreszcie upadł.

- Cel zlokalizowany - powiedział Cooper, włączyny mikrofon.
- Możecie go zabrać. Przywieźcie worek na ciało.

Potem opuścił broń i ponad martwym ciałem Johna Smitha spojrział w oczy jednej z kobiet, które kochał. Ona także patrzyła na niego.

Nic nie mówili.

A przynajmniej nie używali słów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Cooper nie był pewny, co powinien czuć.

Zabicie Smitha było najlepszym wyjściem. Jasne, mógł go wziąć do niewoli, spróbować przesłuchać, ale czy miał szansę w starciu z takim graczem? Nie mogliby wziąć za dobrą monetę ani jednego słowa z jego zeznań; nie znaleźliby też klatki, z której nie potrafiłby się wyrwać. Pozbawienie go życia było więc bezpiecznym, zdrowym, taktycznie uzasadnionym wyjściem.

Nie chodziło też o żal. Nie był gliną z filmu wytwórni RKO Pictures, po latach rozumiejącym egzystencjalne rozterki bandyty. Nie uważał też, że w innych okolicznościach mogliby zostać przyjaciółmi; nie czuł niechętnego szacunku do Johna Smitha. Odszedł człowiek, który - jak każdy - miał w życiu różne opcje, a wybory, których dokonał, doprowadziły świat w mroczniejsze miejsce.

Lecz mimo to Cooper czuł osobliwą pustkę. Nie triumfował, nie czuł nawet przesadnego zadowolenia. Możliwe, że była to normalna reakcja, tylko po tylu latach zmagania ze Smithem jakaś część jego umysłu oczekiwała po tej chwili więcej - może tego, że gdy naciśnie spust, rozbrzmi podniosła muzyka i pojawią się napisy końcowe.

Jak zawsze, gdy brakowało emocjonalnej albo filozoficznej jasności, pozostała mu jeszcze praca. To ona była dlań czymś niezmiennym: wciąż musiał „ratować świat”, jak nieraz żartował z Quinnem.

Wyobraził sobie odpowiedź Bobby'ego: „Naprawdę? I jak ci idzie?”.

Jak zawsze, Bobby.

- Hę? - Shannon spojrzała na niego pytająco. Najwyraźniej odpowiedział Bobby'emu na głos.

- Nic, nic. - Cooper uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu gapi się tępo w przednią szybę wozu. Przekręcił kluczyk i silnik SUV-a zawarczał basem. Zawrócił na dwa razy i odjechali, zostawiając za sobą ponurą scenę: ekipę Strażników pakującą ciało Johna Smitha do czarnego worka.

Spojrzał na Shannon, zapatrzoną w boczne lusterko. Była drobną kobietą, ale w tym momencie wydawała mu się szczególnie krucha. Skuliła ramiona, jakby zapadła się w sobie. Zanim rozważył, czy to aby na pewno dobry pomysł, Cooper wyciągnął ku niej rękę i musnął jej dłoń. Zawahała się na moment, a potem ich palce się splotły.

Ulice były zatłoczone, ale kuloodporne szyby dobrze filtrowały odgłosy miasta. Przez kilka cichych przecznic Cooper kierował jedną ręką i milczał.

- Wszystko w porządku? - spytał wreszcie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Tak.

- Wiem, że był twoim przyjacielem.

- Owszem. Był. - Wydawało się, że Shannon coś jeszcze doda, ale postanowiła zmienić temat. - Słyszałam o Quinnie. Przykro mi.

Skinął głową.

- Chcesz o tym pogadać?

- Może później.

Na ulicy przed magazynem panował motoryzacyjny chaos: do ciężarówek, którymi przyjechali, dołączyły migocące kogutami wozy służby ochroniarskiej Reduty, ambulanse i karetki więzienne. Dokoła zebrał się spory tłum gapiów. Cooper przebił się przez ów kordon i zaparkował przy drzwiach. Gdy wyłączył silnik, usłyszał nieregularne tykanie rozgrzanego silnika i cichy szmer oddechu Shannon.

Znowu patrzyli sobie w oczy. Na jej twarzy malowało się wiele uczuć naraz i przypuszczał, że sam wygląda podobnie. Patrzyli. Przez krótką chwilę oboje mieli ochotę rzucić się ku sobie, poszukać się dłońmi, ustami, skórą. Napięcie minęło po chwili i dalej siedzieli nieruchomo.

- Sprawdź, co u Ethana - powiedział Cooper.

Kiwnęła głową.

Wysiadając, znieruchomiał nagle i obejrzał się przez ramię.

- Chciałabyś pójść ze mną?

Pooperacyjny. Tak Cooper nazwał ów surrealistyczny filtr, który sprawiał, że wnętrze magazynu krótko po bitwie wyglądało nieco inaczej niż przed. Zwyczajne gipsowe ścianki, tylko z paroma dziurami po kulach. Zwyczajne pokoje, tylko z krwawą mgiełką na niektórych meblach. Strażnicy zdążyli już wyłapać wszystkich, którzy próbowali kryć się w szafach i kredensach. Większość po prostu się poddała -czekali teraz na transport, ze związanymi rękami i nogami, spoglądając na swych ciemieńców z nienawiścią i strachem. Ci, którzy odważyli się walczyć, też czekali, lecz zdecydowanie spokojniej.

Cooper i Shannon weszli do laboratorium w milczeniu i ujrzeli grupę mocno zajętych osób w białych kitlach. Cooper spytał jedną z nich, gdzie znajdzie Ethana. Wskazała kciukiem za siebie, nawet nie odrywając wzroku od terminalu.

Za drzwiami ujrzeli coś, co dawniej mogło być schowkiem na zapasy. Ethan stał plecami do nich, patrząc na klatkę -mocną, metalową, niemal monolityczną konstrukcję z prętów. W jej wnętrzu znajdował się człowiek.

Nie, inaczej.

W jej wnętrzu znajdowało się ciało. Było tak poranione, że Cooper potrzebował chwili, by dopatrzeć się kilku szczegółów: mężczyzna był biały, starszy, wychudzony. Jego skóra była rozerwana w setce miejsc; niektóre rany były ledwie draśnięciami, inne sięgały głęboko, odsłaniając blade tkanki.

Oczodoły wyglądały na rozdrapane. Cooper widział już tego człowieka, kilka dni wcześniej, na ulicach Manhattanu. To był doktor Abraham Couzen.

Ethan się nie odwrócił, lecz napięcie mięśni jego ramion i leciutkie drżenie grdyki wskazywały na to, że uczony wyczuł obecność nowo przybyłych. Cooper dokonał w myślach przeglądu pokrzepiających stwierdzeń, ale jakimś sposobem żadne z nich nie nadawało się na tę okazję.

- Powiedziałbym: „spoczywaj w pokoju” - rzekł bezbarwnym

głosem Ethan - ale Abe wierzył, że życie pozagrobowe to kłamstwa dla durniów, wymyślone tylko po to, by się nawzajem nie pozabijali jeszcze przed śniadaniem.

- John tak go urządził? - spytała Shannon.
- Nie. Przyjrzyjcie się z bliska.

Cooper przykucnął i zrozumiał, co Ethan ma na myśli. Położenie ran było co najmniej dziwne, a paznokcie u rąk nie wyglądały na wyrwane; były wyłamane ku górze, a opuszki palców pod nimi - zdarte do kości. Zupełnie tak, jakby nieszczęśnik drapał nimi skałę, próbując przekopać się... *Och.*

- Sam to sobie zrobił? Ale dlaczego?
- Nie wiem.
- To przez serum? Przez efekty uboczne, o których mówił Vincent?
- Nie wiem.

Cooper wstał i zmienił pozycję, tak by zasłonić Ethanowi widok na jego dawnego szefa.

- Przykro mi.

Ethan nie odpowiedział. Oczy miał szeroko otwarte, ale unikał spojrzenia Coopera.

- Chodźmy stąd. Nie musisz go teraz oglądać.
- Co?

Cooper położył dłonie na ramionach naukowca i potrząsnął nim delikatnie.

- Naprawdę ci współczuję. I wiem, że po tym, co teraz powiem, uznasz mnie za niewrażliwego sukinsyna, czego również żałuję, ale wiedz, że w tej chwili nie możesz sobie pozwolić na szok.

- Niby dlaczego, do cholery?
- Dlatego, że w pobliżu są twoja żona i córka. - Cooper starał się mówić stanowczo, ale nie ostro. - Pamiętaj o Amy i Violet.

Imiona dokonały tego, czego nie zdołały dokonać wszystkie inne słowa. Ethan zatrzepotał powiekami i przełknął ślinę.

- Tak. Tak. masz rację.
- Chodźmy więc. Trzeba zabezpieczyć wirusa, doktoru.
- Jeśli o to chodzi, mam złą wiadomość oraz złą wiadomość -

odparł Ethan, ruszając w stronę wyjścia ze schowka. - Znalazłem tony informacji, notatki z całych lat badań klinicznych. Przejrzałem zapisy z ostatnich paru dni i jasne jest, że ludzie Smitha zdołali wbudować serum w wektor chorobowy, specjalnie przygotowany szczep wirusa grypy. Paskudny szczep, z tego co widzę. Długo nad nim pracowali. Grypa to wirus RNA, a nasze serum jest zbudowane wokół niekodującego RNA, mogli więc po prostu wrzucić je w specjalnie przygotowane geny śmieciowe. Namnożyli i umieścili w zawieszynie aerozolowej; w sumie wyprodukowali prawie osiem i pół metra sześciennego.

- A mówiąc po ludzku?

- Zrobili to, czego chciał John Smith. I mają tego sporo.

- A druga zła wiadomość?

- Według notatek laboratoryjnych wirusa umieszczono w standardowych zbiornikach wysokociśnieniowych. W dwóch, mówiąc ściślej. Każdy ma ponad metr wysokości i waży ze dwadzieścia pięć kilogramów.

- No i?

- No i widzisz tu coś przypominającego taki zbiornik? -spytał Ethan, szerokim gestem wskazując na laboratorium.

Cooper rozejrzał się, choć doskonale znalazł odpowiedź. W pewnym sensie spodziewał się tego już od owej chwili, zanim zastrzelił Johna Smitha. *Zabić mnie to nie to samo, co pokonać.*

- Psiakrew - mruknęła Shannon.

- Właśnie. Też tak myślę - przyznał kwaśno Ethan.

Cooperowi chciało się krzyczeć. Ostatnio często miewał takie pragnienie. Tyle udało się osiągnąć, a John Smith, choć martwy, nadal był o krok przed nim.

- Dobra - westchnął. - Skup się na robocie.

- A co to ma...

- Ty tu rządzisz, Ethan. Kieruj zespołem. Spróbuj, może uda się ustalić, co zrobili z tymi zbiornikami. A jeśli nie, to postarajcie się znaleźć sposób na pokonanie tego wirusa.

- Cooper...

- Szczepionkę. Zastryk. Pieprzone antidotum. Wszystko mi jedno. Ale bierz się do roboty i nie przestawaj, póki czegoś nie

wymyślisz, słyszysz? - Cooper chwycił Ethana za biceps i mocno ścisnął. - To był wasz projekt, doktorku. Ty i Abe stworzyliście to świństwo. Więc teraz to napraw.

- Ale...

- Po prostu to zrób.

I odszedł. Potrzebował miejsca, w którym mógłby zebrać myśli, skontaktować się z Epsteinem, pomyśleć nad kolejnym krokiem. Może razem zdołaliby odczytać wzorce w postępowaniu Johna Smitha na tyle dokładnie, by zrozumieć jego zamiary? Wydarzenia toczyły się tak szybko, że Smith nie mógł wyprzedzić ich o zbyt wiele kroków...

Gdy nagle zadzwonił telefon, Cooper był gotów odrzucić połączenie. Na szczęście najpierw spojrział na wyświetlacz.

- Natalie? - powiedział.

Stojąca po drugiej stronie laboratorium Shannon zeszywniała. Nie winił jej za to, ale w tej chwili miał poważniejsze problemy niż sprawy damsko-męskie.

- Nick? Jesteś cały? Masz dziwny głos.

- Zajęty. John Smith nie żyje.

- Jesteś pewny?

- Sam go zabiłem.

- Och. - Tym razem to głos Natalie zabrzmiał dziwnie. Dlaczego? Natalie nigdy nie popierała przemocy, lecz jednocześnie wiedziała, na czym polegała jego praca. Po tym, jak razem opłakiwali Bobby'ego Quinna, spodziewał się po niej może nie radości, lecz także nie tego bezbarwnego tonu, którym powiedziała: - To świetnie.

- Co się stało?

- Rozumiem, że nie oglądałeś wiadomości.

- Nie.

- Milicja. Nowi Synowie Wolności. Zbliżają się do Pierścienia Voglera. - Gdy Natalie brała głęboki wdech, jej pierś zadrżała. - I pędzą przed sobą dzieci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- ...a materiał na żywo z drona obserwacyjnego sieci CNN ukazuje armię Nowych Synów Wolności zbliżającą się do przedmieść Tesli, stolicy Reduty Nowe Kanaan. Z tej wysokości trudno dostrzec szczegóły, ale na zbliżeniach mogą państwo zobaczyć, że te malutkie postacie przed czołem kolumny to dzieci. Jest ich mniej więcej sześćset. Z racji napiętych stosunków z Redutą przepływ informacji jest ograniczony, lecz nasze źródła potwierdzają, że są to dzieci nienormalnych, przechwycone przez NSW podczas dramatycznego ataku...

W Pokoju Sytuacyjnym zawsze można było obejrzeć wiadomości i nie inaczej było w sali konferencyjnej budynku Laurel w Camp David. Niezwykle było jedynie to, jak głośno grał telewizor, podczas gdy siedzący przy stole zgodnie milczeli.

To nie może być dobry znak, pomyślał Owen Leahy, gdy prezydent Stanów Zjednoczonych ogląda wiadomości, żeby się dowiedzieć, co słyhać w kraju.

Obok odbiornika umieszczono duży ekran, na którym prezentowane były podobne obrazy w nieznacznie innym ujęciu i w znacznie lepszej jakości. Rządowy satelita wyposażony był w tak dobry sprzęt, że można było rozróżnić twarze dzieci. Materiał był już zmontowany i ukazywał z różnych perspektyw raczej nieprzyjemne sceny:

Dziesięcioletka maszerowała, płacząc, a łzy żłobiły jasne koleiny w brudzie pokrywającym jej twarz.

Nastolatek niósł czteroletnie dziecko na jednym ramieniu, drugą ręką trzymając obszarpanego misia.

Jakiś malec potknął się, upadł i czym prędzej wstał; miał rozerwane portki i zakrwawione kolano, a gdy obejrzał się przez ramię, w jego oczach czaił się strach.

Za nimi zaś sunął pochód mężczyzn z karabinami. Ci z pierwszego szeregu mierzyli do dzieci. Kolumna miała dobre osiemset metrów długości.

Leahy po raz pięćdziesiąty zerknął na wyświetlacz telefonu. Nadal brak odpowiedzi.

- Od dawna mówi się o tym, że Reduta Nowe Kanaan posiada silny mechanizm obronny wokół stolicy, miasta Tesla-kontynuował relację spiker - i należy przypuszczać, że dzieci mają posłużyć Nowym Synom Wolności jako żywa tarcza...

- Dość - powiedziała prezydent Ramirez. Jej sekretarz czym prędzej wyłączył dźwięk. - Owen, jak szybko możemy interweniować?

- Nie możemy, pani prezydent.

- Jakby mało było tego, że Nowi Synowie spalili opuszczone miasta, teraz używają dzieci w charakterze wykrywaczy min. Chcę, żeby wkroczyli tam amerykańscy żołnierze...

- Nie możemy, pani prezydent - powtórzył Leahy, siląc się na spokojny ton. - Milicja jest o osiem kilometrów od Tesli. Nie zdołamy przerzucić tam znaczących sił w tak krótkim czasie.

- A co z naszymi dronami, z bombardowaniem taktycznym? Choćby po to, żeby dać im ostrzeżenie, zmusić do zawrócenia.

- Większość niezbędnego osprzętu zdemontowano, zgodnie z pani rozkazem.

- To niech go zamontują na nowo.

- Na to potrzeba czasu. Zresztą ryzyko byłoby ogromne. Moglibyśmy interweniować, jedynie korzystając z tych samych urządzeń, nad którymi wirus Epsteina tak łatwo przejął kontrolę. Mówiąc wprost: wszelki sprzęt bardziej skomplikowany od bagnetu mógłby zostać użyty przeciwko nam.

- Niby dlaczego Reduta miałyby to zrobić? Przecież poszlibyśmy im z pomocą.

- Szczerze mówiąc, wątpię, by oni w to uwierzyli. Ja na ich miejscu nie uwierzyłbym. Chciałaby pani zaproponować człowiekowi, który zabił nam siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy i wysadził w powietrze Biały Dom, żeby pozwolił nam wejść do salonu z najbardziej śmiertelnością bronią, bo nagle chcemy go chronić? Poza tym - tu Leahy skinął w stronę trójwymiarowego wyświetlacza - oni mają swój system obronny. Pierścień Voglera to nie pole minowe; to stanowiska emiterów mikrofalowych. Ofiary go nie osłabiają.

- Co oznacza, że pozostanie nienaruszony, nawet jeśli Nowi Synowie zapędzą tam te dzieciaki, by spłonęły żywcem.

- Taka jest upiorna prawda, ale cóż, to nie nasz system obronny i nie nasza armia. Proszę myśleć o tym tak, jakby te wydarzenia rozgrywały się na dalekim... - W tym momencie zawibrował telefon Leahy'ego. Nazwisko się nie wyświetliło, lecz numer rozpoznał natychmiast. I nie było w tym nic dziwnego: w końcu sam doręczył odbiorcy ten ekranowany od promieniowania aparat.

- Przepraszam, pani prezydent, ale muszę odebrać.

- Proszę. A jak DAR zapatruje się na...

Leahy wstał czym prędzej i ruszył w kierunku drzwi. W zasadzie postępował niezgodnie z protokołem, wychodząc ze spotkania z głową państwa, ale był pewny, że w zaistniałej sytuacji nikt mu tego nie wypomni. Maszerując ze spuszczoną głową, przekroczył próg sali, minął agentów Secret Service i przez hol wyszedł z budynku.

Camp David przypominało cudowną zimową krainę, pełną lampek choinkowych, wiecznie zielonych krzewów i drzew oraz świeżutkiego śnieżnego puchu. Sieć ścieżek i ulic odśnieżono i posypano solą, ale korzystało z nich zbyt wielu ludzi. Leahy bez wahania zeskoczył z werandy i ruszył na przełaj w stronę lasu. Topiąc w śniegu swoje skórzane oksfordy nareszcie przyjął przychodzące połączenie i rzucił do słuchawki:

- Co wy tam wyrabiacie, do jasnej cholery?

- To, co zapowiadaliśmy.

Leahy zamarł. *To nie Sam Miller*. Sprawdził ponownie: numer się zgadzał. Teraz dopiero przypomniał sobie, że już słyszał ten głos, ale potrzebował jeszcze chwili, żeby go zidentyfikować: to Luke Hammond, szczupły oficer o oczach zabójcy.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o porywaniu dzieci jako zakładników. Ani o wykorzystaniu ich do przerwania Pierścienia Voglera.

- Robimy to, co konieczne.

- Konieczne? Do czego? Przecież mówiłem, że ludobójstwo nie jest tu celem. - Dlaczego nikt tego nie pojmuje? Należało zadbać o równowagę; konflikt bywa pożyteczny, póki nie wymyka się spod

kontroli. Politolog Thomas Schelling zauważył to już w 1966 roku, gdy pisał, że moc krzywdzenia - jałowa i wyrachowana zdolność do niszczenia rzeczy cennych dla przeciwnika, a także do zadawania bólu i śmierci - jest silną kartą przetargową. Było to jedno z fundamentalnych praw geopolityki, a mimo to Leahy miał czasem wrażenie, że jest jedyną osobą, która zauważa, że słowo „krzywdzenie” nie jest tożsame z „unicestwianiem”. — Nie zależy nam na zniszczeniu Reduty. Chcemy tylko sprawić, żeby Epstein...

- To pański cel, panie sekretarzu. Nowi Synowie Wolności nie należą do pańskiej armii. Jesteśmy patriotami walczącymi o przyszłość narodu.

- Daj spokój, Hammond. Obudź się. Walenie pięściami w piersi zostawcie sobie na mecze futbolowe. W rzeczywistym świecie nie uprawia się polityki, rzucając się na barykady.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Panie sekretarzu, rozmawia pan z żołnierzem zawodowym z czterdziestoletnim doświadczeniem w operacjach specjalnych. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak niedorzecznie brzmią pańskie słowa?

Leahy oparł się o drzewo i potarł oczy tak mocno, że zabolowały.

- Chcę rozmawiać z generałem Millerem.

- Jest zajęty.

- Proszę go dać do telefonu.

- Jest zajęty.

Leahy wyobraził sobie, że sięga poprzez łącze telefoniczne i zaciska obie dłonie na gardle tego człowieka, czekając, aż oczy wyskoczą mu z orbit. Co Miller sobie wyobraża? Jak śmie działać na własną rękę i jeszcze nie odbierać telefonu? *Tracisz kontrolę nad sytuacją.*

- Luke. Mogę tak się do ciebie zwracać? Luke, nie znamy się zbyt dobrze, ale i ja byłem żołnierzem.

- Wiem, panie sekretarzu. Całe cztery lata, prawda?

- A potem przez dziesięciolecia pracowałem w wywiadzie, po czym w trzech kolejnych rządach sprawowałem funkcję sekretarza obrony - uzupełnił nieprzyjemnym tonem Leahy. Zaraz jednak uspokoił się i odetchnął głęboko. - Rozumie się samo przez się, że szanuję ludzi w

mundurach. Masz rację, jesteście patriotami. Ale teraz patriotyzm nakazuje się zatrzymać. Ryzykujecie rozpętanie wojny domowej.

- Nie ryzykujemy. My ją wypowiadamy. I zwyciężymy.
- Pałac miasta, domy cywilów? Porywając dzieci i prowadząc je na śmierć?

Pauza.

- Taka jest wojna.
- Luke, posłuchaj mnie. Jeśli nawet wygracie, czy sądzisz, że ktokolwiek wam podziękuje? Prezydent Ramirez już chce was okrzyknąć bandytami.

- To jej sprawa.
- Hammond - rzucił Leahy możliwie władczy tonem. -Rozkazuję wam się zatrzymać. Bez dyskusji. Działacie wbrew interesom kraju. Zadajecie rany Ameryce. Kto wie, czy nie śmiertelne.

Luke parsknął śmiechem.

- Wie pan, na czym polega problem z politykami? Wiecznie im się wydaje, że potrafią kontrolować bieg spraw, a to nieprawda. Nie da się zamknąć dzina z powrotem w butelce, choćby w bajkach pisali inaczej.

- Posłuchaj mnie, do wszystkich diabłów. Udowodniliście już, co było do udowodnienia. A teraz zawróćcie swoich ludzi. Proszę. Błagam!

Odpowiedziała mu cisza. Zimny wiatr grzechotał konarami drzew i strącał podobne do popiołu drobiny śniegu. Leahy miał mokre skarpetki. Buty były do wyrzucenia.

- Luke?

Cisza.

- Halo?

Dopiero teraz dotarło do Owena Leahy'ego, że połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ulice były zakorkowane. Wszędzie pełno było osobówek i ciężarówek, wiozących tłumy ludzi, z walizami przypiętymi do dachów. Cooper jechał szybko, nawet brawurowo, przebijając się przez parkingi, przeskakując nad chodnikami i ignorując światła na skrzyżowaniach. Jechał dokładnie tak jak w dawnych czasach, gdy jego wóz miał transponder identyfikujący go jako pojazd z floty DAR. Tego dnia łamanie przepisów uchodziło mu na sucho dlatego, że SUV należał do Strażników Reduty. Była jakaś ironia losu w tej zmianie stron, ale brakowało mu czasu i chęci, by się nią rozkoszować.

Tłum gęstniał, im bliżej byli lustrzanych gmachów tworzących centrum operacyjne Epsteina. Była w tym nawet pewna logika: wieśniacy z widłami i pochodniami stali u bram, więc mieszkańcy Nowego Kanaan czuli, że najbezpieczniej będzie trzymać się blisko przywódcy.

- Na pewno chcesz wziąć w tym udział? - Cooper zerknął w bok, z piskiem opon hamując pod drzwiami gmachu. - Bo w zasadzie nie jestem pewny, jak nas powitają.

- Żartujesz? - spytała z niedowierzaniem Shannon. - To ja uratowałam te dzieciaki. Twoim zdaniem mam pozwolić, żeby jakaś banda wsioków spaliła je żywcem?

- Rozumiem.

Hol centralnego budynku był przestronny i zalany popołudniowym zimowym słońcem. Jedną ze ścian w całości pokrywał trójwymiarowy ekran, a w wysokim na trzy piętra Polu projekcji widać było przerażone dzieci. Ludzie stojący w holu wpatrywali się w ten obraz, poszarzałymi ustami przygryzając drżące palce. Cooper zignorował recepcjonistkę i pomaszerował prosto do nieoznaczonej windy. Pilnujący jej ochroniarz zapewne na co dzień świetnie wykonywał swoją robotę, ale tego dnia bez reszty pochłaniała go transmisja. Shannon uśmiechnęła się i dyskretnie została w tyle.

- Hej - powiedział Cooper.

- Co? - Ochroniarz jakby się ocknął. - Słucham pana.

- Muszę się natychmiast spotkać z Erikiem Epsteinem.
- Przykro mi, ale w tej chwili nie życzę sobie gości.
- Mnie przyjmie. Nazywam się Nick Cooper.
- Wiem, kim pan jest, ale pan Epstein wyraził się jasno: nie wpuszczać nikogo.

- Przykro mi, synu, ale nie mamy na to czasu.

Ochroniarz chciał mu odpowiedzieć, lecz w tym momencie Shannon stanęła za nim, wyjęła pistolet z jego kabury, przycisnęła lufę do jego pleców i odwiodła kurek.

Zostawiwszy ochroniarza przykutego kajdankami do poręczy w windzie, puścili się biegiem w głąb korytarza, a gruba wykładzina skutecznie tłumiła odgłos kroków. Głośniejszy był szum wentylacji; Cooper czuł chłód świeżego powietrza na spoczonej skórze. Chwilę później otworzyli drzwi do prywatnego świata Erika Epsteina.

Łatwo było zauważyć, że coś się tu zmieniło: po pierwsze, było jasno, a po drugie, miejsce całych konstelacji danych zawieszonych w powietrzu zajęła jedna, prosta animacja wektorowa. Stylizowany kleks przecinał trzy koncentryczne okręgi. Bez oszałamiającego holograficznego tła pokój W3[?] dawał się tandetny, pozbawiony aury tajemniczości. Jak kino z włączonym oświetleniem.

Trzej mężczyźni, którzy stali pośrodku, odwrócili się jak na komendę, gdy Cooper przestąpił próg. Pierwszy z nich był mocno opalony i nosił bujną czuprynę; przypominał szkielet obciągnięty skórą. Obok niego stał przygarbiony Erik Epstein, jeszcze bledszy niż zwykle. Na jego pulchnej szyi perlił się pot. a w oczach widać było udrękę. Jakob, jak zawsze w garniturze za pięć tysięcy dolarów, wyglądał przy nich jak pełnoletni opiekun parki przerośniętych kujonów.

- Cooper? Co ty tu robisz?
- John Smith nie żyje.
- Wiemy - odparł Jakob. - Śledziliśmy operację przez kamery w uniformach Strażników. Dobra robota. A teraz wybac, ale...

Cooper wskazał na animację.

- Czy to Pierścień Voglera?

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Cooper - rzekł Jakob - naprawdę doceniamy twoją pomoc, ale

w tej chwili nie jesteś nam potrzebny. To sprawa wewnętrzna.

- Powiedz mi, że to wyłączyliście.
- Wyłączyliśmy? - Trzeci z mężczyzn aż się cofnął, jakby dostał w twarz. — Oczywiście, że nie.

- Kim pan jest?
- Randall Vogler.
- Vogler? Ten geniusz, który zaprojektował cały system?
- Cóż, naturalnie wyrazy uznania należą się całemu mojemu zespołowi, ale...

- Erik, co ty wyrabiasz?
Epstein spojrzał mu w oczy tylko przez ułamek sekundy.

- Chronię nas. Dane...
- Cooper - przerwał mu Jakob. - Rozumiemy twoje uczucia, ale ten system jest ostatnią zaporą między Teslą a tłumem, który nas wszystkich zlinčuje.

- Tłumem, który pędzi przed sobą gromadę niewinnych dzieci - odparował Cooper. - To nie pionki w grze. To dzieci, a wy zamierzacie je zabić.

- Nie wszystkie - wtrącił Vogler. - To system czysto obronny. Widzi pan, ja jestem pacyfistą.

- Niech pan to powie ich rodzicom - odparła Shannon.
- Nie mamy wyboru - bąknął skwaszony Erik.
- Macie. Dokonujecie go właśnie w tej chwili.
- To miasto cywilów - argumentował Jakob. - Zwykłych ludzi, w tym wielu tysięcy dzieci. A ten system jest ich jedyną obroną. Wśród tych, którzy nas atakują, jest wielu byłych żołnierzy sił specjalnych, członków organizacji paramilitarnych, po prostu uzbrojonych zabójców. Tu nie chodzi o dumne podkreśnianie węża. Jeżeli wyłączymy system, te dzieciaki być może przeżyją, ale ilu ludzi zginie? Ile naszych dzieci?

- Vogler - odezwał się Cooper, wskazując na animację. - Widzę tu trzy pierścienie, a milicja dochodzi już prawie do drugiego. Co to oznacza?

- Nasz system to kierunkowa broń energetyczna, generująca promieniowanie elektromagnetyczne o częstotliwości dwa i czterdzieści pięć setnych gigaherca, a jej skuteczność bywa zmienna, w zależności od

zakłóceń, wilgotności, prądów powietrznych. Pierwszy krąg to gwarantowana bezpieczna odległość. Drugi z kolei to granica, poza którą, bez względu na warunki atmosferyczne, jeśli nie wykracza poza znane ekstrema, skutki działania z całą pewnością będą odczuwalne.

- Jakie skutki? - Nuta dziewczęcej naiwności w głosie Shannon przykuła uwagę Coopera. Gdy na nią spojrzął, nie mrugnęła porozumiewawczo, ale był pewny, że o tym pomyślała: dostrzegł nieznaczne drżenie mięśni. *Na Boga*, pomyślał, *ona się z nimi zabawia*.

- Pierścień wzbudza dipole elektryczne, takie jak woda i tłuszcz, a ich ruch generuje ciepło.

- Jak w kuchence mikrofalowej?

- O, właśnie - rozpromienił się Vogler.

- Czyli... - Shannon zrobiła teatralną pauzę. - Spalą się żywcem?

- Cóż, zaletą systemu jest to, że nie brakuje sygnałów ostrzegawczych. Nie będzie tak, że w jednej chwili wszyscy będą się mieli znakomicie, a w następnej padną trupem. Działanie pierścienia będzie zabójcze, tylko jeśli...

- Tylko jeśli ktoś wmaszeruje w głąb pola, popychany lufą karabinu - dokończył Cooper.

- Wobec braku idealnych rozwiązań jedynym racjonalnym jest najlepsze z najgorszych - odezwał się Erik.

- Dlaczego więc nie oglądasz?

- Czego?

- Łatwo jest mówić o wyższej konieczności, gdy się patrzy na kolorowy kleks przekraczający przerywaną linię. Ale nie to się dzieje w rzeczywistości.

- Ja... ja lubię ludzi. Przecież wiesz. Te dzieci...

- Przestań zgrywać świętego, Cooper - wtrącił ostro Jakob. - Ilu ludzi zabiłeś? A ilu zabiłeś dzisiaj?

- Dzisiaj? Dwóch. I obydwóm patrzyłem w oczy - odparł Cooper, zaciskając i rozluźniając pięści. - Nie jestem święty, Jakob. Zdecydowanie nie. Ale jeśli chcesz decydować o tym, kto przeżyje, a kto nie, to miej jaja i spójrz w oczy skazanych.

Erik odetchnął głęboko.

- Komputer. Kwadranty od pierwszego do piętnastego, aktywuj.

Przekaz z dronów i kamer monitoringu, wszystkie perspektywy, obiekt: milicja w pobliżu Pierścienia Voglera.

Powietrze zamigotało, jakby ożyło. Pustą przestrzeń wypełniły nagle ludzkie postacie, a była ich cała rzesza. Cooper niejedną raz słyszał, jaka armia nadciąga pod sztandarami Nowych Synów Wolności, ale czym innym były suche liczby, a czym innym obraz kolumny zdolnej wypełnić średniej wielkości stadion. W tej skali trudno było rozróżnić twarze maszerujących, bo zlewały się w jedną falującą masę, a pokryte pyłem ubrania i brody, tumany kurzu i metal broni tylko pogłębiały wrażenie, że oto nadciąga olbrzymie stworzenie o tysiącach odnóży, owad z nocnego koszmaru.

- Lepiej? — spytał chłodno Jakob. - Widzisz, co nas czeka?
- Erik, dzieci.
- Nie... - zaczął Jacob, ale brat wpadł mu w słowo:
- Komputer, grupuj kwadranty. Zmiana ogniskowej. Obiekt; pierwsze szeregi.

Hologram zmienił się w ekspresowym tempie. Widok z wielu kamer znikł, a zastąpił go jeden strumień obrazu.

Według informacji serwisowych przed armią pędzono mniej więcej sześciuset małoletnich zakładników. Stanowili niewielką grupę w porównaniu z zastępami ochotników idących dwadzieścia metrów za nimi, ale Cooperowi od razu przypomniał się widok apelu z udziałem wszystkich uczniów szkoły, do której chodził Todd. Najmłodsze dziecko miało cztery, może pięć lat, najstarsze mogły już być pełnoletnie, ale większość mieściła się gdzieś pomiędzy. Wszystkie były zdecydowanie zbyt lekko ubrane jak na tę porę roku, a z ich twarzy bił strach.

- Erik - odezwał się cicho Jakob. - Nikt tego nie chce. ale nie mamy wyboru. To straszna decyzja, której brzemień będziemy dźwigali do końca życia, ale i jedynie słuszna.

- Słuszna? - Cooper nie mógł oderwać wzroku od ekranu.

Sześć setek dzieci. Jego umysł próbował się wycofać, ujrzeć je znowu jako ludzką masę, ale siłą woli zmusił się do czegoś wręcz przeciwnego: skupił się na jednym z nich. Była to nastoletnia dziewczyna, maszerująca parę kroków przed pozostałymi, z pochyloną głową i rozpuszczonymi włosami, które zasłaniały jej twarz. Widać było,

że to istota złamana doświadczeniem akademii. Niektórzy z małych jeńców rozglądali się buntowniczo i zapewne byli gotowi stawić opór, gdy ból stanie się nieznośny, ale ona po prostu szła. Radziła sobie z grozą sytuacji nie dlatego, że była taka dzielna czy silna, lecz dlatego, że do tej pory świat serwował jej wyłącznie strach i ból. - Możliwe, że to decyzja, która pozwoli wam zwyciężyć, ale z całą pewnością nie jest słuszna.

- Przekraczają drugą linię - powiedziała Shannon.

Wiedział, że skomentowała ruchy animowanego kleksa, ale i w transmisji wideo łatwo było dostrzec zmianę: dzieci zaczęły odczuwać wpływ niewidzialnych fal. Nie było podmuchów wiatru, które mogłyby szarpać ich ubrania i włosy, lecz mimo to szeregi zachwiały się. Mali zakładnicy zacisnęli zęby, krzywiąc się z bólu. To, co w pierwszej chwili było ledwie dziwnym ciepłem, zaczynało parzyć, tym mocniej, im dalej zagłębiali się w pole rażenia systemu. Kilkoro dzieci zawahało się, a wtedy idący za nimi mężczyźni unieśli karabiny w niemej groźbie. Paru Nowych Synów Wolności wybuchło śmiechem. Jakiś chłopiec zamarł nagle, a potem odwrócił się i choć była to transmisja bez ścieżki dźwiękowej, doskonale rozumieli, że to bunt: wskazał rękami za siebie i zdecydowanie pokręcił głową. Ciemnowłosy mężczyzna po pięćdziesiątce spokojnie uniósł karabin do ramienia, wymierzył z wprawą i wystrzelił.

Shannon wstrzymała oddech.

O kilka centymetrów od stóp chłopca piach eksplodował.

Zakładnik cofnął się chwiejnie; na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Kolega chwycił go zaraz pod rękę i pociągnął za sobą.

Randall Vogler wyglądał tak, jakby zaraz miał zwymiotować. Erik Epstein zaciekle gryzł własny język. Jakob położył dłoń na ramieniu brata.

- Nie musisz na to patrzeć.

Dzieci maszerowały dalej. Ich stężale z bólu twarze lśniły od potu.

- Ratujemy życie ludzi - oznajmił głucho Jakob. - To wybór, którego musimy dokonać.

Z mocno bijącym sercem i mimowolnie zaciśniętymi pięściami Cooper zmusił się, by znowu spojrzeć na tę samą dziewczynkę.

- Wyłącz to, Erik. Proszę. - Nadal szła, dość równym krokiem, choć jej ramiona drżały, a pierś unosiła się z widocznym wysiłkiem. — Erik. - Szła i cierpiała, ponieważ innym wyjściem była śmierć, a ona nie chciała umrzeć, nim na dobre zaczęła żyć. - Erik! - Zaplotła dłonie, nienaturalnie wykręcając palce. Jej twarz stała się mocno różowa, a potem pojawiły się na niej plamy, jakby w przyspieszonym tempie doznawała poparzenia słonecznego. Łzy popłynęły z jej oczu strumieniami, a zaraz potem przebarwienia na jej policzkach i nosie zaczęły nabierać barwy wściekłej czerwieni, po czym zbieleły. Wyglądała tak, jakby ktoś spryskał jej twarz kwasem, a jednak nadal szła...

Dosyć.

Cooper zrobił krok naprzód, chwycił najbogatszego człowieka świata za luźną bluzę dresową, obrócił ku sobie i spoliczkował z rozmachem.

- Spójrz na nią!

Jakob otworzył usta, ale zanim wypowiedział choćby jedną sylabę, Shannon przyłożyła pistolet do podstawy jego czaszki.

- Nie wiem, jaki system alarmowy chciałeś uruchomić, ale lepiej tego nie rób - powiedziała.

- Spójrz na nią - powtórzył Cooper. - Spójrz, do ciężkiej cholery, na twarz tej dziewczyny!

Erik spojrzał. Krew odpłynęła z jego policzków, a oczy zwilgotniały.

- Komputer, wyłącz Pierścień Voglera — powiedział.

- Tak jest, Erik.

Cooper spojrzał na przekaz wideo. Skutek wyłączenia systemu był natychmiastowy: dzieciaki zataczały się, jakby nagle zniknęło coś, o co się opierały. Spoglądały po sobie z ulgą i niedowierzaniem, ostrożnie dotykając zmian na skórze i krzywiąc się z bólu.

Tuż za nimi rozległo się nagle wycie barbarzyńskiej hordy, a potem rozbrzmiały strzały na wiwat.

- Mój Boże - jęknął Jakob. - Coś ty zrobił?

Cooper puścił Erika i poklepał go po ramieniu, a potem odetchnął głęboko.

- Wiesz, czego się nauczyłem przez ostatni rok? Że słuszne postępowanie nie gwarantuje bezpieczeństwa, za to pomaga jakoś żyć z konsekwencjami.

- Wpuściłeś do miasta armię morderców - powiedział Jakob. Shannon już w niego nie mierzyła. Usiadł ciężko w fotelu. - Zabiłeś nas wszystkich.

- To, że nie mogłem pozwolić na poświęcenie niewinnych dzieci, nie oznacza jeszcze, że zamierzam się poddać - odparł Cooper.

- Co więc proponujesz, Cooper? Mamy rozdać karabiny księgowym i gospodyniom domowym?

Może tak zadziało nagłe poczucie ulgi, może rok przeżyty z podwyższonym poziomem adrenaliny, a może po prostu tak należało się zachować w obliczu końca świata - tak czy owak, Cooper parsknął śmiechem.

- Wiesz co? Właśnie to chciałem zasugerować - powiedział, po czym zwrócił się do Erika: - Wiem, jak działa twój umysł, więc idę o zakład, że kazałeś pobudować w mieście bunkry. Jakies podziemne instalacje, ot tak, na wszelki wypadek.

- Tak - przyznał Erik. - Schrony na czas krótkotrwałego bombardowania albo ekstremalnej pogody. Nie do obrony przez dłuższy czas. Wymagają zewnętrznego zasilania, inaczej ustaje recyrkulacja powietrza i dopływ wody. Gospodarka odpadami ograniczona.

- Trzeba natychmiast umieścić w nich dzieci i starców. Resztę populacji podzielić na grupy i obsadzić nimi perymetr wokół miasta. Wybrać wielopiętrowe budynki z dobrym polem ostrzału. Niech każdy, kto jest wystarczająco duży, żeby obsłużyć karabin, i wystarczająco młody, żeby odrzut nie połamał mu kości, stanie przy oknie z bronią gotową do strzału.

Cooper odwrócił się i podszedł bliżej do nadal aktywnej projekcji. Nowi Synowie Wolności zdążyli przepędzić dzieci na drugą stronę Pierścienia Voglera i zostawić je tam pod strażą; w tej chwili przez wyłączoną zaporę promienną przechodziła długa kolumna, tysiące ludzi pod bronią. Nie, nie byli potworami, byli po prostu ludźmi. Niektórzy stracili bliskich, inni wiarę, a wszyscy nieśli w sobie strach tak wielki, że nie potrafili już dostrzec niczego poza swą pierwotną, zwierzęcą naturą.

Owładnięci paniką, utwardzeni bólem, uwolnieni od pęt cywilizacji.

Nie ma nic bardziej niebezpiecznego.

Shannon stanęła nagle przy nim. Spoglądając na transmisję, odnalazła palcami jego dłoń.

- Pierścień Voglera przebiega może osiem kilometrów od miasta.

Cooper skinął głową.

- Obstawiam, że spróbują otoczyć Teslę.

- Maszerują od wielu dni. Najpierw odpoczną. Poczekają, aż zapadnie noc.

Zza ich pleców dobiegł nagle głos Voglera:

- I co wtedy?

- Wtedy zrobimy to, czemu starałem się zapobiec - odparł Cooper. - Pójdziemy na wojnę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Natalie stała w kuchni i oglądała wiadomości na tablecie. W jednym uchu miała słuchawkę, drugim zaś - w matczynym odruchu - nasłuchiwała odgłosów dobiegających z salonu, gdzie Todd i Kate oglądali film. Sama zafundowała im tę przyjemność: podwójny popołudniowy seans z popcornem i colą. Zaskoczyła ich tym, ale czym prędzej postanowili wykorzystać okazję, by nie zdążyła zmienić zdania.

Z rozbawieniem myślała o tym, że był taki czas, gdy jej największym zmartwieniem było to, czy nie oglądają zbyt długo telewizji i czy na pewno zjedli wszystkie brokuły.

Przekaz na żywo był dość ograniczony - tylko z jednej kamery, wbudowanej w drona unoszącego się na bardzo dużej wysokości. W kadrze widać było kolumnę milicji. Reporterka paplała bez celu, używając bardzo wielu słów, by powiedzieć jak najmniej. Istnienie Pierścienia Voglera było tajemnicą poliszyneła, ale mieszkańcy Reduty nie znali żadnych szczegółów na temat tej instalacji i dziennikarka bardzo się starała nie zdradzić za wiele. Dopiero gdy stało się jasne, że dzieci zaczynają cierpieć, okazała odrobinę ludzkiej natury - w jej łamiącym się głosie dało się wyczuć strach.

Ostatnią rzeczą, którą Natalie pragnęła teraz oglądać, była scena całopalnej ofiary z dzieci, ale gdy patrzyła, jak w bólu zaciskają pięści i jak na ich twarzach pojawiają się bąble, poprzysięgła sobie, że nie oderwie wzroku od ekranu. Że obejrzy każdą sekundę tej transmisji, choćby nie wiadomo jak przerażającej, bo skoro nie mogła uczynić absolutnie nic, by wybawić te niewinne istoty, to przynajmniej, na Boga, będzie świadkiem ich cierpienia.

I nagle dramatyczna scena dobiegła końca. Niewidzialna siła, która zadawała dzieciom ból, zniknęła. Widząc ich zdumienie, a przez chwilę także strach, czy to aby na pewno koniec, Natalie czuła przemożną radość. Nie trwała ona jednak długo, bo już po chwili uzbrojeni ludzie z nieskończenie długiej kolumny Nowych Synów Wolności zaczęli wiwatować.

To robota Nicka. Nie wiedziała, skąd w niej ta pewność, a mimo to

rozpierała ją duma: taki był człowiek, którego kochała.

Jak zahipnotyzowana oglądała dalej przekaz na żywo. Nowi Synowie Wolności byli coraz bliżej. Morze ludzi zaczęło się rozstępować, tak by opłynąć Teslę z dwóch stron i zamknąć się wokół niej niczym szczypce. Patrząc i słuchając bredni padających seriami z ust reporterki, Natalie czekała, aż rozlegnie się pukanie do drzwi.

Gdy je usłyszała, wyjęła słuchawkę z ucha i podeszła do okna od frontu. Nadal mieszkali w kwaterze dyplomatycznej, którą przydzielono im trzy tygodnie wcześniej. Było to urocze mieszkanie, ale nie czuła się tu jak w domu - odsuwając zasłonę, miała wrażenie, że znajduje się w pokoju hotelowym. Nigdy wcześniej nie widziała na tej ulicy takiego ruchu: elektryczne samochody i nieduże ciężarówki sunęły wolno, zderzak w zderzak, a między nimi przemykały rowery. Wyraźnie zaniepokojeni przechodnie tu i ówdzie zatrzymywali się w marszu, by popatrzeć na projekcję serwisu informacyjnego na ścianie sąsiedniego budynku - był to ten sam materiał, który oglądała chwilę wcześniej.

SUV, który stał przed domem, był behemotem w starym stylu, z silnikiem benzynowym, czarnym lakierem i muskularną sylwetą. Szyby miał przyciemnione, lecz mimo to Natalie dostrzegła na fotelu pasażera kobietę spoglądającą w jej kierunku. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, a gdy Shannon uniosła dłoń w pozdrowieniu, Natalie uczyniła to samo.

Znowu rozległo się pukanie. Zaciągnęła zasłonę i otworzyła drzwi przed byłym mężem.

Nick wyglądał na zmęczonego, ale i zdeterminowanego: miał ciemne kręgi pod oczami, lecz trzymał się prosto i sprężysto. Znała ten wyraz twarzy; widywała go niejedną raz. Nigdy nie zapowiadał poprawy sytuacji. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

- Wejdz - powiedziała wreszcie.

Telewizor grał głośno, ale na wszelki wypadek ominęli salon, idąc na palcach. Natalie widziała, jak bardzo Nick chciałby dołączyć do dzieciaków, ułożyć się między nimi na kanapie, sięgnąć po popcorn i przytulić jedną ręką Kate, a drugą Todda. Tymczasem poszli prosto do kuchni, gdzie bez słowa zabrała się do parzenia kawy. Osobliwie się czuła, mieląc brązowe ziarna i pozwalając, by rozkwitły w kafeterii. Słuchała przy tym relacji Nicka o tym, czego i tak się domyślała: że

przekonał Erika do wyłączenia Pierścienia Voglera, tym samym ratując sześćset dzieci przed pewną śmiercią, ale i narażając miasto na nieprzyjacielski atak. A potem opowiedział jej o tym, jak zabił Johna Smitha, posyłając trzy kule prosto w jego serce. Natalie wiedziała o czternastu ludziach uśmierconych przez jej męża - byłego męża - i domyślała się, że to nie wszystko. Rozumiała, że dla większości kobiet byłby to czynnik albo bardzo zniechęcający, albo przeciwnie, podniecający, lecz dla niej od zawsze był czymś dalekim, osobnym. Wiedziała, że nigdy w pełni nie pojmie tej części duszy Nicka, i dziękowała Bogu, że tak było. Każde takie zwycięstwo sporo go kosztowało. Płacił tę cenę, ponieważ wierzył, że tym sposobem tworzy dla swych dzieci lepszy świat.

- Nie mogę zostać - powiedział, kiwając głową w podzięcie, gdy podała mu kubek kawy.

- Wiem.

- Nowi Synowie zaczekają tylko do zmroku. Mamy parę godzin, żeby się przygotować. - Pauza. - Wydarzy się dokładnie to, czego chciałem uniknąć.

- Wiem.

- W tej chwili Epstein próbuje apelować do prezydent Ramirez. Może teraz, gdy John Smith nie żyje, uda mu się uzyskać jej wsparcie.

- Gdyby rząd chciał powstrzymać Nowych Synów Wolności, to uczyniłby to wiele dni temu.

- Fakt. - Cooper pociągnął łyk. - Pod kompleksem Erika jest bunkier. Będziesz tam bezpieczna z dziećmi.

- Nie.

- Tak. Nad wami będzie dwanaście metrów skały, a drzwi są z litej stali. Erik kazał go zbudować...

- Widziałam obwieszczenie. - Rzeczywiście, pojawiło się w jej tablecie na kilka chwil przed tym, jak milicja sforsowała Pierścień Voglera. Król Nowego Kanaan informował swych poddanych, że barbarzyńcy stoją u bram. „Dzieci do lat czternastu zgłoszą się w schronie. Reszta przygotowuje się do walki”.

Nick czekał, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że celowo pomija kilka kroków typowej konwersacji, bo zdążył już odczytać

zamiary Natalie. Jego talent w tej materii zawsze doprowadzał ją do szału, choć rozumiała, że to nie jego wina. Rozumiała i to, że jego intencje są czyste, lecz mimo to nie było jej łatwo być żoną człowieka, który zawsze odgadywał jej zamiary - a przynajmniej tak sądził.

- Natalie...
- Nick.
- Nat, nie...
- Nick, nie.
- Posłuchaj mnie - powiedział, odstawiając kubek. - Musisz zaprowadzić dzieci do schronu i zostać przy nich.

- Zaprowadzę.
- Sytuacja jest naprawdę zła. Ci ludzie, którzy nadchodzą, to nie żołnierze. To wściekła tłuszcza. Ludzie zranieni, pełni gniewu, a na dodatek niepostrzegający mieszkańców tego miasta jako ludzi. Nie cofną się przed niczym.

- Wiem.
- Będę walczył wszelkimi dostępnymi środkami, ale zrozum: nie mogę tego robić, martwiąc się nieustannie o ciebie i dzieciaki.

- Wiem.
-I zostaniesz w schronie?
-Nie.

- Natalie...
- Kocham cię - powiedziała. - Zawsze kochałam. Kochałam cię, gdy moi rodzice nie akceptowali naszego związku. Kochałam, gdy pracując dla DAR, zacząłeś zabijać obdarzonych. Kochałam, gdy incognito ruszyłeś śladem Johna Smitha, zostawiając mnie samą na sześć miesięcy, ciężko przerażoną na myśl o tym, że ktoś może podpalić nasz dom. Kochałam cię, gdy umierałeś w moich ramionach. I zawsze będę cię kochać.

- Ja ciebie też, ale...
- Ale nie tylko ty jesteś gotów umrzeć dla naszych dzieci. I zabijać dla nich. - Dostrzegła wrazenie, jakie wywarły na nim te słowa; były niemal jak bluźnierstwo. Te o umieraniu, owszem, ale bardziej te o zabijaniu. Rozumiała go. Odbierała je podobnie. Natalie spojrzała głęboko w oczy Nicka. - Zaprowadzę dzieci do tego bunkra, a potem, jak

wszyscy inni rodzice w tym mieście, stanę w oknie, wezmę karabin i będę walczyła.

Otworzył usta. I zamknął je po chwili, nie odezwawszy się.

~ A teraz - dodała - chodźmy oznajmić naszym dzieciom, że nie obejrzą filmu do końca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

- Panie sekretarzu?

Nadal padał śnieg, ten paskudny, najdrobniejszy, który w podmuchach wiatru bardziej przypominał tuman mgły. Owen Leahy spoglądał przez okna swego gabinetu w Camp David. Dawniej był to pokój gościnny, teraz zamiast łóżka stał składany stolik z płataniną kabli podłączonych gdzieś z tyłu. Zabawny był to widok w czasach, gdy niemal wszystko było już bezprzewodowe, a dane, całkiem dosłownie, fruwały w powietrzu. Tu jednak wymogi bezpieczeństwa były ważniejsze. *Każ to sobie wypisać na nagrobku: „Wymogi bezpieczeństwa były ważniejsze”.*

- Sir, telefon, na który pan czekał.

- Na pewno? - spytał Leahy, nadal patrząc w okno.

- Tak jest.

Całą karierę zbudował na podejmowaniu ryzyka, ale to, którego brzemień odczuwał w ostatnich godzinach, nie miało sobie równych. Po tym, jak Luke Hammond przerwał połączenie, Leahy zadzwonił do swej szefowej sztabu w Waszyngtonie i wyjaśnił jej, czego chce.

- Pan żartuje? - Była zdenerwowana, ale i uradowana, wyczuł to bez trudu. Nie był zresztą zdziwiony. To, o co ją poprosił, prędzej spodziewała się zobaczyć w filmie sensacyjnym. Ale czyż nie byłoby przyjemnie pociągać za sznurki?

- To bezpośredni rozkaz pani prezydent - powiedział jej wcześniej Leahy. — Odrzucać wszystkie połączenia z numerami rządowymi przychodzące z Nowego Kanaan. Bez względu na to, kto zadzwoni i co powie, ma trafić do ciebie. A gdy to będzie on, przekierujesz go do mnie.

- Sir, ależ to... - Urwała. - Czy mogę spytać dlaczego?

- Wyparcie - odparł krótko. - Ramirez potrzebuje przykrywki i my nią jesteśmy.

- Ale panie sekretarzu...

- Gdy pani prezydent poprosi mnie, żebym wziął winę na siebie, uczynię to z podniesioną głową i zamkniętymi ustami. Tego samego

oczekuję od ciebie, Jessica. Nadszedł czas prawdziwej służby krajowi.

- Tak jest.

Ogromne ryzyko. Ale czy miał wybór? W tym momencie już nic nie mogło powstrzymać Nowych Synów Wolności przed spaleniem Tesli do gołej ziemi. Nie tego Leahy pragnął, ale polityka nigdy nie pozwalała na spełnianie życzeń w stu procentach. Sztuka polegała na manewrowaniu wśród okoliczności w taki sposób, by maksymalnie zbliżyć się do celu, a następnie po cichu przedefiniować ów cel. *„Po cichu”*, oto kluczowe słowa. *Jeśli uda ci się podzielać w ten sposób jeszcze przez krótki czas, nikt się nigdy nie dowie, że w ogóle brałeś w tej sprawie udział.*

Leahy odwrócił się plecami do okna.

- Dziękuję - powiedział tonem pożegnania, a gdy asystent wyszedł, stanął przed lustrem, by poprawić krawat. Wziął głęboki wdech, usiadł i odebrał połączenie wideo.

Powietrze zamigotało, przyjmując kształt Erika Epsteina siedzącego z rękami splecionymi na stole. Ktoś jeszcze był przy nim, blady i pulchny, ubrany w bluzę z kapturem.

- Pan sekretarz? - Epstein wyglądał na zaskoczonego. -Przepraszam, użyłem mojego kodu dostępu, by uzyskać bezpośrednie połączenie z panią prezydent.

- Wiem - odparł Leahy. - Pani prezydent prosiła, żebym z panem porozmawiał.

- Panie sekretarzu, będę nalegał...

- Prosiła, żebym z panem porozmawiał.

-Rozumiem. - Epstein umilkł i spojrzał na siedzącego obok. Sytuacja stała się jasna.

-To pan - powiedział Leahy, spoglądając na milczącą postać. - Zgaduję, że to pan jest prawdziwym Erikiem Epsteinem.

- Tak. Witam.

- Miło mi pana poznać. Od pewnego czasu wiemy, że on -tu sekretarz wskazał na dobrze ubranego mężczyznę - to nie pan.

- To mój brat, Jakob.

Leahy skinął głową.

- Czym mogę panom służyć?

Epsteinowie spojrzeli po sobie.

- Poddajemy się - oznajmił Erik.

Jasne, że się poddajecie. Ironia losu była raczej gorzka. O to przecież zabiegał całymi latami. Latami on i podobni doń, przewidujący ludzie robili wszystko, co należało zrobić, by doprowadzić do tej właśnie chwili. Nie, nie do zniszczenia uzdolnionych, ale do uzyskania nad nimi kontroli. O to właśnie chodziło w inicjatywie wszczepiania im mikrochipów. To dlatego DAR otrzymywał większe fundusze niż NSA. Dlatego ponad tysiąc cywilów zginęło na Manhattanie. Dlatego Leahy wymknął się do Wyomingu, by spotkać się z generałem Millerem. Odniósł zwycięstwo - niestety, odrobinę za późno. *Teraz już nie ma wyboru. Trzeba trzymać kurs.*

- Słucham?

- Poddajemy się. Bezwarunkowo. Reduta otworzy swoje granice, podzieli się nowymi technologiami. Stanie po stronie rządu.

- Nie sądzi pan, że trochę za późno na to? Zamordowaliście siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy. Zniszczyliście Biały Dom. Zabiliście nam prezydenta.

- W samoobronie. Wydano rozkazy ataku, zbombardowania naszego miasta...

- Wiem - przerwał mu Leahy. - Sam je wydałem.

Cisza, która teraz zapadła, była tak gęsta, że niemal widział myśli Epsteina, był świadkiem, jak tworzy się w nich matryca nowo odkrytej prawdy. Jakob chciał coś powiedzieć, ale brat spojrzął na niego niemal niezauważalnie i to wystarczyło, by skłonić go do milczenia.

- Panie sekretarzu - rzekł wreszcie Erik - Nowi Synowie Wolności przekroczyli Pierścień Voglera. Podzielili się i otoczyli Tesłę. Jesteśmy w okrążeniu.

- Wiem.

- Analiza strategiczna wskazuje na jeden cel tego typu działań.

- Tak.

- Nie jest nim odniesienie zwycięstwa. Chodzi o całkowite unicestwienie. O zabicie wszystkich mieszkańców. Cywilów.

Leahy rozmyślał o chwili sprzed niespełna tygodnia, gdy siedział w smaganym wiatrem namiocie naprzeciwko Sama Millera i Luke'a

Hammonda, zawierając z nimi układ. On powstrzyma siły zbrojne USA, a oni wkroczą ze swoją milicją na terytorium Nowego Kanaan. Nigdy, ani przez chwilę, nie było jego zamiarem unicestwienie uzdolnionych. To prawda, że dziesiątki tysięcy nienormalnych żyły poza Redutą, choć nigdzie na świecie nie zebrano ich tak wielu w jednym miejscu. Pomagali podtrzymać amerykańską dominację w świecie i zasypywali świat genialnymi wynalazkami szybciej, niż wydawało się to możliwe. Nie, Leahy nie chciał ich zniszczyć; chciał ich poskromić.

Niech szlag trafi Nowych Synów za to, że posunęli się tak daleko. Kolejna paskudna ironia losu. Amerykańska polityka od dziesięcioleci przynosiła podobne rezultaty. Powoływano do życia i uzbrajano coraz to nowe siły, które miały walczyć z potworami, a z czasem one same stawały się potworami. Pinochet w Chile. Noriega w Panamie. Niezliczeni watażkowie w Afryce i na Bliskim Wschodzie. *Oto i całe ryzyko związane z przywoływaniem demonów: jakoś rzadko są skłonne wykonywać rozkazy.*

Z drugiej strony, nie było źle, gdy demony pożerały się nawzajem.

- Niestety, nie mogę panom pomóc.
- Panie sekretarzu, proszę. - Erik Epstein był błądliwy i najwyraźniej zupełnie szczerzy. - W tym mieście przebywają tysiące dzieci.

Leahy nacisnął guzik: przerwał połączenie. Potem wstał i wrócił do okna.

Śnieg sypał uparcie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

- Ilu z was miało okazję używać broni palnej?

Wzrostem i muskulaturą żołnierz był już mężczyzną, ale miał chłopięcą twarz, a spomiędzy żalonych kępek miękkiego zarostu na jego szczęce niczym gwiazdy na niebie prześwitywały dorodne pryszcze. Natalie zastanawiała się, ile mógł mieć lat. Słyszała kiedyś, że średnia wieku w Reducie to dwadzieścia sześć lat, a mediana była bliska szesnastu. Jeśli ten chłopak był starszy, to nieznacznie.

- Nikt? - Żołnierz powiódł wzrokiem po twarzach dwanaściorga cywilów, oni zaś spojrzeli po sobie z zakłopotaniem i wzruszyli ramionami.

- Ja - zgłosiła się Natalie. - Z moim mężem. Byłym.

- Strzelała pani z karabinu?

- Z pistoletów. I ze strzelby.

Pamiętała ten dzień sprzed ponad dziesięciu lat, zanim jeszcze doczekali się dzieci. Rozbili obóz w pobliżu parku narodowego Grand Teton, pośród żywej zieleni i śpiewu ptaków. Cooper pokazał jej wtedy, jak trzymać broń, jak naciskać spust - nie ciągnąć, naciskać - i jak znieść huk i potężny odrzut. Pamiętała też pierwotną radość, którą poczuła, gdy po raz pierwszy udało jej się rozstrzelać na pył bryłę ziemi rzuconą w powietrze. Kochali się potem przy wtórze szeptu sosen, a życie wydawało się pod każdym względem doskonałe.

- Dobrze i to. — Chłopak pochylił się nad długą płócienną torbą leżącą u jego stóp i wyjął z niej karabin dziwnie przypominający rekwizyt filmowy - mieszankę matowego metalu i plastików o miękkich kształtach. - To jest HSD-11, zaprojektowany i wyprodukowany tu, w Reducie. Otwarty zamek, przełącznik ognia, trzydzieści nabojów. Magazynek zwalnia się tu, bezpiecznik jest tu. Karabin będzie strzelał ogniem ciągłym, gdy naciśniesz spust, ale mamy mało amunicji, więc tego nie róbcie. Tylko pojedyncze strzały albo bardzo krótkie serie.

Żołnierz podał broń Natalie. Przyjęła ją i przycisnęła do ramienia, lufą w dół.

- Dobrze - ocenił, jakby zaskoczony. - Bardzo dobrze. Mam tu

jeszcze siedem sztuk, plus amunicja. Gońcy dostarczą więcej naboju. Proszę ich nauczyć.

- Co?!

- Nauczyć pozostałych. Tylko ostrożnie; pocisk z tego karabinu może zabić z odległości półtora kilometra.

- Pan nie zostaje?

- Nie, proszę pani. - Chłopak obrócił się na pięcie i ruszył w stronę ciężarówki.

Przez krótką chwilę Natalie odprowadzała go wzrokiem, a potem, wciąż świadomie celując w ziemię, pobiegła za nim i chwyciła go za ramię.

- Proszę zaczekać.

- Mam jeszcze sporo karabinów do rozdania i niewiele czasu, więc..

- Słuchaj no - warknęła, spoglądając przez ramię na pozostałych. Błady jegomość w garniturku, o bardzo starannie zaczesanych, rzadkich włosach. Pękata dziewczucha w bezkształtnej sukience, z nerwowym psiakiem wyrywającym się z jej rąk. Posągowa piękność o silnie zaznaczonych kościach policzkowych, z dredami przewiazanymi połyskującą apaszką. - Wszyscy tu są trochę wystraszeni - powiedziała.

- No i?

- No i jest jeszcze armia, która się zbliża: milicja złożona z adeptów sztuki przetrwania i byłych żołnierzy, których nie trzeba uczyć posługiwania się karabinem. Niby co mamy zrobić?

- To samo co wszyscy. - Żołnierz spojrzał jej w oczy i w tym momencie zrozumiała, że i on się boi. Chłopak, zwykły chłopak; jak wszyscy chłopcy bawił się kiedyś w wojnę, ale nigdy nie brał w niej udziału. - Walczcie o życie.

To rzekłszy, wskoczył na pakę ciężarówki i załomotał dłonią w ścianę kabiny. Wóz ruszył, zostawiając tylko chmurę ciepłych spalin.

Przez moment kusilo ją, żeby pobiec za nim. Potem odwróciła się i zobaczyła, że pozostali spoglądają na nią pytająco.

- No dobra - powiedziała.



Gdy rozmawiała w kuchni z Nickiem, wszystko wydawało się takie jasne. Oznajmiła mu, że weźmie udział w bitwie - tak po prostu. Wyobrażała sobie, że stanie w szeregu żołnierzy, nie dzieciaków takich jak ten, który przywiózł karabiny, ale prawdziwych wojowników. Doświadczonych, spokojnych, silnych. Takich jak kumple Nicka z czasów służby w wojsku. W myślach walczyła wraz z nimi, ale tak naprawdę - raczej w drugim szeregu.

Dopiero w schronie uświadomiła sobie, że ta wojna będzie się bardzo różniła od jej wyobrażeń.

Kompleks podziemny był w istocie ciągiem pomieszczeń wielkości sal gimnastycznych, w których ustawiono rzędy piętrowych łóżek. Były połączone ze sobą, a do każdej można było się dostać kilkoma klatkami schodowymi. Przypominały schrony przeciwlotnicze, które widywała w starych filmach, tyle że były jaśniejsze, czystsze i pełne dzieci. Dźwięki odbijały się echem od nagich ścian, gdy matki i ojcowie uspokajali swe pociechy, składali obietnice i starali się robić dobrą minę do złej gry. Dzieci głównie płakały, trzymając się ich kurczowo.

Była dumna, gdy okazało się, że Todd i Kate ani myślą się tak rozkleić. Prawdę mówiąc, byli silniejsi od niej. Jej żelazna wola zaczęła pękać, gdy tylko przybyli do bunkra i zobaczyła, jak jej syn w niełatwym poczuciu obowiązku staje przygarbiony obok siostrzyczki i kładzie dłoń na jej ramieniu. Czy ktoś inny nie mógł walczyć za nią? Przecież jej dzieci były za małe, by mogła je tak po prostu zostawić. Mogłaby zostać przy nich, ułożyć się z nimi na pryczy i tulić, obronić samą siłą macierzyńskiej miłości.

- Nie, mamó - powiedziała wtedy Kate. - Musisz iść.

Todd skinął głową i wyprostował się.

- Nic nam nie będzie.

Takie były jej dzieci, jej słodkie maleństwa. Nosila je w sobie, karmiła i niańczyła, czytała im całe biblioteki książek i gdy trzeba było, przyklejała całe kartony plasterków. Łączyła ją z nimi ponadzmysłowa,

matczyna więź. Czasem budziła się w środku nocy na chwilę przed tym, nim któreś z nich ją zawołało, a czasem wręcz słyszała w głowie ich myśli. Teraz na przykład jej dziesięcioletni syn wmawiał sobie, że musi być mężczyzną, musi bronić siostry - Natalie wiedziała, że myśl o tym będzie ją prześladować przez wiele dni.

Nie mam wyboru. Istotnie, tylko w jeden sposób mogła bronić swojego potomstwa. Wymagało to silnej woli - na początek po to, by w ogóle pozostawić dzieci w schronie.

Przytuliła je wreszcie i wycalowała, obiecując, że wszystko będzie dobrze, a potem wyszła i ustawiła się w kolejce chętnych do rozmowy z młodym mężczyzną z tabletem, który przydzielał dorosłym zadania. Wskazał jej furgonetkę, do której wsiadła - to tam poznała pulchną dziewczynę z pieskiem i posągową pięknosć z połyskującą apaszką.

Nie odzywali się podczas jazdy. Prawie każdy z obecnych zapłakał choć raz, ale nie Natalie. Pamiętała słowa, które przed laty usłyszała od Nicka, gdy spytała go, czy robiąc to, co robi, czasem czuje strach.

- Oczywiście - odpowiedział. - Tylko głupcy się nie boją Sztuka polega na tym, żeby umieć wykorzystać swój strach.

Sprawić, by rozjaśniał umysł, ułatwiał planowanie, pomagał bezpiecznie wrócić do domu.

I właśnie to próbowała zrobić. Na początek oswajała się z myślą, że zapewne trzeba będzie wkrótce skierować lufę w stronę ludzkiej istoty i nacisnąć spust. Wyobrażała sobie taką scenę raz za razem, wpatrując się przez okno w pejzaż miasta luster, który właśnie zmieniał się w pejzaż pola bitwy.

Na jej oczach ekipa robotników połączyła buldożer linami z autobusem, powlokła go kawałek i przewróciła z donośnym hukiem, tak że zabarykadował całą szerokość ulicy.

Czuła w brzuchu wibracje pił łańcuchowych tnących zmodyfikowane genetycznie drzewa, tak by z każdego okna budynku można było skutecznie ostrzeliwać przedpole.

Patrzyła, jak barmani przybijają stoły w poprzek drzwi lokalu. Jak nastoletni chłopcy targają reflektory. Jak rowerzyści rozwożą amunicję.

Czuła zapach dymu, gdy wypalano niskie zabudowania, by wróg nie znalazł w nich kryjówek.

Słuchała.

Młotów pneumatycznych.

Syren.

Wystrzałów.

A gdy furgonetka zaczęła zwalniać, rozejrzała się po polu bitwy - skromnym kawałku ziemi, którego miała bronić za cenę życia. Był to kompleks może dziesięciu niezbyt wysokich budynków - siedziba firmy zwanej Magellan Designs. Na szczycie najwyższego z nich znajdował się zbudowany z prętów jarzeniowych globus o średnicy mniej więcej dziewięciu metrów, blask przemieszczał się wolno dookoła równika. Firma Magellan produkowała drogą elektronikę; Natalie pamiętała doskonale, jak Nick podniecał się jednym z ich najnowszych telewizorów trójwymiarowych, odtwarzającym dźwięki tak głębokie, że czuła ich wibrację gdzieś między zębami. Naturalnie nie kupili tego sprzętu - kosztował tyle, ile Nick zarabiał w miesiąc na państwowej posiadzie - ale teraz żałowała, że tego nie zrobili. Żałowała, że byli tacy praktyczni. Trzeba było zainstalować ten projektor w domu i od rana do nocy oglądać filmy, a potem kochać się na podłodze przed nim.

Dawno temu, w utraconym świecie.

Mężczyzna o przerzedzonych włosach miał na imię Kurt i to właśnie on zaproponował, żeby piwnica posłużyła im za strzelnicę.

- A rykoszety?
- Staniemy tutaj - odparł, wskazując w bok — i będziemy strzelać po przekątnej.
- Ale...
- Czy zawsze upina pani włosy w taki sposób?
- Hę?
- Przyjmując siłę grawitacji jako stałą oraz zmienne wartości sprężystości i naturalnego splotu włosów mogę napisać nielinarne

równanie różniczkowe czwartego stopnia, opisujące kształt tej kitki.

- Ach - zrozumiała. - Pan ma dar.
- A pani nie?
- Mówi pan, żeby stanąć tu? - spytała, podając mu karabin. - Nie, nie bokiem. Przodem. Jedna stopa odrobinę wysunięta. Zaprzec broń o ramię, przycisnąć policzek do kolby. Dobra. A teraz...

O siedemnastej słońce niemal dotykało horyzontu. Światło koloru zimnej whisky igrało w lustrzanych szybach, tocząc bój z bladym blaskiem kulistego logo firmy na szczycie sąsiedniego budynku. Za którymś razem, gdy pasek jarzeniowego światła przesunął się wolno po globusie, przyszło jej do głowy, że może to symbol podróży Ferdynanda Magellana. Gdy „statek” okrążył glob po raz kolejny i pojawiał się na Pacyfiku, barwił cały świat Natalie na fioletowo.

Ze swego stanowiska dostrzegała może tuzin innych obrońców ukrytych w sąsiednich gmachach. Podobnie jak u niej, tam także wybito szyby i zrzucono na sterty biurka i szafy na akta, by zatrzymać ostrzał. W jednym z budynków zauważyła przystojnego mężczyznę po pięćdziesiątce, który robił dokładnie to samo co ona. Gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się i uniósł zaciśniętą pięść. Odwzajemniła salut.

Kompleks był położony na skraju miasta; dalsze zabudowania były już wyłącznie parterowe: stacja ładowania pojazdów. Restauracja. Pusty parking przy ostatnim przystanku kolei miejskiej. Samochody odholowano - posłużyły jako zaimprovizowana barykada z poszarpanego metalu i potłuczonego szkła.

W oddali, poza zasięgiem strzału, widać było nadchodzących nieprzyjaciół. Były ich tysiące. Z tej odległości Natalie nie mogła dostrzec żadnych szczegółów i może dlatego masa ludzi wyglądała aż tak złowrogo - jakby nadciągała bezkształtna istota zajmująca niemal całe pole widzenia, bezlitosna bestia czekająca tylko, aż zapadnie zmrok.

Poczuła ucisk w żołądku i nagle drżenie rąk.

Wykorzystaj strach.

Spróbowała się zastanowić, co Nick zrobiłby na jej miejscu. Zaplanowałby, jak się zachowa, gdy zacznie się atak? Cóż, to proste: trzeba trzymać się nisko. Starannie mierzyć. Nie marnować amunicji. Przećwiczyła zwalnianie magazynka, sięganie po nowy do torby, która leżała u jej stóp, i wsuwanie go w zatrask. Przykucnęła, uniosła broń i spojrzała przez celownik na narożnik budynku apteki w sąsiednim kwartale. Wyobraziła sobie, że zza węgła wychyla się nieprzyjaciel. Próbowała oddychać spokojnie, zatrzymywać powietrze na moment przed wydechem, by płynnie nacisnąć język spustowy.

- Cholera, dziewczyno, groźnie wyglądasz.

Natalie odwróciła się.

- Cześć, Jolene.

- Przyniosłam ci coś do jedzenia, parę granatów zapalających i to - powiedziała Jolene, unosząc w górę wiaderko.

- A to po co?

- To będzie długa noc. Nie przypuszczam, żebyś mogła przeprosić i wyskoczyć do damskiej toalety.

- Cudownie. - Niebo było coraz bardziej posępne, a cienie coraz dłuższe i głębsze. - Wiesz, chyba powinnaś to zdjęć - powiedziała Natalie, wskazując na błyszczącą, fioletowo-złotą apaszkę na włosach kobiety.

- Tak? A dlaczego?

- Zbyt łatwo ją dostrzec.

Jolene zaśmiała się ciepło i nieco gardłowo, po czym zdjęła apaszkę.

- Skąd tyle wiesz?

- Od męża. Byłego męża. Jest... był agentem DAR.

- DAR? W takim razie co ty tu robisz?

- To długa historia. - Natalie odstawiła karabin w kąt pokoju i sięgnęła po kanapkę. Poczęstunek wyglądał na kupiony na stacji benzynowej. Nie pierwszej świeżości, owinięty w folię, zwłaszcza w sinym świetle globusa nie wyglądał zbyt apetycznie.

- Zabił kiedyś kogoś? Twój były.

- Tak.
- Myślisz, że i ty potrafisz?

Natalie się zawahała.

- Nie wiem. Przez cały dzień próbowałam to sobie wyobrazić, ale... Wyobrażnia to nie to samo.

- Wiesz, ja zastrzeliłam tysiące ludzi. Może nawet dziesiątki tysięcy. - Jolene usiadła ciężko i uśmiechnęła się. -Sporo gram na konsoli. Tylko nie wydaje mi się, żeby to miało pomóc. Masz tu bliskich?

- Dzieci. I Nicka. A ty?

- Siostrzenicę. Mama zostawiła ją pod moją opieką jako trzylatkę i nigdy więcej jej nie widziałam. Dziś Kaylee ma dziewięć lat i zna jedenaście języków. Mówi, że widzi słowa jako kolory, więc nie ma znaczenia, do jakiego języka należą, po prostu używa kolorów. Czy to nie wspaniale?

- To prawda - przyznała Natalie.

- A ci ludzie chcą ją zabić tylko za to, że taka jest. - W głosie Jolene pojawił się lodowaty ton. - Wiem, że to nie takie proste, że oni też stracili bliskich, że się boją, że cierpią. Ale wiesz co? To jest proste. Rozumiesz?

Natalie ugryzła kanapkę. Chleb był czerstwy, wędlna nijaka, a sałata przypominała smakiem chusteczkę higieniczną. Była to prawdopodobnie najlepsza kanapka w jej życiu. Pomyślała o swoim synu, otaczającym ramieniem siostrzyczkę i o nazbyt mądrych oczach Kate.

Nie ma znaczenia, że będziesz mierzyć do ludzi. Nie ma znaczenia, że oni też mają swoje myśli, swoje uczucia, rodziców i dzieci.

Nie ma znaczenia i to, co się stanie z tobą. Najmniejszego.

Liczą się tylko dwie rzeczy.

- Tak - powiedziała. - Rozumiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Hawk bardzo się starał nie płakać.

Czy to możliwe, że tego samego dnia, po południu, siedział w swoim pokoju z Johnem Smithem i rozmawiał z nim jak z przyjacielem? Pamiętał tę doskonałą chwilę pod koniec spotkania, gdy John położył mu dłoń na ramieniu. Wtedy przez całą sekundę nie czuł się jak dzieciak, któremu zabito matkę; czuł się jak żołnierz, rewolucjonista. Jak mężczyzna, którym zawsze pragnął być: silny, zdecydowany, ważny.

A potem zjawili się żołnierze, były strzały, były krzyki. I długa droga przez ciasny tunel. Kobieta celująca ze strzelby, ucisk w gardle i coś ciepłego, co zmoczyło mu nogawkę i skarpetkę. Przez lata marzył o prawdziwej akcji, był czujny i gotowy, a gdy po raz pierwszy naprawdę znalazł się w niebezpieczeństwie, posikał się i uciekł.

John ci kazał. Chciał, żebyś się uratował.

Ta myśl niosła mu pociechę, ale niewielką. Najpierw zabili mu mamę, a teraz Johna. Nienawidził ich, nienawidził ich wszystkich tak bardzo! Biegł kanałem, z pochyloną głową, żeby nie uderzyć w żadną z rur i żaden z kabli podwieszonych pod sklepieniem. Dżinsy miał mokre i zimne, a jakaś częśćka jego duszy - ta, w której wciąż był małym chłopcem - chciała się rozplakać. Nie, nie mógł tego zrobić; nie mógł sobie na to pozwolić.

Wreszcie nogi i płuca odmówiły mu posłuszeństwa i musiał się zatrzymać. Pochylił się, oparł dłonie na kolanach i oddy chał łapczywie, czując w gardle smak wymiocin. Musiał się zastanowić, zacząć działać jak mężczyzna.

Przede wszystkim, musiał się wydostać z kanału serwisowego. Smród starego kurzu, blade światło i pomruk instalacji sprawiały, że był bliski torsji. Ruszył miarowym krokiem i mniej więcej czterysta metrów dalej napotkał drabinkę ewakuacyjną. Wspiął się po niej i znalazł się w kolejnej budce nad wjazdem - było w niej trochę narzędzi i części zapasowych. Nie było natomiast okien i nie był w stanie się zorientować, w której części miasta się znalazł - musiał otworzyć drzwi i wyjść.

W mokrych dżinsach i T-shircie od razu poczuł przenikliwy chłód.

Otoczył tułów rękami i zatrzepotał powiekami, spoglądając w dogasające już słońce. Spędził w półmroku podziemia tyle czasu, że oczy zaczęły mu łzawić. Usłyszał klaksony samochodów i nawoływania ludzi: na wschód ciągnął ulicą korowód samochodów. Chodnik był zatłoczony; większość biegnących trzymała w ramionach dzieci.

Hawk pomyślał, że mógłby spytać, co się właściwie dzieje. ale nie bardzo wiedział, kogo miałby zagadnąć - wszyscy tak bardzo się spieszyli. Poza tym jakoś nie mógł zapomnieć o swoich przemoczonych dżinsach. Doszedł do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli sam zorientuje się w sytuacji.

Nie był pewny, gdzie się znajduje, ale czuł, że na skraju miasta. Wszyscy spieszyli w kierunku przeciwnym do tego, który zamierzał obrać. Chciał wydostać się z Tesli, nie podążać w głąb miasta. Szedł, unikając ludzi biegnących z naprzeciwka. Raz po raz mamrotał: „Przepraszam”, nie patrząc nikomu w oczy. Przed sobą miał duże skrzyżowanie. Gdy przyjechał tu z mamą. kazała mu nauczyć się na pamięć nazw wszystkich głównych ulic Tesli. Powiedziała, że to pierwsza zasada bycia dobrym rewolucjonistą: znać swój teren. Wiele rzeczy, których go uczyła, było dla niego formą zabawy, ale akurat wkuwanie nazw ulic traktował jak zadanie domowe.

Nie wyobrażał sobie, do czego miałyby mu się kiedyś przydać taka wiedza.

Skrzyżowanie utwierdziło go w przekonaniu, którego zdążył nabrać: że znajduje się na zachodnim krańcu miasta. Z rzadka rozrzucone budynki były tu w większości niskie. Hawk zatrzymał się na kolejnym skrzyżowaniu, by zebrać myśli. Nie miał ani portfela, ani nawet drobnych w kieszeni. Może udałoby mu się wśliznąć do autobusu lub pociągu? Takie rzeczy udawały się bohaterom filmów, ale wiedział, że w rzeczywistości są mocno ryzykowne. Być może umiałby ukraść rower, ale co dalej? Wyoming to duży stan.

Wreszcie przypomniał sobie o miejscu, w którym nocował z mamą, gdy tu przyjechali. O mecie na północno-zachodnim krańcu miasta. Spędzili tam mniej więcej dwa tygodnie, nudząc się śmiertelnie. Pewnego dnia mama powiedziała, że chrzanić to - potrzebują świeżego powietrza. Zbyt wiele ryzykowaliby, włócząc się po mieście, ale w

garażu stał jeep. Przygotowali wszystko, czego potrzeba na piknik, i pojechali na pustynię. To był radosny dzień, dzień głośnej muzyki i dzikiej jazdy po bezdrożach. Mama pozwoliła mu nawet prowadzić. Wtedy wszystko było przygodą, zabawą.

Od parterowego, zielonego domu z przyległym garażem dzieliło go ponad półtora kilometra. Gdy tam dotarł, załomotał do drzwi, ale nikt mu nie odpowiedział. We wszystkich sąsiednich budynkach okna były ciemne; na ulicach nie dostrzegł już nikogo. Poszedł na tyły domu i postanowił zaryzykować: cisnął brukowcem w oszklone drzwi na werandzie.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętał: ten sam ohydny dywan, ten sam przestarzały telewizor. Światło działało, ale postanowił nie włączać go na dłużej. Lodówka była pusta, za to w kredensie znalazł fasolkę. Zjadł ją prosto z puszki, kończąc obchód domu. Zajrzał do szaf i kredensów, mając nadzieję, że znajdzie ubranie na zmianę. Nie miał szczęścia. Nie pozostało mu nic innego, jak wyszorować płamę moczu mokrym ręcznikiem.

Jeep stał w garażu, jak dawniej, pokryty kurzeni i z długimi smugami zastygłego błota na nadkolach. Możliwe, że nikt go nie używał od czasu pamiętnej wycieczki z mamą. Zbiornik był pełen benzyny - dobra wiadomość! ale w stacyjce brakowało kluczyka.

Hawk wrócił do domu. To była meta, bezpieczna kryjówka, klucze musiały gdzieś tu być. Nie znalazłszy ich na haczyku przy drzwiach, poszedł do kuchni i zaczął metodycznie sprawdzać szuflady. W jednej z nich znalazł białą kopertę z grubym plikiem nieco wyblakłych dwudziestodolarówek. Wcisnął ją do kieszeni i szukał dalej. Bingo! Na kółku wisiały trzy klucze, w tym jeden z logo marki Jeep. Hawk miał dopiero czternaście lat i nie prowadził samochodu od czasu wycieczki, ale czuł, że jakoś to ogarnie, zwłaszcza że ulice były puste...

Za kuchennym oknem zaczęła się parada.

Hawk zamarł, ciesząc się w duchu, że nie włączył światła.

Nie, to nie była parada.

To był przemarsz armii.

Jej żołnierze nie nosili mundurów, ale pył na ich ubraniach i twarzach sprawiał, że wyglądali jednakowo. Mieli broń - większość

karabiny albo strzelby, ale niektórzy i cięższy arsenał, który chłopak znalazł jedynie z gier. Było ich tak wielu, że przypominali falę powodziową albo gigantyczny tłum wychodzący z koncertu, tyle że maszerowali w milczeniu, spoglądając twardo w stronę centrum miasta. Dzieliło ich od Hawka nie więcej niż dwanaście metrów.

Jeden z nich - długowłosego stracha na wróble z karabinem szturmowym na rękę i wielkim nożem myśliwskim u pasa - spojrzał w jego stronę. Patrzyli sobie prosto w oczy i Hawk poczuł nagle, że serce tłucze się jak oszalałe w jego gardle, a puls rozsadza mu skronie. Uczucie paniki było tak przemożne, że omal nie zmoczył się po raz drugi. Chciał uciekać, ale nie mógł się poruszyć. Stał jak przy muirowany przy kuchennej szafce, z kluczykami w dłoni. Po chwili jednak mężczyzna odwrócił głowę, nie zwalniając kroku. Dom był zaciemniony, okna stały się lustrami. Nie mógł zauważyć Hawka, który z ulgą wolniutko opadł na kolana.

Zakurzeni żołnierze wciąż maszerowali. Setkami. Tysiącami. Niebo za nimi jarzyło się żywą czerwienią i Hawk przypomniał sobie nagle scenę z powieści graficznej.

Wymarsz armii demonów z piekła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Tak, wiemy o tym, ale oni jeszcze nie dotarli do perymetru obronnego...

- Reflektory. Oczywiście, że będą do nich strzelać. I właśnie dlatego...

-Mamy więcej ludzi niż karabinów, brakuje amunicji, więc trzeba utrzymać sieć gońców. którzy...

- Nie mają pojazdów mechanicznych. Tylko konie.

Pomieszczenie będące krzyżówką sali konferencyjnej z amfiteatrem było pełne ludzi rozmawiających przez telefony, wpatrujących się w ekrany i wymieniających się bez końca informacjami. Do niedawna cały ten cyrk przynależał do świata korporacyjnych zebrań i demonstracji produktów, a ironia losu - Cooper zaczynał mieć serdecznie dosyć jej niezliczonych przejawów - polegała na tym, że na drzwiach widniała tabliczka z napisem SZTAB. Uroczą wojskowa aluzja pasowała zapewne do stylu młodej, pączkującej dopiero firmy, która miała tu swoją siedzibę... lecz czy i cała RNK nie była podobnym tworem?

- A skąd mam wiedzieć, kiedy zaatakują? Pewnie zaraz po tym, jak zajdzie ta jasna plątna na niebie, ale też zanim znowu wzejdzie.

- Przewidywane straty w ludności cywilnej są wręcz ogromne...

- Nie, konie...

Cooper wyobraził sobie, jak przebija się przez tłum obecnych, siłą dociera do Jakoba stojącego u szczytu stołu i oferuje mu pomoc. Na samą myśl o tym czuł zmęczenie. Zbyt wielu ludzi próbowało tu grać jakąś rolę. W teorii jego doświadczenie taktyczne było bardzo cenne, ale czy próba dzielenia się nim miała jakikolwiek sens. skoro nie miał żadnego wpływu na biurokratów Reduty?

Zerknął na Shannon. Jedną dłonią podpierała łokieć, a drugą podbródek, przygryzając zębami czubek kciuka i chłonąc wzrokiem sztabowy chaos. Pomyślał, że to dziwne: widział ją nagą. widział, jak zabijała, widział, jak stawała się niewidzialna, ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział ją tak po prostu stojącą. Była w tej scenie jakaś

intymność.

Wyczuła jego spojrzenie - uznał, że to także element jej daru - i popatrzyła na niego.

- Chodźmy stąd - powiedział.

To ona zaproponowała miejsce.

☆

Gdy Erik aktywował wirusa Proteusz, pierwszymi jego ofiarami były trzy supernowoczesne myśliwce odrzutowe przelatujące nad Teslą. Dwie maszyny typu Wyvern zderzyły się w powietrzu i spadły na ziemię deszczem szczątków: pilotka trzeciej zdołała się katapultować. a jej samolot, koziółkując, wbił się w centralny gmach kompleksu biurowego, wyrwijąc dziurę wysoką na cztery kondygnacje i szeroką na czterdzieści metrów. Eksplodujący zbiornik z paliwem wywołał pożar, który pochłonął większość wyposażenia budynku, zanim został zdławiony przez automatyczny system gaśniczy. Ciała ofiar wkrótce zabrano, a wyrwę w zewnętrznej ścianie zasłonięto ogromną płachtą folii, która wydymała się jak balon przy mocniejszych podmuchach wiatru - poza tym w wypalonym wnętrzu niewiele się zmieniło.

Spojrzeni najpierw po sobie, a potem na poczerńiałe szczątki biurek i krzeseł oraz odłamki lustrzanych szyb lśniące w warstwie popiołu. Shannon przeszła ostrożnie przez pagórek gruzu i schyliła się, by podnieść metalową ramkę. Szkło było rozbite, a zdjęcie spłonęło.

- Wyobrażasz to sobie? Siedzisz za biurkiem, wykonujesz swoją robotę, a tu nagle przez okno wpada samolot?

- Tak jakby.

- Właśnie. - Shannon posłała mu zagadkowe spojrzenie. - Ja też.

Cooper ruszył w głąb zrujnowanego biura. W powietrzu wciąż unosił się smród spalonego plastiku. Przezroczysta płachta folii zmieniła świat zewnętrzny w mozaikę rozmazanych konturów podświetloną zachodzącym słońcem.

- Parę kilometrów stąd armia czeka w ciemności na sygnał do ataku. - Pokręcił głową. - Jak do tego doszło?

- Stopniowo, jak się wydaje - odrzekła cicho Shannon. -Po jednym kłamstwie.

- Ty i ten twój fetysz całej prawdy - westchnął Cooper. -Słyszę o

nim od pierwszej naszej rozmowy, w tym podłym hotelu, zaraz po akcji na peronie. Zachowałem się wtedy jak bohater, ratując ci życie...

- Zabawne, ale jakoś inaczej to zapamiętałam.
- Powiedziałaś wtedy coś jakby: „Może nie byłoby wojny, gdyby ludzie tacy jak ty przez cały czas nie powtarzali w telewizji. że jakaś się toczy”. - Cooper pokręcił głową. - No i proszę, co mamy.
- Tak. - Shannon upuściła na podłogę osmaloną ramkę i resztki szkła wypadły z brzękiem.

Z oddali dobiegi huk pierwszej wymiany ognia, jeszcze niezbyt intensywnej. Tej nocy będzie tego znacznie więcej. Westchnął i potarł dłonią twarz.

Moje dzieci są już w bunkrze. Pewnie umierają ze strachu.

Shannon jakimś sposobem znalazła się tuż przy nim. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Hej powiedziała. - Raz już je ocaliliśmy. I znowu to zrobimy.
- Zanim zdążył odpowiedzieć, zawibrował jego telefon. Cooper spojrzął na wyświetlacz.

- To Ethan.

Wyprostowała się natychmiast.

- Powinieneś odebrać.

Cooper skinął głową i wcisnął klawisz.

- Hej, doktoru, jesteś na głośnomówiącym.
- Ja... Czy...
- Jest ze mną tylko Shannon. Znaleźliście zaginione zbiorniki?
- Co? Nie, nawet nie zacząłem ich szukać.
- No, doktoru, to skup się na robocie, bo...
- Ty tu jesteś detektywem - przerwał mu Ethan. - Co mam zrobić, chodzić od drzwi do drzwi? Zamiast tego zająłem się wirusem od strony epidemiologicznej. Zmajstrowali kawał sukinsyna, Cooper, prawdziwego potwora. To zmodyfikowany wirus grypy, przenosi się kropelkowo, jest długowieczny i ma stałą reprodukcji infekcji szacowaną na ponad dwadzieścia. To oznacza, że każdy przypadek może się skończyć przeniesieniem choroby na kolejnych dwadzieścia osób. Jako że nie istnieje naprawdę skuteczna szczepionka przeciwko grypie, złapie ją praktycznie każdy.

Cooper skrzywił się lekko.

- Jak ciężki jest przebieg choroby?

- W ogóle nie jest ciężki, coś jak większy katar. To nie grypa jest problemem. Przejrzeliśmy notatki z badań, wyniki testów krwi i próbki tkanek, próbując ustalić, dlaczego umarł Abe. - Coś ścisnęło Ethana za gardło. - Cooper, to sprawka serum. Naszego dzieła. Zabiło go to, że stał się uzdolniony.

- Nie rozumiem...

- Abe zniknął, zanim przeprowadziliśmy porządne testy, i sam wstrzyknął sobie serum. To było szaleństwo, tak się nigdy nie robi, ale on miał paranoję na tym punkcie, był absolutnie pewny, że osiągnął sukces... Zresztą sam widziałeś, jak skuteczny to środek.

- I to on zabił Abe'a?

- Nie samo serum, tylko reakcja umysłu na jego podanie. -Ethan odetchnął głęboko. - Masz poziom pierwszy, prawda? Shannon pewnie też. I Epstein, i ten dupek Soren. Ale wy wszyscy posiadacie swoje dary od urodzenia. Dorastaliście z nimi. Ale spróbuj sobie wyobrazić, że nagle miałbyś zacząć postrzegać świat tak, jak widzi go Shannon. Oraz Epstein. Oraz Soren. I że stałoby się to jednocześnie, w ciągu zaledwie paru dni.

- Pewnie byłbym zdezorientowany, ale...

- Nie byłbyś zdezorientowany - przerwał Cooperowi Ethan. - Byłbyś zmiażdżony. Dobra, posłuchaj - dodał po krótkiej pauzie. - Wyobraź sobie, że urodziłeś się pod ziemią, w ciemnej jamie. Dorastałeś tam, poznając świat poprzez dotyk, słuch i węch, zupełnie nieświadomy, że w ogóle istnieje coś takiego jak wzrok. I że żyłeś w taki sposób przez sześćdziesiąt lat. Nagle osuwa się ziemia i do jamy wpada światło. Nie miałbyś bladego pojęcia, co się właściwie dzieje. I to całkiem dosłownie: twój mózg nie wykształcił przecież połączeń neuronowych potrzebnych do przetwarzania obrazu. Nie miałbyś pojęcia o skali, ruchu, nawet o kolorze. Nie wiedziałbyś, czy obiekt, który widzisz, to twoja żona czy może głaz, który zaraz cię zmiażdży.

- Rozumiem, ale...

- A teraz wyobraź sobie, że zyskałeś nie tylko wzrok, ale także słuch, dotyk i smak, wszystko naraz! - ciągnął Ethan. -Na miłość boską,

przecież Soren nawet czas postrzega inaczej.

Cooper otworzył usta i zaraz je zamknął.

- Dobra - rzekł po chwili. - Powiadasz zatem, że serum może spowodować śmierć?

- Powiadam, że Abe wydrapał sobie oczy, żeby przestać widzieć, a także drapał klatkę tak długo, aż zdarł palce do kości. A był to człowiek wybitnego intelektu, który doskonale wiedział, co się z nim dzieje. Ludzki umysł nie jest w stanie przetrwać tak radykalnej zmiany. Zwyczajnie brak mu neurologicznej elastyczności. Nie wtedy, kiedy jest już w pełni ukształtowany.

- Czyli kiedy?

- Płat czołowy przestaje się formować mniej więcej w dwudziestym piątym roku życia. - Ethan umilkł na chwilę. - Mam zgadywać? Przemiana dla nikogo nie będzie łatwa. Dzieciakom nic się nie stanie, nastolatkom też raczej nic, a niektórzy ludzie po dwudziestce będą mieli spore szanse. Co się zaś tyczy starszych... Nie wiem. Sądzę, że odsetek tych, którzy przetrwaliby przemianę, byłby jednocyfrowy. A wśród objawów okresu przejściowego czekałyby ich takie atrakcje, jak dezorientacja, panika, delirium, niekontrolowane napady szału, mordercze skłonności...

- A wszystko to u człowieka, który staje się jednym z najpotężniejszych obdarzonych w dziejach ludzkości - dopowiedziała Shannon. - Jezu Chryste.

Podmuch wiatru szarpnął foliową płachtą. Świat za jej krzywizną zaczynał tracić ostrość. W grudniu słońce zachodzi nad stanem Wyoming zadziwiająco szybko. Odkąd zaczęli rozmawiać, niebo znacznie pociemniało.

- Musicie temu zapobiec - powiedział Ethan. - Nie wiem jak. Jakoś. Proszę. Moja córka...

Cooper przerwał połączenie. Przez chwilę miał wielką ochotę cisnąć go przez tę pieprzoną dziurę w ścianie.

- On ma rację - powiedziała Shannon. - Musimy temu zapobiec.

- Wiem.

- Daliśmy się odciągnąć od misji. Milicja, ratowanie dzieci, przygotowania do wojny. Straciliśmy piłkę z oczu.

- Tak działa John Smith. - Cooper poczuł nagle owo mrowienie, które nauczył się interpretować jako przejaw swojego daru pracującego na najwyższych obrotach, szukającego wzorców, zbliżającego się do odpowiedzi. - To nie wypadek, nie zbieg okoliczności. On to zaplanował; to się miało wydarzyć jednocześnie.

- Skarbie, popadasz w paranoję.

- Nie, to prawda. Nawet nam o tym powiedział, nie pamiętasz? „Zabić mnie to nie to samo, co pokonać”. Całe życie ścigam Smitha. - Cooper pokręcił głową. - Powinienem był zauważyć, że zbyt łatwo nam poszło. Może i zginął, ale nadal próbuje zwyciężyć.

- Jakim cudem mógł przewidzieć atak?

- Nie mógł. - Mozaika połączeń między faktami zaczęła układać się w całość. Cooper czuł, że prawda unosi się gdzieś blisko, ale jeszcze poza zasięgiem, jak piłka plażowa w basenie. *Naprzesz zbyt mocno, to ucieknie. Idź za logiką, niech cię wciągnie następstwo zdarzeń.* — Nie przewidział go. On go sprowokował.

- To szaleństwo. Zabójstwa, zamachy bombowe, organizacja, giełda papierów wartościowych. Dzieci Darwina, chcesz powiedzieć, że to wszystko miało sprowokować atak na Redutę w odpowiednim momencie, żeby odwrócić naszą uwagę?

- Może nie chodziło konkretnie o nas. Ale tak. mniej więcej takie Smith miał zamiary.

Shannon jeszcze dyskutowała, ale widział już, że zaczyna się zastanawiać, że dokonuje ponownej oceny własnej przeszłości w świetle nowych informacji.

- Gdy widziałam Johna po raz ostatni, nie mówię o dzisiejszym spotkaniu, oskarżyłam go o to, że pragnie wojny. Odpowiedział, że mam rację. Że normalny świat zaatakuje i to będzie jego zguba. Mówił, że nie ma znaczenia, ile krwi się przeleje, jeżeli będzie to ich krew. nie nasza.

- Co doskonale pasuje do akcji z wirusem - ocenił Cooper. - Tylko normalni zachorują. Zginą wszyscy powyżej dwudziestego piątego roku życia, a to oznacza praktycznie całą strukturę władzy. A wszyscy, którzy przetrwają, będą uzdolnieni.

- Eleganckie rozwiązanie - stwierdziła Shannon - ale ryzykowne. Istnieje sporo zabezpieczeń przed atakami biologicznymi.

- Tak - mruknął Cooper i w tej samej chwili dostrzegł kolejny wzorzec. - Ale pamiętaj, że to tylko grypa. Co roku chorują na nią miliony ludzi i nikt nie panikuje z tego powodu. W dodatku ten szczep jest na pozór łagodny; niebezpiecznym czyni go jedynie serum Ethana, a nikt nawet nie wie, że należy go szukać. Do diabła, nikt nawet nie wie o jego istnieniu. Poza tym zabezpieczenia przed atakami biologicznymi powstały z myślą o świecie, który funkcjonuje. My zaś mamy w tym roku już trzeciego prezydenta, na Manhattanie dochodzi do linczów, a kraj ogarnia wojna domowa. Rząd zdążył już fatalnie zagrać kartą kwarantanny przeciwko Dzieciom Darwina. Cleveland płonie do dziś, jeśli się nie mylę. A wszystko to zostało zaplanowane, a przynajmniej sprowokowane przez Johna Smitha. Nie wspominając o dzisiejszych atakach... -Cooper zamarł. - Psiakrew. Dzisiejsze ataki.

Shannon zamyśliła się na moment, a gdy zrozumiała, krew odpłynęła z jej twarzy.

- CDC w Atlancie. Jeżeli było w tym kraju miejsce, w którym ktoś mógłby zrozumieć, czym naprawdę jest ten wirus, to właśnie Centrala Kontroli i Prewencji Chorób. I dlatego kazał ją spalić. To był prawdziwy cel całej akcji. Reszta to tylko zasłona dymna.

- Nawet bomba w siedzibie DAR, która zabiła moich najlepszych przyjaciół i tysiąc innych ludzi.

- Wszystko, co zrobiliśmy w ostatnich dziesięciu latach; wszystko, co jego zdaniem było walką o równość. To wszystko było zagrywką Johna, obliczoną na zepchnięcie świata w ciemność na tyle, by osłabia jego obrona. - Shannon umilkła. - Mimo to... Nawet jeśli uwolni wirusa w jakimś mieście czy w kilku miastach. Nawet jeśli umrą miliony ludzi. Choroba nie będzie się przecież rozprzestrzeniać dostatecznie szybko, dostatecznie daleko.

Tak, to było to. Nagle Cooper dostrzegł cały wzorzec w postępowaniu Johna Smitha, jakby ktoś zerwał kurtyny odcinając światło.

Ależ doskonała, krystalicznie czysta musiała być jego wizja.

Te szczegóły. Lata pracy nad najbardziej złożonym układem kostek domina w dziejach świata.

I przerażająca, surowa dyscyplina.

-Wirus nie rozprzestrzeni się w jakimś przypadkowym mieście — rzekł wolno.

Shannon patrzyła na niego, a on pozwalał jej wnioskować samodzielnie, sprawdzać jego tok myślenia.

- Uważasz, że skażenie dokona się tutaj - powiedziała wreszcie. - Że ofiarami będą Nowi Synowie Wolności. A to dlatego, że wszyscy oni są normalni, czyli narażeni. Ale John nie mógł przyjąć założenia, że zwyciężą.

- Nie ma znaczenia, kto zwycięży. Jeżeli milicja spali Tesłę do gołej ziemi, wojna będzie skończona. Ochotnicy rozproszą się po całym kraju, podobnie jak uchodźcy z Tesli, z których wielu jest przecież normalnych. A jeśli milicja przegra...

- Wydarzy się dokładnie to samo - uzupełniła Shannon. -Tysiące ocalałych w podskokach wrócą do domu. Na Boga. John sprowokował atak, całą wojnę, żeby to osiągnąć: dotrzeć z epidemią do wszystkich zakątków kraju.

- Świata - sprostował Cooper. - Nawet jeśli ten plan nie zadziała idealnie, ale wirus rozprzestrzenia się tak łatwo, jak twierdzi Ethan, to ilu ludzi zginie? Setki milionów? Miliardy?

- Trzeba zawiadomić panią prezydent.

- I co jej powiemy? - Cooper wzruszył ramionami. - Załóżmy, że jakoś ją przekonamy do swojej teorii, a ona rzuci do walki marines. To przecież normalni, staną się dodatkowymi nosicielami, po myśli Smitha. Jest tylko jeden sposób na to, żeby temu zapobiec: nie możemy dopuścić do uwolnienia wirusa.

- Ale jak? Nie mamy nawet pojęcia gdzie został ukryty, a szturm milicji zacznie się lada chwila.

- Nie wiem - odparł, chwytając Shannon za rękę.- Ale musimy coś wymyślić, i to szybko.

- To nie moja specjalność, Nick.

- Teraz tak. Wszystko spoczywa na naszych barkach, czy nam się to podoba czy nie.

Cofnęła się o krok, odwróciła i z rozmachem kopnęła poczerńiałe biurko. Nóżki pękły i mebel opadł w chmurze popiołu.

- Dobra - zgrzytnęła zębami. - Skoro zamierza zakazić Nowych

Synów, zbiorniki muszą się znajdować tu, w Tesli.

- Smith nie żyje; to sprzyjająca okoliczność.
- Zgadza się. On zaś musiał to przewidzieć i zaplanować coś tak, żeby mogło się odbyć bez jego udziału.

- Nie coś — odparł Cooper. - Nie sądzę, żeby powodzenie tak skomplikowanego planu miało zależeć od jakiegoś urządzenia zegarowego. To musi być człowiek. Ktoś, na kim Smith całkowicie polegał, nawet po śmierci. Ostatnia deska ratunku.

- Ktoś, kto byłby zdolny do takiego czynu. Kto obojętnie patrzyłby na tę katastrofę, na śmierć milionów albo miliardów.

- Znasz tych ludzi lepiej niż ja - powiedział Cooper. - Do kogo pasuje taka charakterystyka?

- Jezu, nie wiem. Do Sorena, ale on jest...

Przez sekundę patrzyli sobie w oczy.

A potem Cooper puścił się sprintem ku klatce schodowej. Shannon podążyła za nim, stąpając lżej, ale równie szybko. Skokami pokonywali ciągi stopni, a numery pięter migwały im przed oczami. Cooper sunął dłonią po poręczy, czując ból w kostkach i kolanach przy każdym skoku. Z mocno bijącym sercem i modlitwą w duszy powtarzał bezgłośnie: *Proszę, proszę tylko o ten ostatni okrucz szczęścia; mam nadzieję, że nie proszę o zbyt wiele.*

Zbiegli na drugi poziom podziemia i szarpnięciem otworzyli drzwi.

U ich stóp leżały zwłoki.

I jeszcze jedno, dalej w korytarzu.

W pokoju kontrolnym przylegającym do celi więziennej siedział w fotelu Rickard, programista, który wcielił się w rolę wirtualnego oprawcy. Otaczała go karmazynowa kałuża, a lampa świecąca pod sufitem odbijała się w niej jak księżyc w pełni. Rickard miał poderżnięte gardło. Ktoś wyszarpnął mu język na zewnątrz przez rozciętą skórę.

Cela Sorena była otwarta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Luke Hammond położył dłoń na raketnicy i zerknął na tarczę pożyczonego zegarka.

17.57.

Zegarek był mechaniczny, a dzięki temu odporny na działanie impulsu elektromagnetycznego. Godzinę wcześniej Hammond zsynchronizował go z tuzinem innych zegarków. Teraz tuzin mężczyzn z tuzinem raketnic czekało, odliczając sekundy.

Miał za sobą parę ciężkich dni, ale nie czuł zmęczenia. A raczej miał wrażenie, że jego zmęczenie należy do kogoś innego. Przypuszczał, że to po części kwestia doświadczenia - został wszak wojownikiem jako młody chłopak i to wojna uczyniła z niego mężczyznę; wojna oraz ojcostwo - a po części kwestia szlachetności celu. Widział czystą determinację w oczach ludzi, którzy go otaczali. Widział ją, gdy jedli zimną zupę z puszki, gdy bez końca sprawdzali gotowość broni, gdy zbierali się w małe grupki i nerwowo dowcipkowali.

Byli gotowi. Może i wyruszyli w drogę jako zbieranina trudnych, boleśnie doświadczonych ludzi, którzy ponieśli straty niemożliwe do odrobienia. Lecz w ciągu ostatniego tygodnia stali się jeśli nie prawdziwą armią, to przynajmniej sprawną drużyną. Zjednoczyły ich strata, ból oraz cel.

Od zachodu słońca minęło pół godziny i ciemność zapadła nad miastem, jakby ktoś zarzucił na nie koc. Powietrze było zimne, ale pachniało ogniem. Otaczając Teslę, Nowi Synowie Wolności obserwowali z daleka mieszkańców miasta, meto-dycznie palących niskie zabudowania, by nie stały się kryjówką dla wroga. W kilku miejscach ruiny jeszcze się tliły; płomienie zamieniły się w żar i tylko dym unosił się wciąż ku niebu. Luke wiedział, że tej nocy zobaczy więcej ognia, więcej dymu - tyle, że przesłoni wszystkie gwiazdy.

17.58.

Luke nabrał powietrza w płuca i wypuścił je bardzo wolno. Jego ciało było rozluźnione i gotowe, a w piersi kielkowało już uczucie, które wkrótce miało rozkwitnąć. Zastanawiał się, czy jego synowie zdążyli je

poznać, i doszedł do wniosku, że tak. na pewno tak. Josh i Zack byli wojownikami. Jakże groźnie prezentowali się w swych mundurach; jak bardzo był z nich dumny. Nigdy nie nakłaniał ich do służby wojskowej - sami zrozumieli, czego tak naprawdę bronił ich ojciec. Podzielali jego poglądy.

Uniósł lornetkę do oczu, by zlustrować swoją armię. Gdy udało się przejść Pierścień Voglera, Nowi Synowie Wolności podzielili się - Miller objął dowództwo jednego skrzydła, a Luke drugiego. Szeregi twardej żółnierzy ciągnęły się po horyzont, podzielone na pięćdziesięcio- i stuosobowe grupy. Ich ubrania były brudne, a twarze zarośnięte, za to ich broń lśniła. Luke zastanawiał się, co czują nienormalni, widząc, że milicja zamyka ich miasto w kleszczach. I czy rozumieją, co to oznacza.

Gdyby to była tradycyjna bitwa, toczona w celu zdobycia miasta, armia skoncentrowałaby siły w kilku kluczowych miejscach i pozwoliła nieprzyjacielowi uciec. *Ale my nie przyszliśmy tu, żeby zająć jakiś punkt na mapie. Jesteśmy tu po to, żeby go usunąć jak nowotwór.* Brutalna operacja, ale niezbędna, by ocalić resztę ciała. Nazajutrz słońce wstanie nad krajem, który już nie będzie musiał się bać terrorystów wyhodowanych na własnej piersi. Nazajutrz rozpocznie się rekonwalescencja.

Ale najpierw, tej nocy, trzeba ciąć.

17.59.

Skierował lornetkę w stronę miasta. Za pasem dymiących ruin wznosiły się umiarkowanie wysokie wieżowce. Główne ulice zabarykadowano samochodami osobowymi i ciężarówkami, a także przewróconymi autobusami i stertami palet. Snopy światła z reflektorów tańczyły po ziemi, bez końca szukając intruzów. Właśnie szperacze miały się stać pierwszym celem snajperów. Tak, to zdecydowanie był jeden z największych plusów dowodzenia armią miłośników broni: przywieźli ze sobą imponującą ilość sprzętu. Może nie cierpieli na nadmiar amunicji do broni długiej, ale z pewnością mieli jej dostatecznie dużo, by zapewnić sobie mrok na polu walki.

Nadejdziemy z ciemności, przynosząc ogień.

Obrońcy wykorzystywali teren jak mogli. W oknach większości budynków widział kobiety i mężczyzn, najwyraźniej mocno wystraszonych. Należało uderzyć szybko i mocno, zmiażdżyć resztki ich pewności siebie, zmusić ich do panicznej ucieczki. Nowi Synowie musieli tylko wdrzeć się do miasta, wtedy bowiem musiał nastać chaos, a cywile nie najlepiej radzą sobie z chaosem.

Luke zatrzymał wzrok na kręgu ośmiu niewysokich budynków, nad którymi górowało świetliste logo firmy. Pomiedzy nimi znajdował się mały park, w którym zapewne pracownicy mogli się relaksować w porze lunchu. W dniu, w którym zginęli jego synowie, pewnie pełno tam było nienormalnych, gapiących się w niebo. Joshua wykonywał lot patrolowy w chwili, gdy Epstein aktywował wirusa. Zdjęcia ukazujące to, w jaki sposób jego syn został zamordowany, pokazywano później tysiąc razy. Myśliwiec Wyvern zmienił się w pikujący latawiec. Na krótką chwilę jakby zawisł w powietrzu, a potem zderzył się ze skrzydłowym. Obie maszyny stanęły w płomieniach.

Czy nienormalni zgromadzeni w tym parczku wiwatowali na ten widok? Czy wyli triumfalnie, pokazując sobie palcami jego syna, który płonął, spadał z nieba?

Luke przyglądał się gmachom i ludziom widocznym w oknach. Mężczyzna po pięćdziesiątce, dawniej przystojny. Dziewczyna głaszcząca psa. Czarna kobieta o kościach policzkowych godnych królowej. Drobna brunetka z włosami upiętymi w kitkę, z karabinem w dłoni. Na szczycie jednego z budynków umieszczono stylizowany globus, logo firmy uplecione ze świetlistych linii. Fioletowa kometa krążyła dokoła po nierównej orbicie.

Właśnie tam zamierzali uderzyć. Wspinając się na barykady, byliby zbyt odkryci. Ulice z kolei zmusiłyby ich do utworzenia wąskiej formacji, narażonej na ostrzał ze wszystkich stron. Bezpośredni atak wydawał się najlepszą opcją. Wdrzeć się do kompleksu budynków. Zabić każdego, kto stanie im na drodze. Po wszystkim podpalić gmachy.

Spojrzał na zegarek. Sekundnik drgnął raz, drugi, trzeci. Wreszcie przesunęła się i wskazówka minutowa.

18.00.

Luke oderwał lornetkę od oczu i uniósł raketnicę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Soren drżał.

W jego głowie wirowały najdziksze myśli.

Prześladowała go wizja Samantha z jednym okiem zwisającym na wiązce nerwów, z twarzą do połowy obdartą ze skóry, wrzeszczącą w knebel na widok oprawcy, który znowu się nad nią pochylał...

Wreszcie zawołał go jakiś głos, wyrwał ze snu. Brzmiał jak głos Johna, lecz Soren nie chciał go słuchać. Gdyby się obudził, przypomniałby sobie. Przypomniałby sobie, co zrobili z jego ukochaną, z jego białoskórą, doskonałą wybranką, która pragnęła tylko tego, by ktoś jej pragnął.

Lecz to właśnie myśl o niej, o tym, co jej uczyniono, wyrwała go ze stanu nieświadomości. Jakim cudem w ogóle udało mu się zasnąć? Chciał stracić przytomność, gdy ją torturowali, chciał umrzeć, ale nie mógł. Jakim więc sposobem zwyczajnie zasnął po tym wszystkim, co zobaczył, co wyczyniali z jej ciałem tu, w jego celi, po tym, jak widział st rumienie jej krwi szybujące wolniutko...

Nie było krwi. Ani na podłodze, ani na ścianie.

Nie było ani kaftana bezpieczeństwa, ani łańcucha.

Żadnych siniaków na ramionach, żadnych śladów po paznokciach mimowolnie rozrywających skórę.

W tym momencie zrozumiał. Oszukali go. Nie skrzywdzili Samantha; to wszystko rozegrało się jedynie w jego głowie, w wirtualnym piekle skonstruowanym przez Coopera. Poczucie ulgi zalało go jak fala ciepłej wody. Samantha była cała i zdrowa. Nie zniszczyli jej, nie cierpiała, tak naprawdę w ogóle jej tu nie było. To był tylko program komputerowy, sztuczny twór, podobnie jak ów rzymski chór. Nic z tego nie było prawdą...

Oprócz tego, że zdradził Johna.

Przyjemne ciepło zamieniło się w jednej chwili w lodowaty chłód. To był jego najdawniejszy przyjaciel. Ten, który jako młody chłopak ocalił go w Akademii Hawkesdown, który przyniósł mu jedyną ulgę w całym życiu, który dostrzegł jego mękę, gdy nikt inny się nią nie

interesował, który wyciągnął do niego rękę i pomógł. A teraz Soren go zawiódł.

Nie, nie zawiódł. Zdradził.

John znowu przemówił. Tu, w celi, choć było to niemożliwe.

- Soren, mój przyjacielu.

A potem:

- Szykuj się. Uwolnij się.

I jeszcze:

- A potem szukaj wiadomości odemnie.

Soren powstał ze stalowej pryczy, na której leżał. Ani śladu przyjaciela. Oczywiście. Głośniki, interkom. John musiał przejąć kontrolę nad systemem. Miał zdolnych hakerów. Jego ruch wprowadził swoich ludzi wszędzie, nawet do organizacji Epsteina.

Soren przeciągnął się i strzelił kostkami palców. Chwilę później drzwi celi otworzyły się same.

Sąsiednie pomieszczenie miało kształt ośmiokąta. Obok drzwi w każdej ze ścian ulokowano konsole sterujące. Przy jednej z nich siedział oprawca. Rickard. Otworzył usta w zdumieniu i zaczął wstawać z fotela. Wolno. Jakże wolno.

Soren przemknął przez pokój jak bóg zemsty. Jeden cios w splot nerwowy wystarczył, by oprawca osunął się z powrotem na siedzisko.

Gardło Rickarda było słone od potu, gdy Soren zacisnął na nim zęby i otworzył mocnym szarpnięciem.

Krew bryznęła mu na twarz i poczuł na języku jej miedziany smak. Sięgnął palcami w głąb rany i szarpnął raz jeszcze, by wywlec na zewnątrz strzęp ciała.

Ale to nie wystarczyło.

Oprawca to za mało. I strażnicy w sąsiednich pokojach. Wszystkiego będzie za mało. Nawet gdyby rozerwał świat na części, byłby to ledwie początek.

Drżąc na całym ciele, Soren przysiadł na ławce. Spojrzał na swoje dłonie, pokryte gęstniejącą krwią.

- Coś się panu stało? - Nastolatka z karabinem w dłoniach i plecakiem na ramionach stanęła przed nim i sądząc po grymasie, który wykrzywił jej usta, spoglądała na niego z troską. Soren wstał, ujął w

dłonie jej głowę i skręcił jej kark. Ciało zwiotczało w ułamku sekundy. Jakie kruche to życie. Wystarczy niewiele więcej niż odrobina woli, żeby je przerwać.

W tym momencie przypomniał sobie ostatnie słowa Johna. *Poszukaj wiadomości ode mnie.*

Poświęcił dziesięć swoich sekund, by się zastanowić. Potem przewrócił zwłoki na brzuch i sięgnął do plecaka. Woda, latarka, kurtka, nóż myśliwski, tablet. Tak. Posadził dziewczynę na ławce; była ciężka i ciepła, cuchnęła moczem. Usiadł obok niej, pozwalając, by jej głowa opadła nisko na piersi, po czym odcisnął jej kciuk na czytniku, by uruchomić tablet.

Wiadomość znalazł w prywatnej skrzynce pocztowej, założonej przed laty i nigdy nieużywanej. Kilka plików i materiał wideo.

Z głośnika urządzenia popłynął głos Johna.

- Przyjacielu, wybaczniezbytoryginalnytekst, alejeślimniewidzisztoznaczy, żejuźnieżyję.

Z piersi Sorena wyrwał się jęk. Przed oczami miał chłopięcy uśmiech Johna sprzed lat. Ten czar, to była jego broń, której używał przeciwko wrogom. Lecz dla przyjaciół uśmiech Johna był autentycznym, cennym darem. Soren był dumny, że dane mu było go przyjmować.

Lecz na ekranie jego martwy przyjaciel już się nie uśmiechał.

- Przykromi, zemuszęcięotoprosić - mówił.

A potem:

- Jesteśmojąostatniąnadzieją. Przeczytajtedokumenty.

I jeszcze:

- Potrzebujętwojejpomocy. Pomożeszmi?

Zdradziłem cię, John.

Jeżeli nie żyjesz, to z mojej winy.

Zrobią absolutnie wszystko.

W oddali zapłonęła flara i łukiem przecięła wieczorne niebo. A potem kolejna i jeszcze jedna. Jak fajerwerki. Jak dusza jego przyjaciela, olśniewająco jasna i nareszcie wolna.

Siedząc na ławce pod niebem usmarowanym gwiazdami, z martwą dziewczyną przytuloną doń jak kochanka, Soren przeczytał ostatnią wolę

przyjaciela, którego zamordował.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Natalie patrzyła, jak flara wycina czerwoną szramę na nocnym niebie. Płomień wznosił się łukiem coraz wyżej i wyżej; pochłaniał sam siebie.

Poczuła nagle i mocne parcie na pęcherz. Co tu właściwie robiła? Była prawniczką, matką, nie żołnierzem. Nie walczyła z nikim, odkąd w drugiej klasie Molly McCormick zabrała jej ciastko; skończyły wtedy dysputę, tarzając się po podłodze i szarpiąc za włosy.

W oddali błysnęła biała iskra, a sekundę lub dwie później rozległ się huk. Wystrzał z karabinu. Ktoś do nich mierzył. Kolejna iskra zapaliła się w tym samym miejscu, lecz tym razem, nim dźwięk dobiegł do jej uszu, coś trzasnęło, jakby korek od szampana uderzył w beton. Świat na zewnątrz nagle pociemniał.

Strzelają do reflektorów.

W mroku Nowi Synowie Wolności podchodzili coraz bliżej miasta. Trudno to było ocenić, ale zgadywała, że od miejsca, w którym widziała rozbłyski, dzieliło ją mniej niż kilometr. I właśnie dlatego wiedziała, że należy się bać: jako była żona żołnierza miała pojęcie o tym, jakiej broni i jakich umiejętności potrzeba, by celnie strzelać z takiej odległości.

Kolejny błysk i kolejny rozbity reflektor. Natalie odłożyła broń i wytarła dłonie o nogawki dżinsów, oddychając szybko i płytko. Przyszło jej na myśl, że powinna być przyzwyczajona do strachu. Jako dziewczyna była bardzo śmiała, ale odkąd została matką, niepokój towarzyszył jej nieustannie, jak ciągły, półświadomy szum w uszach. Martwiła się, że kaszel może być początkiem zapalenia opon mózgowych, że upadek ze schodów niechybnie oznacza skręcony kark. Potem jej niepokój budziło to, że Kate może być uzdolniona, a gdy to się potwierdziło - że może jej zostać odebrana, posłana do akademii. Bała się też, że Nick z czasem przestanie być ostrożny i pewnego dnia na ganku ich domu stanie Bobby Quinn z bólem w oczach.

Gdy Nick rozpoczął swoją misję incognito, obawy zmieniły się w jawny strach, którym naznaczona była każda chwila jej życia czasem był jak ćmiący ból głowy, a czasem rwał jak otwarta rana. Nie, niezupełnie

wtedy: przecież nie ustał, gdy Nick powrócił. Została porwana wraz z dziećmi. Razem patrzyli na płonące miasta. Widziała, jak zabójca atakuje Todda; jak waży się życie jej syna podczas wielogodzinnej operacji. I trzymała w ramionach Nicka, gdy wykrwawiał się na śmierć na podłodze restauracji.

Nie, strach nie był jej obcy. Ale to? To było coś nowego.

Dlaczego? Tak bardzo boisz się śmierci?

Nie uważała tak.

Jasne, nie chciała umrzeć, ale śmierć była jedynie końcem imprezy, na dodatek absolutnie nieuchronnym. Zatem nie, nie bała się o siebie.

Chodziło o nich. O Todda i Kate. Tak naprawdę nie bała się śmierci; bała się, że ich zawiedzie.

Gdy to sobie uświadomiła, poczuła różnicę. Zmusiła się do pierwszego głębokiego oddechu, a potem do kolejnego. Uniosła dłonie na wysokość twarzy i po chwili siłą woli sprawiła, że jej palce przestały drżeć.

Wreszcie sięgnęła po karabin, przełączyła bezpiecznik i wyjrzała przez okno.

Szperacze gasły jeden po drugim. Z każdym strzałem ciemność podpełzała nieco bliżej, aż w końcu jedynymi źródłami światła pozostały jarzący się glob oraz dogasające zgliszcza budynków. Po chwili wzrok Natalie przywykł do mroku na tyle, że zaczęła dostrzegać kształty.

Niektóre z nich były w ruchu.

Wykorzystaj strach.

- Jolene.

Kilka metrów dalej, oparta plecami o ciężką szafę z aktami, siedziała kobieta, której kości policzkowe sprawiały, że jej oczy wydawały się jeszcze większe, niż naprawdę były. Natalie wskazała na logo firmy i palcem nakreśliła w powietrzu krąg symbolizujący orbitę fioletowego światła. Przez chwilę Jolene tylko patrzyła, ale w końcu zrozumiała. Skinęła głową, przycisnęła karabin do ramienia i wymierzyła w stronę okna.

Natalie wpatrywała się w noc. Przez chwilę sama nie wiedziała, czy widzi sylwetki przesuwające się w mroku, czy to ciemne plamki wirują jej przed oczami. Przypomniała sobie ćwiczenia z jogi - kilka razy

odetchnęła głęboko przez nos, wypuszczając powietrze ustami. I czekała, z bronią opartą o kant szafy i luźnym palcem na spuście, czując na przedramieniu dotyk chłodnego metalu.

Purpurowa gwiazda zatoczyła krąg wokół globu i zalała świat swoim blaskiem, wyłuskując z mroku przedpole, a na nim, w odległości może trzydziestu metrów, mężczyzn skradających się wzdłuż ściany sąsiedniego budynku.

Patrzyła na nich ponad lufą karabinu, próbując naprowadzić celownik na najbliższego z nich. Świetliste kropki tańczyły i podskakiwały w rytmie jej serca i oddechu. Mężczyzna szedł nisko pochylony, z bronią w rękach. Nabrała powietrza i wypuściła je powoli.

Nacisnęła spust.

Huk wystrzału był jak kłaśnięcie Boga. Zadzwonilo jej w uszach, a rozbłysk na moment odebrał jej wzrok.

Lecz wcześniej zobaczyła, że mężczyzna pada.

Z ulicy odpowiedziała jej istna kanonada. Rozległ się huk tłuczonego szkła; jedna z kul zawyła rykoszetem. Natalie wycelowwała w stronę błysków i znowu nacisnęła spust. Jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

- Mam go powiedziała Shannon. spoglądając na tablet.

Cooper skinął głową, wpatrzony w drogę. Ostatnią rzeczą, na którą mogli sobie teraz pozwolić, był wypadek. Na jezdni niewiele było samochodów, ale nikt już nie zwracał uwagi na sygnalizację świetlną czy ograniczenia prędkości. Co więcej, wszystkie budynki były zaciemnione, choć w kilku oknach dało się dostrzec dyskretny ruch. Wróg jeszcze tu nie dotarł, za to echa wystrzałów dobiegały ze wszystkich stron, jakby znaleźli się nagle w oku cyklonu. Epstein skoncentrował obrońców na skraju Tesli, ale tak naprawdę nikt nie wierzył w to, że zdołają powstrzymać milicję. Każdy kwartał miasta miał się stać polem bitwy.

- Gdzie jest?

Na przedmieściu. - Palce Shannon zatańczyły na ekranie. - Wygląda na to, że przekroczył linię.

Dwadzieścia minut wcześniej, w sterowni bloku więziennego. Cooper stanął w kałuży krwi, by dotknąć czoła Rickarda. Było jeszcze ciepło. To oznaczało, że Soren uwolnił się ledwie kilka chwil wcześniej, być może w czasie, gdy Cooper i Shannon stali w ruinach jednego z górnych pięter gmachu, rozszyfrowując plan Johna Smitha.

Martwy geniusz nadal wodził ich za nos.

Zostawiając za sobą krwawe odciski stóp, pobiegli prosto do sanktuarium Epsteina. Erik stał pośrodku sali, otoczony ze wszystkich stron holograficznymi obrazami. Transmisja wideo pozwalała mu śledzić rozwój sytuacji na wszystkich peryferiach Tesli jednocześnie; taki widok miałby zapewne anioł unoszący się tuż nad gmachem Epstein Industries. Nieco wyżej, ponad scenami z ulic, projektory wyświetlały obraz z kamer dronów krążących wysoko ponad miastem. Komputer starał się w czasie rzeczywistym scalać wszystkie transmisje, ale materiał wideo ze stu źródeł nie mógł być idealnie spasowany i w rezultacie powstała fasetkowa kopuła hologramów, budząca skojarzenia ze światem widzianym oczami insekta. Niemal w każdym zakątku przedmieść widać było rozbłyski strzałów: Nowi Synowie Wolności atakowali ze wszystkich stron jednocześnie. Erik mówił szybko i monotonicznie,

wydając rozkazy komputerowi i swoim dowódcom. Jakob przysłuchiwał się strumieniowi słów, przechadzając się w tę i z powrotem i nerwowo przeczesując palcami włosy. Millie siedziała na krześle z podwiniętymi nogami, które oplotła rękami.

- Soren uciekł - oznajmił Cooper, gdy nabrał przekonania, że Erik nie zamierza rzucić choćby jednego słowa na powitanie.

- Jesteśmy trochę zajęci - odparł -Jacob.

- Uwierz mi, to was zainteresuje.

- Cooper, w tej chwili nie zaufałbym ci nawet na tyle, żebyś mi podtarł...

- Jakob - wtrąciła Millie. - To ważne.

Spojrzał na nią z ukosa, westchnął i skinął głową.

- Mów szybko.

Cooper usłuchał, a kiedy kończył opowieść, nawet Erik przerwał swój monolog, by słyszeć. Bracia spojrzeli po sobie, po czym uzdolniony powrócił do przerwanej zajęcia, a normalny przemówił.

- Nie jestem pewny, co waszym zdaniem mielibyśmy zrobić w tej sprawie.

- Trzeba go powstrzymać. Jeżeli Soren zdoła zakazić milicję tym wirusem, nic już nie będzie miało znaczenia.

- Mieszkańcy tego miasta mogą być innego zdania.

- Jakob...

- Cooper, spójrz na te obrazy - przerwał mu Epstein. -Wystawiamy gospodynie domowe przeciwko żołnierzom. Nowi Synowie mają więcej ludzi niż my karabinów. Gdybym nie przekonał Erika, żeby wyłączył Pierścień Voglera. milicja nadal stałaby o wiele kilometrów stąd. a my nie martwilibyśmy się o możliwość epidemii. Jeśli więc sądzisz, że teraz porzucimy myśl o obronie, żeby uganiać się za Sorenem. to chyba śnisz.

- Shannon i ja zajmiemy się nim, ale potrzebna nam wasza pomoc, jeśli mamy go znaleźć. Gdyby Erik przeprowadził wyszukiwanie wideo...

- Nie musimy.

- Możliwe, że zginą setki milionów ludzi...

- Nie musimy go szukać - dokończył Jakob - bo wystarczy, że

skorzystacie z naprowadzacza. - Umilkł, delektując się wyrazem twarzy Coopera. - Gdy tylko Soren do nas trafił, wszczepiliśmy mu pod skórę nadajnik. To niesłychanie niebezpieczny człowiek, a na dodatek najlepszy przyjaciel Johna Smitha. Miałeś nas za skończonych dupków?

Nareszcie coś idzie po naszej myśli.

- Jakob, w tym momencie mam ochotę cię pocałować.
- Cieszę się, że jesteś zadowolony. - Epstein wyrecytował kod dostępu. - A teraz po prostu jedźcie po niego.
- Robi się. - Cooper odwrócił się. ruszył w stronę drzwi i przystanął po paru krokach. - Jeszcze jedno.

Pomysł ten zaświtał mu w głowie podczas rozmowy z Shannon, a konkretnie w chwili, gdy wspomniała, że świat został zbudowany stopniowo, po jednym kłamstwie. Wtedy jednak zadzwonił Ethan i Cooper schował sobie tę myśl na później. *I sądząc po tym, jak się sprawy mają, tam już pozostanie.* Na wszelki wypadek powiedział Jacobowi, czego będzie potrzebował, gdyby akcja przebiegła zgodnie z planem.

- Możecie to zrobić? No wiesz, w sensie technicznym.
- Chyba tak. - Jacob spojrzał na brata. - Wcześniej próbowaliśmy porozmawiać z sekretarzem obrony, może i to warto dołączyć - zasugerował i umilkł. - Ciekawy pomysł, Cooper. Może wdrożymy go już teraz?

- Nie zadziała, jeśli nie powstrzymamy Sorena.
- Zatem dlaczego jeszcze tu sterczycie?

Zostali tylko tyle, ile trwało pobranie sprzętu. Dla Shannon wzięli strzelbę, dla niego amunicję do karabinu szturmowego i kilka granatów błyskowo-hukowych. Cooper wahał się przez chwilę, czy aby nie powinien włożyć kamizelki kuloodpornej, ale uznał, że nie warto. Najnowsze modele były niezwykle lekkie, ale mimo wszystko ograniczały mobilność, co w przypadku starcia z Sorenem mogło oznaczać śmierć.

- Jedź w prawo - powiedziała Shannon.

Szarpnął kierownicą i musnął pedał hamulca tylko po to, by SUV się nie wywrócił, ostro biorąc zakręt. Latarnie jeszcze działały, ale w bocznych uliczkach było już pusto. W rezultacie chwilami mieli wrażenie, że to już sam środek nocy, spotęgowane przecuciem, że są

obserwowani, że za szybami mieszkań siedzą ludzie pod bronią, siedzą każdy ich ruch. *Gdzieś tam jest. też Natalie. Z karabinem w dłoni.*

- Jak wygląda sytuacja?
- Regularna bitwa — odpowiedziała Shannon. - Ze wszystkich stron.

Jej tablet na bieżąco wymieniał dane z główną mapą taktyczną w sztabie Epsteina. ukazując obraz miasta z lotu ptaka, błękitny pośrodku, otoczony nierównomierną pętlą czerwieni i oranżu na przedmieściach. Informacje napływały nieustannie od dronów rozpoznawczych, pozwalając dowódcom poszczególnych odcinków dostrzec słabe punkty obrony i na czas skierować do nich ludzi i sprzęt .

- Soren przekroczył linię.
- Zdążył przed rozpoczęciem walk?

Pokręciła głową.

- Zdaje się, że się przebił.

Cooper pamiętał ruchy Sorena, pełne śmiertelności gracji i precyzji, wzmocnionych jego wyjątkowym poczuciem czasu

Miał nadzieję, że milicja przynajmniej spowolni zabójcę. ale najwyraźniej się mylił. Żaden normalny człowiek nie miał szans w starciu z Sorenem. Cooper nie był nawet pewny, czy Shannon zdołałaby stawić mu czoło.

Huk wystrzałów był coraz głośniejszy - już nie były to pojedyncze dźwięki, jakie słyszy się na strzelnicy, a raczej jednostajny rumor: typowy odgłos tysięcy uzbrojonych istot ludzkich, próbujących się nawzajem pozabijać. Wróciło nagle wspomnienie sprzed miesiąca, gdy Cooper polował na nienormalną hakerkę, która pracowała nad wirusom komputerowym dla Johna Smitha. Jak ona się nazywała? Velasquez? Vasquez. Alex Vasquez. Zanim wbiła rękę w kieszenie i rzuciła się z dachu głową w dół, powiedziała mu, że przyszłość to wojna. Nie można jej już zapobiec: trzeba po prostu opowiedzieć się po jednej ze stron.

Był wtedy agentem DAR, nie miał żadnych wątpliwości. Żył w przekonaniu, że ludzkość jest zbyt trzeźwo myśląca. by posunąć się do czegoś takiego. Że chłodniejsze głowy - takie jak on sam - uchronią świat przed konfliktem.

I oto jesteśmy. Armia gotowa wyrznąć do nogi największe

skupisko uzdolnionych w całej Ameryce i nienormalny terrorysta, który zamierza ukatrupić wszystkich pozostałych.

Vasquez jednak się myliła. To nie była wojna. I nie chodziło o wybór stron. W ludobójstwie nie ma zwycięzców: można jedynie porównywać straty.

- W lewo — powiedziała Shannon.

Skręcili i tuż za rogiem ulicy ujrzeli ścianę ognia.

Barykada przecinała jezdnię na wysokości nast ępnego kwartału. Jej podstawę usypano z gruzu, ale wyżej narzucono deski, belki i meble. Polane benzyną, stały w płomieniach wysokich na siedem metrów. Kanapa paliła się na niebiesko, a z opon bił w niebo słup czarnego dymu. Cooper nawet przez szybę czuł na twarzy falę gorąca. Zza zapory dobiegał odgłos zażartej kanonady.

- Znajdziesz prześwit?

Shannon pokręciła głową.

- Na pewno nie wielkości samochodu. Tesla jest stworzona do barykadowania.

- W takim razie spróbujemy trudniejszym sposobem. Zjechał do krawężnika i wyłączył silnik. Gdy otworzył drzwi, odgłosy bitwy uderzyły weń z nową siłą: tym razem słyszał już nie tylko huk wystrzałów, lecz także trzask płomieni i krzyki ludzi. Otworzył tylną klapę, by wyjąć karabin i zapasowe magazynki. Shannon zmięła i schowała tablet, po czym zaczęła wypychać kieszenie kurtki nabojami do strzelby.

Przez krótką chwilę patrzyli na siebie. Pomarańczowy blask tańczył na jej twarzy, a w oczach odbijało się piekło. Żar buchał w ich stronę falami, jakby cały świat dokoła zajął się ogniem.

- Nie próbuj się powstrzymywać, gdy już ruszymy - powiedziała. — Nie wahaj się i nie graj z nimi fair.

- Przyszli tu, żeby zabić moje dzieci. - Cooper pokręcił głową. - Tu nie ma miejsca na grę fair.

- Bardzo dobrze. A teraz ustrzelmy paru dupków. Pochylił się nieco, chwycił w garść jej włosy i przyciągnął ją ku sobie. Wargi zwarły się mocno, a języki zatańczyły. Ugryzła go lekko, w najbardziej żarliwym pocałunku jego życia. Po zdecydowanie zbyt krótkiej chwili

cofnęła się i uśmiechnęła szeroko.
Razem zstąpili do piekła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Soren nie czekał, aż mężczyzna umrze. Po prostu wytarł ostrze w rękaw i ruszył w dalszą drogę.

Nie potrzebował wiele czasu, by przeczytać plan Johna: po chwili na niebie rozbłysły flary i milicja rozpoczęła szturm. Jedną z zalet jego przeklętego daru było to, że potrafił bez trudu połknąć i dziesięć stron tekstu w ciągu minuty. John zawarł w swym planie wszystkie niezbędne szczegóły techniczne, ale wykazał się zrozumieniem dla płynności sytuacji i szczęśliwie nie zabrnął w zbyt szczegółowe instrukcje.

Jeśli wierzyć automatycznym sygnaturom, dokumenty zostały przygotowane kilka dni wcześniej. Tak właśnie pracował jego przyjaciel, tak właśnie postrzegał świat, póki żył. Widział wielowarstwową płataninę ścieżek, niezliczonych planów alternatywnych i zapasowych. Ten jednak wyglądał na plan ostateczny; John z pewnością nie prosiłby o jego wykonanie, gdyby miał wybór. Bez wątpienia pierwotnie planował coś nieporównywalnie prostszego, bardziej eleganckiego.

Niestety, został zdradzony, zanim zdążył nadać sprawom właściwy bieg.

Czy John się spodziewał, że Soren go zawiedzie? Wydawało się to mało prawdopodobne. *Przygotował protokół działania, by mnie uwolnić, specjalnie na wypadek własnej śmierci. Czy zrobiłby to, gdyby uważał, że zostanie zabity z mojej winy?* Nie, znacznie bardziej realna wydawała się inna opcja: że John wiedział o uwięzieniu Sorena i zamierzał uwolnić go później, gdy zrealizuje swój właściwy plan. Wierzył, że Soren wytrzyma. Ufał mu.

Gdzieś z tyłu dobiegło ciche gulgotanie. Mężczyzna, któremu nóż otworzył gardło, spazmatycznie zaciskał pięści. Soren nawet się nie obejrzał. Już niedaleko.

Gdy powstał z ławki, na której siedział z martwą nastolatką, włożył uniform strażnika skradziony z szafki w sterowni bloku więziennego. Wyjął pas ze szlufki i założył nań pochwę z nożem, po czym schował do kieszeni tablet i zostawiwszy na ławce wszystko, co niepotrzebne - karabin, plecak i dziewczynę - ruszył w drogę.

Dwie przecznice dalej zatrzymał ciężarówkę załadowaną amunicją, wbił nóż w oko kobiety siedzącej za kierownicą, wywłókł ciało na chodnik i odjechał w stronę przedmieścia. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy walki. Siedząc w białym więzieniu, nawet nie wiedział, że do Tesli zbliża się armia. Jechał tak długo, jak długo się dało. a potem porzucił wóz i dalej powędrował pieszo. Wystrzały i wybuchy zaczynały zlewać się w jeden grzmot, jakby nadciągała burza. obrońcy wychylali się z okien, a gdy naciskali spust, lufy ich karabinów jarzyły się jak żarówki.

Płonące barykady zwolniły tempo jego marszu, ale nieznacznie. Wreszcie, gdy dotarł do ostatniej barykady, ominął ją. idąc korytarzem jednego z budynków. Jakiś człowiek spojrzał na niego w zdumieniu i nazwał głupcem. Gdy Soren wybił szybę, by wydostać się po drugiej stronie, osobnik ów próbował zatrzymać go siłą. Nie trwało to długo.

Nareszcie był po drugiej stronie linii obrony. Bezgłośnie oddalał się w mrok.

Armia normalnych bardziej przypominała zbieraninę wsioków niż żołnierzy. Setka z nich, a może więcej, przemykała od cienia do cienia. Wyjąc i pokrzykując, raz po raz puszczała serie w stronę budynków. Soren nie tracił czasu: skręcił, by obejść ich bokiem. Minał dymiącą ruinę, od której jeszcze biło ciepło, i znowu zabił człowieka: łatwo było zakraść się do stojącego w kącie, wpatzonego w dal mężczyzny i wykończyć go nożem.

Choć linię frontu zostawił w tyle, nadal znajdował się w mieście. Otaczały go z rzadka rozrzucone, niewysokie budynki. a raczej ich wypalone ruiny. Był w tym jakiś sens -do obrony najbardziej nadawały się te wysokie. Możliwe, że ktoś kiedyś wyznaczył granice Tesli, ale miasta mają to do siebie, że rosną. Soren kroczył więc długo pośród cieni i kłębow dymu. W końcu trafił w zaułku na trzech mężczyzn zajętych rozmową. Spojrzeli na niego. Jeden z nich kiwnął głową i szturchnął kolegę. Odwrócili się, w zwolnionym tempie unosząc karabiny.

Pierwszemu przeciął tętnicę szyjną, a drugiemu wbił nóż między żebra. Ostrze utknęło, więc zostawił je i obrócił się prędko, by użyć karabinu martwego przeciwnika. Broń palna zawsze wydawała mu się nieporęczna i hałaśliwa, a odrzut towarzyszący wystrzałowi drażnił jego

poczucie estetyki, ale kula wykonała swoje zadanie. Trzej mężczyźni upadli na ziemię praktycznie w tej samej chwili. Soren zaparł się stopą o głowę trupa, pochylił się i szarpnięciem uwolnił nóż.

Sto metrów dalej trafił na restaurację. Właściwie było to raczej bistro, schludne, ale nic specjalnego - ot, lokal, do którego nikomu nie chciałoby się nadrabiać drogi. Wybił szybę gałką rękojeści noża, wyjął sterczące odłamki i wszedł do ciemnego wnętrza.

Pachniało bekonem i paloną kawą. W szafce przy kasie znalazł latarkę i użył jej, by znaleźć drogę do schowka w piwnicy Półki, którymi zabudowano ściany, ugiwały się pod ciężarem konserw. W kącie stała kasa pancerna, niemal tak wysoka jak on. a obok metalowy wózek. Soren rozwinął tablet, odnalazł kombinację cyfr i wybrał numer za pomocą pokręteł na drzwiach sejfu. Chwilę później otworzył ciężkie drzwi.

Wewnątrz ujrzał spełnienie marzeń swego przyjaciela: dwa aluminiowe zbiorniki, każdy z nich miał ponad metr wysokości i zaopatrzony był w prosty zawór.

Więcej cię nie zawiodę, -John.



Shannon biegła pochylona, a Cooper podążał za nią, starając się stawiać stopy na jej śladach i kopiować każdy jej ruch. Nie korzystała w pełni ze swej zdolności do przemieszania się - musiała wszak mieć ludzi w polu widzenia, by przewidywać, w którą stronę zamierzają spojrzeć - ale miał pełne zaufanie do jej instynktu; naprawdę potrafiła się skradać. Kule świstały wokół nich, strzelano i z okien powyżej po ulicy, i z ciemności za barykadą. Ktoś wył z bólu, ale w chaosie bitwy trudno było określić, skąd dobiega głos ani nawet, czy należy do kobiety, czy do mężczyzny. Żar płonącej barykady palił twarz Coopera, a z każdą chwilą byli coraz bliżej. Karabin trzymał nisko, palec opierając o kabłąk - zupełnie jak przed laty, podczas szkolenia podstawowego, z którego

pamiętał przede wszystkim niekończące się ćwiczenia, błoto i ból mięśni. Wydawało mu się, że to dzieje tak dawne, jakby należały do innego życia - zanim poznał Natalie, zanim przyszli na świat Todd i Kate, zanim wstąpił do PAK, zanim świat ruszył w obłąkańczą podróż ku samozniszczeniu.

Shannon uskoczyła na prawo, obiegła narożnik budynku i pomknęła dalej lekko, niemal na palcach. Podążył za nią i w tej samej sekundzie kula ukruszyła kawał betonu z gzymsu nad jego głową, wzniesając chmurę pyłu. Pomknęli dalej wąską uliczką, mijając wyjścia ewakuacyjne i rampy wyładownicze, nie zważając na kwaśny- fetor gnijących śmieci. U wylotu zaułka zwolnili i Shannon ostrożnie wyjrzała zza węgła. Cooper stanął przy niej i ich ramiona zetknęły się na moment

- Zablokowana - wrzasnęła mu do ucha. a i tak ledwie ją zrozumiał. Kanonada nie ustawała ani na chwilę, samochodów.

- W ogniu?

- Nie.

Kiwnął głową.

- Cele?

- Nie wiem. Prawdopodobnie.

- Możesz się przemieścić obok nich?

- Jeśli będą patrzyli w inną stronę.

Jasne. Odetchnął głęboko, po czym wyskoczył zza rogu budynku, jednocześnie podrzucając karabin do ramienia. Ulica nie była zbyt szeroka, a budynki po obu stronach stały dość blisko siebie. Piętnaście kroków dalej zaczynała się podwójna linia samochodów zaparkowanych w poprzek jezdni, z przeciętymi oponami. Po drugiej stronie dostrzegł jakiś ruch i posłał w tym kierunku dwie króciutkie serie, nawet nie celując, po czym rzucił się sprintem ku barykadzie, trzymając głowę nisko. Przysiadł na ziemi tuż za blokiem silnikowym elektrycznego coupe. Nie czekał długo na ripostę: kule zaiskrzyły o karoserię wozu. Nie podnosząc się, położył lufę na masce, przełączył karabin na ogień ciągły i wypruł na oślep długą serię, aż opróżnił magazynek. Wprawnym ruchem włożył nowy i zerknął w stronę zaułka, w którym zostawił Shannon. Nie było jej tam; zdążyła przemieścić się na drugą stronę ulicy, czaiła się teraz w mroku pod rozbitą latarnią. Uniosła trzy palce i

wskazała kierunek. Cooper wyjął z kieszeni granat błyskowo-hukowy, upewnił się, czy zauważyła ten gest, wyjął zawleczkę, odliczył w myślach i cisnął ładunek niskim łukiem nad samochodami.

Robiąc to, patrzył na Shannon i choć siedział tyłem do wybuchu, światło było tak intensywne, że jeszcze przez chwilę widział jej sylwetkę jakby wypaloną w siatkówce oka. Zamrugał intensywnie, a potem przetoczył się w bok i wskoczył na bagażnik wozu, z karabinem u ramienia. Za przewróconym kontenerem na śmieci dostrzegł mężczyznę przyciskającego dłoń do oczu. Wpakował w niego dwie krótkie serie, po czym przeskoczył na maskę sąsiedniego samochodu i zjechawszy z niej na pośladkach, znalazł się po drugiej stronie barykady.

Drugi z Nowych Synów leżał na brzuchu pośrodku ulicy, może czterdzieści metrów od niego. Cooper wymierzył i posłał serię w nieco bliżej położony punkt, polegając na odrzucie broni, który sprawił, że kolejne kule odbijały się od asfaltu i z coraz krótszego dystansu trafiały w cel.

Innych celów Cooper nie zauważył...

Pokazała mi, że było trzech.

Czyżby trzeci zdołał wycofać się w mrok?

Nie, jeśli oślepił go błysk...

Cholera.

...i ponieważ zdał sobie sprawę ze swego błędu. Odwrócił się na pięcie i zobaczył trzeciego przeciwnika ledwie trzy metry przed sobą. Mężczyzna stał plecami do barykady; najwyraźniej udało mu się uniknąć oślepienia. Był żyłasty, miał fatalne zęby i właśnie podnosił pistolet maszynowy na wysokość biodra. Cooper rozkazał swoim mięśniom dokończyć obrót, podrzucić broń i wycelować, ale tamten już miał go na muszce...

I wtedy na masce jednego z samochodów pojawiła się Shannon, ze strzelbą u smukłego ramienia. Z lufy buchnął płomień i jego blask na ułamek sekundy oświetlił jej wykrzywioną wściekłym grymasem twarz. Głowa wroga zapadła się jak zmiażdżony owoc.

Gdyby Cooper wcześniej tego nie zrobił, zapewne: zakochałby się w niej w tym momencie.

Shannon zeskoczyła z wozu, wylądowała miękko jak kotka i wskazała kierunek. Cooper ruszył bez słowa, w biegu wyjmując magazynek i wkładając nowy. Wiedział, że lepiej poświęcić kilka naboju, niż zostać z pustym magazynkiem w środku starcia.

W oddali bluznęło ogniem co najmniej tuzin luf. Jedna z kul rozbiła szybę w samochodzie, inna zawyła, odbijając się rykoszetem od chodnika. Cooper schronił się za ścianą spalonego budynku i chcąc osłonić Shannon ogniem, posłał długą serię w stronę miejsca, z którego padły strzały. Trzej mężczyźni, których pokonali chwilę wcześniej, musieli być zwiadowcami większego oddziału. Znowu błysnęły lufy i tym razem Cooper wiedział już dokładnie, gdzie szukać celu. Wystrzelił i usłyszał głośny krzyk. W tej samej chwili Shannon wyprzedziła go i pobięła naprzód. Znowu podążył za nią, zwlekając tylko tyle, ile trwało rzucenie kolejnego granatu. Poczuliby satysfakcję, gdyby został tu i pozabijał pozostałych, ale nie mieli na to czasu.

Byli na skraju miasta. Buldożery zrównały tu z ziemią większość zabudowań, a pozostałe spalono - dym jeszcze się unosił nad zgliszczami. Mknęli przez zrujnowany pejzaż, zygzakując intensywnie. Dzięki darowi Shannon wybierali optymalny kurs, którego nikt nie był w stanie przewidzieć. Cooper na chwilę zapomniał o stawce, o rozpaczliwej sytuacji, o tym, że świat balansuje na czubku szpilki - i po prostu rozkoszował się ruchem, który ich zjednoczył. Byli jak bohaterowie filmu, mistrzowie kung-fu podwieszeni na linkach, wykonujący starannie wyreżyserowane ruchy. Osłaniali się nawzajem, rozumiejąc się bez słów. dzieląc się wspólnym przekonaniem, że bez względu na wynik tej akcji pozostaną razem.

Chwilę później byli już na skraju strefy działań wojennych. Nadal towarzyszyły im echa wystrzałów, ale w więks/osci dobiegały gdzieś z oddali za ich plecami. I wtedy Cooper potknął się o ciało leżące w kałuży krwi. Przewrócił się. boleśnie objając kolano. *To tyle, jeśli chodzi o kung-fu.*

— Nic ci nie jest?

Skinął głową. Odepchnął się od ziemi i przykucnął, spoglądając na długą, rozwartą ranę na gardle trupa.

Ledwie dwie przecznice dalej znaleźli kolejne trzy ciała,

spoczywające w ciasnym kręgu. Dwaj Nowi Synowie Wolności zginęli od noża, trzeciemu brakowało sporej części twarzy. Shannon skrzywiła się na ten widok i wyjęła tablet.

— Widzę, że niepotrzebny nam naprowadzacz, żeby tropić Sorena. Wystarczy pójść śladem nieboszczyków. Cooper zaplótł dłonie za głowę i westchnął ciężko. I wtedy spoj rzał w oczy Shannon. - Co się stało? - spytał, widząc jej minę.

Uniosła głowę znad ekranu. W blasku wyświetlacza jej oczy wydawały się martwe.

- Wiem, dokąd zmierza.



Zbiorniki były nieporęczne, a każdy z nich ważył mniej więcej dwadzieścia pięć kilogramów. Soren stracił dziesięć swoich sekund na rozmyślanie o tym, czy nie byłoby lepiej, gdyby zabrał tylko jeden z nich - mógłby poruszać się znacznie szybciej. Znał umysł Johna i wiedział, że gdyby do wykonania zadania wystarczyły dwa pojemniki, z pewnością przygotowałyby cztery. Jego przyjaciel nigdy nie zadowolął się bowiem wysokimi szansami powodzenia; zawsze dążył do stuprocentowej pewności sukcesu. I dlatego mógł zwyciężyć nawet z za grobu.

Ostatecznie to wózek pomógł mu podjąć decyzję. Był ciężki, miał szeroko rozstawione koła, ale zaprojektowano go do wożenia dwóch zbiorników — z jednym nie trzymałby równowagi. Soren w niespełną minutę przypiął pojemniki do dwukółki i ruszył w drogę.

Czul się mocny, sprężysty; nawet pchając przed sobą wózek, był w stanie utrzymać doskonałe tempo marszu. W niewoli miał mnóstwo czasu na ćwiczenia, a ulice tu, na skraju miasta, były gładkie i czyste. Budynki tak odległe od centrum jak te, które właśnie mijał, pozostały nietknięte. Bitwa trwała w najlepsze, słyszał ją, ale odkąd wyszedł z zaułka, nie napotkał ani jednego członka milicji. Dostrzegwał w tym nawet

sens: intruzi nie przyszli tu, żeby zająć obce terytorium; nie interesowało ich zakładanie kolejnej bazy.

Przyszli, żeby spalić miasto.

Soren miał to gdzieś. Niech palą. Niech mordują, gwałcą, rujnują. Niech krew spływa rynsztokami. Nigdy nie czuł szczególnej lojalności wobec ogółu uzdolnionych. Chłopcy, którzy dręczyli go w akademii, byli przecież uzdolnieni, podobnie jak Epstein, Nick Cooper oraz oprawca Rickard.

W tej chwili liczyło się tylko jedno: dokończyć dzieło, które zapoczątkował jego przyjaciel. Nie dla sprawy, lecz dla Johna. A potem — odnaleźć Samanthę, tę prawdziwą, i ocalić ją. gdy świat będzie się walił wokół nich.

Skręcił w poprzecznie biegnącą ulicę i nareszcie ujrzał cel: rozległy plac ciągnący się przez setki metrów, otoczony drucianą siatką. Czerwone i białe światła wyznaczały jego granice. Pasiasty rękaw zwisał smętnie z masztu. Bramy nikt nie pilnował, tylko na pasie startowym widać było pilota, który w pośpiechu pchał swój szybowiec z włókna węglowego, by założyć hak elastycznej liny i dać się wystrzelić w powietrze.

Lotnisko Tesla.

Niech milicja barbarzyńców kontynuuje swoją małą masakrę.

Soren zamierzał podpalić cały świat.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Życie zostało zredukowane do ekstremów.

Najpierw cisza, potem huk wystrzałów. Chłodne, czyste powietrze, potem smród dymu i benzyny. Grudniowy przymrozek, potem nagłe gorąco, gdy łuska wyrzucona z karabinu dotknęła skóry Natalie. Ale najdziwniejsza była ciemność, rozrywana jedynie rozbłyskami oślepiającego światła. Każdy nowy wystrzał był jak flesz fotografa: ujawniał starannie skomponowaną scenę, niestety znikającą nazbyt szybko, jak dzieło sztuki konceptualnej.

Błysk: oto człowiek w puchowej, czarnej kurtce narciarskiej, z pistoletami w dłoniach. Jego usta wykrzywia grymas, gdy z krzykiem zaczyna naciskać na zmianę oba spusty.

Błysk: oto starszy pan o łagodnej twarzy, obrońca sąsiedniego budynku, strzela do tłumu, przygryzając wysunięty język, jak mały chłopiec.

Błysk: oto nastolatek ostrzyżony na jeża pełźnie po spalonej ziemi, krwawiąc obficie i strzelając na oślep.

Błysk: oto twoja dłoń na lufie karabinu, blada i zimna, zryta liniami historii życia.

Błysk: oto grzeczna Jolene wykrzykuje najgorsze przekleństwa; wściekle szczyrzy zęby, a jej włosy wiją się jak węże.

Wcześniej, gdy Natalie próbowała wyobrazić sobie szturm Nowych Synów Wolności, miała przed oczami sceny ze starych filmów: kolumny mężczyzn maszerujących środkiem ulicy jak Niemcy na hitlerowskiej paradzie. Zastanawiała się, czy w ogóle będzie w stanie wymierzyć do żywego celu i nacisnąć spust; posłać rozpędzoną bryłkę metalu w przestrzeń, wiedząc, że rozerwie ciało bliźniego.

To akurat, jak się okazało, nie było wielkim problemem. Jeżeli miała jeszcze jakieś opory, to wyzbyła się ich, gdy wróg zaczął strzelać w reflektory - był niczym potwór, którego sobie wyobrażała, spoglądając nocą na drzwi garderoby swego dzieciennego pokoju, czerpiący siłę z ciemności. Wystrzelała już pięć magazynków i choć nie umiała stwierdzić, jak wiele kul trafiło w cel - ilu ludzi zabiła - to wiedziała, że

była to liczba znacznie większa od zera.

Prawdziwy problem polegał na tym, że milicjanci ani myśleli paradnym krokiem maszerować ulicą. Biegali sprintem, zygzakując. Ukrywali się za każdym obiektem, który się do tego nadawał. Szturmowali barykadę, zeskakiwali z niej. przetaczali się po ziemi i natychmiast powstawali, by pobiec dalej. Gnali ścieżkami łączącymi budynki. Było ich tak wielu, że tworzyli niekończący się strumień, a każdy przejawiał naturalnie desperacką wolę życia. Natalie mierzyła, strzelała i znowu mierzyła, lecz choć wiedziała, że jej kule skutecznie niosą śmierć, na miejscu zabitych wciąż pojawiali się nowi wrogowie. Czuła się tak, jakby usiłowała podziurawić ocean, tyle że ten ocean ubrany był na czarno i wył dziko albo pokrzykiwał bojowo.

Zamek karabinu znowu się otworzył. Natalie opadła na kolana i obróciła się tak, by oprzeć się plecami o przewróconą szafę. Wykorzystała chwilę spokoju, by zajrzeć do tabletu, na dyskretnie podświetloną mapkę. Drony krążące nad miastem rejestrowały ciepłość ludzkich ciał, ruch oraz wymianę ognia, a dane te pozwalały na zbudowanie interaktywnego wizerunku toczącej się wojny jako żywego organizmu. Wyglądało na to, że ognisty krąg zaczyna się zacieśniać. Kolory zmieniały się i przemieszczały płynnie na jej oczach; wiry czerwieni z wolna otaczały plamy błękitu — Nowi Synowie Wolności przełamywali obronę mieszkańców Tesli.

A w samym centrum miasta znajdują się bunkry, w których tulą się do siebie twoje dzieci.

Natalie zwolniła magazynek i z trzaskiem wepchnęła na miejsce nowy. Uniosła głowę. Pocisk przemknął blisko, tak blisko, że poczuła jego podmuch. Schyliła się czym prędzej i w tej samej chwili kolejne kule wpadły przez wybite okna. by wywiercić nowe dziury w i tak dziurawym suficie.

Zdaje się, że już wiedzą, gdzie się ukrywasz.

Wydobyła z torby jeszcze kilka magazynków i na czworaka przeniosła się do sąsiedniego okna. Wcześniej wspólnie z Jolene przywlokły ciężkie biurko z narożnego biura jakiegoś ważniaka i przewróciły je na bok tuż pod oknem. Z uchem przy drewnianej płycie Natalie wolniutko uniosła głowę, by rozejrzeć się jednym okiem.

Błyski i trzaski wystrzałów dobiegały ze wszystkich stron, ale przestrzeń naprzeciwko jej okna - mały skrawek ziemi, którego miała bronić - wydawała się dziwnie zaciszna. Natalie zmrużyła oczy, próbując oddzielić ciemność od ciemności. Purpurowe światło wędrowało po przeciwnej stronie globusa. nie pomagało jej ani trochę. Czy coś tam się poruszyło? Tak jej się wydawało. Ale kształt się nie zgadzał, ruchy były dziwne, jednoczesne w kilku miejscach. Jakim sposobem jeden człowiek mógłby... Och.

Natalie rzuciła broń, wstała i odbiegła od okna, ignorując ostrzał, który natychmiast skierowano w jej stronę, odłamki lecące ze ścian i drzazgi wrywane z drewnianego blatu. Skupiła się na zadaniu: musiała dotrzeć do szafy na akta. przy której stało pięć szklanych butelek. Chwyliła pierwszą z brzegu i sięgnęła po zapalniczkę - zwykłą, białą, plastikową zapalniczkę marki Bic, do kupienia przy kasie w bodaj wszystkich sklepach. Ta jedna jedyna była jednak zapalniczką specjalnego przeznaczenia: miała służyć do zapalania szmat nasączonych benzyną. Chemiczna woń drażniła nozdrza Natalie. Jeden obrót kółka, drugi, trzeci, wreszcie zapalniczka zadziałała i płomień rzucił się łapczywie na strzęp płótna wetknięty do szyjki butelki. Natalie zaryzykowała: stanęła wyprostowana, by nie zważając na świst kul, w miarę celnie cisnąć butelkę. Zaraz potem przyklęknęła szybko, nie upewniwszy się, czy trafiła w cel; usłyszała jednak charakterystyczne buchnięcie: benzyna z rozbitej butelki zajęła się ogniem, a wraz z nią ubrania i włosy ludzi. Dowodem były krzyki, który rozległy się sekundę później.

Trudno było znieść ten dźwięk. Instynkt nakazywał jej poprosić o przerwę, popędzić na dół i pomóc temu, kto tak strasznie cierpiał - tak przecież czyniła, gdy któryś z kolegów Todda zranił się podczas domowej zabawy: przyklejała mu plaster i dzwoniła po matkę. Teraz jednak wróciła do poprzedniego okna, podniosła karabin i przełamując niechęć, wyjrzała na zewnątrz.

Podczas gdy strzelcy z dalszych pozycji próbowali związać ją ogniem, grupa mniej więcej dziesięciu ochotników wpełzła w jej pole widzenia. Ognista bomba eksplodowała między nimi, zasypując ich odłamkami szkła i bryzgami płonącego paliwa. Potężna jasność

rozświetliła noc i Natalie ujrzała nie tylko tych, których dosięgła koktajlem Molotowa. ale i ich towarzyszy, stojących nieco dalej. Ich oczy błyszczały w mroku, choć sylwetki pozostały niewyraźne. Była ich cała horda, ciągnąca się po horyzont niczym monstrum, które nigdy nie przestanie nadchodzić.

Nie ruszyła z pomocą poparzonym. Uniosła karabin do ramienia i zaczęła ich zabijać, korzystając ze światła, które zapewnili jej ich płonący bracia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Soren pracował.

Nigdy wcześniej nie montował zbiornika z bronią biologiczną w dronie, ale notatki pozostawione przez Johna były przejrzyste, a Soren, ze swą niebywale szybką percepcją, znalazł czas, by przeczytać je jeszcze dwukrotnie, zanim sięgnął po klucz nasadowy.

Na lotnisku wybudowano dwa hangary. Jeden służył cywilnym szybowcom, drugi zaś oznaczony był logo Epstein Industries i otoczony tabliczkami obiecującymi surową karę każdemu, kto ośmieli się tam zajrzeć. Straży nie było -wszystkich ochroniarzy bez wątpienia ściągnięto do obrony miasta. W zasięgu wzroku Soren miał tylko pilota szybowca oraz brzuchatego mechanika w średnim wieku. Żaden z nich nawet go nie spowolnił.

Pracował metodycznie i starannie. Zawiódł Johna, dając się oszukać Cooperowi, i to kosztowało życie jego przyjaciela. To dlatego postanowił, że nie pozwoli sobie na błąd, który mógłby zniweczyć marzenia Johna.

Zawsze podziwiał swoistą grację dronów, przywodzących na myśl obcą rasę. Opływowe, stworzone w bardzo konkretnym celu, przypominały mu szare ważki o rozpiętości skrzydeł sięgającej pięciu metrów. Dzięki schematom wiedział dokładnie, co ma robić, a sam proces montażu był czysto mechaniczny. Odkręcić tuzin śrub, zdjąć modułowy ładunek - w tym przypadku był to pakiet kamer długi na metr i najeżony obiektywami oraz czujnikami. Umieścić pojemnik w ładowni, zaworem w dół, i zabezpieczyć. Wypchnąć drona przez otwarte wrota hangaru - toczył się zaskakująco łatwo -i zająć się kolejnym.

Wcześniej, grzebiąc w szafce z narzędziami. Soren znalazł nóż o krótkim, zakrzywionym ostrzu. Pamięć odezwała się natychmiast przeraźliwym krzykiem Samantha: podobne narzędzie przecięło jej dolną powiekę i pomogło wyłuskać oko z oczodołu. Trzasnął szufladą z takim impetem, że omal nie obciął sobie palca.

Nie naprawdę, napomniał się w duchu. Ona wcale nie cierpiała. Nawet jej tam nie było.

Lecz ta myśl nie przyniosła mu ulgi; przyniosła odrazę. Wstręt do samego siebie za to, że dał się tak oszukać. Pogardę dla wroga, który posłużył się taką metodą. Zanim zaczęły się tortury, Soren uważał, że Cooper blefuje. że brakuje mu siły, by zrobić to, co konieczne. I miał rację. Cooper nie mógł się równać ani z nim, ani z Johnem.

Tej nocy Soren zamierzał udzielić mu lekcji: dokończyć dzieło zapoczątkowane przez przyjaciela oraz zniszczyć wszystko, o co walczył Cooper. A gdy tego dokonam, znajdę go i zapłacę za swoje cierpienie. Niech zdycha w samotności, wrzeszcząc.

Włączył tablet zabitej dziewczyny, którego skaner przekodował tak, by akceptował odcisk jego kciuka. Jednym z plików, które John wysłał do jego skrzynki pocztowej, była aplikacja służąca do hakowania układu sterowniczego drona. Soren uruchomił program. Na wyświetlaczu ukazał się jakby obraz z radaru. Linia zakotwiczona pośrodku dwukrotnie zatoczyła krąg na ekranie — urządzenie poszukiwało odbiorcy sygnału, a gdy go znalazło, pokazało się okno komend.

Soren wiedział, że dronem można sterować zdalnie, i przez chwilę rozważał taką ewentualność. Z pewnością było coś poetyckiego w kontrolowaniu każdego ruchu maszyny niosącej światu śmierć i odrodzenie, ale on nie miał pojęcia o lataniu. W końcu postanowił załadować program autopilota dostarczony przez Johna. Kurs nie był skomplikowany: najpierw spirala o zmniejszającym się promieniu, zgodna z ruchem wskazówek zegara, potem to samo w przeciwnym kierunku. Maszyny miały krążyć nad Tesłą aż do wyczerpania zapasu ciekłego wodoru. Przez wiele godzin, jak sądził. Może nawet dni.

Odstąpił o parę kroków, by przyjrzeć się swojemu dziełu. Zbiorniki zaburzyły estetykę dronów. W przeciwieństwie do zestawu kamer nie zostały zaprojektowane jako gotowy ładunek - sterczały niczym nowotworowe guzy na brzuchach pięknych maszyn. Soren nie miał wątpliwości, że zakłócą też aerodynamikę dronów, lecz przecież nie czekał ich nazbyt daleki lot. Pracując, słyszał nieustanny grzmot bliskiej bitwy - choć dobiegał do jego uszu, jak wszystko, w zwolnionym tempie, nie było wątpliwości, że stopniowo przybiera na sile.

Soren sięgnął do zaworu pierwszego zbiornika i zaczął kręcić

gałką, aż usłyszał cichy syk.

Wtedy wcisnął klawisz na ekranie tabletu i silnik maszyny ożył. Parę sekund później dron zaczął kołować na pas startowy.



Żyłami Coopera płynął żywy ogień, a w głowie pulsował tępy ból. Adrenalina sprawiła, że drżały mu ręce. Biegł sprintem od chwili, gdy Shannon odgadła, dokąd zmierza Soren. Zwolnił tylko raz, gdy omal nie zderzył się z grupką Nowych Synów. Walka była szybka i brutalna - pięciu członków milicji przeciwko dwojgu obdarzonych - ale w starciu na tak krótki dystans broń palna była bezużyteczna. Cooper i Shannon bili się w milczącej synchronizacji. Niewiarygodnie szybka, wirowała i uskakiwała bez końca, nigdy nie lądując tam, gdzie przeciwnicy spodziewali się ją ujrzeć. Jej wysokie kopnięcia i ciosy kantem dłoni siały spustoszenie. Cooper polegał raczej na brutalnej sile: pierwszego wroga zaatakował bykiem, drugiemu piętą zmiażdżył stopę, a następnie wykręcił ramię i złamał je w łokciu. Trzeci, prawdziwy potwór, zapewne w wolnych chwilach zonglujący ciężarówkami, zamknął go w niedźwiedzim uścisku, do którego rozerwania potrzebne były dwa kopniaki kolanem w krocze oraz dwa uderzenia głową w nos.

Tymczasem pierwszy z Nowych Synów właśnie zaczynał wstawać, na szczęście strzelba Shannon wybiła mu to z głowy. Spojrzeli po sobie i bez słowa znowu puścili się biegiem. Ulice były tu ciemne, a budynki puste, lecz za ich plecami wciąż szalała bitwa. Powietrze cuchnęło dymem i niosło z oddali jęki umierających ludzi.

Gdy dotarli na lotnisko, Cooper pomyślał w pierwszej chwili, że jednak popełnili błąd. Światła wzdłuż pasa startowego były włączone, ale w pobliżu nie działo się nic - nie było ani strażników przy bramie, ani samolotów. W końcu jednak dostrzegł szybowiec na samym końcu pasa, z liną u nosa, najwyraźniej gotowy do startu. Gotowy, gdyby nie to, że kokpit był otwarty po lewej stronie, a przy przednim kole leżały skulone

zwłoki pilota. Odległość była zbyt duża, by dostrzec wszystkie szczegóły, ale jeden był niezłe widoczny: w kałuży krwi przeglądał się księżyc. Typowa robota Sorena.

Za późno? Nagły strach zmroził Coopera. Jeżeli Soren już wystartował, było po wszystkim. Nie tylko ta bitwa byłaby przegrana, ale i cały świat. Wirus Johna Smitha pochłonąłby wszystko. Zniszczyłby system władzy, zrujnował Amerykę, a może i cały glob. Zabiłby Natalie, odmienił ich syna, doprowadził do śmierci...

W jednym z hangarów - oznaczonym logo Epstein Industries - zatańczyło małe światelko, a przez odgłosy walki przebił się szybko narastający dźwięk, jakby warkot, może turbiny albo...

Silnika.

- Shannon!

Cooper nie czekał, nie obejrzał się nawet, żeby sprawdzić, czy ruszyła za nim - po prostu popędził ile tchu w stronę hangaru, chociaż ból rozrywał mu piersi, a każdy oddech palił żywym ogniem.

Z wnętrza hangaru wychynął niski, groźnie wyglądający kształt. Maszyna była mniej więcej trzykrotnie mniejsza od seraphimów używanych przez siły zbrojne USA, ale nietrudno było ją rozpoznać. Przyspieszała, kołując w stronę początku pasa startowego. Cooper dostrzegł pod jej brzuchem obco wyglądający kształt, jakby cylinder, długi na ponad metr.

W pośpiechu rozważył opcje...

Trzydzieści metrów prostopadłym kursem, a silnik wyraźnie przyspiesza.

Nie wiesz, czy eksplozja zniszczy wirusa.

Lecz gdy maszyna wzbije się w powietrze, w ciągu niespełna minuty dotrze nad linię frontu i zakazi wirusem dziesiątki tysięcy ludzi.

Sam wiesz, co się wtedy stanie.

...i doszedł do wniosku, że ma tylko jedną.

Uniósł do ramienia karabin szturmowy, stanął w rozkroku i docisnął policzek do kolby. Broń nie miała lunety, ale obraz w celowniku był dostatecznie wyraźny. Cooper wystrzelił trzy krótkie serie — z dwojakim skutkiem.

Po pierwsze, kule zaiskrzyły o powierzchnię skrzydła, w które

trafił.

Po drugie, zamek karabinu szczęknął głucho - magazynek był pusty.

Shannon przystanęła obok i zaczęła strzelać, przeładowując strzelbę gwałtownymi ruchami. Cooper nie był specjalnie zdziwiony, widząc, że dron nadal kołuje, gwałtownie nabierając prędkości. Skoro pociski karabinowe odbijały się od poszycia, cóż mógł działać śrut? Zwolnił magazynek i sięgnął po ostatni z pełnych. Dron już się oddalał; odległość rosła gwałtownie: czterdzieści, pięćdziesiąt metrów. Może udałoby się trafić w zbiornik paliwa? Cóż, skoro skrzydła potrafiły znieść ostrzał, to zbiornik tym bardziej — co zatem pozostało? To nie był dron wojskowy, ale supernowoczesny i najwyraźniej zaprojektowany tak, by niestraszny mu był ostrzał z broni ręcznej w warunkach bojowych.

W warunkach bojowych. Nie podczas startu.

Przeładował broń i przestawił na ogień ciągły, po czym zdał się na pamięć mięśniową, na umiejętności nabyte dawno temu, podczas szkolenia podstawowego. Miał wtedy siedemnaście lat, zaciągnął się za pisemną zgodą taty. To był trudny, ale i wspaniały czas, do którego mógł teraz sięgnąć pamięcią, udając, że to tylko kolejne ćwiczenia, strzelanie do ruchomego celu. Przez chwilę prowadził celownikiem oddalający się pojazd, nie mrugając nawet, by nie stracić z oczu wspornika tylnego koła. Wreszcie wpakował weń połowę magazynka, spojrzął na swoje dzieło i dołożył drugą połowę.

Składany element podwozia po prostu odpadł wraz z kołem i koziółkując, wyprzedził drona, którego kadłub opadł tyłem na beton i w pędzie zaczął gubić coraz to większe kawały poszycia. Przez chwilę wrak ciągnął za sobą potężny snop iskier, aż wreszcie tarcie pokonało zabezpieczenia zbiornika z paliwem i ciekły wodór zmienił się w oślepiającą kulę blado-błękitnych płomieni.

Przez krótką chwilę Cooper przyglądał się tej scenie, a potem odrzucił głowę do tyłu i ryknął dziko. Stojąca obok Shannon wybuchnęła śmiechem, jedną ręką zasłaniając usta, a drugą trzymając strzelbę. Udało się. Dokonali wielkiej sztuki. Bitwa jeszcze trwała, świat był daleki od stanu równowagi i bezpieczeństwa, ale jeszcze się kręcił, jeszcze zostało

trochę czasu, by...

Właśnie o tym myślał, gdy z hangaru wyjechał drugi dron.

Spojrzeni po sobie. A potem Shannon popatrzyła na pas startowy.

Wiedział, co jej przyszło do głowy.

-Nie.

- Tak - odpowiedziała, rzucając mu strzelbę. - Dorwij Sorena.

A potem pobiegła w stronę opuszczonego szybowca.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Luke Hammond stał w ciemności i przyglądał się, jak jego ludzie płoną żywcem.

Przez całe życie był wojownikiem i już dawno temu doszedł do wniosku, że żaden tak zwany porządny człowiek nie mógł trafić do miejsc, w które jego rzucił los, nie mógł zobaczyć tego, co on zobaczył, dokonać tego, czego on dokonał. To, że walczył dla swego kraju, dla swoich dzieci, nie miało żadnego znaczenia. Nieistotne było i to, że miał niezbędną dyscyplinę, samokontrolę. Istniała bowiem jeszcze bestia, śliniąca się, zgniła, uśmiechnięta poczwara cuchnąca seksem, potem i gównem. Każdy żołnierz wyczuwał jej obecność, choć większość spędzała życie z dala od niej, nie smakując owej straszliwej wolności, nie znając piękna, które wyrasta z grozy. Żadne słowa nie zdołają opisać bestii, albowiem pochodzi ona z krainy poza słowami, przed słowami.

Porządni ludzie nigdy nie odważą się przyznać, że prawdziwie uwodzicielskie piękno drzemie w ogniu, którego nie da się już kontrolować.

Lecz ludzie ukryci w oknach gmachów już o tym wiedzieli. Czy zwyciężą, czy przegrają, czy przeżyją, czy zginą, ta wiedza na zawsze pozostanie z nimi. Można ją ignorować, wypierać, gardzić nią nawet, lecz sedno prawdy pozostanie niezmiennie. Wiedzieli o tym także ci wrzeszczący z bólu płonący Synowie Wolności.

Nie było to romantyczne. Nie było moralne. Po prostu było.

Luke się spodziewał, że gdy tylko przełamana zostanie pierwsza linia obrony, gdy tylko pierwsi Synowie wedrą się do miasta, silna wola obrońców po prostu pęknie. Mylił się. Setki jego ludzi pokonały barykady i penetrowały ulice Tesli; odgłosy walki dobiegały ze wszystkich kwartałów, lecz ludzie w oknach nadal walczyli. Ich wola była więcej niż silna, była żelazna, bronili bowiem swoich domów i swoich dzieci, a Luke szanował ich za to.

Synowie kontynuowali atak, strzelając w biegu i przeskakując nad ciałami zabitych towarzyszy. W oknach wciąż błyskały lufy karabinów, raz po raz na ziemię spadały kolejne butelki z benzyną. Na ulicy było

teraz jasno jak w dzień -bestia skakała od płomienia do płomienia, śliniąc się i śmiejąc gromko.

Dyscyplina i samokontrola nie uczyniły z Luke'a Hammonda porządnego człowieka. Pozwoliły mu natomiast od dziesięcioleci żyć z bestią za pan brat. Obserwując narastający chaos bitwy, zachowywał kamienny spokój. Pochylił się teraz i ruszył naprzód, stąpając ostrożnie i trzymając karabin nisko nad ziemią. W jego sercu buzowała wściekłość, ale świadomie trzymał palec z dala od spustu. Tak dotarł do granicy strefy światła, otaczającej płonąca benzynę z rozbitych butelek. Przyklęknął, nie zważając na kule siekące beton wokół niego, na dym wyciskający łzy z oczu i na smród płonącego mięsa. Obserwował.

Obrońcy ustawili w oknach bariery i zza nich prowadzili ostrzał. Jednakże nie za każdą barierą ukrywał się cel. Być może powodem był brak ludzi, ale Luke podejrzewał, że chodzi raczej o niedostatek broni. Nienormalni pokładali zbyt głęboką wiarę w swoich cudach techniki; zbyt ufali swojemu niewidzialnemu murowi obronnemu. Gdy zawiodła owa główna linia obrony, stali się łatwym celem.

Im dłużej patrzył, tym wyraźniej widział, że liczba obrońców jest doprawdy niewielka, że ich siła to tylko iluzja. Każdy z nich strzelał z okna tylko dopóty, dopóki przeciwnicy nie zaczęli odpowiadać mu ogniem, a wtedy natychmiast przenosił się na kolejne stanowisko. Luke wątpił, by w każdym budynku działała więcej niż garstka snajperów. Jeżeli udawało im się wytrwać tak długo, to tylko dlatego, że nie mieli do czynienia z regularną armią, tylko z dziką hordą.

Luke uniósł karabin do ramienia. Popatrzył na mężczyznę po pięćdziesiątce, który właśnie zmieniał magazynek i zniknął nagle, gdy pomknęły ku niemu kule.

Czekał cierpliwie.

Gdy w innym oknie z lufy karabinu buchnął płomień, odetchnął, wymierzył i strzelił tylko raz.

Mężczyzna jakby podskoczył. Zatoczył się. I padł na swój szaniec.

Luke czekał.

Z okna w sąsiednim budynku pofrunął kolejny koktajl Mołotowa. Zignorował błysk szkła i jasność płomieni, zignorował krzyki trafionych. Czekał.

Kobieta powstała nagle jak kobra, z karabinem w ramionach. Rozpoznał ją. Widział ją już wcześniej przez lornetkę. Z bliska była jeszcze ładniejsza. A może nie była to kwestia odległości? Może po prostu doświadczała czegoś nowego, czego nie spodziewała się zaznać: zdziczenia, na które nie było miejsca w życiu dobrej matki albo bywalczyńi przyjęć.

Podobnie jak Luke, ta kobieta zobaczyła bestię. Jak on, złożyła jej ofiarę. Gdyby przeżyła tę noc, niewątpliwie byłaby przerażona tym, czego się dopuściła; krzyki płonących ludzi prześladowałyby ją po nocach. Lecz jakąś częścią siebie tęskniłaby za tymi chwilami. Sekretna, najintymniejsza częśćka jej duszy rozkoszowałaby się wspomnieniem tego czasu, gdy życie innych ludzi było w jej rękach.

Gdyby przeżyła. Lecz przecież ten, kto zobaczył bestię, nadal mógł paść jej ofiarą.

Luke naprowadził celownik karabinu na twarz kobiety i nacisnął spust.

Pocisk przebił jej czoło.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Shannon czuła żar palącego się drona nawet z tak dużej odległości, choć płomienie były prawie niewidoczne. Biegając ukosem przez pas startowy, wciąż nie mogła uwierzyć, że zdecydowała się na coś takiego.

Nick wołał za nią, ale nie mogła go zrozumieć; nie mogła też zatrzymać się w chwili, gdy drugi bezzałogowy pojazd nabierał szybkości. Wycie jego silnika zagłuszało już odgłosy toczącej się bitwy i trzask topiących się kompozytów.

Latała szybowcami setki razy i uwielbiała ów taniec z wiatrem i grawitacją, podniebne harce nad pustynią. Kochała także tę szczególną niepewność: kto znał się na rzeczy, mógł się czuć w kokpicie w miarę bezpieczny, ale każdy błąd oznaczał śmiertelne zagrożenie. Chwila nieuwagi, zgubienie korzystnego wiatru, błędna ocena sytuacji - tyle wystarczyło, by się przekonać, że ziemia to surowy nauczyciel. Z podobnych powodów lubiła swoje misje: gdy je wykonywała, w stu procentach czuła, że żyje, choć przecież zawsze wiązało się z nimi ryzyko, zawsze był w nich element hazardu, igrania z losem. Od zawsze wiedziała, że pewnego dnia przegra - miała tylko nadzieję, że to jeszcze nie ten dzień.

Pilot w skórzanej kurtce leżał pod skrzydłem szybowca, a na jego twarzy zastygł grymas bezbrzeżnego zdumienia. Obok jego stóp stały wypchane torby. Zapewne miał nadzieję, że w ostatniej chwili zdoła uciec przed milicją, ale zbyt długo zwlekał. Nóż Sorena otworzył mu gardło tak sprawnie i głęboko, że widać było biel kręgów szyjnych. Shannon miała nadzieję, że mężczyzna był lepszym pilotem niż wojownikiem, bo nie miała już czasu na przedstartową procedurę: sprawdzenie stanu poszycia, upewnienie się, czy koła są odblokowane, czy lina jest poprawnie umocowana, czy mechanizm zwalnający jest należycie utrzymany. Przeskoczyła nad ciałem, wśliznęła się do kabiny i sięgnęła do przełączników. Akumulator działał, kontrolki rozblęsnęły-i w tym momencie coś mignęło za owiewką: to dron gnał pasem startowym, cały czas przyspieszając. Nie było już czasu na luksusy w rodzaju dbania o własne bezpieczeństwo. Mogła jedynie dopaść go albo zginąć.

Raczej dopaść go i zginąć, skarbie.

Istnieje tylko jeden sposób na strącenie tego drona.

Shannon zapięła pasy i modląc się, by wszystkie automatyczne systemy zadziałały, wcisnęła klawisz z napisem: Holowanie.

Poczuła znajome szarpnięcie, gdy wyciągarka ożyła, a potem szybko zaczął nabierać prędkości i przyspieszenie wcisnęło ją w fotel.

Cooper odrzucił bezużyteczny karabin i chwyciwszy w locie strzelbę, wrzasnął:

- Czekaj!

Właściwie nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać, ale nie miało to znaczenia, bo Shannon nie zamierzała czekać.

W chwili, gdy miał rzucić się w pogoń za nią, ktoś wyszedł z hangaru: ktoś szczupły, pełen gracji, jednoznacznie groźny. Cooper miał wrażenie, że czyjeś zimne palce chwyciły go w pól. Czyżby jego serce miało własną pamięć, czyżby wiedziało, z kim ma do czynienia? Z człowiekiem, który przebił je nożem ledwie kilka tygodni wcześniej. Tym samym, który nawet się nie spocił, fundując Toddowi śpiączkę, a jego ojcu nagłą śmierć. Strach, który ogarnął Coopera, był pierwotny: wyrastał z samego pnia mózgu, był głęboki i nieomylny. Narastał z każdym krokiem Sorena.

I wtedy w głowie Coopera zaświtała myśl.

Musieli za wszelką cenę zatrzymać tego drona. Ani jego życie, ani życie Shannon nie miało w tej sytuacji żadnego znaczenia. Ona z pewnością też to rozumiała. Znał swoją kobietę, swoją wojowniczkę; wiedział, że się nie zawaha.

Lecz może mógł oszczędzić jej trudnego wyboru? Skoro to Soren wypuścił drona, to być może był w stanie przerwać jego lot. Sprowadzić

go na ziemię, zanim Shannon wykona jedyny ruch, który mogła wykonać.

Cooper uniósł strzelbę. Kolba była jeszcze ciepła od policzka dziewczyny. Soren był już blisko, zostało może siedem metrów. Zatrzymał się, gdy zobaczył wycelowaną w siebie broń. W jego ruchach nie było nawet śladu intencji, ani krzty informacji, którą Cooper mógłby wykorzystać dzięki swemu darowi. Był spokojny jak toń stawu.

Czyżby? No to zrobmy fale.

Cooper wymierzył, wypuścił powietrze z płuc i nacisnął język spustowy. Strzelba podskoczyła w jego rękach.

Gdy tylko drgnął jego palec, Soren zawirował jak tancerka, zrobił dwa błyskawiczne kroki i zatrzymał się, uśmiechnięty i nietknięty.

Szpony strachu wbijały się coraz głębiej. Cooper wiedział, że czas zerowy Sorena to 11.2. Ułamek sekundy potrzebny do naciśnięcia spustu rozciągał się niemożliwie w oczach zabójcy, zmieniał w sekundy, więcej niż wystarczające do oceny położenia broni.

W zasadzie nie było to unikanie kul, ale...

To jest klasyczna pompka, strzelba taktyczna marki Remington. Siedem nabojów.

Dopadniesz go, strzelając dostatecznie szybko i z pewnym rozrzutem.

Tylko że Shannon strzelała przed chwilą do drona. Ile razy? Pięć?

Powiedzmy, że został ci jeden nabój. Dwa, jeśli masz wyjątkowe szczęście.

...niewiele brakowało. Cooper odskoczył w lewo, wymierzył i zamarkował kolejny strzał, ale Soren nawet nie drgnął. Dylatacja czasowa znowu zrobiła swoje. Próbując markować cokolwiek, zachowywałyby się jak facet o kulach usiłujący zaskoczyć Muhammada Alego świetną pracą nóg.

Gdzieś z tyłu rozległ się trzask, a zaraz potem warkot. Cooper znał ten dźwięk. Szybowce na tym lotnisku startowały, korzystając z potężnych wyciągarek, dzięki którym w ciągu paru sekund pokonywały ponad półtora kilometra. Miał nie więcej niż minutę, nim Shannon, która właśnie wystartowała, poświęci życie, strącając drona - rzecz jasna pod warunkiem, że w ogóle było to możliwe. Gdyby tego nie zrobiła, pojazd

rozpyliłby swój śmiercionośny ładunek, przekreślając wszystkie ich dotychczasowe wysiłki. Nowi Synowie Wolności zabiliby Natalie i dzieci, a wirus dokonałby tego samego z resztą kraju, za który Cooper walczył przez całe życie.

Nie można zwiać. Innych pomysłów brak. Co robić?

Zaszaleć.

Cooper warknął dziko przez zaciśnięte zęby i ruszył na Sorena, trzymając gotową do strzału strzelbę na wysokości talii. Na ułamek sekundy zabójca dał się zaskoczyć i to wystarczyło, by dar Coopera zadziałał. Nie było czasu na mierzony strzał, była tylko nadzieja. Nie zwalniając kroku, nacisnął spust i poczuł przenikliwy ból, gdy odrzut omal nie wyłamał mu nadgarstków.

Soren wykonał gwałtowny półobrót, porwany impetem wystrzału. Gdy znowu spojrzął na Coopera, na jego prawym policzku ziały głębokie bruzdy. Ucho gdzieś zniknęło. Gęsta, ciemna krew spływała po szczęce. Nie uśmiechał się już.

Cooper zastanawiał się przez ułamek sekundy, czy zaryzykować, w nadziei, że pozostał mu jeszcze jeden nabój, ale doszedł do wniosku, że jeśli się pomyli, będzie po wszystkim. Dlatego uniósł, broń wysoko, chwytając ją tym razem za lufę. Nie zważając na to, że rozgrzany metal parzy jego dłonie, zamachnął się nią jak maczugą.

Soren uskoczył w bok i wbił dwa wyprostowane palce w bark Coopera, który poczuł nagle mrowienie w dłoni i mimowolnie rozluźnił uścisk. Strzelba z klekotem wylądowała na ziemi. Spróbował jeszcze wykorzystać impet ataku, by zderzyć się z zabójcą, obalić go na ziemią i wylądować na nim, ale przeciwnika już łam nie było usunął się w porę i podstawił mu nogę. Lądując, Cooper wciąż nie miał czucia w jednej ręce, a drugą nie zdążył zamortyzować upadku. Uderzył twarzą o beton, poczuł jakby impuls elektryczny w zębach i nieznośna jasność rozbłysła mu pod czaszką. Świat podskoczył i na chwilę stał się dwoma światami, niezupełnie dopasowanymi. Zanim rozpracował ten stereoskopowy obraz. Soren chwycił go za włosy, szarpnął głowę do tyłu i raz jeszcze z impetem uderzył nią o beton. Tym razem w głowie Coopera eksplodowały fajerwerki.

Ciało wydawało mu się dziwnie dalekie i drżące. Nic w nim nie

działało jak należy, lecz mimo to spróbował wstać; musiał wstać, bo kto leży w walce, ten ginie, ale jakiś ciężar dociskał jego ramię. Stopa Sorena. uświadomił sobie, usiłując się podnieść, a gdy to się nie udało, zdołał przewrócić się na plecy.

Przez chwilę Soren tylko spoglądał na niego z góry; czarna sylwetka na tle płonącego miasta.

A potem pochylił się, dobywając myśliwskiego noża.

- Pamiętasz może - zagadnął - jak potraktowałeś Samanthę?



Lina prężyła się przed nosem szybowca, skorupa z włókna węglowego mknęła po betonie, a powietrze ze świstem opływało skrzydła. Wydawało się, że maszyna pojękuje z tęsknoty za niebem; wreszcie lekkie podskoki ustały, koła oderwały się od ziemi i wszystko się uspokoiło. Wyciągarka nadal pracowała, pozwalając szybowcowi nabrać wysokości i wyprzedzić drona. Chwilę potem lekkie szarpnięcie zasygnalizowało moment odłączenia liny. Shannon jak zawsze miała wrażenie, że siedzi w papierowym samolociku rzuconym silną ręką i że jej żołądek pozostał daleko w tyle.

W normalnej sytuacji zapewne wykorzystałaby rozpęd z chwili startu do uzyskania maksymalnego pułapu. Niebo nad tym skalistym pustkowiem było wprost stworzone dla szybowców: silne wiatry i prądy powietrzne pozwalały zdolnym pilotom pozostawać w powietrzu przez długie godziny. To jednak nie miała być przyjemna wycieczka, a czasu było niewiele. Shannon zacisnęła dłonie na drążku i pewnym ruchem położyła maszynę na prawym skrzydle, by wykonać nawrót niespełna sto metrów nad ziemią.

Nie wzbiła się wysoko, lecz i stąd rozciągał się wspaniały widok na piekło.

Tesla nie była jej domem, lecz Reduta tak. Spoglądając z góry na oblężenie stolicy, czuła się tak jak mieszkaniec Chicago będący

świadkiem szturm nieprzyjaciół na Waszyngton. Łatwo było dostrzec z tej perspektywy linię frontu. Shannon miała wrażenie, że spogląda na aktualizowaną na bieżąco mapę, podobną do tej, którą miała w tablecie. Różnica polegała na tym, że nie plamy koloru ujawniały położenie walczących, a rozbłyśki wystrzałów, z daleka przypominające spalające się drobiny prochu, które ktoś rozrzucił mniej więcej po okręgu. Atakujący niczym nie różnili się od obrońców: byli mrówkami w śmiertelnym starciu; niektórzy strzelali z ukrycia, inni walczyli wręcz na ulicach, a wszystko to rozświetlały niezliczone ogniska pożarów, wybuchające koktajle Mołotowa oraz płonące barykady i, jak zauważyła, pierwsze budynki. Widok przesłaniały coraz liczniejsze słupy czarnego, oleistego dymu oraz chmury popiołu. Panorama miasta zaczynała przypominać obraz Boscha: plamy krwistej czerwieni ognia i czarnych oparów, a wszędzie, jak okiem sięgnąć, horror agonii.

Shannon oderwała oczy od piekielnego pejzażu za owiewką i odszukała wzrokiem pas startowy. Gdzieś tam Nick miał się zmierzyć z Sorenem. Pomodliła się w duchu za niego

i skupiła się na poszukiwaniu drona. Maszyny tego typu budowano z myślą o tym, by nie rzucały się zbyt w oczy. Nie posiadały świateł pozycyjnych ani połyskujących elementów, ale zdradzał je sam ruch i dlatego Shannon nie potrzebowała wiele czasu, by namierzyć cel, który także zdążył się wzbić w powietrze i szybko nabierał wysokości. Szybowiec wystartował szybciej tylko dzięki wyciągarce, ale pozostałe atuty były po stronie drona. Przede wszystkim miał własny napęd, co oznaczało i lepszą zwrotność, i — łąda chwila - większą prędkość. Jeżeli miała go doścignąć, musiała to zrobić natychmiast.

Zwłaszcza że zmierza do nieodległego celu.

Pomknęła w dół, zyskując prędkość kosztem wysokości. Nie było w tej taktyce niczego nadzwyczajnego, może poza tym, że nikt nie stosował jej tak nisko nad ziemią. Gdyby pilotowała myśliwiec odrzutowy z działkami pokładowymi i pociskami kierowanymi, po prostu zablokowałyby celownik na umykającym dronie i strąciła go jednym strzałem. Niestety, tak nie było. Zresztą nie umiałaby latać samolotem bojowym.

Dron leciał na niższym pułapie. Skierowała ku niemu nos

szybowca, starając się dobrze skalkulować punkt przecięcia kursów. Dzielała ich odległość kurczyła się w oczach. Wiatr z rykiem opływał smukły kadłub maszyny, a skrzydła z cichym pomrukiem znosiły napór powietrza.

Wiedziała, że ma tylko jedną próbę. Jeśli chybi, przy odrobinie szczęścia zdoła wyrównać lot i wznieść się na bezpieczną wysokość, lecz wtedy dron znajdzie się poza jej zasięgiem. Sterowała płynnymi ruchami, jakby mechanizmy ukryte w szybowcu były przedłużeniem jej ciała. Manewrowanie w powietrzu przychodziło jej z równą łatwością jak precyzyjne ruchy kończyn na ziemi. Sylwetka drona rosła błyskawicznie. Gdy rozpoczął szeroki nawrót, natychmiast skopiowała jego ruch, szukając nowego punktu przecięcia trajektorii.

Dziesięć sekund.

Soren, który wypuścił drona, z pewnością mógł nim zdalnie sterować. Gdyby Cooper zdołał przejąć kontrolę nad maszyną, pewnie spróbowałby sprowadzić ją na ziemię.

Shannon wpatrywała się w cel. prawie nie mrugając. Dron był z każdą sekundą większy. Dostrzegała też coraz więcej szczegółów: strumienie pary u dysz silników, numer na ogonie, szwy na szerokich płatach skrzydeł. Wyobrażała sobie, jak silniki gubią rytm i gasną, a maszyna rozbija się na rozkaz nadany z ziemi. Wyobrażała sobie też potężną eksplozję zbiorników z paliwem, na komendę samozniszczenia.

Pięć sekund.

Silniki nie zgasły.

Cztery.

Dron się nie rozbił.

Trzy.

Zbiorniki nie wybuchły.

Dwa.

No dalej, Nick. Nie zmuszaj mnie do tego.

Jeden.



Cooper widział wszystko jak przez mgłę i z każdą chwilą gorzej. Miał wrażenie, że ktoś ściska mu mózg imadłem, że doświadcza najgorszego kaca w życiu, a serce bije mu w rytmie krystalicznej agonii. W ustach miał posmak miedzi, a z odsłoniętego nerwu w ułamanym zębie promieniował przenikliwy ból. Odgłosy bitwy jakby przycichły; zagłuszył je jego rzeźący oddech. Machnął niezdarnie pięścią, gdy Soren przyklęknął, by go unieruchomić, ale nie było w tym ciosie należytej siły i przeciwnik bez trudu odtrącił jego rękę, a potem przycisnął kolanami barki leżącego. Był to manewr zwycięzcy podwórkowej bijatyki i w normalnej sytuacji Cooper skontrolowałby go bez trudu, ale był tak słaby, że nie znalazł nawet punktu podparcia, by się podnieść. Zresztą bez względu na to, jaki ruch zamierzał wykonać, riposta była natychmiastowa i skuteczna.

Soren był szczupły, a jego rzepki kościste i nieprzyjemnie było czuć je na ramionach. Połowę jego twarzy pokrywała krew; ściekała też po szyi i wsiąkała w koszulę. Z potwornej rany prześwitywała kość policzkowa, a obok niej strzępy rozdartych mięśni. Płomienie tańczyły w oczach zabójcy oraz na klindze jego noża, podobnej teraz do żywej istoty. Cooper spróbował zrzucić z siebie ciężar, lecz Soren wyczuwał już wstępne napięcie jego mięśni i miał mnóstwo czasu na to, by przesunąć nieco ciężar ciała.

- Zaczęłeś od jej oka - powiedział.

Bardzo powolnym, wręcz teatralnym ruchem zaczął opuszczać nóż, dając Cooperowi dość czasu na rozmyślanie o tym, jak bardzo będzie bolało rozcinięcie ciała i jak nieprzyjemnie będzie rozstać się z okiem. I może jeszcze o tym, czy wyłuskane z oczodołu oko nadal będzie widziało ten horror. Dron odleciał. Milicja zwyciężała w bitwie. Natalie czekała śmierć. Oprawcy mieli wkrótce wywlec jego dzieci z bunkra i zamordować je z zimną krwią w sercu płonącego miasta oraz świata osuwającego się w mrok. On zaś nie mógł uczynić absolutnie nic, by temu zapobiec. Soren znowu go pokonał, równie łatwo jak poprzednim razem, z tą różnicą, że teraz nie zamierzał się spieszyć. Cooper widział satysfakcję malującą się na jego twarzy, szaleństwo w oczach, a także

zapowiedź rozkoszy, którą miało mu przynieść zadanie ostatecznego ciosu cywilizacji, która na ich oczach waliła się w gruzy.

Nóż wolniutko dryfował w dół. Wreszcie czubek ostrza musnął czule policzek Coopera, a potem go przebił. Zazgrzytał o kość tuż pod okiem. Ból był tym trudniejszy do zniesienia, że towarzyszył mu strach. Cooper wiedział, co się zaraz stanie, niemal widział, jak ostrze zagłębia się w jego głowę, jak przynosi cierpienie i nieuniknioną śmierć.

I wtedy błękitna kula eksplozji rozświetliła niebo jak błyskawica.

Przez chwilę Cooper sądził, że właśnie stracił oko, ale nie, Soren także widział ten wybuch. Patrzył w niebo, a niebieskawa poświata rzeźbiła w mroku jego nieprzeniknione oblicze i usta, które układały się z wolna, by powiedzieć...

Identyczne światło towarzyszyło eksplozji pierwszego drona. Tak się spala ciekły wodór.

Soren patrzy, ale w jego twarzy nie widzę ani zaskoczenia, ani irytacji, to nie to.

To rozpacz.

Shannon strąciła drugiego drona. Oddała życie, żeby tego dokonać.

I żeby dać ci sposobność.

Zamierzasz zmarnować tę szansę?

- Nie!

Wymówili to słowo w tej samej chwili, lecz podczas gdy Soren pograżył się we własnym, spowolnionym czasie i patrząc w niebo, widział pełnię swej porażki, Cooper siłą woli wyrzucił z umysłu wszystkie myśli o Shannon. Wiedział, czego od niego oczekiwała, że nie zmarnowała życia, tylko je ofiarowała, a on musiał tę ofiarę uhonorować. Zebrał siły i rzucił biodrami z zaskakującą mocą, jednocześnie uwalniając ramiona, by chwycić nadgarstek Sorena i powstrzymać nóż. Przeturlali się na bok i tym razem to zabójca znalazł się pod spodem. Cooper dosiadł go i wykręcił mu rękę. Soren próbował jeszcze walczyć, ale inercja i siła były teraz po stronie jego przeciwnika. Cooper napał mocniej na jego nadgarstek i oto broń obróciła się wolno, a ostrze dotknęło miękkiej tkanki podgardla. Skóra napięła się, a potem nagle ustąpiła, gdy Cooper huknął drugą ręką w główkę rękojeści,

wprowadzając klingę głęboko w ciało, przez język, podniebienie i dalej, do mózgu. Soren zadygotał spazmatycznie raz, potem drugi, a gdy Cooper pochwycił rękojeść oburącz i obrócił, nareszcie skołał.

Zwycięzca opadł bez siły na pierś pokonanego zabójcy; jego ramiona drżały z wysiłku, niemal bezwładne. Po chwili jednak coś w nim pękło i z jego płuc wyrwał się dziwny, przeciągły krzyk. Nie przypominał ludzkiego głosu, był raczej zwierzęcym wyciem wściekłości, bólu, ale i triumfu.

Wreszcie Cooper odepchnął się od betonu i ciężko powstał.

Gdzieś za końcem pasa startowego błękitne płomienie tańczyły jak demony pośród strzępów metalu i plastiku, które spadły z nieba.

Zaczerpnął tchu i zmusił stopy do ruchu. Każdy krok był balansowaniem na granicy upadku, ale nie przestawał i po chwili biegł już truchtem. Bolało go absolutnie wszystko. Przed oczami wirowały mu czarne plamy, choć przecież płomienie, do których się zbliżał, buchały coraz jaśniej, coraz goręcej. Najpierw ujrzał przed sobą wrak drona - skrzyconą rzeźbę z ognia, rozżarzoną tak bardzo, że cofnął się instynktownie. Nie, ta maszyna go nie obchodziła.

Ruszył dalej, mijając luźne fragmenty szybowca - skrzydło o kropłowym profilu, nietknięty ogon wbity na nowo w ziemię i gumową oponę rzygającą kłębamii czarnego dymu. Kadłub był złamany; jego przednia część leżała nieco dalej, brzuchem do góry. Cooper znowu zaczął biec. Szarpnął za uchwyt i natychmiast cofnął poparzone dłonie, przemógł się jednak, wstrzymał oddech i spróbował raz jeszcze, nie bacząc na skwierczenie parzonej skóry. Jednym ruchem otworzył kokpit.

Shannon wisiała w pasach głową w dół. a jej tułów otaczała szczelnie biała substancja przypominająca styropian, która właśnie zaczynała się rozpuszczać. Pianka zderzeniowa. Patrzył, jak ścieka na beton, czując, że i w jego sercu coś mięknie, coś bardzo ciepłego.

Uchyliła powieki i spojrzała mu w oczy.

- Aua.
- Pieprzona wariatka - szepnął i roześmiał się nerwowo.
- Myślałem, że już po tobie.
- Nie - stęknęła. - Niezupełnie.

Trudna to była sztuka, ale zdołał rozpiąć poparzonymi palcami jej pasy. Poczuł w ramionach ciężar Shannon i razem opadli na ziemię, otoczeni kałużą bulgocącej pianki.

Przez chwilę leżała w jego objęciach i dyszeli coraz spokojniej, oświetleni błękitem niegasnących płomieni.

- Nie chciało ci się założyć spadochronu? - spytał wreszcie.

- Staromodnie kombinujesz, Cooper. - Uśmiechnęła się, a on zgiął kark, żeby ją pocałować, nie zwracając uwagi ani na rwanie w obitych żebrach, ani na ból złamanego zęba.

Kolejna eksplozja podrzuciła wrak drona w powietrze. Rozdzielili się instynktownie, gdy lądował na betonie.

- Soren? - spytała niespokojnie Shannon.

- Załatwiony.

- To dobrze. — Poruszyła się i skrzywiła z bólu. — Zdaje się, że mam złamaną nogę.

- No to masz nauczkę. - Uśmiechnął się i wstał, a potem podniósł ją ostrożnie. Zarzuciła ramię za jego szyję i poczuł dotyk jej miękkiego, ciepłego ciała.

- Wygraliśmy - powiedziała.

- Prawie. Zostaje jeszcze jedna sprawa.

- Co takiego?

- To, o czym mi marudzisz, odkąd się poznaliśmy. - Zrobił niepewny krok naprzód, a gdy przekonał się, że da radę, zrobił następny. Pocałował skroń Shannon. Pachniała dymem i potem. - Trzeba powiedzieć prawdę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

W blasku karabinowego wystrzału mężczyzna klęczący na ulicy wyglądał jakby inaczej niż pozostali. Przede wszystkim był starszy - miała przed sobą pięćdziesięcio-, a może nawet wyjątkowo sprawnego sześćdziesięciolatka. Ale to nie wszystko. Natalie miała wrażenie, że dostrzega w nim wyjątkowy spokój. Strzelił tylko raz i nie była to seria. Inni działali zapalczywie, czy to z wściekłości, czy z bólu, on zaś miał w sobie spokój zabójcy, jakby ta upiorna scena była jego domem.

Przerażał ją. I dlatego gdy już skierowała celownik w miejsce, w którym przykłęknął, nie wahała się. Nacisnęła spust i wystrzelała wszystkie naboje, które pozostały jej w magazynku. Kule odbiły się rykoszetem od betonu, nawet od jego karabinu i choć nie miała stuprocentowej pewności, wydawało jej się, że widziała, jak upadł.

Rozciągnięta na podłodze, wyjęła pusty magazynek i sięgnęła po nowy, lecz torba była pusta. Skrzywiła się niezadowolona.

- Jolene?

Obejrzawszy się, ujrzała, że Jolene także leży na podłodze, tyle że z rozrzuconymi ramionami i dziwnie spokojnym obliczem. Trzymając się nisko, pospieszyła do niej. Nie musiała sprawdzać pulsu. W czole Jolene widniała okrągła dziura.

Natalie poczuła, że coś w niej pękło. Nie znała tej kobiety długo, ale walczyły ramię w ramię i to połączyło je bardziej niż cokolwiek, co znała z dawnego życia. Podobnie jak ona, Jolene nie przyszła tu z powodu swoich poglądów ani żeby ratować Teslę; nie chodziło jej nawet o to, by bronić własnej skóry. Walczyła dla dziecka. Drżąc, Natalie odetchnęła głęboko. Położyła dłoń na oczach Jolene i zamknęła jej powieki. A potem zabrała resztę amunicji swej martwej towarzyszce i podbiegła do kolejnego okna.

W chwili, gdy wyjrzała na zewnątrz, z ulicy trwał ost rzał z co najmniej tuzina luf - tyle ogników naliczyła w oddali. Przykucnęła, by zapanować nad drzeniem rąk. Wokół budynku klębili się wrogowie; biegali w tę i z powrotem, tacy pewni siebie. Po raz pierwszy od bardzo dawna Natalie odważyła się rozejrzeć wokół siebie.

Gdy zaczynał się atak, było ich ośmioro, rozrzuconych po całym piętrze. Ośmioro mężczyzn i kobiet, w tym Jolene, Kurt i pulchna dziewczyna z pieskiem. Jolene już nie było, Kurt przepadł bez wieści, a piesek skomlał i drapał ciało martwej właścicielki. Wszystko wskazywało na to, że Natalie została sama.

Ich linia obrony zawiodła. Nowi Synowie Wolności przebili się dalej, ominęli jej budynek. Walka była skończona.

Tego akurat nie wiesz.

Dostali w tej dzielnicy solidne lanie; ale może reszta miasta miała więcej szczęścia? Natalie musiała w to wierzyć, bo gdyby sprawy ułożyły się inaczej, gdyby napastnicy wdzierali się do centrum ze wszystkich stron jednocześnie, to jak niewiele czasu potrzebowali, by dotrzeć do bunkra, w którym ukrywały się jej dzieci?

Nie ośmieliła się powstać. Popęzła po podłodze, odpychając co większe odłamki szkła i sterty łusek. Z szafy na akta, która była jej bastionem, zostały drzazgi. W metalowych elementach ziały dziury krwawiące strzępami przebitego papieru. Jej tablet był włączony; zostawiła go specjalnie po to, by przeładowując broń, mogła zerknąć na mapę sytuacyjną, choć w praktyce działała w takim skupieniu, że rzadko miała na to czas.

Miasto mieniło się kolorami jak ognisko. Jeśli wierzyć mapie, nie tylko to stanowisko ogniowe zostało utracone. Potyczki trwały praktycznie w całej Tesli. Wieże Epsteina jeszcze się trzymały, ale barwne plamy symbolizujące oddziały milicji zbliżały się do nich ze wszystkich stron.

Przeegrali. Dali z siebie wszystko, ale najwyraźniej zbyt mało.

Natalie spojrzała przed siebie, próbując wymyślić jakieś wyjście z tej sytuacji. Miała niewiele amunicji, a bardzo wielu wrogów. Układ sił w okolicy był płynny, ale w tej chwili wszystko wskazywało na to, że nieprzyjaciel oddzielił ją od dzieci. Nie było mowy, by zdołała przedrzeć się do centrum.

Wyobraziła sobie Nicka w takim położeniu i wiedziała, że przede wszystkim starałby się myśleć. *Walcz, póki cię nie zabiją.* Załadowała świeży magazynek i przygotowała się mentalnie na nową falę ognia.

I właśnie miała wstać, gdy nagle mapa zniknęła z ekranu jej

tabletu. Obraz zamigotał - i to nie tylko w urządzeniu, które miała przy sobie, lecz także w należącym do Jolene i we wszystkich pozostałych, które jeszcze działały na tym piętrze - i pojaśniał, rozświetlając podziurawiony sufit. Ożył także wysoki na trzy metry wyświetlacz zawieszony na ścianie przeciwległego budynku. Co dziwne, na wszystkich ekranach pojawił się ten sam obraz. Surrealistyczny, niemożliwy obraz.

Twarz jej byłego męża.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Zastanawiając się wcześniej nad tym pomysłem. Cooper widział oczami wyobraźni studio trójwymiarowej telewizji-reflektory, makijaż i. co najważniejsze, profesjonalnego mówcę. Może prezentera wiadomości, a może chociaż Jakoba Epsteina. Kogoś, kto żyje z występowania przed kamerami.

- Czas jest istotny — odezwał się z ekranu Erik. Podglądał go przez łącze wideo. — I wiarygodność.

- Właśnie. Dlatego powinien wystąpić ktoś. kto przynajmniej wie, co robi...

- Oni nie chcą nas słuchać.

- Ale dlaczego sądzisz, że zechcą słuchać mnie?

- Statystycznie mało prawdopodobne. Szansa na sukces jest jak...

- Dobra - wtrąciła Shannon. - Wystarczy tego podnoszenia na duchu. Erik. Łączy gotowe?

- Tak. Aktywowaliśmy uspionego trojana. Szacuję skuteczność modyfikacji oprogramowania na poziomie dziewięćdziesiąt sześć i cztery dziesiąte procent ekranów użytkowanych w Stanach Zjednoczonych.

- Jezu Chryste — mruknął Cooper.

Shannon opuściła tablet.

- Daj nam sekundę.

Nadal znajdowali się na lotnisku, w hangarze, z którego startowały drony. Światła były włączone i Cooper czuł się pod nimi dziwnie obnażony: sodowy blask skutecznie rozpraszał mrok przedmieść. Nieustające staccato karabinowych wystrzałów dobiegało z oddali i choć wydawało się nieco cichsze, jakoś trudno było wyobrazić sobie, że to dobry znak. Shannon przysiadła na stołku, prostując złamaną nogę. Dar pomagał Cooperowi czytać jej ból z wyjątkową precyzją: odruchowo dostrzegał takie szczegóły, jak krople potu na szyi i zbyt mocno rozszerzone źrenice.

- Dasz sobie radę? - spytała.

- Wiem, że to mój pomysł - odparł, trąc oczy - ale jakoś tak nagle

uświadomiłem sobie, że nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu otwórz usta i pozwól prawdzie przemówić. Wierzę w ciebie - dodała, posyłając mu swój krzywy uśmiech. -Więc nie schrząń sprawy, dobrze?

Zanim zdążył odpowiedzieć, skierowała na niego kamerę wbudowaną w tablet i powiedziała:

- Teraz, Erik.
- Aktywuję.

Cooper odpuścił sobie ripostę i spojrzał w obiektyw. Próbował sobie wyobrazić własną twarz pojawiającą się nagle na ekranach wszystkich tabletów i wszystkich telewizorów w całym kraju. Zaraz też dotarło do niego, że to kiepski pomysł: nagła panika ścisnęła mu żołądek. Niby co takiego miał powiedzieć, by odmienić świat?

Nie mów do świata.

Mów do Todda i Kate.

- Nazywam się Nick Cooper - zaczął. - Jestem... byłem żołnierzem, a potem agentem Departamentu Analiz i Reagowania, doradcą prezydenta Claya i ambasadorem w Nowym Kanaan. Jestem nienormalnym, jestem patriotą, a nade wszystko jestem ojcem walczącym o swoje dzieci. - Zaczerpnął tchu i wolno wypuścił powietrze. Poczul coś na kształt porażenia prądem — ułamany ząb zareagował potwornym bólem na zimne powietrze. - Trzydzieści lat temu świat się zmienił. Nie prosiliśmy o to. Nie spodziewaliśmy się tego. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku próbujemy jakoś sobie poradzić z nową sytuacją. Prawdę mówiąc, marnie nam idzie.

Ostatnio zaś obie strony zdają się myśleć, że wojna to jedyny sposób na to, by dowieść swojej racji. Tyle że słowa „racja” i „wojna” nie mają ze sobą nic wspólnego. Wojna bywa czasem koniecznością, ale nigdy etycznym rozwiązaniem problemu. Wojna jest niemoralna. Zawsze. — Cooper pomyślał o swoich dzieciach, skulonych gdzieś w kącie schronu. O odrzutowcach spadających z nieba i o pociskach burzących Biały Dom. O Sorenie uwięzionym w wirtualnym piekle, które potrafił sobie wyobrazić. — Wojna czyni z nas wszystkich potwory. Co gorsza, nad wojną nie da się zapanować. Nie ma w niej żadnych zasad, żadnych ograniczeń. Wmawiamy sobie, że walczymy dla

naszych dzieci, ale prawda jest taka, że to nasze dzieci cierpią najbardziej.



Todd i Kate siedzieli razem na pryczy, wpatrzeni w ekran. W bunkrze było jasno i zwykle bardzo głośno, bo wszystkie dzieci próbowały rozmawiać jednocześnie. Jednakże teraz panowała zdumiewająca cisza: dzieciaki milczały, spoglądając na wyświetlacze swych tabletów albo naścienne monitory.

Todd z wrażenia ledwie oddychał. Tata. Tata żył! Wyglądał fatalnie z opuchniętymi ustami, brudną twarzą, raną pod okiem i zakrwawionymi zębami, ale żył.

- Mądra kobieta powiedziała mi kiedyś - kontynuował ojciec - że nigdy nie byłoby wojny, gdyby ludzie nie powtarzali wciąż w telewizji, że jest. W tym konflikcie nie chodzi o to, co nas różni. Chodzi o nasze kłamstwa. Muszę w to wierzyć. Muszę wierzyć, że mówiąc prawdę, jesteśmy w stanie powstrzymać to, co się dzieje. Nie prawdę polityków, nie prawdę terrorystów, nie tę cząstkową prawdę, która służy naszej wygodzie. Trzeba nam mówić całą prawdę, nawet tę, która zaboli. Jesteśmy odmienni i nie jest nam łatwo poradzić sobie z tą innością. Wszyscy czujemy strach. Wszyscy cierpimy. A przecież większość z nas chciałaby po prostu żyć. Nie chcemy wychodzić na ulice: chcemy przeżyć swój dzień, a wieczorem napić się piwa i pobawić z dziećmiakami.

Kate zaczęła się wiercić, a gdy Todd na nią spojrział, ujrzał jej szeroko otwarte, wilgotne oczy.

- Mówiłam ci, że nas obroni - powiedziała.
- Ciii. - Wytarł jej nos, otoczył ją ramieniem i pochylił tablet tak, by lepiej widziała tatę.

- To, co się dzieje, nie dzieje się daleko stąd i nie dotyczy ludzi, których nigdy nie spotkamy - ciągnął Cooper. - To, co się dzieje, dotyka

nasze dzieci. Wiemy, że to coś złego, ale pozwalamy sobie ignorować tę prawdę. Są ludzie, którzy postanowili wykorzystać ten stan rzeczy. Ekstremiści po obu stronach, pożądamy władzy. Niektórzy z nich sądzą, że rozumieją sytuację lepiej niż wy. Inni są po prostu wystraszeni. Ale ich motywy nie mają znaczenia. Chodzi o to, że nasz łoś jest fanatykom obojętny i jeśli tylko pozwolimy im na to, popchną nas do wojny dla własnych celów. Mówię o ludziach takich jak John Smith. Oraz sekretarz obrony Owen Leahy.



Stojąc przy umywalce w męskiej toalecie, Leahy zeszywniał, a jego żołądek napełnił się kwasem. Gdy naścienny telewizor zaczął ni stąd, ni zowąd transmitować przemowę Nicka Coopera, sekretarz obrony siedział właśnie na sedesie. Podtarł się czym prędzej, spuścił wodę i teraz stał przed ekranem jak skamieniały.

- Obaj powiedzieliby wam — kontynuował Cooper—że walczą dla swego kraju. Może nawet w to wierzą. Ale tym, czego naprawdę pożądamy, jest wojna. Przeciwno takim fanatykom mamy tylko jedną broń: prawdę. Oto ona.

To niemożliwe, pomyślał Leahy. Sztuczka nienormalnych. Cooper nie żyje. Został zamordowany kilka tygodni temu.

- Kilka miesięcy temu ekipa badaczy odkryła biologiczne źródło daru. Co więcej, opracowała też metodę replikacji tego zjawiska. Poszukiwania trwały trzydzieści lat i od początku wiadomo było, że mogą na zawsze odmienić przyszłość ludzkości. To wielki triumf nauki, który należy do nas wszystkich i który należy wychwalać pod niebiosa. Tymczasem wyniki badań zostały utajnione, a w pościg za naukowcami ruszyli i funkcjonariusze rządu, i terroryści. Ostatecznie wpadły w ręce Johna Smitha. Największe odkrycie w dziejach ludzkości zostało natychmiast zamienione w broń. Smith wykorzystał serum daru, by stworzyć wirusa, który, gdyby został uwolniony, spowodowałby śmierć

setek milionów ludzi. Taka jest prawda, ale to jeszcze nie wszystko. Dziś, gdy armia morderców zmierzała w kierunku jego miasta, Erik Epstein próbował błagać panią prezydent o łaskę. Niestety, nie mógł się z nią połączyć.

Twarz Coopera zniknęła, a na podzielonym ekranie ukazali się Erik i Jakob Epsteinowie z jednej strony, a sekretarz obrony z drugiej. *Ta dzisiejsza rozmowa, pomyślał Leahy. O nie. Nie...*

Erik: Poddajemy się. Bezwarunkowo.

Leahy: Nie sądzi pan, że trochę za późno na to? Zamordowaliście siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy. Zniszczyliście Biały Dom. Zabiliście nam prezydenta.

Erik: W samoobronie. Wydano rozkazy ataku, zbombardowania naszego miasta...

Leahy: Wiem. Sam je wydałem.

Nagranie zostało zatrzymane na niezbyt pochlebnym zbliżeniu, ukazującym chłodny uśmiech sekretarza.

Na ekranie znowu pojawił się Cooper.

- To także jest prawda. Nasze życie jest dla tych ludzi jak zeton do pokera. Toczyli swoją grę w restauracji Monocle. Podkładając ładunki w gmachu giełdy. Grają i teraz, gdy wściekły tłum pali miasto niewinnych ludzi. A wszystko to w imię kłamstw. Zarówno normalni, jak i obdarzeni stoją dziś nad otchłanią. A jednak jest jeszcze czas, by dokonać wyboru. Krótki czas. Wciąż jeszcze możemy znaleźć sposób na to, by razem kroczyć naprzód. - Cooper umilkł na chwilę. - Możemy też kontynuować walkę. Wy, którzy mnie oglądacie, możecie nadal siedzieć cicho i patrzeć, jak Tesla obraca się w ruinę, a tysiące obdarzonych i ich bliskich padają ofiarą masakry. Tylko nie sądźcie, że to oznacza zwycięstwo. Ktoś zawsze przeżyje i zemści się, atakując z tym większą zaciekłością. Rozlew krwi prowadzi do rozlewu krwi. Aż w końcu unicestwimy się wzajemnie.

Cooper znowu milczał, a prócz jego twarzy widać było na ekranie daleką łunę błękitnych płomieni. Z oddali dobiegał stłumiony odgłos wystrzałów.

— A przecież stać nas na więcej — rzekł wreszcie. — Potrafimy i musimy być lepsi.

Chwilę później obraz przygasł, a potem na ekranach ponownie pojawili się prezenterzy stacji informacyjnych, spoglądający po sobie w zdumieniu.

Leahy patrzył na swoje drżące dłonie. Tak staro wyglądały. Jakaś cząstką umysłu pragnął uciec, ale gdzie miałby się schronić? Nie było tu nawet okna, przez które mógłby się wydostać, a za drzwiami nie czekał samochód gotów wywieźć go w bezpieczne strony.

Będziesz blefował dalej, wyłgasz się z tego. Dasz sobie radę. To nie pierwszy raz.

Odetchnął głęboko i wyszedł z toalety.

Największą salę konferencyjną w całym kompleksie Camp David zamieniono w pokój sytuacyjny. Wokół stołu siedzieli kluczowi doradcy, członkowie rządu, dowódcy sił zbrojnych. Dwadzieścia par oczu patrzyło teraz na sekretarza obrony, a na tuzinie ekranów szalała bitwa o Teslę.

- Pani prezydent, mogę wyjaśnić...

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadła ekipa mężczyzn w ciemnych garniturach.

Wszyscy czterej rozglądali się czujnie i wszyscy trzymali dłonie pod rozpiętymi marynarkami.

- Zatrzymać sekretarza Leahy'ego pod zarzutem zdrady stanu - powiedziała Ramirez.

Agenci Secret Service spojrzeli po sobie, po czym wyjęli pistolety i ruszyli w stronę Leahy'ego.

- Pani prezydent, to głupota... - zaczął.

- Jeżeli będzie się opierał - dodała prezydent - zastrzelcie go. -

To rzekłszy, zwróciła się do siedzących wokół stołu: -Połączcie mnie z Epsteinem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

- A przecież stać nas na więcej. - Twarz Coopera miała trzy metry wysokości. - Potrafimy i musimy być lepsi.

Nagranie dobiegło końca i na ekranie ukazała się twarz prowadzącej, kobiety o ciepłym spojrzeniu ukrytym za grubymi okularami.

- Od trzech dni, bo tyle właśnie minęło od chwili, gdy były agent DAR Nicholas Cooper wystąpił z gorącym apelem do swych rodaków, trwają nieustanne negocjacje między rządem Stanów Zjednoczonych a władzami Reduty Nowe Kanaan. Nasze źródła w gabinecie prezydenckim donoszą, że nastąpiła, cytuję, „nowa era otwartej komunikacji i przyjaźni”. Wprawdzie nie doszło jeszcze do podpisania porozumienia, ale przewiduje się, że jeden z jego punktów dotyczyć będzie ujawnienia szczegółów technicznych tak zwanej terapii Couzена-Parka. czyli procesu, który pozwala na replikację darów u osób...

Erik Epstein gestem zmienił kanał.

- ...przybycie transportu więźniów, wśród których znalazł się generał w stanie spoczynku Samuel Miller. Miller, który ogłosił się przywódcą milicji znanej jako Nowi Synowie Wolności, będzie sądzony jako zbrodniarz wojenny. Jego aresztowanie wzbudziło jednak kontrowersje, podobnie jak powszechna amnestia, obiecana wszystkim członkom milicji, którzy złożą broń...

Kolejny gest, kolejny kanał.

- ...czterdzieści pięć minut później nad Tesłą pojawiły się myśliwce. Wcześniej wmawiano obywatelom, że interwencja wojskowa jest niemożliwa. Według oficjalnej wersji wydarzeń to sekretarz obrony Owen Leahy miał rzekomo wyolbrzymić skutki degradacji technicznej sił zbrojnych USA, by ułatwić Nowym Synom Wolności atak na Redutę. Ale jak głęboko sięgał ten spisek? Skąd pewność, czy sama prezydent Ramirez nie brała udziału w procesie decyzyjnym, a do działania przystąpiła tylko za sprawą owej pirackiej transmisji wideo?

Gest.

- ...zgadzam się, że przemówienie pana Coopera było poruszające, ale mam wrażenie, że ludzie generalnie ignorują pewien istotny fakt, a mianowicie to, że nienormalni włamali się do wszystkich urzędów odbiorczych w Ameryce. To nie tylko naruszenie prywatności na masową skalę, lecz także akt przestępczy wykorzystujący tę samą metodologię działania, co znany nam wirus komputerowy, który doprowadził do śmierci siedemdziesięciu pięciu tysięcy żołnierzy oraz zniszczenia Białego Domu.

- To prawda, czy nie o to właśnie chodzi? Ich przewagę techniczną po prostu należy przyjąć do wiadomości. Gdyby nie zatrzymano Nowych Synów Wolności, Reduta mogłaby wykorzystać to w sposób agresywny, by...

Gest.

- ...media usiłują zrobić z Nicka Coopera istnego herosa, a tak naprawdę to zwykły zabójca. Uśmiercał ludzi na zlecenie DAR. Otwarcie przyznaje, że zamordował aktywistę i pisarza Johna Smitha. I tylko dlatego, że sam nazywa Smitha terrorystą, mamy nagle wiwatować na...

- Mam serdecznie dosyć siebie — powiedział Cooper. -Mógłbyś mnie wyłączyć?

Erik uśmiechnął się i wyciszył fonię, a potem obrócił się, wkładając ręce do kieszeni swej bluzy od dresu. Za jego plecami, powyżej i po obu bokach unosił się tuzin ruchomych hologramów. Helikoptery krążyły nad ulicami Tesli. Tysiące demonstrantów zgromadzonych wokół stawu przy Mauzoleum Lincolna potrząsa transparentami. Owen Leahy w kajdankach. Ethan Park w eleganckim garniturze, dyskutujący z kolegami na tle wirujących helis DNA. Robotnicy porządkujący gruzowisko siedziby DAR. Bracia Epsteinowie w błyskach fleszów - Jakob jak zawsze gładki. Erik jakby dopiero wstał po nocy spędzonej w ubraniu. Oraz zawsze i wszędzie nagranie poobijanego Coopera przemawiającego na tle błękitnych płomieni.

Tamtej nocy, gdy Shannon wreszcie wyłączyła tablet, przez długą chwilę po prostu patrzyli sobie w oczy - znużeni do szpiku kości, wyciśnięci jak cytryny, niezdolni do ruchu. Doprawdy fatalne było to uczucie. Niespełna kilometr dalej wciąż trwała bitwa, słychać było

strzały. Gdzieś tam walczyła i Natalie, tam też jego dzieci były w niebezpieczeństwie, a on nie mógł dla nich zrobić absolutnie nic. A ściślej mówiąc, mógł tylko czekać i mieć nadzieję.

Minęło kilka minut, zanim zadzwonił jego telefon, a były to najdłuższe minuty w jego życiu. W słuchawce odezwał się głosik Millie. Brzmiał lekko - od dawna nie słyszał jej w takim nastroju. Zameldowała, że Erik rozmawiał z panią prezydent i że osiągnęli wstępne zbliżenie stanowisk.

- Ale czy naprawdę mogą sobie ufać?

Zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Tak. Sądzę, że mogą.

Wkrótce potem przy wtórze huk dopalaczy i warkotu wirników nadciągnęła kawaleria. Głośniki umocowane na płozach nawoływały walczących do złożenia broni. Surowe głosy zapewniały armię na ziemi, że ta nadciągająca z powietrza jest uzbrojona po zęby i gotowa otworzyć ogień.

Był to bluff. Degradacja sił zbrojnych posunęła się tak daleko, że jedynie na bezpośredni rozkaz prezydenta dowódca Bazy Sił Powietrznych Ellsworth w ogóle odważył się poderwać maszyny. W żadnej z nich nie było ani jednej bomby. Na szczęście Nowi Synowie nie mieli o tym pojęcia. Poza tym, bez względu na to, kim jeszcze byli, jedno było prawdą: byli patriotami. Sam generał Miller od początku motywował ich właśnie tym argumentem: przekonywał, że są twardymi obrońcami, których potrzebuje Ameryka. Z pewnością była wśród nich pewna grupka psychopatów, lecz wobec bezpośredniego rozkazu prezydenta — nie wspominając o pozornej potędze Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych - nawet ci skapitulowali.

Prezydent Ramirez obiecała pełną amnestię wszystkim bojownikom z obu stron konfliktu — prócz generała Millera, którego najwyraźniej zamierzała powiesić wraz z Owenem Leahym - jeżeli natychmiast złożą broń. Ta część układu zupełnie nie leżała Cooperowi; nie mógł się pogodzić z myślą o tym, że ci ludzie, którzy pędzili przed sobą niewinne dzieci, którzy usiłowali zamordować Natalie, Todda i Kate, tak po prostu wrócą do swych domów. Rozumiał jednak, że sam nawoływał do kompromisu, a w naturze kompromisu leży to, iż nikt nie

jest zeń zadowolony. Właśnie po tym można było poznać uczciwą umowę między zwaśnionymi stronami.

- Testy na lotnisku niczego nie wykazały?
- Wirus grypy ginie w temperaturze od siedemdziesięciu pięciu do stu stopni Celsjusza. Palący się wodór osiąga temperaturę dwóch tysięcy stopni.
- I nie znaleziono nawet śladowej ilości? Nic się nie wydostało podczas eksplozji, nie przetrwało gdzieś na ziemi?
- Lotnisko zostało poddane kwarantannie i oczyszczone wysoką temperaturą. Brak dowodów na uwolnienie wirusa.

Cooper poczuł ulgę. W owej chwili właściwie nie mieli wyboru, trzeba było zaryzykować, ale później pojawiły się wątpliwości: co będzie, jeśli się okaże, że mimo najlepszych chęci odwalili brudną robotę dla Smitha?

- Jesteś teraz celebrytą- powiedział. - Jedziesz na szczyt z udziałem prezydent Ramirez. Jak się czujesz jako osoba publiczna?

Nienormalny skrzywił się boleśnie.

- Lubię ludzi.
- Wiem, Erik. Wiem. - Cooper uśmiechnął się. - Co o niej sądzisz?
- Prezydent Ramirez działa wyjątkowo skutecznie.
- Rety - mruknął Cooper. - Wysoka ocena. Dopiełście już układ?
- W zarysie. Zostały detale.

O warunkach porozumienia trąbiły wszystkie media. Poza tym, że wyniki prac Ethana miały zostać upublicznione, Reduta Nowe Kanaan zgodziła się usunąć wszelkie szkodliwe oprogramowanie z systemów komputerowych, przestrzegać praw stanowych i federalnych oraz wyrzec się aspiracji do niepodległości. Uznano, że jest integralną częścią Stanów Zjednoczonych Ameryki i taką pozostanie. Ponadto Epstein oświadczył, że przeznaczy połowę swojego majątku na odszkodowania dla rodzin ofiar wirusa Proteusz.

Prezydent ze swej strony zgodziła się zrezygnować z wdrożenia Inicjatywy Nadzoru i Monitoringu, w ramach której planowano chipowanie obdarzonych. „Schroniska dla nienormalnych”, takie jak Przyszań w Madison Square Garden, miały zostać zlikwidowane, a ich

pensjonariusze - natychmiast uwolnieni. Oczekiwano ponadto, że Ramirez wyda rozporządzenie znoszące wszelką dyskryminację obdarzonych. Teoretycznie już Czternasta Poprawka gwarantowała im pełne prawa, ale po tym, co się wydarzyło w ostatnich latach, potwierdzenie jej zapisów konkretniejszymi przepisami było mile widziane.

Pozostało jeszcze tysiąc pytań bez odpowiedzi - o dalsze funkcjonowanie akademii, o przyszłość DAR, o procesy zbrodniarzy wojennych, o przypadki łamania praw autorskich i cyberprzestępstwa, o dostęp do prac Ethana i tak dalej. Każda z tych kwestii miała ogromny negatywny potencjał, mogła stać się zarzewiem kolejnego konfliktu społecznego. Wszak jeszcze żadna bitwa ani żadna przemowa nie sprawiła, że świat przestał się obracać. Jednakże, przynajmniej w teorii, obdarzeni i normalni mieli od tej pory traktować się wzajemnie jak równoprawni obywatele amerykańscy i być jednakowo traktowani przez prawo - a to już było coś.

- A co z pierwszym grudnia? Z żołnierzami i Białym Domem?
Erik spuścił głowę.
- Nie miałem wyboru.
- Trzeba było poddać się już wtedy.
- Statystycznie... - Epstein urwał myśl. - Być może.
- To byli żołnierze amerykańscy. To był nasz prezydent. Nasza historia. Miło, że rozdasz parę miliardów dolarów; koncepcja wzajemnego wybaczenia zawsze świetnie się sprzedaje. Ale nikt jej nie kupuje. Nawet. ja.
- Wina leży po obu stronach. „Zarówno normalni, jak i obdarzeni stoją dziś nad otchłanią”. Twoje słowa. Otchłania: to brzmi przerażająco. I być może wystarczy, żeby doprowadzić do zmian.
- Mam nadzieję - odparł Cooper, wstając z fotela. Podał rękę Epsteinowi. - Za zmianę.
- Za zmianę - powtórzył Erik. ściskając jego dłoń.
- Jutro lecisz do Waszyngtonu?
- Tak.
- Życzę szczęścia.
- Szczęście to nieprecyzyjny idiomatyczny termin. A ty? Dokąd

się wybierasz?

- W dalszej perspektywie? Nie jestem pewny - przyznał Cooper.
- Ale teraz zamierzam zobaczyć się z dzieciakami.

I odbyć rozmowę, przed którą drzę.

- Życzę szczęścia - powiedział z uśmiechem Erik.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

- Tatuś! - pisnęła Kate, rzucając mu się na szyję. Cooper uniósł ją w górę, posadził ją sobie na przedramieniu i poczuł, że wtula twarz w jego ramię, ze wszystkich sił zaciskając rączki wokół jego szyi. Pachniała szamponem i batonem zbożowym. Niemal natychmiast rozpoczęła monolog o tym, jak bardzo za nim tęskniła, choć przecież odwiedził ich ledwie wczoraj, jak to wszystkie dzieci chcą się z nią teraz przyjaźnić, bo stała się sławna, i że przyjaźni się tylko z tymi, które były dla niej miłe już wcześniej, i...

- Cześć, tato — powiedział Todd. Starał się używać swego prawie dorosłego głosu, który zupełnie nie pasował do dziecinnego, szerokiego uśmiechu na jego twarzy. Wyciągnął rękę na powitanie, a Cooper pochwyił ją, przyciągnął syna bliżej i zamknął w mocnym uścisku.

O to walczyłeś. Nie o ideały, nie o kompromisy, nie o jakieś tam lepsze jutro. Walczyłeś o życie tych dwu istot.

- Hej, ty - powiedziała Natalie. Pod jej oczami widać było ciemne półksiężycy, ale uśmiechała się ciepło.

Trzech istot.

- Hej, ty - odpowiedział i zachęcił ją gestem, by dołączyła do rodzinnego uścisku. Wytrwali w nim bardzo długo. Wreszcie rzekł: — Tak sobie myślę, że pewnie się nie zgodzicie...

- Ale na co?

- Nie, to głupota.

- Na co, tatusiu?

- Zastanawiałem się, czy jest szansa... i pamiętajcie, że zawsze możecie odmówić, że na przykład mielibyście chrapkę na burgery i koktajle mleczne?

Dzieciaki natychmiast pobiegły po swoje rzeczy - Todd po czapkę i tablet, a Kate po umorusaną lalkę, nową książkę i „tatusiu, ładny mam szalik?”. Cooper cieszył się każdą chwilą tego ciepła, cierpliwie odpowiadał na pytania i z przyjemnością mierzwił im czupryny. Natalie wydawała mu się daleka, na tyle, że spojrzał na nią z ukosa i już chciał

spytać, czy dobrze się czuje, ale się rozmyślił. Chwycił ją tylko , za rękę i uściśnął.

Rankiem po bitwie starali się nadrabiać miną w obecności dzieci, powtarzać bez końca, że nie było aż tak źle, nie zwracać uwagi na wypalone budynki, na żołnierzy przybywających wielkimi ciężarówkami, na ciała uprzątane z ulic, na swąd spalenizny i plamy krwi. Dopiero gdy położyli dzieci do łóżek, mieli okazję porozmawiać.

Natalie długo opowiadała mu o oblężeniu, z początku spokojnie, a potem jakby mniej: uciekała przed jego wzrokiem, kreśliła palcami kręgi na stoliku i coraz bardziej głuchym tonem mówiła o szczegółach minionego dnia i nocy. O wszystkim, co widziała. O tym, co robiła. O tym, że nie jest pewna, jak wielu ludzi uśmierciła, ale niewątpliwie było ich sporo. O tym, jak celowała, naciskała spust, i jeszcze raz, i znów, i znów, i znów. O tym, że rzucała butelki z benzyną na żywych ludzi, że słyszała ich krzyki, że czuła swąd ich płonących włosów i wreszcie że strzelała do ich towarzyszy, oświetlonych żywymi pochodniami.

Gdy płakała, tulił ją do piersi i szeptał, że już dobrze, ale oboje wiedzieli, że to kłamstwo. Był żołnierzem przez całe życie i nie sam fakt zabijania był dla niego najbardziej bolesny, lecz myśl o tym, że zabijała Natalie.

- Nie miałaś wyboru — powiedział i poczuł, że pokiwała głową.
- Wiem.

Nie, nie zamierzała doznać załamania nerwowego. Nie zamierzała kwestionować wyboru, którego dokonała. Była doskonale świadoma, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Lecz mimo to Cooper dostrzegał w niej jakąś zmianę: jej świat stał się mroczniejszym miejscem. Czuł, że najprawdopodobniej już do końca życia będzie nosiła w sobie to brzemie. Nie w każdym momencie, może nawet niezbyt często. Był to jednak ciężar, którego niepodobna odrzucić.

Zawdzięczasz jej wszystko. Każda z prawdziwie czystych rzeczy, które pojawiły się w twoim życiu, jest zasługą Natalie.

W zamian nie dałeś jej nic prócz strachu i bólu. A jesteś jej winien znacznie więcej.

Czego się nie robi dla swoich dzieci, pomyślał.

Niemal rok wcześniej usłyszał od niej podobne słowa. Znowu

uściskał jej dłoń. Otarła łzy i uśmiechnęła się do niego.

W barze panowało istne szaleństwo - pękał w szwach pod naporem budowlańców, naukowców i żołnierzy. Lecz gdy tylko jedna z hostess dostrzegła Coopera, rozpromieniła się jak kilo uranu i powiedziała:

- Proszę za mną, panie Cooper. Znajdziemy dla państwa miejsce.

Mówiła zdecydowanie głośniejszym głosem niż sobie tego życzył, toteż połowa obecnych odwróciła się, by na niego spojrzeć, wskazać palcem, pozdrowić ruchem głowy albo chociaż unieść kciuk do góry.

- Na Boga - jęknęła Natalie. - To naprawdę pan, panie Cooper? Mogę prosić o autograf? Proszę, proszę, ślicznie proszę!

Pokazał jej palec.

Jedzenie było tłuste oraz pyszne - frytki kruche, burgery dokładnie takie, jakie pamiętał z dzieciństwa, a koktajle niebywale mleczne i czekoladowe. Śmiali się we czworo i dowcipkowali, z łatwością wpadając na nowo w nieco zapomniany rytm życia szczęśliwej rodziny. I tak było dobrze; bardziej niż dobrze.

Gdy zjedli, poszli na spacer. Dokoła trwały rozbiórki uszkodzonych budynków i tumany pyłu unosiły się ku chłodnemu, błękitnemu niebu. Tumany pyłu podobały się Cooperowi znacznie bardziej niż tumany dymu. Trzymali się konsekwentnie centrum miasta, gdzie zniszczenia były najmniejsze. Gdy przechodzili obok placu zabaw, dzieci posłały im pytające spojrzenia, a potem pomknęły do swych rówieśników, żeby bawić się z nimi w berka, którego Cooper nie umiał rozgryźć. Usiadł z Natalie na ławce, ciesząc się jej bliskością i promieniami słońca.

- Kto by pomyślał - powiedziała z uśmiechem. - Wiem, że to tylko plac zabaw, ale mimo wszystko... Bawią się wszystkie razem.

- Myślisz, że długo to potrwa?

- Wolno nam mieć nadzieję, prawda?

Siedzieli razem, z pełnymi brzuchami, obserwując bawiące się dzieci. Była to jedna z owych prostych przyjemności, których Cooper nigdy nie miał dosyć. Czuł, że mógłby tak siedzieć w nieskończoność w przyjemnym, niesamotnym milczeniu. Lecz zamiast tego przemówił:

- Rozmawiałem dziś z panią prezydent.

- Ramirez? Naprawdę?

Skinał głową.

- Chce, żebym przyłączył się do rządu.
- Zgrabny ruch marketingowy.
- Wiem, ale mam wrażenie, że intencje są szczerze. Wyraziła się jasno: miałbym pełną swobodę, mógłbym być ambasadorem albo doradcą. Chociaż pozwoliła sobie też na pewną sugestię. - Pauza. - Spytała, czy nie chciałbym wrócić do DAR.

- Jako agent? - spytała z niedowierzaniem Natalie.

- Nie - odparł Cooper. - Jako dyrektor.

Gwizdnęła.

- Odpowiedziałem, że chyba nie ma już miejsca na dawny Departament Analiz i Reagowania. Przyznała mi rację. Chciałaby, żeby zbudowano go praktycznie od nowa, żeby przestał być agencją służącą do monitorowania, a stał się... czymś zupełnie innym. Formuła Ethana jeszcze nie została ujawniona, ale skoro już wszyscy wiedzą o jej istnieniu, trzeba będzie przygotować jakąś politykę w tej sprawie. Poza tym nie wszystkie organizacje terrorystyczne zaprzestały działalności; po obu stronach pełno jest jeszcze nienawiści. Prezydent uważa, że DAR powinien nie tylko obserwować nienormalnych, ale także być pomostem między...

Spojrzał na Natalie i urwał w pół zdania.

Siedziała sztywno, z nieco skulonymi ramionami, złożywszy dłonie na kolanach. Był to jeden z nieomylnych sygnałów, które dzięki swemu darowi rozgryzł już lata temu: rozmyślała na temat ich związku i zamierzała lada moment poruszyć ten temat.

Bał się tej chwili, bo choć kochał ją i wiedział, że nigdy nie przestanie, zamierzał jej powiedzieć, że chce być z inną kobietą.

- Posłuchaj - zaczął w tym samym momencie, gdy Natalie powiedziała: - Wybacz...

Niezręczne milczenie.

- Mów, proszę.

- Muszę cię przeprosić, ja chyba... - Natalie westchnęła ciężko i zatarła zmarznięte dłonie. - Posłuchaj. Nigdy nie podobała mi się twoja praca, choć rozumiałam, dlaczego ją wykonujesz. Z roku na rok było mi coraz trudniej. Gdy byliśmy razem, a nawet już po rozstaniu, bez

przerwy się bałam. Siedziałam na spotkaniu albo, no nie wiem, składałam pizamki Kate, a wyobraźnia serwowała mi coraz to bardziej upiorne obrazy, koszmary na jawie, których wspólnym motywem było to, co może ci się przytrafić. Rozmyślałam o tym, co ci zrobią albo... - Znowu westchnęła. - Tak czy owak, w końcu odszedłeś z Departamentu i zacząłeś pracować dla prezydenta Claya. Nadal próbowałeś naprawiać świat, ale przynajmniej byłeś bezpieczny. I wtedy, może przez te wszystkie stresy, a może dlatego, że zaczęłam wierzyć, że należą już do przeszłości, zaczęłam się zastanawiać, czy nie za wcześnie się poddaliśmy.

- Natalie, ja...

- Pozwól mi skończyć, dobrze? - Znowu patrzyła w przestrzeń. - Kochamy się od zawsze. Jesteś fantastycznym tatą i... Dobrze nam było razem. Naprawdę dobrze.

Kiwnął głową.

- Sądziłam, że już wiem, jak wygląda twój świat. Ale okazuje się, że się myliłam. Byłam w nim tylko turystką. A wczoraj... wczoraj naprawdę w nim żyłam. Całkiem sama. Robiłam to, co było konieczne. Broniałam dzieci, jak ty. Tylko że nienawidziłam każdej chwili. Nie umiem tak żyć. I nie zamierzam.

Kate pomachała do nich z placu zabaw; Natalie odpowiedziała jej z uśmiechem.

- Wiem, że twoim zdaniem głównym problemem w naszym życiu był twój dar. Tymczasem chodziło przede wszystkim o ów świat, w którym żyjesz. Gdy dołączyłeś do Claya, udawałam, że zrywasz z dawnym życiem. Ale wcale tak nie było. Dziś rozumiem, że nie umiałbyś tego zrobić. - Spojrzała mu w oczy. - I nie możesz, skarbie. Jesteś zbyt dobry w tym, co robisz. Potrzebujemy cię. Oni cię potrzebują. Pewnie gdzieś tam rośnie kolejny John Smith.

- Natalie...

- Wiem, że namieszałam ci w głowie. Szukałam cię i znalazłam. I nie żałuję tego. Nie żałuję też - prawie się uśmiechnęła — że znowu się kochaliśmy. Ale niestety, Nick, myliłam się. Nie mogę z tobą być. Nie w taki sposób. Nie potrafię.

Popatrzył na nią. Na tę twarz, którą całował milion razy, której

kształt i wszystkie piegi znał na pamięć. Na kobietę, która była jego pierwszą prawdziwą miłością. Kobietę, która wciąż potrafiła go zaskoczyć, mimo jego daru i doświadczenia.

- Powiedz coś - poprosiła.
- Tak sobie myślę, że jesteś niesamowita - odparł.
- O, tak. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - To prawda.

Odnalazła jego dłoń.

A potem razem patrzyli na bawiące się dzieci.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

- Chwila - dobiegł zza ściany jej głos. - Wy cholerne, durne, zasra...

Otworzyła drzwi.

Na prawym udzie nosiła rurę z przezroczystego tworzywa, wypełnioną fluorescencyjnym zielonym żelem. Obejma zaczynała się pięć centymetrów nad kolanem, kończyła pięć centymetrów poniżej krocza, a spinały ją paski przypominające odnóża stonogi, wijące się dziwnie przy każdym ruchu. Bez wątplenia był to wynalazek na miarę geniuszy medycznych Reduty - Cooper pierwszy raz widział coś takiego - ale efekt wizualny był porażający: coś jakby krzyżówka steampunkowej biżuterii ze średniowiecznym narzędziem tortur.

- Czego? — spytała, widząc jego minę.

Naprawdę starał się nie parsknąć śmiechem, ale ów wysiłek woli tylko pogorszył sprawę. To, co zaczęło się jako stłumiony chichot, szybko wymknęło się spod kontroli. Jej mina z rodzaju: „Ty chyba żartujesz?” i sam fakt, że Dziewczyna. Która Przechodzi Przez Ściany musi poruszać się o kulach, że jej niedościgły wdzięk zastąpiło to idiotyczne kuśtykanie -to było ponad jego siły.

- Jasne, rechocz dalej, dupku.

Spróbował przestać, ale nie dał rady.

- Baw się dobrze — dorzuciła. - Nie przejmuj się mną.

- Przepraszam. - W końcu się opanował. - Wybacz. Wyglądasz wspaniale.

- Ha. ha.

- Naprawdę. Gdzie mogę sobie skołować coś takiego?

- Brnij dalej, to wkrótce się dowiesz.

Wszedł do mieszkania, ujął w dłonie jej głowę i pocałował.

Nie spieszyli się. Tańczyły ich wargi i języki.

- Cześć - powiedział, gdy wreszcie oderwali się od siebie.

- Cześć.

- Boli? - spytał, patrząc na jej nogę.

- Nie, bo biorę proszki. Według lekarza Epsteina wystarczą dwa

tygodnie noszenia tego draństwa. potem dwa tygodnie rehabilitacji i będę jak nowa. Nieźle, jak na złamanie kości udowej.

- Brr. Dostałem dreszczy na sam dźwięk tej zbitki: „złamanie kości udowej”.

- Bohaterka ze mnie, co? - Gestem zaprosiła go do pokoju. - Bo wiesz, przeżyłam spektakularną katastrofę lotniczą specjalnie po to, żeby ocalić świat.

- Cóż, oficjalnie to ja go ocaliłem. Tak mówią na wszystkich kanałach.

- Jezu. - Shannon dokuśtykała do kanapy i usiadła ostrożnie. - Zawsze byłeś pyszałkowaty; teraz będziesz nieznośny. Piwa?

- Jasne.

- Jest w lodówce - powiedziała, mrugając porozumiewawczo. - Weź i dla mnie.

Kuchnia była maleńka, a lodówka zupełnie pusta, jeśli nie liczyć pikantnego sosu, musztardy oraz piwa. Znał ten widok; jego wyglądała podobnie.

- Na pewno powinnaś to mieszać z proszkami przeciwbólowymi?

- O tak. Zdecydowanie. - Pociągnęła zdrowy łyk trunku. Cooper rozejrzał się po mieszkaniu. Zestaw do czyszczenia broni na kredensie, wyciszony telewizor, otwarte książki leżące grzbietami do góry - kiedyś wyjaśniła mu, że gdy podoba jej się książka, rozłamuje jej grzbiet, żeby móc kłaść ją płasko podczas jedzenia - składane łóżko ukryte w ścianie, biurko w kącie, a na nim sterty grotów sprytnie ukryte pod rozłożystymi liśćmi plastikowej rośliny. Idealne miejsce do wegetacji, półzycia. Albo przystanek dla tych, którzy naprawdę żyją czymś innym. Uśmiechnął się.

- Pamiętasz, jak tu jechaliśmy? Zanim się to wszystko zaczęło. Według fałszywych paszportów byliśmy małżeństwem.

- Tom i Allison Cappello.

- Właśnie. Wymyśliliśmy sobie wspomnienia: o tym, jak to pracowaliśmy razem za biurkiem. Spytałem wtedy, czy w ogóle miałaś kiedykolwiek własne biurko, bo takim byłem mądrałą, a ty odparowałaś jakoś tak, że owszem, masz, bo świetnie na nim wygląda twój sztuczny kwiat.

- Prawda — potwierdziła. — Biurko należy do mojego zespołu.
- Tylko nie wspomniałaś, że trzymasz na nim tyle przypadkowych śmieci.

- Wcale nie są przypadkowe. Wiem doskonale, co gdzie mam. A jak ci poszła rozmowa z panią prezydent?

- Chyba genialnie - odparł, a potem opowiedział.

- Rety - mruknęła. - I przyjmiesz tę posadę?

- Jeszcze nie wiem. Powiedziałem jej, że najpierw potrzebny mi urlop.

- Naprawdę? A dokąd to się wybierasz?

- My. My się wybieramy. - Cooper przysiadł na kanapie obok Shannon. - Mieliliśmy pójść na randkę. Może w jakimś przyjemnie ciepłym miejscu? Gdzieś, gdzie serwują drinki z rumem, gdzie nie brakuje olejku kokosowego i palm. I żadnych spluw. Żadnych spisków.

- Gdzie nikt nie będzie próbował nas zabić?

- Przez tydzień albo dwa. Naturalnie. - Cooper zerknął w dół, na plastikową rurę. - Wyobrażałem sobie ciebie w bikini.

Roześmiała się owym głębokim, dobrym śmiechem, który zawsze lubił.

- Nakopię ci do dupy, gdy tylko będę mogła ruszać nogą.

- Czekam z utęsknieniem, kuternogo. A tymczasem powinniśmy zrobić coś jeszcze.

- Tak? Mianowicie?

- Rozłożę zaraz to łóżko i zaniosę cię na nie.

- Doprawdy? Lecisz na inwalidki, Cooper? - Tym razem uśmiechnęła się jakby leniwie i filuternie. - Nie wiem nawet, jak mielibyśmy się do tego zabrać.

- Nick - powiedział. - Mów mi Nick. I założę się, że coś wymyślimy.

I wymyślili.

EPILOG

Już trzecią noc z rzędu kładł się do łóżka drżący i z dziwnie rozpędzonym umysłem, podążającym ścieżkami, których wcale nie wybierał, z chyżością, która niezbyt mu odpowiadała. Pocił się też i trochę kaszlał, ale to nie objawy przeziębienia dokuczały mu najbardziej.

Gdy tym razem się obudził, było prawie południe i przez okno wlewały się ciepłe promienie słońca. Zwiadowca budzącej się świadomości, który zapuścił się dalej niż jego przytomny umysł, ostrzegł go natychmiast, że oto zbliża się kolejny dzień fatalnego samopoczucia. Zaczerpnął więc tchu i leżał nieruchomo.

I nic się nie stało. Czuł się doskonale.

Hawk przetoczył się na drugi bok i wstał z wąskiego łóżka. W domku z bali mieściły się tylko dwa pokoje o lakierowanych ścianach nasiąkniętych aromatem dymu z paleniska. Poczłapał do łazienki i pobił rekord świata w długości oddawania moczu. Szczoteczka do zębów nie należała do niego, ale cóż -lepsza taka niż żadna, nawet jeśli jej umęczone 532 włoski sterczały w dość przypadkowych kierunkach.

Był właśnie w połowie procesu szorowania dolnych zębów, gdy uświadomił sobie, że doskonale wiedział, ile włosków było wygiętych. Bez wysiłku, nieświadomie, po prostu wiedział i była to taka sama oczywistość jak to, że gdyby wypuścił tę szczoteczkę z ręki, to spadłaby na podłogę. 532 włoski, czyli 21,28 procent całości. Uśmiechnął się. Dokończył szorowanie i splunął.

Owej nocy, gdy zaczęła się bitwa, kiedy już dobiegi końca przemarsz milicji, Hawk zebrał się wreszcie na odwagę i pobiegł z kuchni prosto do garażu. Po dwudziestu minutach dławienia silnika i torturowania przekładni wiedział już mniej więcej, jak się jeździ jeepem. Pierwsze strzały rozległy się, gdy był już daleko za miastem i zmierzał na zachód. Mniej więcej o północy użył kamienia, by dostać się cło czyjegoś domku myśliwskiego. Zamierzał wyruszyć w dalszą drogę o świcie, ale gdy się obudził, jego mózg stał już w ogniu i od tamtej pory wszystko stało się dość rozmytym ciągiem wydarzeń.

Poszedł do kuchni, by pożywić się kukurydzą z puszki, czekając na

kawę z ekspresu. Słuchając syczenia maszyny, sięgnął po kubek, ale uczynił to raczej nieostrożnie: kubek zsunął się poza krawędź blatu roboczego.

To było piękne.

Hawk nie znał matematyki na tyle, by sprawnie opisać to, co widział, ale wyraźnie dostrzegał wzorzec: to. w jaki sposób grawitacja, opór powietrza i przyspieszenie tańczą ze sobą w tym prostym ruchu. Fascynujące było to, że miał ładnych kilka sekund, by się przyjrzeć temu, co się stało: kubek obracał się w locie coraz wolniej i wolniej, pozwalając mu dostrzec i przeanalizować coraz więcej detali. Wewnątrz naczynia zauważył koncentryczne kręgi, zaraz potem odcisk palca na uchu, następnie zaś charakterystyczne zawirowania kurzu wokół porcelany oraz to, jak słońce odbija się od krawędzi kubka niespiesznie dryfującego ku podłodze.

Gdy uderzył, rozpadł się na niezliczone kawałeczki, które rozprysły się w kilku absolutnie przewidywalnych kierunkach. Hawk słyszał też doskonale brzęk każdego z owych kawałeczków o płytki podłogowe i z jakiegoś powodu pomyślał o Johnie.

Pod ziemią, w tunelu serwisowym, gdzie nauczał go o tworzeniu niezliczonych planów na wszelki wypadek, John w gruncie rzeczy poświęcał mu niewielką część uwagi.

Wreszcie jednak zatrzymał się i spojrzał w jego oczy w absolutnym skupieniu.

- Muszę ci coś powiedzieć, Hawk. Coś bardzo ważnego. Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że nie przeżyję tego wszystkiego. Jeśli tak się zdarzy, to pamiętaj: to ty jesteś przyszłością.

- Nie rozumiem.

- Ale zrozumiesz - zapewnił go John.

Potem wyszli po drabince na powierzchnię, a parę minut później John już nie żył.

Miał rację, pomyślał Hawk. Wtedy wyjaśnianie ci czegokolwiek nie miało najmniejszego sensu. Ale teraz rozumiesz wszystko.

Rozumiał i inne sprawy. Na przykład to, że John go wykorzystał, że gdy wspominał o wymianie pionka na hetmana, to miał na myśli niemal dokładnie to. Nie. Hawk nie miał nic przeciwko temu. John

przecież go kochał, szanował, traktował jak mężczyznę, dał mu imię, cel i żar w sercu. Przyczyny mogły mieć jakieś tam znaczenie, ale nie tak wielkie jak fakty.

Hawk wyjął z szafki kolejny kubek i napełnił go kawą. Pił powoli, rozmyślając. Wreszcie opuścił drewniany domek i wsiadł do jeepa. Sięgając po pas bezpieczeństwa rozkaszał się nagle; przeczekał atak nisko pochylony, niemal leżąc na kierownicy. Gdy znowu mógł oddychać, wyjął z kieszeni chustkę.

I znieruchomiał.

Zgniół chusteczkę w dłoni.

Wytarł nos rękami.

Zbiornik z paliwem był w trzech czwartych pełny. Jeżeli mieścił sześćdziesiąt litrów, a silnik spalał średnio jedenaście litrów na sto kilometrów, to z pełnym zbiornikiem mógł przejechać prawie pięćset pięćdziesiąt kilometrów. Mając do dyspozycji pieniądze, które znalazł w kryjówce, mógł napełnić zbiornik osiem, może dziesięć razy. Potrzebował też trochę jedzenia i gotówki na wszelki wypadek - *dzięki, John!* - zatem powiedzmy, że mógł przebyć w sumie cztery tysiące kilometrów.

Przywołał z pamięci obraz ojczystego kraju, tak wyraźny, jakby patrzył na najprawdziwszą mapę, włącznie ze skalą w narożniku.

Na początek Salt Lake City.

Potem Reno.

Sacramento.

San Francisco.

Los Angeles.

Dalej na północny wschód, do Las Vegas i na południowy wschód, do Phoenix.

I jeszcze nawrót do San Diego.

Razem: 3900 kilometrów.

Czterdzieści godzin, gdyby chodziło jedynie o pokonanie dystansu. Lecz przecież wcale tak nie było - zamierzał jadać w restauracjach, chodzić do kościoła, jeździć autobusami. Z drugiej strony, jego czas ostatnio bardzo się wydłużył; nie chciał tracić go nazbyt wiele. Powiedzmy, że spędziłby ze cztery dni, ściskając dłonie współobywateli

i kichając w najgęściej zaludnionych obszarach metropolitalnych, o łącznym zaludnieniu rzędu...

Dziewięciu milionów osób.

Hawk zakaszłał znowu, uśmiechnął się i uruchomił silnik.

Czekała go długa droga.

PODZIĘKOWANIA

W 2010 roku, podczas wspinaczki górskiej z moim kumplem Blakiem Crouchem, zakochałem się w pewnym pomysł. Obozowaliśmy na wysokości ponad czterech tysięcy dwustu metrów, gadając o głupotach i sącząc bourbona, kiedy to się stało. Podobnie jak większość romansów, i ten zaczął się od intrygi, potem przekształcił się we flirt i zanim się obejrzeliśmy, rozprawialiśmy już bez końca o niesamowitych możliwościach. Pomysły Blake'a stały się niezwykle popularną trylogią *Wayward Pines*. Kulminacją moich jest powieść, którą właśnie trzymasz w rękach.

Była to długa i cudowna podróż trwająca pięć lat. Trzy książki, trzysta tysięcy słów - a mówię tu jedynie o tych, które zachowałem. Przez ten czas zdążyliśmy z żoną sprzedać mieszkanie, kupić dom, doczekać się córki, śmiać się, gotować i podróżować. Teraz podróż dobiega końca i jak większość doświadczeń, które zmieniają człowieka od wewnątrz, jej kres przynosi mi i radość, i żal.

Przyjemnie było pomieszkiwać w tym świecie, spotykać Coopera, Shannon, Natalie, Ethana i Quinna - przykro mi, Bobby, że tak skończyłeś - oraz Johna Smitha, Erika Epsteina i Hawka. Z melancholią myślę o tym, że to już przeszłość. Lecz choć pewnego dnia być może powrócę w te strony, dziś sądzę, że to opowieść skończona. Wszyscy moi bohaterowie mieli okazję zabłysnąć i przeżyć najczarniejszą noc; jestem im wdzięczny za to, że mogłem zabrać się z nimi w drogę.

Wdzięczność winien jestem jeszcze kilku osobom, które -choć w przeciwieństwie do moich bohaterów nikogo jeszcze nie zlikwidowały - podobnie jak moich wyimaginowanych przyjaciół uważam za autentycznych twardzieli.

Mój agent literacki, Scott Miller, jest szlachetnym człowiekiem i dobrym przyjacielem - wierzył we mnie od samego początku. Jon Cassir zaś z wdziękiem używa bata, by podporządkować sobie Hollywood. Dziękuję wam obu, panowie.

Zaszczytem jest dla mnie współpraca z Thomasem & Mercerem, wydawcami zaiste znakomitymi. Żadna potęga wszechświata nie

mogłaby zatrzymać mojej redaktorki. Alison Dasho. Jacque Ben-Zekry nagina świat do swej woli. a on jeszcze jej dziękuje i prosi o więcej. Gracie Doyle kładzie na łopatki, nie przestając żuć gumy. Wielkie dzięki ślę też Tiffany Pokorny, Alanowi Turkusowi. Mikiyli Bruder. Daphne Durham oraz Jeffowi Belle'owi. błyskotliwym i pracowitym ludziom, których miłość do ciekawych opowieści płonie jak gwiazda.

Shasti O'Leary Soudant wykonała znakomitą robotę, opracowując okładki dla całej serii. Jessica Fogleman wyłapała mniej więcej milion popełnionych przeze mnie błędów. Cait-lin Alexander zredagowała tekst z nienagannym stylem i po wizjonersku, a na dodatek w obłędnym tempie.

Mój stary przyjaciel, doktor Yuval Raz. niezwykle hojnie obdarował mnie swym czasem oraz wiedzą. Zarówno biologiczne podstawy teorii daru. jak i metodologia niszczenia świata to jego dzieło - podoba mi się ta wszechstronność!

Gdy utknąłem, gdy męczyła mnie bezsenność, gdy kołysałem się w przód i w tył, szczypiąc się maniakalnie, moi drodzy Blake Crouch i Sean Chercover zaw sze byli w pobliżu, by poprowadzić mnie dalej. Słowa są mojego autorstwa, ale wiele rozwiązań zawdzięczam właśnie im.

Jak zawsze, gorące podziękowania składam moim rodzicom, Tony'emu i Sally, a także memu bratu Mattowi. Kocham was.

Moje dziewczęta są moim życiem. Dziękuję ci, moja dorosła miłości g.g. Dziękuję i tobie, nasza mała miłości, genialna, nieustraszona i bardzo niemądra Jocelyn Sally Sakey.

I wreszcie, drogi Czytelniku, dziękuję i Tobie. Robię to, co pragnąłem robić, odkąd skończyłem cztery lata i jestem wdzięczny losowi za każdą sekundę. I dlatego raz jeszcze: dziękuję.

